

**GEORGE
ORWELL**

**WIWAT
ASPIDISTRA!**

Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a pieniędzy bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęmiący. I choćbym miał dar proroctwa i znał wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność, i choćbym miał wszelką wiarę, tak żebym góry przenosił, a pieniędzy bym nie miał, niczym jestem. I choćbym na żywność ubogim rozdał wszelką majątność swoją, i choćbym wydał ciało swoje tak, żebym gorzał, a pieniędzy bym nie miał, nic mi nie pomoże. Pieniądz jest cierpliwy, jest łaskawy, pieniądz nie zazdrości, na złość nie czyni, nie nadyma się, nie pragnie zaszczytów, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie myśli złego; nie raduje się z niesprawiedliwości, ale weseli się z prawdy. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko przetrwa... A teraz trwa wiara, nadzieja, pieniądz, to troje; z tych zaś największy jest pieniądz.

Św. Pawła „Pierwszy List do Koryntian”
(nieco zmieniony)

1

Zegar wybił wpół do trzeciej. W małym kantorku na zapleczu księgarni pana McKechnie, Gordon (Gordon Comstock, ostatni potomek rodu Comstocków), mężczyzna dwudziestodziewięcioletni, ale już dość zniszczony, siedział w niedbalej pozie przy stole, otwierając i zamykając kciukiem paczkę papierosów Player's Weights za cztery pensy.

Dziń-dziń innego, odleglejszego zegara - z piwiarni Pod Księciem Walii, po drugiej stronie ulicy - zawirowało w nieruchomym powietrzu. Gordon wyprostował się z wysiłkiem i schował paczkę papierosów do wewnętrznej kieszeni. Strasznie chciało mu się palić. Zostały mu jednakże tylko cztery papierosy. Dziś była środa i aż do piątku nie dostanie pieniędzy. Cholernie źle byłoby nie mieć nic do palenia wieczorem i jeszcze jutro.

Zirytowany perspektywą jutrzejszych godzin bez papierosa, wstał i skierował się ku drzwiom - mała, wąła postać o delikatnych kościach i nerwowych ruchach. Marynarkę miał wytartą na prawym łokciu i brakowało w niej środkowego guzika; kupione w sklepie flanelowe spodnie były poplamione i obwisłe. Nawet na pierwszy rzut oka było widać, że buty wymagają podzelowania.

Gdy wstawał, pieniądze zabrzęczały w kieszeni spodni. Znał dokładnie ich sumę. Pięć i pół pensa - dwa pensy, pół pensa i trzypensówka. Zatrzymał się, wydobyl nieszczęsną trzypensową monetę i przyjrzał się jej. Wstrętna, beużyteczna! Trzeba było być cholernym głupcem, żeby ją wziąć! Zdarzyło się to wczoraj, gdy kupował papierosy. - Nie ma pan nic przeciwko trzypensówce, prawda, proszę pana? - zaszczebiotała ta flądra ekspedientka. I oczywiście zgodził się. - Och, nie, bynajmniej! - odpowiedział... Głupiec, cholerny głupiec!

Serce ścisnęło mu się na myśl, że ma całego majątku pięć i pół pensa, z czego trzech pensów nie może wydać. Bo czy można coś kupić za trzypensówkę? To nie moneta, to łamigłówka. Wygląda się na głupca, wyjmując ją z kieszeni, chyba że jest w kupce innych monet. - Ile? - powiadasz. - Trzy pensy - powiada ekspedientka. Wtedy szukasz w kieszeni i wyławiasz ten niedorzeczny przedmiot, sam jeden, przylepiony na czubku palca jak żeton do gry w pchełki. Ekspedientka prychnęła pogardliwie. Natychmiast spostrzeża, że to twoje ostatnie trzy pensy. Widzisz, jak rzuca na nie okiem - ciekawa jest, czy jeszcze lepi się do nich okruch bożonarodzeniowego ciasta. Więc wychodzisz dumnie z zadartym w górę nosem i już nigdy nie będziesz mógł pójść do tego sklepu. Nie! Nie wydamy naszej trzypensówki. Zostało dwa i pół pensa - dwa i pół pensa aż do piątku.

Była to spokojna poobiednia godzina, gdy klienci zjawiali się rzadko lub wcale. Był sam z siedmioma tysiącami książek. Przyległy do kantorka ciemny pokoik, zalatujący kurzem i zbutwiałym papierem, wypełniały całkowicie książki, przeważnie stare i nie znajdujące nabywcy. Na górnych półkach blisko sufitu tomy quarto przestarzałych encyklopedii drzemały w stosach niczym warstwy trumien

w zbiorowych grobach. Gordon rozsunął niebieskie, przesycone kurzem zasłony służące za drzwi do następnego pokoju. Lepiej oświetlony niż poprzedni, mieścił wypożyczalnię książek. Była to jedna z owych wypożyczalni „za dwupensową kaucją”, ulubionych przez złodziei książek. Znajdowały się tam oczywiście tylko powieści. I to jakie powieści! Ale to również wydawało się oczywiste.

Osiemset powieści wypełniało trzy boki pokoju aż po sufit, całe rzędy jaskrawych podłużnych grzbietów, jak gdyby ściany zbudowano z różnokolorowych cegieł postawionych na sztorc. Ułożono je alfabetycznie. Arlen, Burroughs, Deeping, Dell, Frankau, Galsworthy, Gibbs, Priestley, Sapper, Walpole. Gordon spoglądał na nie z apatyczną nienawiścią. W tej chwili nienawidził książek, a zwłaszcza powieści. Straszna była myśl o tej całej rozlazłej, niedowarzonej szmirze zgromadzonej w jednym miejscu. Budyń, budyń na łoju. Otaczało go osiemset płyt budynku - krypta z kamienia budyniowego. Ta myśl przygniatała. Przez otwarte drzwi skierował się do frontowej części sklepu. Po drodze przyglądał włosy. Miał ten gest w zwyczaju. Przecież na zewnątrz, przed szklanymi drzwiami mogą być dziewczęta. Wygląd Gordona nie był imponujący. Mierzył dokładnie pięć stóp siedem cali wzrostu, a ponieważ włosy miał zwykle zbyt długie, sprawiało to wrażenie, że głowa jest za duża w stosunku do ciała. Zawsze był świadom swego niskiego wzrostu. Gdy wiedział, że ktoś na niego patrzy, trzymał się bardzo prosto, wysuwał pierś do przodu, przybierając pogardliwą minę, co czasem wprowadzało w błąd prostaczków.

Jednak na zewnątrz nie było nikogo. Pokój od frontu, inaczej niż reszta sklepu, był elegancki i wytworny, a za -wierał około dwóch tysięcy książek, nie licząc tych na wystawie. Po prawej znajdowała się szklana gablota

w której trzymano książki dla dzieci. Gordon odwrócił wzrok od ohydnej obwoluty w stylu Rackhama; elficzne dzieci pływające wzorem Wendy po polance pełnej dzwonek. Wyrzał przez szklane drzwi. Obrzydliwy dzień, wiatr się wzmagał. Niebo było ołowiane, a bruk śliski. Był to dzień św. Andrzeja, trzydziestego listopada. Sklep McKechniego znajdował się na rogu, na nieforemnym placu, gdzie zbiegały się cztery ulice. Na lewo, ledwie widoczny od drzwi, rósł wielki wiąz, tuż obok bezlistny, którego rozliczne gałązki tworzyły na tle nieba koronkę w kolorze sepii. Naprzeciwko, obok Księcia Walii, znajdował się wysoki parkan pokryty reklamami artykułów spożywczych i lekarstw. Galeria olbrzymich lalkowatych twarzy - różnych tępych twarzy pełnych głupkowatego optymizmu. Sos Q.T., płatki śniadaniowe Truweet („Dzieciaki domagają się płatków śniadaniowych”), burgund Kangur, czekolada vitamalt, boveks. Reklama boveksu dręczyła Gordona najbardziej. Urzędnik w okularach, o twarzy szczura i wybrylantynowanych włosach, siedział przy kawiarnianym stoliku szczerząc zęby nad kubkiem boveksu. „Narożnemu Stolikowi smakuje boveks”, głosił napis.

Gordon przeniósł wzrok bliżej. Z matowej od kurzu szyby spoglądało na niego odbicie jego twarzy. Niedobra twarz. Jeszcze nie ma trzydziestki, a już zniszczona. Bardzo blada, pobrużdżona gorzkimi, trwałymi zmarszczkami. Czoło, jak to mówią „dobre” - to znaczy wysokie - ale podbródek mały, spiczasty, tak że twarz miała kształt raczej gruszkowaty niż owalny. Włosy koloru mysiego i zaniedbane, usta nieprzyjazne, oczy piwne przechodzące w zielone. Znowu spojrzął w dal. Nienawidził teraz luster. Na zewnątrz było ponuro i zimno. Tramwaj, jak ochrypy stalowy łabędź, prześliznął się z jękiem po bruku, a za nim

wiatr zakręci! śmietnikiem zdeptanych liści. Gałązki wiązu wirowały wyginając się ku wschodowi. Plakat sosu Q.T. był naderwany na brzegu; strzępek papieru trzcypoul kapryśnie jak maleńka chorągiewka. W bocznej ulicy, na prawo, nagie topole rosące wzdłuż chodnika uginały się gwałtownie od wiatru. Wstrętny, przenikliwy wiatr. W jego porywach brzmiał groźny ton; pierwszy pomruk gniewu zimy. W myślach Gordona rodziły się z wysiłkiem dwie linijki wiersza:

Jakiś tam wicher - na przykład złowrogi wicher? Nie, lepiej złowróźbny wicher. Złowróźbnie wicher dmie - nie, powiedzmy, złowróźbnie wicher dmąc ugina.

Jakieś topole - wiotkie topole? Nie, lepiej giętkie topole. Asonans pomiędzy giętkie i złowróźbnie? Nie szkodzi. Giętkie topole, obnażone. Dobrze.

Złowróźbnie wicher dmąc ugina

Giętkie topole, obnażone.

Dobrze. „Obnażone” cholernie się rymuje; jest jednak zawsze „stroneń”, do czego każdy poeta poczynając od Chaucera usiłował znaleźć rym. Lecz natchnienie opuściło Gordona. Obracał pieniądze w kieszeni. Dwa i pół pensa i trzypensówka - dwa i pół pensa. Umysł miał ocieężały od zniechęcenia. Nie mógł borykać się z rymami i przymiotnikami. Nie można, mając tylko dwa i pół pensa w kieszeni.

Wzrok jego spoczął ponownie na plakatach naprzeciwko. Miał swe własne powody do nienawiści. Odruchowo odczytał ponownie slogany. „Burgund Kangur – wino dla Brytyjczyków”. „Dławiła ją astma!” „Sos Q.T. rozwesela mężusia”. „Wędruj cały dzień o tabliczce vitamaltu!”. „Gruby tytoń - papieros dla światowych mężczyzn”. „Dzieciaki domagają się płatków śniadaniowych”, „Naróżnemu Stolikowi smakuje bovox”.

Ha! Klient - w każdym razie, potencjalny klient. Gordon zastygł. Stojąc przy drzwiach, można było dostrzec mgliście przestrzeń przed wystawą, samemu nie będąc widzianym. Przyjrzał się potencjalnemu klientowi.

Przyzwoicie wyglądający mężczyzna w średnim wieku, czarne ubranie, melonik, parasol i teczka - prowincjonalny prawnik lub urzędnik miejski - zerkał na wystawę dużymi bladymi oczyma. Miał minę winowajcy. Gordon poszedł w ślad za jego wzrokiem. Ach, więc to to! Wywahał w odległym kącie pierwsze wydarcia D.H. Lawrence'a. Oczywiście, tęskni za jakimś świństwem. Słyszał co nieco o Lady Chatterley. Złą ma twarz, pomyślał Gordon. Błada, obwisła, chytra, o złych rysach. Sądząc po wyglądzie, Walijszyk - w każdym razie rygorystyczny protestant. W kącikach ust miał worki typowe dla sekciarzy. W domu pewnie przewodniczący miejscowej Ligi Czystości lub Nadmorskiego Komitetu Czujności (w gumowych pantoflach i z latarką w ręku wypatruje pary całujące się na nadbrzeżnym bulwarze), a teraz hula sobie w mieście. Gordon pragnął, żeby wszedł. Sprzeda mu egzemplarz *Zakochanych kobiet*. Jakże się rozczaruje!

Ale nie! Walijski prawnik stchórzył. Wsunął parasol pod ramię i odszedł, cnotliwie pokazując plecy. Lecz z pewnością wieczorem, gdy ciemność ukryje rumieńce, wśliznie się do gabinetu masażu i kupi *Harce w paryskim klasztorze* pióra Sadie Blackeyes.

Gordon odwrócił się od drzwi w stronę półek. Na półkach po lewej od wyjścia z wypożyczalni trzymano nowe i prawie nowe książki - smuga jaskrawych barw, która miała przyciągnąć wzrok zaglądających przez szklane drzwi. Ich lśniące dziewicze grzbiety zdawały się wdychać na półkach. „Kup mnie, kup mnie!” - zdawały się mówić. Powieści prosto z drukarni, nietknięte jeszcze

panny młode, wzdychały, by je rozprawczył nóż do papieru - egzemplarze recenzenckie, jak młode wdowy, jeszcze kwitnące, choć już nie dziewice, a tu i ówdzie, w zestawach po sześć sztuk, żalodne stare panny, „remanenty”, nadal strzegły, nie tracąc nadziei, długo zachowanego dziewictwa. Gordon odwrócił wzrok od „remanentów”. Przywoływały złe wspomnienia. Jedynej nieszczęsnej książeczki, jaką wydał dwa lata temu, sprzedano dokładnie sto pięćdziesiąt trzy egzemplarze, po czym odesłano ją do „remanentów”; nie kupowano jej nawet jako „remanentu”. Przeszedł obok nowych książek i zatrzymał się przed biegnącymi prostopadle półkami, na których stały używane książki.

Na prawo znajdowały się półki z poezją. Tuż przed nim była proza, istna mieszanina. Książki uszeregowano pionowo, od schludnych i kosztownych na poziomie wzroku, po tanie i obszarpane u góry i na dole. We wszystkich księgarniach toczy się okrutna walka o byt, w której dzieła żyjących autorów ciążą ku poziomowi wzroku, dzieła zaś zmarłych autorów przesuwają się w górę lub w dół - w dół do otchłani lub w górę ku niebiosom, lecz zawsze z dala od miejsca, gdzie byłoby łatwo je dostrzec. Na dolnych półkach pleśnieli cicho „klasycy”, wymarłe potwory epoki wiktoriańskiej. Scott, Carlyle, Meredith, Ruskin, Pater, Stevenson - ledwie można było odczytać nazwiska na grubych, niechlujnych grzbietach. Na górnych półkach, niemal niewidoczne, drzemały pękate biografie książąt. Poniżej znajdowała się literatura „religijna”, nadal kupowana i dlatego umieszczona w zasięgu ręki - wszystkie sekty i wyznania chaotycznie stłoczone razem. *Tamten świat*, pióra autora książki *Dotknęły mnie ręce ducha. Życie Chrystusa* dziekana Farrara. *Jezus pierwszym rotarianinem*. Najnowsza książka ojca Hilaire Chestnuta propagująca

katolicyzm. Religia dobrze się sprzedaje, jeżeli jest odpowiednio ckliwa. Poniżej, dokładnie na poziomie wzroku znajdowały się rzeczy współczesne. Ostatni Priestley. Rozkoszne książeczki nowych wydań „średniaków”. Pogodny „humor” Herberta, Knota i Milne’a. Także trochę rzeczy intelektualnych. Jedna czy dwie powieści Hemingwaya i Virginii Woolf. Wytworne lekkostrawne biografie w stylu Stracheya. Snobistyczne, wykwintne książeczki o uznanych malarzach i uznanych poetach, pisane przez zamożne wstrętne młode typy, które prześlizgują się z takim wdziękiem z Eton do Cambridge, a z Cambridge do pism literackich.

Spoglądał tępo na ścianę książek. Nienawidził ich wszystkich, starych i nowych, intelektualnych i trywialnych, snobistycznych i do śmiechu. Sam ich widok uzmysławiał mu jego własną bezpłodność. Gdyż on, rzekomo „pisarz”, nawet „pisać” nie mógł. Nie była to jedynie kwestia niewydawania jego książek; nie tworzył nic albo prawie nic. A te wszystkie kicze zawałające półki - cóż, one w każdym razie istniały; zawsze było to jakieś osiągnięcie. Nawet takie Delie i Deepingi produkują rocznie hektar druku. Jednakże najbardziej nienawidził snobistycznych, „kulturalnych” książek. Krytyki literackiej i literatury pięknej. W rodzaju tych, jakie te zamożne wstrętne młode typy z Cambridge piszą jakby od niechcenia - i jakie Gordon mógłby pisać, gdyby miał nieco więcej pieniędzy. Pieniądze i kultura! W takim kraju jak Anglia bez pieniędzy nie można być kulturalnym, tak jak nie można wstąpić do Klubu Kawalerzystów. Tknięty tym samym odruchem, który każe dziecku potraćć kiwający się ząb, wyjął snobistycznie wyglądający tom - *Wybrane aspekty włoskiego baroku* - otworzył, przeczytał ustęp i wsunął z powrotem z mieszaniną odrazy i zawiści. Ta przerażają-

ca wszechwiedza! To niezdrowe okularnicy wyrafinowanie! I pieniądze, jakie się kryją za tym wyrafinowaniem! W gruncie rzeczy, cóż za tym stoi, jeśli nie pieniądze? Pieniądze na odpowiednie wykształcenie, pieniądze na wpływowych przyjaciół, pieniądze na wolny czas i spokój ducha, pieniądze na podróże do Włoch. Pieniądze piszą książki, pieniądze je sprzedają. Nie dawaj mi cnoty, Panie, daj mi pieniądze, tylko pieniądze.

Zabręczał monetami w kieszeni. Miał już prawie trzydzieści lat, a nie osiągnął jeszcze niczego; tylko ten nieszczęsny zbiorek poezji, który zrobił kompletną klapę. Od tego zaś czasu, przez całe dwa lata, szamotał się w labiryncie okropnej książki, która nie posuwała się naprzód i którą, jak sobie chwilami zdawał sprawę, nigdy nie posunie się naprzód. To brak pieniędzy, po prostu brak pieniędzy pozbawiał go mocy „pisania”. Trzymał się tego jak artykułu wiary. Pieniądze, pieniądze, pieniądze to wszystko! Czyż można napisać choćby tanią nowelkę bez pieniędzy, które dodają otuchy? Inwencja, energia, dowcip, styl, wdzięk - za to wszystko trzeba płacić gotówką.

Jednakże patrząc na półki poczuł pewną ulgę. Tak wiele książek wyblakło i stało się nie do czytania. Mimo wszystko jedziemy na tym samym koniu. *Memento moń*. Ciebie, mnie i snobistycznych młodzieńców z Cambridge czeka to samo zapomnienie - choć niewątpliwie poczeka nieco dłużej na snobistycznych młodzieńców z Cambridge. Spojrzał na pożółkłych od starości „klasyków” u swych stóp. Martwi, wszyscy martwi, niech gniją z Bogiem. Przesunął wzrokiem po wyblakłych tytułach. *Pisma zebrane* Roberta Louisa Stevensona. Ha, ha! To dobre. *Pisma zebrane* Roberta Louisa Stevensona! Górny brzeg poczerniał od kurzu. Prochem jesteś i w proch się

obrócisz. Gordon kopnął płócienny grzbiet Stevensona. Stamtąd odzywasz się, stary? Zimna pieczeń z ciebie, jak ze Szkota.

Dzyna! Dzwonek u drzwi. Gordon odwrócił się. Dwie klientki, do wypożyczalni.

Strapiona, przygarbiona kobieta z ludu, o wyglądzie ubłoconej kaczki węszącej wśród śmieci, wśliznęła się do środka, grzebiąc w wyplatany koszyku. Za nią podrygiwała pulchna kobietka o rumianych policzkach, ze średnich klas średnich, niosąca pod pachą egzemplarz *Sagi rodu Forsyte'ów* - tytułem na zewnątrz, by przechodnie brali ją za intelektualistkę.

Gordon porzucił kwaśną minę. Powitał je z zażyłą jowialnością lekarza domowego przeznaczoną dla klientów wypożyczalni.

- Dzień dobry, pani Weaver. Dzień dobry, pani Penn. Co za straszna pogoda!

- Potworna! - powiedziała pani Penn.

Odsunął się, by dać im przejść. Pani Weaver wywróciła koszyk, wysypując na podłogę zaczytany egzemplarz *Srebrnego wesela* pióra Ethel M. Dell. Spoczął na nim bystry ptasi wzrok pani Penn. Za plecami pani Weaver uśmiechnęła się do Gordona, wyniośle, jak intelektualista do intelektualisty. Dell! Co za dno! Co za książki czytają ci z ludu. W odpowiedzi uśmiechnął się porozumiewawczo. Przeszli do wypożyczalni, uśmiechając się do siebie - intelektualista do intelektualistki.

Pani Penn położyła *Sagę rodu Forsyte'ów* na stole i zwróciła wróblą pierś ku Gordonowi. Była zawsze bardzo uprzejma dla Gordona. Zwracała się do niego „panie Comstock”, choć był jedynie sprzedawcą, i prowadziła z nim literackie rozmowy. Istniało pomiędzy nimi masonskie porozumienie intelektualistów.

- Mam nadzieję, że podobała się pani *Saga rodu Forsythe'ów*, pani Penn?

- Cóż za cudowne osiągnięcie, ta książka, panie Comstock! Czy wie pan, że właśnie przeczytałam ją po raz czwarty? Epos, prawdziwy epos!

Pani Weaver węszyła wśród książek, zbyt tępa, by pojąć, że są ułożone w porządku alfabetycznym.

- Nie wiem, co se wziąć w tym tygodniu - mamrotała bełkotliwie. - Moja córka to powiada, żebym popróbowowała Deepinga. Ona to uwielbia Deepinga, moja córka. Ale zięć, ten to jest bardziej za Burroughsem. Nie wiem, nie mam pojęcia.

Twarz pani Penn skurczyła się na wzmiankę o Burroughsie. Znacząco odwróciła się plecami do pani Weaver.

- Sądzę, panie Comstock, że Galsworthy to coś tak *wielkiego*. Ma takie szerokie poglądy, jest taki uniwersalny, a zarazem tak głęboko angielski duchem, tak *ludzki*. Jego książki to prawdziwe dokumenty *ludzkie*.

- I Priestley także - powiedział Gordon. - Myślę, że Priestley to strasznie dobry pisarz, nieprawdaż?

- Och, tak! Tak wielki, o rozległych horyzontach, tak ludzki! I tak typowo angielski!

Pani Weaver zacisnęła wargi. Za nimi znajdowały się trzy pojedyncze żółte zęby.

- Myślę, że chyba se wezmę jeszcze jedną Dell - powie działa. - Macie jeszcze jakieś Dell, co? Lubię se poczytać Dell, ot co. Mówię do córki: „Weź se te twoje Deepingi i Burroughsy. Daj mi Dell”, mówię.

Dzyń, dzyń, Dell! Dożę i delicje! Wzrok pani Penn sygnalizował ironię intelektualistki. Gordon odpowiedział na ten sygnał. Trzymać z panią Penn! Dobra, stała klientka.

- Och, oczywiście, pani Weaver. Mamy całą półkę książek Ethel M. Dell. Czy chce pani *Pożądanie jego*

życia? A może pani to już czytała? W takim razie może *Ołtarz honoru*?

- Ciekawa jestem, czy macie najnowszą książkę Hugh Walpole'a? - powiedziała pani Penn. - W tym tygodniu mam ochotę na coś epickiego, coś *wielkiego*. Wie pan, zawsze uważałam Walpole'a za naprawdę *wielkiego* pisarza, stawiam go na drugim miejscu tuż za Galsworthym. Jest w nim coś tak *wielkiego*. A jednak jest w tym tak ludzki.

- I tak typowo angielski - powiedział Gordon.

- Och, oczywiście! Tak typowo angielski!

- Chyba se wezmę jeszcze raz *Tak jak orzeł* - powiedziała wreszcie pani Weaver. - Człękowi się nigdy nie znudzi *Tak jak orzeł*, no nie?

- Istotnie, cieszy się zadziwiająco popularnością - powiedział dyplomatycznie Gordon, spoglądając na panią Penn.

- Och, zadziwiająco! - zawtórowała ironicznie pani Penn, spoglądając na Gordona.

Wziął od nich po dwa pensy i wyprawił je pełne szczęścia, panią Penn z *Hultajem Herriesem* Walpole'a, a panią Weaver z *Tak jak orzeł*.

Powrócił do poprzedniego pomieszczenia, ku półkom z poezją. Owe półki przyciągały go z melancholijną fascynacją. Była tu jego nieszczęsna książka - umieszczona oczywiście wysoko, pomiędzy towarem niechodliwym. *Myszy* pióra Gordona Comstocka; nędzna mała ósemka na kancelaryjnym papierze, cena trzy szylingi i sześć pensów, teraz obniżona do szylinga. Z trzynastu durniów, którzy ją recenzowali (a *Dodatek Literacki* „Timesa” oświadczył, że jest „wyjątkowo obiecująca”), ani jeden nie zauważył niezbyt subtelnego żartu w tytule. W ciągu dwóch lat, które spędził w księgarni McKechniego, ani jeden klient, ani jeden, nie zdjął *Myszy* z półki.

Było tam z piętnaście lub dwadzieścia pólek z poezją. Gordon przyglądał się im z goryczą. W większości niewypały. Nieco powyżej poziomu wzroku, już na drodze ku niebu i zapomnieniu, znajdowali się poeci wczorajsi, gwiazdy jego wczesnej młodości. Yeats, Davies, Housman, Thomas, De la Mare, Hardy. Zgasłe gwiazdy. Poniżej, dokładnie na poziomie wzroku, znajdowały się fajerwerki ostatniej chwili. Eliot, Pound, Auden, Campbell, Day Lewis, Spender. Bardzo zamokłe fajerwerki. Zgasłe gwiazdy u góry, zamokłe fajerwerki poniżej. Czy kiedykolwiek doczekamy się pisarza, którego warto czytać, czy go rozpoznamy od razu, skoro tak nas przytłamsza szmira?

Dzyń! Dzwonek u drzwi sklepu. Gordon odwrócił się. Następnym klient.

Młodzieniec dwudziestoletni, o ustach jak wiśnie i złocistych włosach, wsunął się pedałowatym kroczeniem. Oczywiście, zamożny. Otaczał go złoty blask pieniędzy. Bywał już uprzednio w sklepie. Gordon przybrał układnie-usłużną postawę przeznaczoną dla nowych klientów.

Powtórzył zwykłą formułkę:

- Dzień dobry. Czym mogę panu służyć? Życzy pan sobie jakiejś szczególnej książki?

- Och nie, łącej nie. - Pedałowaty głos bez r. - Czy mogę trochę poszpełać? Po płostu nie mogłem się oprzeć wystawie. Mam tak stłasną słabość do księgałni! A więc wflunałem - a-psik!

Wyfruń zatem, pedałowku. Gordon uśmiechnął się kulturalnie, jak miłośnik książek do miłośnika książek.

- Och, proszę bardzo. Miło nam, gdy klienci się rozglądają. Czy interesuje pana przypadkiem poezja?

- Och, oczywiście! Po płostu *uwielbiam* poezję!

Oczywiście! Mały, parszywy snob. Jego ubiór wyglądał nieco artystycznie, Gordon wyluskał z półek poezji „zgrabny” czerwony tomik.

- "Właśnie wyszło ostatnio. Być może to pana zainteresuje. To tłumaczenia - coś raczej nieprzeciętnego. Tłumaczenia z bułgarskiego.

Bardzo chytre. Teraz zostawię go samego. To właściwy sposób postępowania z klientami. Nie popędzać ich; pozwolić im szperać przez jakieś dwadzieścia minut; potem robi się im wstyd i coś kupują. Gordon przesunął się ku drzwiom, dyskretnie, trzymając się z dala od panicyzka; jednakże niedbale, z ręką w kieszeni, swobodnie, jak przystało na dżentelmena.

Błotnista ulica na zewnątrz wyglądała szaro i ponuro. Gdzieś zza rogu dobiegł brzęk kopyt, zimny, pusty dźwięk. W podmuchu wiatru ciemne kolumny dymu z kominów wyginały się i staczały płasko z pochyłych dachów. Ach!

*Złowróźnie wicher dmąc ugina
Giętke topole, obnażone, Kominów
ciemna spływa wstęga Miotana
wiatrem tam tam (coś jakby „ciemną”
stronę.*

Dobrze. Lecz natchnienie minęło. Jego wzrok spoczął ponownie na plakatach reklamowych po drugiej stronie ulicy.

Chciało mu się niemal z nich śmiać, tak były marne, bez życia, niesmaczne. Jak gdyby mogły skusić kogokolwiek! Jak demony z krostowatymi plecami. Mimo wszystko przygnębiały go. Smród pieniądza, wszędzie smród pieniądza. Spojrzał ukradkiem na pedałka, który odsunawszy się od półek z poezją wyciągnął dużą, drogą książkę o balecie rosyjskim. Trzymał ją delikatnie w różowych niechwyt-

nych łapkach, tak jak wiewiórka trzyma orzech, i oglądał fotografie. Gordon znał ten typ. Zamożny „arystokratyczny” młodzieniec. Sam właściwie nie artysta, lecz pieczęniarz sztuki; bywalec atelier, opowiadacz skandali. W gruncie rzeczy sympatyczny chłopiec, mimo swej pedantowości. Skórę na karku miał jedwabście gładką jak wnętrze muszli. Nie można mieć takiej skóry poniżej pięciuset funtów rocznie. Posiadał pewien rodzaj wdzięku, pewien urok, jak wszyscy zamożni ludzie. Pieniądze i wdzięk; któż je rozdzieli?

Gordon pomyślał o Ravelstonie, uroczym, bogatym przyjaciolem, redaktorze „Antychrysta”, przyjaciolem, którego niezmiernie lubił i którego widywał jedynie raz na dwa tygodnie; a także o Rosemary, swojej dziewczynie, która go kochała - uwielbiała go, jak mówiła - i która mimo to nigdy z nim nie spała. Jeszcze raz pieniądze; pieniądze to wszystko. Wszystkie stosunki pomiędzy ludźmi trzeba kupować za pieniądze. Jeśli nie masz pieniędzy, mężczyźni nie będą dbać o ciebie, kobiety nie będą cię kochać; to znaczy, nie będą dbać o ciebie ani cię kochać choćby odrobinę. I właściwie mają rację! Gdyż bez pieniędzy jesteś niesympatyczny. Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi. Jednakże, jeśli nie mam pieniędzy, *nie* mówię językami ludzkimi i anielskimi.

Spojrzał znowu na plakaty reklamowe. Teraz ich naprawdę nienawidził. Na przykład ten o vitalencie. „Wędruj cały dzień o tabliczce vitamałtu!”. Młodzieńcza para, chłopiec i dziewczyna, w przyzwoitych turystycznych strojach, o włosach malowniczo zmierzwionych od wiatru, wspinała się na przełaz w płocie na tle krajobrazu w Sussex. Twarz tej dziewczyny! Ta strasznie promienna i trzpiotowata wesołość! Ten rodzaj dziewczyn, które przepadają za przyzwoitą zabawą. Osmagana wiatrem. Obcisłe szorty w kolorze khaki, co nie znaczy, że można

uszczypląc ją w tyłek. A tuż obok - Narożny Stolik. „Narożnemu Stolikowi smakuje bovox”. Gordon przyglądał się temu z nienawistną poufałością. Idiotyczna, wyszczerzona w uśmiechu twarz, jak twarz zadowolonego szczura, ulizane czarne włosy, głupekowate okulary. Narożny Stolik, dziedzic stuleci; zwycięzca spod Waterloo, Narożny Stolik, człowiek współczesny taki, jakim chcą go widzieć jego władcy. Potulny wieprzek, który siedzi w pieniężnym chlewiku i popija bovox.

Przesuwały się twarze, poźółkłe od wiatru. Tramwaj przemknął z łoskotem po przeciwnej stronie placu, a zegar nad Księciem Walii wybił trzecią. Para staruchów, jakiś tramp czy żebrak z żoną, w długich wyświechtanych płaszczach sięgających niemal ziemi, dreptała w kierunku sklepu. Z wyglądu, złodzieje książek. Trzeba mieć oko na skrzynki na zewnątrz. Starzec zatrzymał się przy krawężniku w odległości kilku metrów, podczas gdy jego żona podeszła do drzwi. Otworzyła je i spomiędzy siwych kosmyków włosów spojrzała na Gordona jakby z rozpaczliwą wrogością.

- Kupujecie ksiunżki? - zapytała ochryple,
- Czasem. To zależy od książek.
- Mam *śliczne* ksiunżki.

Weszła, zamknawszy z brzękiem drzwi. Pedalek obejrzał się z niesmakiem i odsunął o parę kroków w róg pokoju. Starucha wydobyła spod płaszcza wyświechtany woreczek. Zbliżyła się poufale do Gordona. Zalaływało od niej bardzo starymi skórkami od chleba.

- Weźmiecie je? - powiedziała ściskając górny brzeg worka. - Tylko za pół korony.
- Co to za książki? Proszę je pokazać.
- Śliczne ksiunżki - dyszała, pochylając się, by otworzyć worek, i wydzielając nagle silną woń skórek od chleba.

- Patrzajcie! - powiedziała, ciskając wiązkę zszarganych książek niemal prosto w twarz Gordonowi.

Były to pochodzące z 1884 roku wydania powieści Charlotte M. Yonge, które wyglądały, jakby na nich sypiano od lat. Gordon cofnął się z nagłą odrazą.

- Nie możemy ich kupić - powiedział krótko.

- Nie możecie? *Dlaczego* nie możecie ich kupić?

- Bo ich nie potrzebujemy. Nie możemy czegoś takiego sprzedawać.

- To czemuście mi kazali wyciągać je z torby? - zapytała groźnie starucha.

Gordon okrążył ją, by uniknąć zapachu i milcząc otworzył drzwi. Nie ma sensu dyskutować. Ludzie tego pokroju przychodzą do sklepu przez cały dzień. Starucha wyszła, mamrocząc, wyrażając wrogość zgarbieniem ramion, i podeszła do męża. Ten przystanął na krawężniku, by zakasłać, tak obficie, że słycać go było przez drzwi. Grudka flegmy, jak biały jęczyczek wysuwała się powoli pomiędzy warg, które ją wreszcie wyrzuciły do rynsztoka. Po czym para staruchów podreptała dalej, podobna do robaków, w długich wyświechtanych płaszczach zakrywających ich aż po stopy.

Gordon przyglądał się im, gdy odchodzili. To po prostu produkty uboczne. Odrzuty bożka pieniędzy. Po całym Londynie włóczyły się dziesiątki tysięcy takich stworów, pełzających jak plugawe robactwo do grobu.

Spojrzał na pozbawioną wdzięku ulicę. Wydawało mu się w owej chwili, że na takiej ulicy, w takim mieście, każde życie musi być nieznośne i pozbawione sensu. Miał silne poczucie rozpadu i rozkładu, zjawisk endemicznych w naszych czasach. Łączyło się to w jakiś sposób z plakami reklamowymi naprzeciwko. Przyjrzał się teraz dokładniej uśmiechniętym, metrowej wielkości twarzom.

Było w nich jednakże coś więcej niż tylko głupota, chciwość i trywialność. Narożny Stolik szczyrzy do ciebie, zdawałoby się optymistycznie, sztuczne zęby. Cóż jednak kryje się za tym uśmiechem? Ruina, pustka, przeczcucie zguby. Czyż nie widać, jeśli się umie patrzeć, że poza tym ulizanym samozadowoleniem, poza tą chichotliwą tłusto-brzuchą pospolitością nie ma nic oprócz straszliwej pustki, ukrytej rozpaczki? Potężne pragnienie śmierci współczesnego świata. Samobójcze układy. Głowy w piecykach gazowych w samotnych garsonierach. Prezerwatwy i pigułki na spędzenie płodu. Pogłosy przyszłych wojen. Nieprzyjacielskie samoloty nad Londynem; głęboki groźny warkot śmigieł, miażdżący grzmot bomb. Wszystko to wypisano na twarzy Narożnego Stolika.

Nadchodzili nowi klienci. Gordon cofnął się, układnie--usłużny.

Zabrzącał dzwonek u drzwi. Hałaśliwie wpłynęły dwie damy z wyższych klas średnich. Jedna różowa i woniejąca, około trzydziestu pięciu lat, z lubieżnym biustem tryskającym z wiewiórczego futra, wydzielająca bardzo kobiecą woń fiołków parmeńskich; druga w średnim wieku, żyłasta i zaszczona - przypuszczalnie z Indii. Tuż za nimi wśliznął się pokornie jak kot ciemny, niechlujny i nieśmiały młodzieniec. Był to jeden z najlepszych klientów - nieuchwytny, samotny stworzenie, tak nieśmiały, że niemal się nie odzywał, i który w jakiś dziwny sposób zawsze golił się wczoraj.

Gordon powtórzył formułkę:

- Dzień dobry. Czym mogę paniom służyć? Czy zyczą panie sobie jakiejś szczególnej książki?

Woniejąca obdarzyła go uśmiechem, lecz zaszczona postanowiła potraktować pytanie jako impertynencję. Nie zwracając uwagi na Gordona, pociągnęła woniejącą ku

półkom obok nowych książek, gdzie trzymano książki o psach i kotach. Natychmiast zaczęły wyjmować książki z półek i rozmawiać głośno. Zaszuszone miała głos sierżanta od musztry. Była z pewnością żoną pułkownika lub wdową po pułkowniku. Pedalek, nadal zagłębiany w wielkiej książce o rosyjskim balecie, odsunął się delikatnie. Z twarzy jego wynikało, że opuści sklep, jeśli znowu zakłóci mu się spokój. Nieśmiały młodzieniec już znalazł drogę do półek z poezją. Obie damy były dość częstymi gośćmi w sklepie. Zawsze chciały oglądać książki o psach i kotach, lecz nigdy niczego nie kupowały. Były tu całe dwie półki książek o kotach i psach. „Kącik dla dam”, jak to nazywał stary McKechnie.

Pojawił się następny klient, do wypożyczalni. Brzydka dwudziestoletnia dziewczyna, bez kapelusza, w białym fartuchu, o ziemistej, głupkowatej, poczciwej twarzy, w ogromnych okularach zniekształcających oczy. Była ekspedientką w drogerii. Gordon przybrał swobodną minę przeznaczoną dla wypożyczalni. Uśmiechnęła się do niego i niezdarnym niedźwiedzim krokiem podążyła za nim do wypożyczalni.

- Jakiego rodzaju książkę życzy pani sobie tym razem, panno Weeks?

- No więc - ścisnęła przód fartucha. Jej zniekształcone oczy, czarne jak melasa, spoglądały ufnie i promiennie w jego oczy. - No więc, ja to bym chciała jakąś taką pierwszorzędną historię miłosną. Wie pan - coś *współczesnego*.

- Coś współczesnego? Może coś pióra Barbary Grzechuwartej. Czy czytała pani *Prawie dziewicę*?

- Och, nie, ją nie. Jest zbyt mądra. Nie znoszę mądrych książek. Ale chciałabym coś, no wie pan, *współczesnego*. Problemy seksualne i rozwód, i takie tam. Wie pan.

- Współczesne, lecz niezbyt mądre - powiedział Gordon jak tępak do tępaka.

Poszukał wśród pierwszorzędných współczesnych historii miłosnych. W wypożyczalni było ich co najmniej trzysta. Z frontowego pomieszczenia dobiegały głosy dwóch dam z wyższych klas średnich, tej woniejącej i tej zasuszonej, dyskutujące o psach. Wyciągnęły książkę o psach i oglądały fotografie. Głos woniejącej unosił się nad fotografią pekińczyka, maciupieńkiego aniołeczka, o ogromnych, pełnych uczucia oczach i maciupieńkim czarnym nosku och, taki śliczny! Natomiast głos zasuszonej - tak, wdowa po pułkowniku bez wątpienia - stwierdził, że pekińczyki są ekliwe. Ona woli psy z ikrą - psy, które umieją walczyć, powiedziała; nie cierpi tych ekliwych salonowych psów, powiedziała. Nie masz duszy, Bedelio, nie masz duszy - powiedział żałośnie głos woniejącej. Dzwonek u drzwi zabrzczał. Gordon wręczył dziewczynie z drogerii *Siedem namiętnych nocy* i zapisał to na jej karcie. Wyjęła z kieszeni fartucha nędzną skórzaną portmonetkę i zapłaciła mu dwa pensy.

Wrócił do frontowego pomieszczenia. Pedalek odłożył książkę na niewłaściwą półkę i zniknął. Weszła szczupła, energiczna, poważna kobieta, nosząca praktyczne ubranie i binokle w złotej oprawie - być może nauczycielka, z pewnością feministka - i zażądała historii ruchu sufrażystek pióra pani Wharton-Beverley. Gordon odpowiedział skrywając radość, że tej książki nie mają. Ugodziła jego męską nieudolność świdrującymi oczyma i wyszła. Szczupły młodzieniec stał pokornie w kącie, zagłębiony w pzejzach D. H. Lawrence'a, niczym długonogi ptak z głową schowaną pod skrzydłem.

Gordon przystanął przy drzwiach. Na zewnątrz starszy człowiek, pozorujący zamożność, o truskawkowym nosie

i z szalikiem w kolorze khaki wokół szyi przebierał książki w skrzynce po sześć pensów. Dwie damy z wyższych klas średnich odeszły nagle, pozostawiwszy na stole rozrzucone, pootwierane książki. Woniejąca oglądała się z wahaniem na książki o psach, lecz zasuszona odciągnęła ją, zdecydowana nic nie kupować. Gordon otworzył i przytrzymał drzwi. Damy odpłynęły hałaśliwie, nie zwracając na niego uwagi.

Patrzył, jak ich odziane w futra plecy z wyższych klas średnich oddalały się ulicą. Starszy człowiek o truskawkowym nosie mówił do siebie, grzebiąc w książkach. Przypuszczalnie niespełna rozumu. Zwędzi coś, jeśli się go spuści z oka. Dął zimniejszy wiatr, osuszając maź na ulicy. Czas na zapalenie świateł. W podmuchu wiatru strzępek papieru oderwany od reklamy sosu Q.T. trzepotał gwałtownie, jak bielizna na sznurze. Ach!

*Złowróźnie wicher dmąc ugina
Giętkie topole, obnażone,
Kominów ciemna splywa wstęga;
Miotany w tę, to w tamtą stronę
Trzepocze plakat.*

Nieźle, całkiem nieźle. Lecz nie chciał posuwać się dalej - a właściwie nie mógł posuwać się dalej. Dotknął pieniędzy w kieszeni, lecz nie zabrzączał nimi, by nie usłyszał tego nieśmiały młodzieniec. Dwa i pół pensa. Cały dzień jutro bez papierosa. Bolały go kości.

Zapaliło się światło Pod Księciem Walii. Pewnie szorują bar. Starszy człowiek o truskawkowym nosie czytał książkę Edgara Wallace'a ze skrzynki za dwa pensy. W oddali zaturkotał tramwaj. W pokoju na górze pan McKechnie, który rzadko schodził do sklepu, drzemał przy kominku gazowym, białowłosa i białobroda, z tabakierką pod ręką,

nad oprawionym w cielecą skórę tomem *Podróży po krajach Lewantu* Middletona.

Chudy młodzieniec zorientował się nagle, że jest sam, i rozejrział się z poczuciem winy. Był bywalcem księgarń, lecz nigdy nie przebywał więcej niż dziesięć minut w jednym sklepie. Walczyły w nim stale namiętne żądza książek i lęk, że się naprzykrza. Po dziesięciu minutach w sklepie zaczynał się czuć nieswojo, miał wrażenie, że jest *de trop*, i uciekał, kupiwszy byle co z powodu własnej nerwowości. Bez słowa podał egzemplarz wierszy Lawrence'a i niezręcznie wydobył z kieszeni trzy monety dwuszylingowe. Podając je Gordonowi upuścił jedną. Obaj schylili się po nią równocześnie; zderzyli się głowami. Młodzieniec cofnął się, czerwieniąc się niezdrowo.

- Zapakuję panu - powiedział Gordon.

Lecz nieśmiały młodzieniec potrząsnął głową, jękał się tak bardzo, że w miarę możliwości starał się w ogóle nie odzywać. Przycisnąwszy książkę do siebie, wymknął się z miną sprawcy jakiegoś haniebnego uczynku.

Gordon został sam. Zawrócił ku drzwiom. Człowiek o truskawkowym nosie obejrzał się, a napotkawszy wzrok Gordona, odszedł, gdyż pokrzyżowano mu zamiary. Miał właśnie wsunąć do kieszeni Edgara Wallace'a. Zegar nad Księżciem Walii wybił kwadrans po trzeciej.

Dzyń, dzyń! Kwadrans po trzeciej. Zapalają światła o wpół do czwartej. Cztery godziny i trzy kwadransy do zamknięcia knajpy. Pięć godzin i kwadrans do kolacji. Dwa i pół pensa w kieszeni. Jutro bez papierosa.

Gordona ogarnęła nagle przemożna i nieodparta chęć zapalenia. Postanowił sobie nie palić dziś po południu. Zostały mu tylko cztery papierosy. Musi je zaoszczędzić na wieczór, kiedy to zamierzał „pisać”; nie mógł bowiem „pisać” bez papierosów, podobnie jak bez powietrza.

Pomimo to musiał zapalić. Wyjął paczkę Player's Weights i wyciągnął karłowatego papierosa. Była to tylko głupia słabość; oznaczało to, że będzie „pisał” wieczorem o pół godziny krócej. Lecz nie mógł się oprzeć. Z wstydliwą radością wciągnął w płuca kojący dym.

Z szarawej szyby spoglądało na niego odbicie jego twarzy. Gordon Comstock, autor *Myszy; en l'an trentiesme de son age*, a już zniszczony. Zostało mu tylko dwadzieścia sześć zębów. Jednakże Villon w tym wieku miał kiłę, jak sam twierdził. Bądźmy wdzięczni za małe dobrodziejstwa.

Przyglądał się skrawkowi naderwanego papieru, który wirował i trzepotał na reklamie sosu Q.T. Nasza cywilizacja kona. Musi konać. Lecz nie skona w łóżku. "Właśnie nadlatują samoloty. Bum - zzz - bach! Cały zachodni świat wylatuje w powietrze wśród łoskotu wybuchów.

Patrzył na ciemniejącą ulicę, na szarawe odbicie swej twarzy w szybie, na dreptające nędzne postaci. Niemal bezwiednie powtórzył:

*„Cest l'Ennui - l'oeil charge' d'un pleur
involontaire,
Il reve d'e'chafauds en fumant son houka!"*

Pieniądze, pieniądze! Narożny Stolik! Warkot samolotów i huk bomb!

Gordon spojrział z ukosa na ołowiane niebo. Te samoloty naprawdę nadlatują. Widział w wyobraźni, jak nadlatują; eskadra za eskadrami, niezliczone, ciemniejące na niebie jak chmury komarów. Językiem przysuniętym do zębów wydał brzęk, jak mucha na szybie, naśladując warkot samolotów. Taki właśnie dźwięk pragnął gorąco usłyszeć w tej chwili.

2

Gordon szedł do domu w porywistym wietrze, który zwiewał mu do tyłu włosy, co sprawiało, że miał czoło „dobre” jak nigdy. Jego sposób bycia sugerował przechodniom - a przynajmniej taką miał nadzieję - że nie nosi płaszczu jedynie dla kaprysu. W istocie, płaszcz był zastawiony w lombardzie za piętnaście szylingów.

Willowbed Road, NW, nie była jeszcze ulicą nędzy, a jedynie ulicą obskurną i przygnębiającą. Prawdziwe rudery znajdowały się tylko o pięć minut drogi. Domy czynszowe, gdzie rodziny spały po pięcioro w jednym łóżku, a gdy ktoś umarł, spały z trupem aż do pogrzebu; zaułki, gdzie szesnastoletni chłopcy rozprawiczali piętnastoletnie dziewczęta przy murach o liszajowatym tynku. Jednakże Willowbed Road udało się zachować jakąś skąpą, drobnomieszczańską przyzwoitość. Na jednym z domów znajdowała się nawet mosiężna tabliczka dentysty. W dwóch trzecich domów, pośród firanek w oknie saloniku, znajdowała się zielona wizytówka ze srebrnym napisem „wolne pokoje”, a ponad nią natrętne listowie aspidistry.

Pani Wisbeach, gospodyni Gordona, wyspecjalizowała się w „samotnych panach”. Pojedyncze pokoje, z oświet-

leniem gazowym, lecz ogrzewanie we własnym zakresie, kąpiele ekstra (piec gazowy), posiłki w ciemnej jak grób jadalni z zestawem oblepionych butelek z sosami na stole. Gordon, który wracał do domu w południe na obiad, płacił tygodniowo dwadzieścia siedem szylingów i sześć pensów.

Żółte światło gazowe przebijało przez matowe okienko nad drzwiami numeru 31. Gordon wyjął klucz i grzebał w zamku - w takich domach klucz nigdy nie pasuje do zamka. Ciemnawy przedpokoik - w rzeczywistości był to tylko korytarzyk - załatywał pomysłami, kapustą, chodnikami i brudną wodą z umywalek. Gordon zerknął na lakierowaną tacę na stoliku w przedpokoju. Oczywiście, nie ma listów. Mówił sobie, że nie powinien spodziewać się listu, a mimo to ciągle miał nadzieję. W jego piersi umiejscowiło się zastarzałe uczucie, choć jeszcze nie ból. Rosemary mogła była napisać! Ostatnio napisała cztery dni temu. Ponadto wysłał parę wierszy do czasopism i jeszcze ich nie odesłano. Tylko list znaleziony po powrocie do domu czynił wieczór znośnym. Dostawał jednak bardzo niewiele listów - najwyżej cztery lub pięć tygodniowo.

Na lewo od przedpokoju znajdował się nigdy nie używany salonik, dalej schody, a za nimi korytarz prowadził do kuchni i do niedostępnej nory zamieszkiwanej przez samą panią Wisbeach. Gdy Gordon wszedł, drzwi na końcu korytarza uchyliły się na jakąś stopę. Wyłoniła się twarz pani Wisbeach, przyjrzała mu się krótko, lecz podejrzliwie, po czym zniknęła. Wejście lub wyjście z domu kiedykolwiek przed jedenastą w nocy było całkiem niemożliwe bez podobnej lustracji. Trudno powiedzieć, o co pani Wisbeach podejrzewała lokatorów; przypuszczalnie o przemycanie kobiet do domu. Była jedną z tych

złośliwych porządnym kobiet, które wynajmowały pokoje. Około czterdziestu pięciu lat, tęga, o regularnych rysach twarzy, pięknych siwych włosach, mająca stale powody do narzekania.

Gordon zatrzymał się u podnóża wąskich schodów. Na górze ochryple głęboki głos śpiewał: „Kto się boi czarnego luda?”. Gruby trzydziestoośmio- lub trzydziestodzieściolatek wyszedł zza zakrętu schodów lekkim tanecznym krokiem właściwym grubasom, w eleganckim szarym ubraniu, żółtych butach, zawiadackim filcowym kapeluszu i w niebieskim płaszczu z paskiem, nadzwyczaj niegustownym. Był to Flaxman, lokator z pierwszego piętra, wędrowny przedstawiciel firmy przyborów toaletowych Królowa Saba. Schodząc pozdrowił Gordona cytrynową rękawiczką.

- Cześć, kochasiu! - powiedział wesoło (Flaxman do każdego mówił „kochasiu”). - Jak życie?

- Podle - odpowiedział krótko Gordon. Flaxman zszedł ze schodów. Zarzucił czule pulchne ramię Gordonowi na szyję.

- Głowa do góry, stary, głowa do góry! Wyglądasz cholernie pogrzebowo. Idę pod Crichton. Chodź ze mną na jednego.

- Nie mogę. Muszę pracować.

- Do diabła! Bądź kumplem, dobrze? Co ci przyjdzie z kolędowania tutaj? Chodź pod Cri, uszczypniemy barmankę w tyłek.

Gordon wymknął się z objęcia Flaxmana. Jak wszyscy mali, wrażliwi ludzie nie lubił, gdy go dotykano. Flaxman tylko wyszczerzył zęby, w dobrym humorze typowym dla grubasów. Był naprawdę potwornie gruby. Wypełniał sobą spodnie, jak gdyby go przetopiono i wiano w nie ponownie. Lecz oczywiście, jak wszystkie grubasy, nie uważał się

za grubasa. Żaden grubas nie użyje słowa „gruby”, jeśli tylko może go uniknąć. Używa słowa „tęgi” - albo jeszcze lepiej, „zażywny”. Grubas jest najszcześliwszy, gdy określa siebie słowem „zażywny”. W pierwszej rozmowie z Gordonem Flaxman omal nie nazwał siebie „zażywnym”, lecz powstrzymało go coś w zielonkawych oczach Gordona. Wobec tego zadowolił się „tęгим”.

- Przyznaję, kochasiu - powiedział - że jestem - no, troszeczkę tęgawy. Ale to nic chorobliwego. - Poklepał się po nieokreślonej granicy pomiędzy brzuchem a klatką piersiową.

- Jędrne ciało. W gruncie rzeczy jestem całkiem żwawy. Chociaż - no cóż, sądzę, że można mnie nazwać „tęгим”.

- Jak Cortez - poddał Gordon.

- Cortez? Cortez? Czy to ten kochaś, co się ciągle wałęsał po górach w Meksyku?

- To ten facet. Był tęgi, lecz miał orli wzrok.

- He? To zabawne. Bo żona raz mi powiedziała coś podobnego. „George - powiedziała - masz najcudowniejsze oczy pod słońcem. Masz oczy jak orzeł”, powiedziała. Rozumie się, że to było przed ślubem.

Obecnie Flaxman nie mieszkał z żoną. Niedawno firma przyborów toaletowych Królowa Saba całkiem nieoczekiwanie wypłaciła wszystkim agentom premie po trzydzieści funtów, a jednocześnie wysłała Flaxmana i dwóch innych do Paryża, by wcisnąć nową zmysłową naturalną kredkę do warg różnym francuskim firmom. Flaxman nie uznał za konieczne wspomnieć żonie o trzydziestu funtach. Oczywiście, użył jak nigdy podczas tej paryskiej wyprawy. Nawet teraz, trzy miesiące później, oblizywał się mówiąc o tym. Zabawiał Gordona dosadnymi opisami. Dziesięć dni w Paryżu z trzydziestoma funtami, o których żonka nie miała pojęcia! O rany! Niestety, gdzieś nastąpił

przeciek; gdy Flaxman wrócił do domu, spotkała go kara. Żona rozbiła mu głowę karafką na whisky z rżniętego szkła, prezentem ślubnym, który mieli w domu czternaście lat, po czym uciekła do matki, zabierając dzieci ze sobą. Stąd wzięło się wygnanie Flaxmana na Willowbed Road. On tym się jednak nie martwił. To przejdzie na pewno; zdarzało się to już przedtem kilkakrotnie.

Gordon ponownie spróbował przemknąć się obok Flaxmana i uciec po schodach. Okropne było to, że w głębi duszy bardzo pragnął z nim pójść. Bardzo chciał się napić - sama wzmianka o Crichton Arms wywoływała pragnienie. Lecz, oczywiście, było to niemożliwe; nie miał pieniędzy. Flaxman zagroził ramieniem schody, zamykając mu drogę. Naprawdę lubił Gordona. Uważał go za „mądrego” - a „mądrość” była dla niego czymś w rodzaju sympatycznego obłędu. Ponadto nie znośił być sam, nawet na czas tak krótki, jakiego wymaga spacer do knajpy.

- Chodź, kochasiu! - nalegał. - Potrzebny ci guinness na pokrzepienie, ot, czego ci potrzeba. Jeszcze nie widziałeś nowej dziewczyny, którą mają w lepszym barze. Cudowna! Prawdziwa ślicznotka!

- To dlatego tak się wystroileś, co? - powiedział Gordon, patrząc chłodno na żółte rękawiczki Flaxmana.

- Zgadłeś, kochasiu! Hoho, co za ślicznotka! Popielaty blond. I zna się na paru rzeczach. Wczoraj wieczór dałem jej naszą zmysłową szminkę. Szkoda, że nie widziałeś, jak kręciła tyłeczkiem, przechodząc obok mojego stolika. Czy przyprawia mnie o palpacje? Czy przyprawia? O rany!

Flaxman wił się lubieżnie. Wsunął język pomiędzy wargi. Potem nagle, udając, że Gordon jest popielatą blondynką z baru, chwycił go wpół i czule uściśnął. Gordon

odtrącił go. Przez chwile chęć pójścia do Crichton Arms była tak kusząca, że niemal jej uległ. Och, duże piwo! Miał uczucie, że spływa mu do gardła. Gdybyż tylko miał trochę pieniędzy! Choćby siedem pensów na duże piwo. Lecz to bez sensu. Dwa i pół pensa w kieszeni. Nie można pozwolić, by inni stawiali mu kolejki.

- Och, daj mi spokój, na litość boską! - powiedział z rozdrażnieniem, usuwając się poza zasięg Flaxmana, i poszedł na górę, nie oglądając się.

Flaxman włożył kapelusz na głowę i skierował się do drzwi frontowych, nieco obrażony. Gordon pomyślał tępo, że tak teraz jest zawsze. Stale ucina przyjazne odruchy. Oczywiście, na dnie tego wszystkiego tkwią pieniądze, zawsze pieniądze. Nie można zachowywać się przyjaźnie, ani nawet uprzejmie, nie *mając grosza w kieszeni*. Ogarnęła go litość nad samym sobą. Serce rwało mu się do lepszego baru w Crichton; uroczy zapach piwa, ciepło i jasne światła, wesołe głosy, brzęk szklanek na zalanym piwem barze. Pieniądze, pieniądze! Szedł w górę ciemnymi, niemilo woniejącymi schodami. Przeraziła go myśl o zimnej, pustej sypialni na górnym piętrze.

Na drugim piętrze mieszkał Lorenheim, ciemne, chude, jaszczurkowate stworzenie nieokreślonego wieku i pochodzenia, który zarabiał około trzydziestu pięciu szylingów tygodniowo, namawiając klientów na odkurzacze. Gordon zawsze przechodził pospiesznie obok drzwi Lorenheima. Lorenheim należał do ludzi nie mających żadnych przyjaciół, a trawionych żądzą towarzystwa. Jego samotność była tak straszliwa, że gdy tylko ktoś zwolnił kroku przed jego drzwiami, zwykle rzucał się na niego i na wpół wciągał, na wpół zwabiał do pokoju, by zmuszać do wysłuchiwania niekończących się paranoicznych opowieści o dziewczętach, które uwiódł, oraz o pracodawcach,

którym nauragał. Jego pokój był znacznie zimniejszy i brudniejszy, niż przystało nawet na pokój wynajmowany. Wszędzie poniewierały się kawałki chleba i margaryny. Kolejnym lokatorem był jakiś mechanik pracujący na nocnej zmianie. Gordon widywał go rzadko - masywny mężczyzna o ponurej, bezbarwnej twarzy, noszący melonik w domu i na ulicy.

W znajomej ciemności swego pokoju Gordon wymacał palnik lampy gazowej i zapalił go. Pokój był średniej wielkości, nie na tyle duży, by go przedzielić zasłoną na pół, lecz zbyt duży, by go można było ogrzać jednym szwankującym piecykiem parafinowym. Umeblowany był, jak zazwyczaj bywa umeblowany pokój od podwórka na górnym piętrze. Pojedyncze łóżko z białą kołdrą; brązowe linoleum na podłodze; umywalka z dzbankiem i miednicą z taniej białej porcelany, która zawsze przywodzi na myśl nocniki. Na parapecie okiennym stała chorowita aspidistra w zielonej emaliowanej doniczce.

Tuż obok, pod oknem, znajdował się stół kuchenny pokryty zielonym sukniem poplamionym atramentem. Był to Gordona stół „do pisania”. Dopiero po zażartej walce nakłonił panią Wisbeach, by dała mu stół kuchenny zamiast bambusowego „okolicznościowego” stolika - zwykłej podstawki pod aspidistrę - który uznała za stosowny dla pokoju od podwórka na górnym piętrze. Nadal trwały ciągle utyskiwania, gdyż Gordon nie pozwalał, by mu na stole „posprzątać”. Na stole zawsze panował bałagan. Pokrywał go niemal dokładnie chaos papierzysk, około dwieście arkuszy papieru do pisania kazań, utyłanych i z oślimi uszami, zapisanych, pokreślonych i ponownie zapisanych - obskurny labirynt papierów, do którego jedynie Gordon posiadał klucz. Wszystko powlekała warstwa kurzu, a tu i ówdzie stały cuchnące tacki z popiołem

i skreconymi niedopałkami papierosów. Z wyjątkiem paru książek na półce nad kominkiem ten stół, z ową płataniną papierów, był jedyną oznaką osobowości Gordona w tym pokoju.

Było potwornie zimno. Gordon uznał, że zapali piecyk parafinowy. Podniósł go - wydawał się lekki; puszka z parafiną też była pusta - bez parafiny do piątku. Przytknął zapalną; nikły żółty płomyk zaczął pełzać niechętnie wokół knotu. Może się popali parę godzin. Odrzucając zapalną Gordon dostrzegł aspidistrę w zielonej doniczce. Był to szczególnie parszywy okaz. Posiadał tylko siedem liści i wydawało się, że nigdy nie wypuszcza nowych. Gordon prowadził coś w rodzaju potajemnej wojny z aspidistrą. Wielokrotnie usiłował ukradkiem ją zniszczyć - pozbawiając ją wody, gasząc gorące niedopałki na łodydze, a nawet dodając soli do ziemi. Jednakże te koszmarnie rośliny są właściwie nieśmiertelne. W każdych warunkach są zdolne wieść swój nędzny, chorowity żywot. Gordon wstał i z premedytacją wytarł zatłuszczone palce w liście aspidistry.

W tej samej chwili z dołu rozbrzmiał jędzowato głos pani Wisbeach:

- Panie Com-stock!

Gordon podszedł do drzwi. - Tak? - zawołał na dół.

- Pańska kolacja czeka już od dziesięciu minut. Czy nie może pan zejść i zjeść ją, zamiast trzymać mnie tu ze zmywaniem?

Gordon zszedł na dół. Jadalnia znajdowała się z tyłu na pierwszym piętrze, naprzeciw pokoju Flaxmana. Był to zimny, zatechny pokój, mroczny nawet w południe. Mieścił on tyle okazów aspidistry, że Gordon nigdy nie zdołał ich policzyć. Stały wszędzie - na kredensie, na podłodze, na „okolicznościowych” stolikach; na oknie znajdowało

się coś w rodzaju stoiska w kwaciarni, które skutecznie zasłaniało światło. W półmroku, z aspidistrami dookoła, miało się wrażenie, że jest się w jakimś pozbawionym słońca akwarium wśród ponurego listowia podwodnej roślinności. Kolacja (iordona czekała, podana w kręgu białego światła, padającego na obrus z pękniętej lampy gazowej. Usi. idł plecami do kominka (w palenisku zamiast ognia znajdowała się aspidistra), by zjeść posiłek składający się z zimnej wołowiny, dwóch kromek rozsypującego się białego chleba, kanadyjskiego masła, sera na przynętę dla myszy oraz marynaty pan yan, popijając to szklaneczką zimnej, lecz stęchłej wody.

Gdy wrócił do swego pokoju, piecyk już się mniej więcej rozpalil. Pomyślał, że można by zagotować na nim imbryk. Teraz miało nastąpić najważniejsze wydarzenie całego wieczoru - niedozwolona filiżanka herbaty. Niemal co wieczór robił sobie herbatę, w najgłębszej tajemnicy. Pani Wisbeach odmówiła podawania lokatorom herbaty na kolację, gdyż „nie mogła sobie zawracać głowy grzaniem dodatkowej wody”, jednakże robienie herbaty w pokoju były surowo zabronione. Gordon spojrzal z niesmakiem na gmatwaninę papierów na stole. Postanowił sobie wyzywajaco, że nie będzie dziś wieczór pracować. Wypije herbatę, wypali pozostałe papierosy i poczyta *Króla Lira* lub *Sherlocka Holmesa*. Jego książki stały na półce nad kominkiem obok budzika - Szekspir w wydaniu Everymana, *Sherlock Holmes*, wiersze Villona, *Roderick Random*, *Les Fleurs du Mai*, sterta francuskich powieści. Jednak ostatnio nie czytał niczego, poza Szekspirem i *Sherlockiem Holmesem*. A tymczasem ta herbata.

Gordon podszedł do drzwi, uchylił je i nadsluchiwał. Nie slychać pani Wisbeach. Trzeba było być bardzo ostrożnym; potrafiła skradać się po schodach i przytapać

na gorącym uczynku. Robienie herbaty stanowiło poważne przewinienie w domu, nieco tylko lżejsze od sprowadzenia kobiety. Cicho zamknął drzwi na zasuwę, wyciągnął spod łóżka tanią walizkę i otworzył ją. Wydobyl z niej imbryk od Woolwortha za sześć pensów, paczkę herbaty Lyonsa, puszkę skondensowanego mleka, czajniczek i filiżankę. Wszystko to było zapakowane w gazetę, by zapobiec pobrękiwaniu.

Zawsze robił herbatę według ustalonego sposobu. Najpierw napełnił imbryk do połowy wodą z dzbanka i postawił na piecyku parafinowym. Następnie ukląkł i rozłożył kawałek gazety. Oczywiście, wczorajsze herbaciane fusy znajdowały się jeszcze w czajniczku. Wytrząsnął je na gazetę, wyczyścił czajniczek kciukiem i zawinął fusy w paczuszkę. Zaraz przemyci je na dół. To było zawsze najbardziej ryzykowne - pozbywanie się herbacianych fusów. Zupełnie jak kłopoty morderców z pozbyciem się ciała. Jeśli chodzi o filiżankę, mył ją zawsze rano w umywalce. Wstrętna operacja. Czasem go aż mdliło od tego. Dziwne, jak ukradkiem trzeba było żyć w domu pani Wisbeach. Miałaś wrażenie, że zawsze cię śledzi; istotnie, miała zwyczaj chodzenia na palcach po schodach o każdej porze, w nadziei, że przyłapie lokatorów na gorącym uczynku. Był to jeden z takich domów, gdzie nie można nawet pójść do ubikacji bez uczucia, że ktoś podsłuchuje.

Gordon ponownie otworzył drzwi i nadśluchiwał uważnie. Nikt nie daje znaku życia. Ach! Brzęk naczyń daleko w dole. Pani Wisbeach zmywała po kolacji. A więc chyba można bezpiecznie zejść na dół.

Zszedł na dół na palcach, przyciskając do piersi wilgotną paczuszkę fusów. Ubikacja znajdowała się na drugim piętrze. Na zakręcie schodów przystanął, nadśluchiwał nieco dłużej. Ach! Znowu brzęk naczyń.

Droga wolna! Gordon Comstock, poeta („niezwykle obiecujący”, jak napisał *Dodatek Literacki* „Timesa”), wśliznął się pospiesznie do ubikacji, cisnął fusy do rury ściekowej i pociągnął za łańcuszek. Następnie pospieszył z powrotem do pokoju, zaniknął ponownie drzwi na zasuwę i uważając, by nic robić hałasu, zaparzył sobie czajniczek świeżej herbaty.

Pokój był już jako tako ciepły. Działał krótkotrwały czar herbaty i papierosa. Poczul się nieco mniej znudzony i zły. A może jednak popracuje trochę? Oczywiście, powinien pracować. Zawsze czuł nienawiść do samego siebie po zmarnowaniu całego wieczoru. Dość niechętnie przysunął krzesło do stołu. Wysiłku wymagała nawet próba poruszenia tej przerażającej dżungli papierów. Wyciągnął kilka wysmarowanych arkuszy, rozłożył i przyjrzał im się. Boże, co za bałagan! Zapisane, pokreślone, zapisane ponownie, ponownie pokreślone, wyglądały jak biedni pokiereszowani chorzy na raka po dwudziestu operacjach. Mimo to pismo, tam gdzie go nie przekreślono, było delikatne i „uczone”. Gordon przyswoił sobie z ogromnym wysiłkiem to „uczone” pismo, tak różne od potwornej kaligrafii, której nauczyli go w szkole.

Być może jednak popracuje, przynajmniej przez chwilę. Zaczął szperać w kupie papierzysk. Gdzie jest ten ustęp, nad którym pracował wczoraj? Poemat był niezmiernie długi - to znaczy, będzie niezmiernie długi po ukończeniu - około dwóch tysięcy wierszy, strofą królewską, opisanie jednego dnia w Londynie. Nazywał się *Rozrywki londyńskie*. Zamiar był ogromny i ambitny - coś, czego mogliby się podjąć jedynie ludzie z nieograniczoną ilością wolnego czasu. Gordon nie rozumiał tego zaczynając poemat; rozumiał to jednakże teraz. Jakże niefrasobliwie go rozpoznał, dwa lata temu! Gdy cisnął wszystko i zstąpił w błoto

ubóstwa, pomysł tego poematu dostarczył częściowo motywu. Był wówczas tak pewny, że mu sprosta. Lecz niemal od samego początku nie wiodło mu się z *Rozrywkami londyńskimi*. Prawda była taka, że poemat przerastał go. Nigdy się właściwie nie rozwinął, po prostu rozpadł się na szereg fragmentów. Po dwóch latach pracy to jedynie mógł pokazać - fragmenty, nie ukończone i nie dające się połączyć w całość. Na tych arkuszach znajdowały się pokiereszowane kawałki wierszy, napisane i przerobione, i jeszcze raz przerobione po upływie paru miesięcy. Nie było tam nawet pięciuset linijek, o których można by na pewno powiedzieć, że są gotowe. Nie miał też już siły, by do nich dodawać; mógł tylko dłużyć w tym lub owym ustępie, szukając po omacku to tu, to ówdzie. Nie była to już rzecz, którą tworzył, był to koszmar, z którym się zmagał.

Poza tym w ciągu dwóch lat nie napisał niczego prócz garstki drobnych wierszy - może ze dwadzieścia. Bardzo rzadko mógł osiągnąć ten spokój ducha, w jakim się pisze poezję, a także prozę. Okresy, kiedy „nie mógł” pracować, stawały się coraz częstsze. Ze wszystkich ludzkich stworzeń jedynie artysta odważa się stwierdzić, że „nie może” pracować. Jest to jednak prawda; *zdarzają się* takie okresy, kiedy nie można pracować. Znowu pieniądze, zawsze pieniądze! Brak pieniędzy oznacza niewygodę, oznacza nędzne troski, oznacza brak papierosów, oznacza wszechobecną świadomość klęski - a nade wszystko oznacza samotność. Jakże nie ma się być samotnym zarabiając dwa funty tygodniowo? W samotności zaś nie napisano ani jednej przyzwoitej książki. Było oczywiste, że *Rozrywki londyńskie* nigdy nie staną się poematem, który zamierzył - a w istocie było oczywiste, że nigdy go nie ukończy. W chwilach liczenia się z faktami Gordon sam zdawał sobie z tego sprawę.

Pomimo to, a może właśnie dlatego, nadal pracował nad poematem. Było się czego trzymać. W ten sposób można było zadać cios biedzie i samotności. Poza tym zdarzały się chwile, gdy nastrój twórczy powracał, lub zdawało się, że powraca. Powróci! tego wieczora, choć tylko na trochę - na tyle, ile trwa wypalenie dwóch papierosów. Gdy dym łaskotał mu płuca, oderwał się od marności tego świata. Skierował myśl w tę otchłań, gdzie tworzy się poezję. W górze płomyk gazowy śpiewał kojąco. Słowa stały się żywe i doniosłe. Jego wzrok, pełen wątpliwości, spoczął na dwuwierszu napisanym przed rokiem. Wtedy wydawał się gotowy. Powtórzył go cicho kilkakrotnie. Był jednak zły. Rok temu wydawał się dobry; jednakże teraz wydawał się nieco trywialny. Szperał wśród arkuszy papieru kancelaryjnego, póki nie znalazł jednego, gdzie nie było nic na drugiej stronie, odwrócił go, napisał dwuwiersz na nowo, napisał tuzin rozmaitych wersji, powtórzył w myśli każdą z nich kilkakrotnie. Ostatecznie żadna z nich go nie zadowoliła. Dwuwiersz należało wyrzucić. Był tandetny i trywialny. Odszukał pierwszy arkusz papieru i wykreślił dwuwiersz grubymi kreskami. Akt ten oznaczał osiągnięcie, czas niestracony, jak gdyby zniszczenie pracy było aktem twórczym.

Nagle dwukrotne uderzenie w drzwi na dole zatrzęsło całym domem. Gordon wzdrygnął się. Jego myśl wynurzyła się z otchłani. Listonosz! *Rozrywki londyńskie* poszły w zapomnienie.

Serce mu trzepotało. Może Rosemary napisała. Poza tym posłał te dwa wiersze do magazynów. Jeden z nich uznał za stracony; wiele miesięcy temu wysłał go do amerykańskiego czasopisma „*Californian Review*”. Przypuszczalnie nawet nie raczą go odesłać. Lecz drugi poszedł do angielskiego czasopisma „*Primrose Quarterly*”.

Co do niego żywił fantastyczne nadzieje. „Primrose Quarterly” to jedno z tych jadowitych czasopism literackich, gdzie modny pedał i zawodowy katolik chadzają *bras dessus, bras dessous*. Było to również z pewnością najbardziej wpływowe pismo literackie w Anglii. Gdy zamieściłeś tam wiersz, stawiałeś się kimś. W głębi duszy Gordon wiedział, że „Primrose Quarterly” nigdy nie wydrukuje jego wierszy. Nie dorastał do ich poziomu. Jednakże czasem zdarzają się cuda; a jeśli nie cuda, to przypadki. Wszak wiersz był u nich od sześciu tygodni. Czy trzymaliby go sześć tygodni, gdyby nie mieli zamiaru go przyjąć? Starał się uśmierzyć szaloną nadzieję. W ostatecznym razie może to Rosemary napisała. Upłynęły całe cztery dni od czasu, gdy ostatnio pisała. Możliwe, że nie postępowałyby tak, gdyby wiedziała, jakiego doznawał zawodu. Jej listy - długie, nieortograficzne listy, pełne niedorzecznych żartów i wyznań miłosnych - znaczyły dla niego dużo więcej, niż to mogła zrozumieć. Przypominały mu, że był jeszcze ktoś, komu na nim zależało. Wynagradzały mu nawet te chwile, gdy jakiś potwór odsyłał mu wiersze; w gruncie rzeczy, wszystkie czasopisma odsyłały mu wiersze, z wyjątkiem „Antychrysta”, którego redaktor, Ravelston, był jego osobistym przyjacielem.

Na dole słychać było szuranie. Przyniesienie listów na górę zawsze zabierało pani Wisbeach parę minut. Lubiła w nich grzebać, obmacywać, sprawdzając ich grubość, odczytywać pieczętki, trzymać pod światło i zgadywać ich zawartość, zanim oddała je prawowitym właścicielom. W stosunku do listów korzystała jakby z *droit du seigneur*. Uważała, że przychodząc do jej domu należały do niej przynajmniej częściowo. Czułaby się dotknięta do żywego, gdyby ktoś zszedł do drzwi frontowych i odebrał własne listy. Z drugiej strony, czuła

się dotknięta z powodu wysiłku zanoszenia ich na górę. Słysząc było jej kroki wspinające się powoli, a potem, jeśli był list do ciebie, następowało głośnie, pełne pretensji sapanie na piętrze - aby dać ci poznać, że pozbawiłeś panią Wisbeach tchu, ciągnąc ją po tych wszystkich schodach. Wreszcie, z niecierpliwym chrząknięciem, wsuwała listy pod drzwi.

Pani Wisbeach wchodziła po schodach. Gordon nadsluchiwał. Kroki zatrzymały się na pierwszym piętrze. List do Flaxmana. Znowu się wspiwały, znowu zatrzymały się na drugim piętrze. List do mechanika. Serce Gordona biło boleśnie. List, daj Boże, list! Znowu kroki. W górę czy w dół? Zbliżały się, na pewno. Ach, nie, nie! Coraz ciszej. Znowu schodziła w dół. Kroki umilkły. Nie ma listów.

Znowu wziął pióro do ręki. Był to całkiem próżny gest. A jednak nie napisała! Szelma! Nie miał najmniejszego zamiaru dalej pracować. Rozczarowanie odebrało mu energię. Jeszcze pięć minut temu wiersz wydawał mu się żyjącą istotą; teraz wiedział nieomylnie, że to bezwartościowy kicz. Z nerwowym niesmakiem zebrał porozrzucane arkusze, ułożył je w niechlujną stertę i cisnął na drugą stronę stołu, pod aspidistrę. Nie mógł już na nie patrzeć.

Wstał. Było za wcześnie na pójście do łóżka,; mniej nie miał na to ochoty. Tęsknił za jakąś rozrywką - za czymś łatwym i tanim. Kino, papierosy, piwo. Nic z tego! Nie ma pieniędzy na nic z tych rzeczy. Poczyta *Króla Lira* i zapomni o tym plugawym stuleciu. Ostatecznie jednak zdjął z półki *Przygody Sberlocka Holmesa*. *Sherlock Holmes* był jego ulubioną książką, gdyż znał ją na pamięć. Parafina w piecyku wypalała się i robiło się potwornie zimno. Gordon ściągnął kołdrę z łóżka, owinał nią nogi i usiadł, by poczytać. Z prawym łokciem na stole, z dłońmi pod marynarką, żeby było cieplej, czytał *Przygo-*

dę cętkowanej szajki. Siatka lampy gazowej wzdychała u sufitu, piecyk parafinowy palił się niskim kolistym płomieniem, cieniutką kłamrą ognia, wydzielająca nie więcej ciepła niż świeca.

Na dole w norze pani Wisbeach zegar wybił w pół do jedenastej. Zawsze było słycać, jak bije w nocy. Dzyń--dzyń, dzyń-dzyń - dźwięk zagłady! Gordon znowu zaczął słyszeć tykanie budzika na gzymsie nad kominkiem, co uświadomiło mu złowieszczy upływ czasu. Rozejrzył się. Jeszcze jeden stracony wieczór. Upływały godziny, dni, całe lata. Jeden wieczór za drugim, zawsze taki sam. Samotny pokój, łóżko bez kobiety; kurz, popiół z papierosów, liście aspidistry. A miał już blisko trzydziestkę. Dla ukarania siebie wyciągnął plik *Rozrywek londyńskich*, rozłożył zabrudzone arkusze i przyjrzał im się tak, jak się patrzy na czaszkę dla *memento moñ*. *Rozrywki londyńskie*, pióra Gordona Comstocka, autora *Myszy*. Jego *magnum opus*. Owoc (owoc, zaiste!) dwuletniej pracy - zagmatwany labirynt słów! Osiągnięcie dzisiejszego wieczoru - dwie skreślone linijki; dwie linijki do tyłu, zamiast do przodu.

Piecyk wydał dźwięk przypominający czkawkę i zgasł. Gordon wstał z wysiłkiem i cisnął kołdrę z powrotem na łóżko. Może lepiej się położyć, zanim będzie jeszcze zimniej. Powłókł się w kierunku łóżka. Zaraz. Jutro praca. Nakręcić zegar, nastawić budzik. Nic nie osiągnąwszy, nic nie zrobiwszy, zasłużył na całonocny odpoczynek.

Upłynęło nieco czasu, zanim zebrał siły, żeby się rozebrać. Może przez kwadrans leżał na łóżku w ubraniu, z rękami pod głową. Na suficie znajdowała się rysa przypominająca mapę Australii. Gordonowi udało się zdjąć buty i skarpetki bez siadania. Podniósł stopę i przyjrzał się jej. Nieduża, delikatna stopa. Nieudolna, podobnie jak

ręce. Była także bardzo brudna. Od ostatniej kąpieli upłynęło blisko dziesięć dni. Zawstydzony brudnymi nogami skulił się w pozycji siedzącej i rozebrał się, rzucając ubranie na podłogę. Potem zgasił lampę gazową i wśliznął się pod prześcieradła, drżąc, gdyż był nagi. Zawsze sypiał nago. Z ostatnią piżamą pożegnał się przeszło rok temu.

Zegar na dole wybił jedenastą. Gdy zimna pościel nieco się rozgrzała, Gordon powrócił myślą do wiersza zaczętego po południu. Powtórzył szeptem jedną ukończoną strofę:

*Złowróźbnie wicher dmąc
ugina Giętkie topole, obnażone;
Kominów ciemna splywa
wstęga; Miotany w tę, to w
tamtą stronę Trzepocze plakat.*

Trzaskały dziewięciozłoskowce. Klik-klik, klik-klik! Przerażała go ich okropna, mechaniczna pustka. To tak, jakby tykała jakaś bezużyteczna maszynka. Rym za rymem, klik-klik, klik-klik. Jak kiwająca głową nakręcana lalka. Poezja! Krańcowa jałowość. Leżał bezsennie, świadom własnej jałowości, swych trzydziestu lat, ślepej uliczki, w którą skierował swe życie.

Zegar wybił dwunastą. Gordon wyprostował nogi. Łóżko zrobiło się już ciepłe i wygodne. Gdzieś z ulicy równoległej do Willowbed Road skierowany w górę reflektor samochodu przeszył swoim światłem zasłonę i obrysował sylwetkę liścia aspidistry, uformowanego jak miecz Agamemnona.

3

„Gordon Comstock” to wredne nazwisko, ale też Gordon pochodził z wrednej rodziny. Oczywiście, część „Gordon” była szkocka. Dzisiejsza obfitość takich imion stanowi jedynie częściowy wyraz procesu skotyfikacji Anglii, zachodzącego od pięćdziesięciu lat. „Gordon”, „Colin”, „Malcolm”, „Donald” - tym Szkocja obdarzyła świat, wraz z golfem, whisky, owsianką oraz dziełami takich pisarzy, jak Barrie i Stevenson.

Comstockowie należeli do najsmutniejszej z klas, do średniej klasy średniej, szlachty bez ziemi. W swym żalonym ubóstwie nie mogli się nawet snobistycznie pocieszać, że są „starą” rodziną, na którą przyszły złe dni, gdyż wcale nie byli „starą” rodziną, a tylko jedną z tych rodzin, które wypłynęły na fali wiktoriańskiej koniunktury, po czym pogrążyły się, zanim fala opadła. Doświadczyli najwyżej pięćdziesięciu lat stosunkowej zamożności, co miało miejsce za życia dziadka Gordona, Samuela Comstocka - dziadzia Comstocka, jak Gordon nauczył się go nazywać, choć starzec zmarł cztery lata przed jego narodzeniem.

Dziadzio Comstock należał do ludzi, którzy wywierają ogromny wpływ nawet zza grobu. Za życia był wyjątkową

kanalią. Ograbiał proletariat i cudzoziemców z pięćdziesięciu tysięcy funtów, zbudował sobie rezydencję z czerwonej cegły, trwałą jak piramida, oraz spłodził dwanaścioro dzieci, z których przeżyło jedenaścioro. Wreszcie zmarł nagle, na wylew krwi do mózgu. Na Kensal Green dzieci umieściły nad nim monolit z następującym napisem:

NIEODŻAŁOWANEJ PAMIĘCI SAMUEL
EZEKIEL COMSTOCK, WIERNY MAŻ, CZUŁY
OJCIEC, UCZCIWY I POBOŻNY CZŁOWIEK,
URODZONY 9 LIPCA 1828 R., OPUŚCIŁ
TEN ŚWIAT 5 WRZEŚNIA 1901 R. KAMIEN
TEN WYSTAWIŁY NIEUTULONE W
ŻALU DZIECI SPOCZYWA W RAMIONACH
JEZUSA.

Nie trzeba powtarzać bluźnierczych komentarzy na temat tego ostatniego zdania, wypowiedzianych przez wszystkich, którzy znali dziadzia Comstocka. Wypada natomiast podkreślić, że kawał granitu, na którym je wypisano, ważył blisko pięć ton, a położono go tam z pewnością w zamiarze, choć nie był to świadomy zamiar, zabezpieczenia się przed powrotem dziadzia Comstocka. Gdy chce się wiedzieć, co krewni zmarłego naprawdę o nim myślą, wystarczy sprawdzić ciężar jego nagrobka.

Comstockowie, których znał Gordon, stanowili szczególnie nieciekawą, nędzną, niemrawą i nieudolną rodzinę. Ich brak żywotności był zadziwiający. Było to, oczywiście, dziełem dziadzia Comstocka. W chwili jego śmierci dzieci były dorosłe, a niektóre w średnim wieku, jemu zaś na długo przedtem udało się złamać w nich ducha, którego mogły kiedyś posiadać. Przygniatał je, jak walec ogro-

dowy przygniata stokrotki, więc było wykluczone, by ich spłaszczone osobowości kiedykolwiek się rozwinęły. Wszyscy okazali się ludźmi apatycznymi, bezwolnymi, nieudanymi. Żaden z chłopców nie miał porządnego zawodu, bowiem dziadzio Comstock dołożył wszelkich starań, by skierować ich do zawodów, do których się zupełnie nie nadawali. Tylko jeden - John, ojciec Gordona - odważył się stawić czoło dziadziowi Comstockowi tak dalece, że nawet ożenił się za życia ojca. Było nie do pojęcia, by ktokolwiek z nich odznaczył się czymś, stworzył coś lub zniszczył coś, był szczęśliwy lub nadzwyczaj nieszczęśliwy, żył pełnią życia lub chociażby zarabiał przyzwoicie. Po prostu egzystowali w atmosferze na wpół dystygowanego fiaska. Byli jedną z tych przygnębiających rodzin, tak częstych pośród średnich klas średnich, w których *nic nigdy się nie dzieje*.

Krewni okropnie przygnębiali Gordona już od najwcześniejszego dzieciństwa. Gdy był małym chłopcem, wielu wujków i ciotek jeszcze żyło. Wszyscy byli mniej więcej podobni - szarzy, zniszczeni, smutni ludzie, raczej słabego zdrowia i wiecznie nękani kłopotami pieniężnymi, które musowały, lecz nigdy nie owocowały sensacyjną eksplozją bankructwa. Już wówczas było oczywiste, że stracili pęd rozrodczy. Prawdziwie żywotni ludzie rozmnażają się niemal tak automatycznie jak zwierzęta, obojętnie, czy mają pieniądze, czy nie. Na przykład dziadzio Comstock, jeden z dwanaściorga rodzeństwa, spłodził jedenaścioro potomstwa. Jednakże tych jedenaścioro wydało tylko dwoje potomstwa, a tych dwoje - Gordon i jego siostra Julia - do roku 1934 nie spłodziło nikogo. Gordon, ostatni z Comstocków, urodził się w 1905 roku jako nie planowane dziecko; później zaś, przez długich trzydzieści lat, w rodzinie nie było ani jednych narodzin,

jedynie śmierci. Nie tylko w kwestii małżeństwa i płodzenia, lecz również w każdej innej dziedzinie w rodzinie Comstocków *nic się nigdy nie działo*. Wydawało się, że każdy z nich był skazany, jakby przez jakąś klątwę, na smętną, nędzną, pokątną egzystencję. Nikt z nich nigdy niczego nie dokonał. Należeli do ludzi, których w jakiegokolwiek działalności, nawet jeśli chodzi tylko o dostanie się do autobusu, spycha się automatycznie na margines. Nikt z nich, oczywiście, nie miał głowy do pieniędzy. Dziadzio Comstock ostatecznie podzielił pieniądze mniej więcej równo, tak że każdy otrzymał, po sprzedaniu rezydencji z czerwonej cegły, około pięciu tysięcy funtów. Gdy tylko pochowano dziadzia Comstocka, zaczęli trwonić pieniądze. Nikt z nich nie miał na tyle odwagi, by stracić je w sposób sensacyjny, na przykład, wydając je na kobiety lub na wyścigach; po prostu trwonili je pomalutku, kobiety na niemądre lokaty kapitału, a mężczyźni na bezowocne drobne przedsięwzięcia, które kończyły się po roku lub dwóch, przynosząc straty. Większość zmarła w stanie bezżennym. Niektóre kobiety po śmierci ojca zawarły w średnim wieku raczej niepożądane małżeństwa, lecz mężczyźni, ponieważ nie byli w stanie przyzwoicie zarabiać, należeli do tych, którzy „nie mogą sobie pozwolić” na małżeństwo. Nikt, z wyjątkiem ciotki Gordona, Angeli, nie miał nawet własnego domu; należeli do ludzi, którzy mieszkali w przerażających mieszkaniach i w przypominających grobowce pensjonatach. Rok po roku umierali, na paskudne, choć kosztowne choroby, które pochłaniały ostatnie grosze kapitału. Jedna z kobiet, ciotka Charlotte, w 1916 roku powędrowała do przytułku dla obłąkanych w Clapham. Jakże pękają w szwach angielskie przytułki dla obłąkanych! Utrzymują się

przede wszystkim dzięki samotnym starym pannom ze średnich klas średnich. W 1934 roku żyło tylko troje z tego pokolenia: wspomniana wyżej ciotka Charlotte, ciotka Angela, którą szczęśliwym zbiegiem okoliczności nakłoniono w 1912 roku do kupna domu i niewielkiego dożywocia, oraz wuj Walter, który nędznie wegetował za kilkaset funtów, jakie mu pozostały z pięciu tysięcy, prowadząc również rozmaite krótkotrwałe „agencje”.

Gordon wyrósł w atmosferze przerabianych ubrań i gotowanej baraniny. Jego ojciec, jak inni Comsto-ckowie, był przygnębioną, a zatem przygnębiającą osobą, lecz miał rozum i pewne literackie skłonności. Widząc, że ma umysł literacki i że przeraża go wszystko, co ma związek z cyframi, dziadzio Comstock oczywiście zrobił go księgowym. Pracował więc nieudolnie jako księgowy, ciągle kupując udziały w spółkach, które rozwiązywano po roku lub dwóch, jego zaś dochód wahał się, czasem rosnąc do pięciuset funtów rocznie, czasem spadając do dwustu, lecz zawsze z tendencją spadkową. Zmarł w roku 1922, w wieku zaledwie pięćdziesięciu sześciu lat, lecz już nader wyczerpany - od dawna cierpiał na chorobę nerek.

Ponieważ przy całym swym ubóstwie Comstockowie mieli pretensje, uznano za konieczne wydać ogromne sumy na „wykształcenie” Gordona. Jak straszna jest ta zmora „wykształcenia”! Oznacza to, że człowiek z klas średnich, żeby posłać syna do właściwej szkoły (to znaczy do szkoły prywatnej lub do jej marnego naśladownictwa), zmuszony jest przez całe lata prowadzić życie, jakim wzgardziłby pracujący dorywczo hydraulik. Gordona posyłano do wiejskich, pretensjonalnych szkół, gdzie chesne wynosiło około 120 funtów rocznie. Nawet takie chesne oznaczało ogromne wyrzeczenia w domu. Tymczasem

Julia, która była o pięć lat starsza, prawie wcale nie otrzymała wykształcenia. Posłano ją, co prawda, do paru nędznych, obskurnych szkół z internatem, lecz „zabrano” ją na dobre w wieku szesnastu lat. Gordon był „chłopcem”, podczas gdy Julia była „dziewczynką”, więc wszystkim wydało się naturalne, że należy „dziewczynkę” poświęcić dla „chłopca”. Ponadto wcześniej zdecydowano w rodzinie, że Gordon jest „inteligentny”. Dzięki tej wspaniałej „inteligencji” Gordon miał zdobywać stypendia, osiągnąć w życiu olśniewający sukces oraz odzyskać majątek rodziny - taka była teoria, a nikt nie wierzył w nią bardziej niż Julia. Julia była wysoką, niezgrabną dziewczyną, znacznie wyższą od Gordona, o chudej twarzy i nieco za długiej szyi - jedną z tych dziewcząt, które nawet w pełni młodości nieodparcie przypominają gęś. Była jednak prosta i czuła z natury. Skromna dziewczyna, która prowadzi dom, prasuje, ceruje i naprawia, urodzona stara panna. Nawet w wieku szesnastu lat miała to wypisane na twarzy. Uwielbiała Gordona. W dzieciństwie czuwała nad nim, pielęgnowała go, psuła go, chodziła w łachmanach, aby on miał odpowiednie ubranie do szkoły, oszczędzała nędzne kieszonkowe, by mu kupować prezenty na Boże Narodzenie i na urodziny. Gdy tylko dorósł, odpłacił jej oczywiście pogardą, ponieważ nie była ani ładna, ani „inteligentna”.

Nawet w trzeciorzędnej szkole, do której posłano Gordona, niemal wszyscy chłopcy byli od niego bogatsi. Oczywiście wkrótce odkryli jego ubóstwo i dali mu się porządnie we znaki. Przypuszczalnie największym okrucieństwem w stosunku do dziecka jest posłać go do szkoły pomiędzy bogate dzieci. Dziecko świadome ubóstwa cierpieć będzie snobistyczne męki, jakie osoba dorosła z trudem może sobie wyobrazić. W owym czasie, zwłaszcza

w szkole wstępnej, życie Gordona było jednym wielkim spiskiem, by się nie dać i udawać, że jego rodzice są bogatsi, niż byli w istocie. Ach, upokorzenia owych dni! Na przykład, ta okropna sprawa na początku każdego trymestru, gdy trzeba było publicznie „oddać” dyrektorowi przywiezione z domu pieniądze; pogardliwe, okrutne chichoty chłopców, gdy się nie „oddało” dziesięciu lub więcej szylingów. Moment, gdy się dowiedzieli, że Gordon nosi gotowe ubranie, które kosztowało trzydzieści pięć szylingów! Najbardziej obawiał się wizyt rodziców w szkole. Gordon, wówczas jeszcze wierzący, zwykł się nawet modlić, aby rodzice nie przyjechali do szkoły. Zwłaszcza ojciec był taki, że nie można się go było nie wstydzić: trupioblady, przybity człowiek, przygarbiony, w zniszczonym i strasznie niemodnym ubraniu. Otaczała go atmosfera fiaska, kłopotów i nudy. Miał okropny zwyczaj wciskać Gordonowi przy pożegnaniu pół korony w obecności innych chłopców, tak że każdy widział, że było to tylko pół korony, a nie dziesięć szylingów, jak być powinno! Nawet w dwadzieścia lat potem wspomnienie tej szkoły przyprawiało Gordona o dreszcze.

Pierwszym rezultatem tego był czołobitny szacunek dla pieniędzy. Nienawidził wówczas ubogich krewnych - ojca, matki, Julii, wszystkich. Nienawidził ich za obskurne domy, za brak gustu, za brak radości w życiu, za ustawiczne kłopoty i lamentsy nad trzypensówkami i sześciopen-sówkami. Najczęstszym zwrotem w domu Comstocków było: „Nie stać nas na to”. Tęsknił wówczas za pieniędzmi, jak tylko dziecko może tęsknić. Dlaczego *nie można* mieć przyzwoitych ubrań, mnóstwa słodyczy i chodzić do kina, kiedy się tylko ma ochotę? Obciążał rodziców winą za ubóstwo, jak gdyby celowo byli biedni. Dlaczego nie

mogą być jak rodzice innych chłopców? Wydawało mu się, że *woleli* być biedni. Tak właśnie działa umysł dziecka.

Jednakże z wiekiem stał się, może nie mniej nierozsądny, lecz nierozsądny w inny sposób. Dawał już sobie wówczas radę w szkole i mniej się nad nim znęcano. Nigdy nie odniósł w szkole sukcesów - nie pracował i nie zdobył żadnych stypendiów - lecz udało mu się rozwinąć umysł w odpowiednim kierunku. Czytał książki, które dyrektor piętnował z katedry, oraz wykształcił niekonwencjonalne poglądy na temat Kościoła anglikańskiego, patriotyzmu i krawatu absolwenta. Zaczął również pisać wiersze. Po roku czy dwóch zaczął nawet wysyłać wiersze do „Atheneum”, „Nowego Wieku” i „Tygodnika West-minsteru”; jednakże nieodmiennie je odrzucano. Byli w szkole chłopcy o podobnych poglądach, z którymi przestawał. Każda szkoła prywatna ma swą własną nieśmiałą inteligencję. Wówczas, w latach tuż po wojnie, Anglia tak obfitowała w poglądy rewolucyjne, że zaraziły się nimi nawet szkoły prywatne. Młodzi, nawet ci, którzy byli zbyt młodzi, by walczyć, słusznie złościли się na starszych; właściwie każdy z olejem w głowie był wówczas rewolucjonistą. Tymczasem starzy - powiedzmy, powyżej sześćdziesiątki - kręcili się w kółko jak kury, skrzecząc o „wywrotowych poglądach”. Gordon i przyjaciele mieli mnóstwo uciechy, jeśli chodzi o „wywrotowe poglądy”. Przez cały rok wydawali odbijany na powielaczu nieoficjalny miesięcznik o nazwie „Bolszewik”. Propagował on socjalizm, wolną miłość, podział Imperium Brytyjskiego, zniesienie armii i marynarki i tym podobne. Była z tym ogromna zabawa. Każdy inteligentny szesnastoletni chłopiec jest socjalistą. W tym wieku nie widzi się haczyka wystającego z tej raczej ciężkostrawnej przynęty.

.Prymitywnie, po chłopięcu zaczął orientować się w sprawach pieniężnych. Wcześniej niż inni pojął, że cały nowoczesny handel jest oszustwem. Uświadomiły mu to właśnie reklamy na stacjach metra. Jak powiadają biografowie, nie przypuszczał wówczas, że sam będzie kiedyś pracował w agencji reklamowej. Było to jednak coś więcej niż sam fakt, że interes to oszustwo. Zrozumiał, a z biegiem czasu rozumiał to coraz lepiej, że kult pieniądza podniesiono do rangi religii. Być może jest to jedyna prawdziwa religia - jedyna *naprawdę przeżywana* religia - jaka nam pozostała. Pieniądz stał się tym, czym kiedyś był Bóg. Dobro i zło nie znaczą już nic więcej, poza sukcesem i niepowodzeniem. Stąd wielce znaczący zwrot: *dobrze mi się powodzi*. Dekalog zredukowano do dwóch przykazań. Jedno dla pracodawców - wybrańców, kasty kapłanów pieniądza: „Będziesz robił pieniądze”; drugie dla pracowników - sług i niewolników: „Nie stracisz pracy”. To wówczas natknął się na *Filantropów w podartych spodniach* i przeczytał o głodującym stolarzu, który za stawia w lombardzie wszystko, lecz trwa przy aspidistrze. Aspidistra stała się wtedy dla Gordona pewnym symbolem. Aspidistra, kwiat Anglii! Powinna być w naszym herbie zamiast lwa i jednoroźca. W Anglii nie będzie rewolucji, dopóki w oknach będą aspidistry.

Teraz już nie nienawidził krewnych i nie pogardzał nimi - w każdym razie nie tak bardzo. Nadal przyprowadzili go o przygnębienie - biedne stare usychające ciotki i wujowie, z których dwoje czy troje już umarło; ojciec, zniszczony i przygaszony; matka, zwiędła, nerwowa i „delikatna” (płuca miała niezbyt silne); Julia, już teraz, w wieku dwudziestu jeden lat, obowiązkowe, zrezygnowane popychadło, pracujące po dwanaście godzin dziennie, nie mające przyzwoitej sukienki. Teraz jednak pojmował, co im

dolegało. To nie był tylko brak pieniędzy. Był to fakt, że nie mając pieniędzy, nadal żyli duchem w świecie pieniędzy - w świecie, gdzie pieniądz jest cnotą, ubóstwo zaś zbrodnią. Wykończyło ich nie ubóstwo, lecz ciężar *szacownego* ubóstwa. Przyjęli kodeks pieniądza, według zaś tego kodeksu ponieśli fiasko. Nigdy nie mieli na tyle rozsądku, by atakować i po prostu żyć, z pieniędzmi czy bez, jak to robią klasy niższe. A klasy niższe mają rację! Czapki z głów przed chłopakiem z fabryki, który mając cztery pensy przy duszy majstruje swej dziewczynie dziecko! Przynajmniej w żyłach ma krew, nie pieniądze.

Gordon przemyślał to wszystko, naiwnie, samolubnie, po chłopięcemu. Uznał, że istnieją dwa sposoby życia. Możesz być bogaty lub możesz rozmyślnie odmówić bogacenia się. Możesz posiadać pieniądze, a możesz gardzić pieniędzmi; natomiast fatalnie jest czcić pieniądze i ich nie zdobyć. Założył z góry, że sam nigdy nie zrobi pieniędzy. Nie przyszło mu do głowy, że może posiadać zdolności, które udałoby się wykorzystać. Sprawili to nauczyciele; wmówili mu, że jest nieznośnym buntownikiem i że nie ma szans na „sukces” w życiu. Zgodził się z tym. Więc dobrze, w takim razie odmówi udziału w „zdobywaniu sukcesu”; specjalnie się postara, aby nie osiągnąć „sukcesu”. Lepiej panować w piekle niż służyć w niebie; jeśli już o to idzie, lepiej służyć w piekle niż służyć w niebie. Już mając szesnaście lat wiedział, po której jest stronie. Był *przeciwko* bożkowi pieniądza i jego ześwinionym kapłanom. Wydał wojnę pieniądzwowi; w tajemnicy, oczywiście.

Miał siedemnaście lat, gdy umarł ojciec, zostawiając około dwustu funtów. Julia pracowała już od kilku lat. W latach 1918 i 1919 pracowała w biurze państwowym, później zrobiła kurs kucharski i dostała pracę w obmierz-

łej, pretensjonalnej cukierni obok stacji metra w Earl's Court. Pracowała siedemdziesiąt dwie godziny tygodniowo, dostawała obiad, podwieczorek i dwadzieścia pięć szylingów; przeznaczala z tego dwanaście szylingów tygodniowo, czasem więcej, na wydatki domowe. Po śmierci pana Comstocka najlepiej by było zabrać Gordona ze szkoły, znaleźć mu pracę, a Julii dać dwieście funtów, by mogła otworzyć własną cukiernię. Tu jednak włączyła się zwykła głupota Comstocków w sprawach pieniężnych. Ani Julia, ani matka nie chciały słyszeć o zabraniu Gordona ze szkoły. Wykazując dziwny idealistyczny snobizm klas średnich, były gotowe raczej pójść do przytułku, niż zabrać Gordona ze szkoły przed ukończeniem przepisowych osiemnastu lat. Dwieście funtów, lub ich znaczną część, należało wydać na dokończenie „wysztalcenia” Gordona. Gordon przyzwolił na to. Wydał wojnę pieniądзом, co jednak nie przeszkadzało mu być straszliwie samolubnym. Oczywiście, pójście do pracy przerażało go. Jakież chłopiec by się tego nie bał? Skrobanie piórem w jakimś plugawym biurze - Boże! Wujowie i ciotki rozmawiali już smętnie o „ustawieniu Gordona w życiu”. Widzieli wszystko w kategoriach „dobrych” posad. Młody Smith dostał taką „dobrą” posadę w banku, a młody Jones dostał taką „dobrą” posadę w biurze ubezpieczeniowym. Mdlilo go, gdy tego słuchał. Wydawało się, że chcieliby ujrzeć każdego młodego człowieka w Anglii w trumnie „dobrej” posady.

Tymczasem trzeba było zarabiać na życie. Przed wyjściem za mąż matka Gordona była nauczycielką muzyki, a nawet potem brała czasem uczniów, gdy rodzinie wiodło się gorzej niż zwykle. Teraz postanowiła ponownie dawać lekcje. Było dość łatwo o uczniów w dzielnicach podmiejskich - mieszkali wówczas w Acton - więc przy

zarobkach z lekcji i przy pomocy Julii mogliby jakoś „przetrwać” przez rok czy dwa. Jednakże stan płuc pani Comstock był już więcej niż „delikatny”. Lekarz, który przed śmiercią jej męża opiekował się nim, przyłożywszy jej stetoskop do piersi, przybrał poważną minę. Powiedział, by dbała o siebie, ubierała się ciepło, jadła pożywnie, a przede wszystkim unikała przemęczenia. Oczywiście, nerwowe i męczące lekcje gry na fortepianie były dla niej najgorsze. Gordon nic o tym nie wiedział. Jednakże Julia wiedziała. Była to tajemnica obu kobiet, starannie ukrywana przed Gordonem.

Minął rok. Dla Gordona był on raczej przykry, gdyż coraz bardziej wstydził się zniszczonych ubrań i braku pieniędzy, co sprawiało, że dziewczęta wzbudzały w nim przerażenie. Jednakże „Nowy Wiek” przyjął w tym roku jeden z jego wierszy. Tymczasem matka siadywała na niewygodnych taboretach przy fortepianie w przewiewnych salonach, dając lekcje po dwa szylingi za godzinę. Potem Gordon skończył szkołę, a gruby, wścibski wuj Walter, który miał jakieś niewielkie stosunki w interesach, zaofiarował się, mówiąc, że przyjaciel jego przyjaciela może załatwić Gordonowi „dobrą” posadę w dziale księgowości pewnej firmy ołowianej. Była to naprawdę wspólna posada - cudowny początek dla młodego człowieka. Jeśli Gordon weźmie się odpowiednio do pracy, może pewnego dnia zostać grubą rybą. Dusza Gordona cierpiała katusze. Nagle, jak to mają w zwyczaju ludzie słabi, uparł się i ku przerażeniu całej rodziny odmówił starania się o posadę.

Oczywiście, miały miejsce straszliwe kłótnie. Nie mogli go zrozumieć. Wydawało im się bluźnierstwem odrzucenie takiej „dobrej” posady, gdy nadarza się okazja zdobycia jej. Powtarzał im wciąż, że nie chce takiej posady.

A więc czegoż chce? - zapytywali. Odrzekł im ponuro, że chce „pisać”. A jak będzie mógł zarobić na życie „pisanie”? - zapytali znowu. Oczywiście że nie mógł na to odpowiedzieć. Gdzieś głęboko tkwiła w nim myśl, że będzie mógł się jakoś utrzymać z pisania wierszy; było to zbyt niedorzeczne, by o tym wspominać. W każdym razie nie miał zamiaru wchodzić w świat interesu, w świat pieniędzy. Będzie miał posadę, ale nie „dobrą” posadę. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, o *co* mu chodziło. Matka płakała, nawet Julia „rzuciła się” na niego, wujowie i ciotki zaś (zostało ich jeszcze sześcioro czy siedmioro) słabo atakowali i grzmieli nieudolnie. Po trzech dniach stała się rzecz straszliwa. Przy kolacji matka dostała gwałtownego ataku kaszlu, chwyciła się za pierś i upadła plując krwią.

Gordon przeraził się. Matka jednak nie umarła, choć wyglądała upiornie, gdy ją nieśli na górę. Gordon pognął po lekarza. Przez kilka dni matka znajdowała się u progu śmierci. Dokonały tego przewiewne salony oraz mozolne wędrówki przy zmiennej pogodzie. Gordon obijał się bezradnie po domu, a straszliwe poczucie winy potęgowało rozpacz. Nie wiedział tego dokładnie, lecz się domyślał, że matka zabijała się, by opłacić czesne w szkole. Nie mógł się teraz jej sprzeciwić. Poszedł do wuja Waltera i powiedział mu, że przyjmie tę posadę w firmie ołowianej, jeśli ją dostanie. Zatem wuj Walter porozmawiał z przyjacielem, ten zaś przyjaciel ze swoim przyjacielem, wezwano Gordona, starszy pan ze źle dopasowaną sztuczną szczęką odbył z nim rozmowę i wreszcie zaofiarował mu pracę, tytułem próby. Rozpoczął od dwudziestu pięciu szylingów tygodniowo. W firmie tej pracował sześć lat.

Przeprowadzili się z Acton do mieszkania w zdewastowanym czerwonym domu czynszowym w okolicy

Paddington. Pani Comstock zabrała ze sobą fortepian, a gdy nieco odzyskała siły, zaczęła od czasu do czasu dawać lekcje. Zarobki Gordona rosły powoli, więc we trójkę jakoś sobie „dawali radę”. To głównie Julia i pani Comstock zajęte były „dawaniem sobie rady”. Gordon nadal wykazywał chłopięcą samolubność względem pieniędzy. W biurze nieźle sobie radził. Mówiono o nim, że wart jest pieniędzy, które zarabia, ale że nie jest z tych, którym się powodzi. Całkowita pogarda, jaką miał dla swej pracy, ułatwiała mu jednak egzystencję. Znosił jałowe życie biurowe, gdyż ani przez chwilę nie uważał go za coś trwałego. Kiedyś, jakoś, Bóg wie, jak i kiedy, wyzwoli się z tego. Poza tym miał jeszcze swoje „pisanie”. Być może kiedyś będzie w stanie jakoś zarobić na życie „pisaniami”; a będąc „pisarzem” jest się chyba wolnym od smrodu pieniądza, nieprawdaż? Zwijał się z bólu na widok otaczających go typów, zwłaszcza starszych mężczyzn. To właśnie oznaczał kult bożka pieniądza! Ustabilizować się, odnieść sukces, sprzedać duszę za wilę i aspidistrę! Zamienić się w typową kanalię w meloniku „człowieczka” - jak u Strube'a - potulnego obywatela, który mknie do domu o szóstej piętnaście na kolację składającą się z placka z serem i kompotu z gruszek z puszki, na półgodzinne słuchanie koncertu symfonicznego w BBC, a potem może nieco legalnego stosunku seksualnego, jeśli żona „jest w humorze”! Co za los! Nie, człowiek nie powinien żyć w ten sposób. Należy się z tego wydostać, z tego smrodu pieniądza. Pielęgnował w myślach coś w rodzaju spisku. Poświęcił się jak gdyby wojnie z pieniądzem. Była to jeszcze tajemnica. Ludzie w biurze nie podejrzewali go o nieprawomyślne poglądy. Nigdy nie wyszło na jaw, że pisze wiersze - nie mogło wyjść na jaw, gdyż

w ciągu sześciu lat wydrukowano mu w czasopiśmie niespełna dwadzieścia wierszy. Z wyglądu był jak każdy inny urzędnik w City - jeden z wielu stojących pasażerów, kołyszących się w wagonach metra na wschód rano, na zachód wieczorem.

Miał dwadzieścia cztery lata, gdy umarła matka. Rodzina się rozpadła. Ze starszego pokolenia Comstocków zostało teraz tylko czworo - ciotka Angela, ciotka Charlotte, wuj Walter i jeszcze jeden wuj, który zmarł w rok potem. Gordon i Julia wyprowadzili się z mieszkania. Gordon wynajął pokój umeblowany na Doughty Street (mieszkanie w Bloomsbury uważał za niejako w literackim stylu), Julia zaś przeprowadziła się do Earl's Court, by być blisko sklepu. Julia zbliżała się już do trzydziestki, a wyglądała dużo starzej. Zeszczuplała, choć była zdrowa, a włosy jej zaczęły siwieć. Nadal pracowała dwanaście godzin dziennie, jej zarobki w ciągu sześciu lat wzrosły jedynie o dziesięć szylingów tygodniowo. Potwornie dystygowana dama, która prowadziła cukiernię, była pra-codawczynią, jak i czymś w rodzaju przyjaciółki, więc tyrała Julię i terroryzowała ją przy akompaniamencie słów „moja droga” i „kochanie”. Cztery miesiące po śmierci matki Gordon nagle porzucił pracę. Nie przedstawił firmie żadnych powodów. Przypuszczali, że miał zamiar „poprawić swą sytuację materialną”, więc - całe szczęście, jak się później okazało - dali mu całkiem dobre referencje. Nie przyszło mu nawet do głowy, by szukać innej pracy. Chciał spalić za sobą mosty. Teraz będzie mógł oddychać swobodnie, oswobodzony od smrodu pieniądza. Nie czekał z tym specjalnie do śmierci matki; jednakże jej śmierć dodała mu odwagi.

Oczywiście, pozostałości rodziny wdały się w nową, jeszcze gwałtowniejszą kłótnię. Sądziło się, że Gordon z pew-

nością zwariował. Na próżno próbował wielokrotnie im wyjaśniać, dlaczego nie chce oddać się w jarzmo „dobrej” posady. - Ale z czego będziesz żył? Z czego będziesz żył? - lamentowali. Nie chciał o tym poważnie pomyśleć. Oczywiście nadal piastował myśl, że będzie mógł jakoś zarabiać „pisanie”. Znal już wówczas Ravelstona, redaktora „Antychrysta”, a Ravelston, poza drukowaniem jego wierszy, dawał mu czasem książki do recenzji. Jego literackie perspektywy nie były tak beznadziejne jak sześć lat temu. Jednakże prawdziwym powodem nie była chęć „pisania”. Wydostać się ze świata pieniędzy - oto, czego chciał. Oczekiwał mgliście jakiejś pustelniczej egzystencji bez pieniędzy. Przypuszczał, że jeśli ktoś naprawdę pogardza pieniędzmi, może się jakoś utrzymać, podobnie jak ptaki niebieskie. Zapomniał, że ptaki niebieskie nie płacą czynszu. Widział się jako poeta głodujący na poddaszu - jednakże głodujący niezbyt dotkliwie.

Nastąpiło siedem katastrofalnych miesięcy. Przeraziły go i niemal złamały. Poznał, co to znaczy żyć całe tygodnie chlebem i margaryną, próbować „pisać”, gdy się przymiera głodem, zastawiać ubrania w lombardzie, przemykać się drżąc po schodach, gdy zalega się z czynszem od trzech tygodni, a gospodyni nadśluchuje. Poza tym przez owych siedem miesięcy praktycznie niczego nie napisał. Ubóstwo przede wszystkim zabija myśl. Pojął, jak gdyby stanowiło to jakieś odkrycie, że nie ucieknie się od pieniędzy przez nieposiadanie pieniędzy. Przeciwnie, jest się w pełni niewolnikiem pieniędzy, jeśli nie ma się ich dość - „środków do życia”, jak brzmi koszmarny mieszczkański zwrot. Wreszcie, po ordynarnej kłótni, wyrzucono go z pokoju. Przez trzy dni i cztery noce znajdował się na ulicy. To było piekielne. Za radą człowieka, którego spotkał na bulwarze, spędził trzy ranki w Billingsgate,

pomagając popychać taczki z rybami krętymi uliczkami pod górę z Billingsgate do Eastcheap. Dostawało się „dwa pensy do góry”, praca zaś piekielnie nadwreżwała mięśnie ud. Do tej pracy zgłaszały się tłumy ludzi, więc trzeba było czekać na swoją kolej; miało się szczęście, jeśli zarobiło się osiemnaście pensów pomiędzy czwartą a dziewiątą rano. Po trzech dniach Gordon dał za wygraną. Po co to było? Przegrał. Nie pozostawało nic innego, jak wrócić do rodziny, pożyczyć pieniądze i poszukać innej pracy.

Lecz teraz, oczywiście, nie było żadnej pracy. Całymi miesiącami żył zebrząc u rodziny. Julia utrzymywała go, póki nie wydała ostatniego pensa ze swych niewielkich oszczędności. Było to ohydne. Taki był rezultat jego pięknych póz! Pozbył się ambicji, wydał wojnę pieniądзом, to wszystko zaś doprowadziło go do żebrania u siostry! Wiedział, że Julia znacznie głębiej przeżyła jego klęskę niż utratę oszczędności. Takie nadzieje wiązała z Gordonem! Jemu jednemu z Comstocków miało się „powieść”. Jeszcze nawet teraz wierzyła, że kiedyś, jakoś odzyska pozycję rodziny. Był tak „inteligentny” - z pewnością mógłby zdobyć majątek, gdyby tylko chciał! Przez dwa miesiące Gordon mieszkał u ciotki Angeli w jej domku w Highgate - u biednej, zwiędłej, zasuszonej ciotki Angeli, której ledwie starczało jedzenia dla siebie. Przez cały czas rozpaczliwie szukał pracy. Wuj Walter nie mógł mu pomóc. Jego wpływy w świecie interesów, nigdy duże, były teraz praktycznie żadne. Jednakże wreszcie, całkiem niespodziewanie, poszczęściło mu się. Przyjaciół przyjaciel brata pracodawczyni Julii wystarał się Gordonowi o pracę w dziale księgowości przedsiębiorstwa reklamowego Nowy Albion.

Nowy Albion był jedną z tych firm reklamowych, które rozplenily się po wojnie - jak, można powiedzieć, grzyby

kielkujące ze zgniłego kapitalizmu. Była to niewielka rozwijająca się firma, która przyjmowała każdy rodzaj reklamy. Zaprojektowała pewną liczbę dużych plakatów reklamujących owsiany porter, mąkę z zawartością drożdży i tym podobne, ale specjalizowała się głównie w reklamach z dziedziny modniarstwa i kosmetyki w ilustrowanych czasopismach kobiecych, poza tym w drobnych ogłoszeniach w tygodnikach po dwa pensy, takich jak pigułka „Biała Róża” na dolegliwości kobiece, horoskop ułoży ci profesor Raratongo, siedem tajemnic Wenus, nadzieja dla cierpiących na przepuklinę, zarób pięć funtów tygodniowo w wolnych chwilach, płyn do włosów cyprolax wyprasza niepożądanych gości. Zatrudniała oczywiście duży zespół artystów reklamowych. Tu właśnie Gordon poznał Rosemary. Pracowała w „studio”, pomagając projektować arkusze z modą. Uplłynęło dużo czasu, zanim zaczął z nią rozmawiać. Znał ją najpierw jako osobę raczej wyniosłą, niedużą, ciemną, o szybkich ruchach, zdecydowanie pociągającą, choć nie onieśmielającą. Gdy mijali się w korytarzach, spoglądała na niego ironicznie, jak gdyby wszystko o nim wiedziała i drwiła z niego; niemniej patrzyła na niego nieco częściej, niż to było konieczne. Nie miał nic do czynienia z jej dziedziną. Pracował w dziale księgowości, zwykły urzędnik za trzy funty tygodniowo.

Nowy Albion był interesujący z tego względu, że panowała tu zupełnie nowoczesna atmosfera. W firmie nie było ani jednego człowieka, który nie byłby świadom faktu, że reklama - ogłoszenia - jest najgorszym draństwem wyrosłym z kapitalizmu. W firmie ołowianej zachowały się nadal pewne pojęcia o honorze handlowym i o użyteczności. W Nowym Albionie wyśmiano by to. Większość pracowników reprezentowała twardy, zamerykanizowany,

przedsiębiorczy typ - typ, dla którego nie ma nic świętego, poza pieniędzmi. Wypracowali własny cyniczny kodeks postępowania. Publiczność to świnię; reklama to grzmocenie kijem w wiadrze z pomyjami. Jednak pod tym cynizmem była w nich pewna naiwność, ślepy kult bożka pieniądza. Gordon dyskretnie ich studiował. Jak poprzednio, wykonywał pracę dość dobrze, więc koledzy patrzyli na niego z góry. W jego umyśle nic się nie zmieniło. Nadal odrzucał kodeks pieniądza i pogardał nim. Wcześniej czy później ucieknie; nawet teraz, po niedawnej klęsce, nadal planował ucieczkę. Zył w świecie pieniądza, lecz nie należał do niego. Jeśli chodzi o typy, które go otaczały, te robaczki w melonikach, które nigdy się nie przepoczwarzą, oraz ci po amerykańsku przedsiębiorczy wykształceni lizusi z rynsztoka, to raczej go bawiły. Lubił studiować ich niewolniczą mentalność typu „trzymaj się posady”. Był wśród nich podglądającym dzieciakiem.

Pewnego dnia zdarzyła się dziwna rzecz. Ktoś przypadkiem zobaczył w czasopiśmie wiersz Gordona i rozgłosił, że „mają w biurze poetę”. Inni urzędnicy oczywiście śmiali się z Gordona, choć nie złośliwie. Od tego dnia przezwali go „bardem”. Choć bawiło ich to, okazywali też pewną pogardę. Potwierdzało to ich opinię o Gordonie. Facet, który pisze wiersze, nie jest typem, któremu się powiedzie. Jednakże wydarzenie to miało nieoczekiwane zakończenie. Mniej więcej wówczas, gdy urzędnicy zmęczeni się kpinami z Gordona, pan Erskine, dyrektor, który dotąd ledwie go zauważał, nagle posłał po niego i odbył z nim rozmowę.

Pan Erskine był dużym ospałym mężczyzną o szerokiej zdrowej twarzy bez wyrazu. Sądząc z wyglądu i powolnej mowy, można było mieć pewność, że ma on do czynienia z rolnictwem albo z hodowlą bydła. Umysł miał równie

ospały co ruchy i był z tych ludzi, którzy pierwszy raz słyszą o czymś dopiero wtedy, gdy wszyscy inni przestali już o tym mówić. Jedynie dziwne bogi kapitalizmu wiedzą, w jaki sposób taki człowiek stanął na czele agencji reklamowej. Był jednak całkiem sympatyczną osobą. Nie miał sztywnego, pogardliwego charakteru, jaki zazwyczaj towarzyszy umiejętności robienia pieniędzy. W pewnym sensie tępota przyniosła mu pożytek. Niepodatny na potoczne uprzedzenia, był w stanie oceniać ludzi na podstawie zalet; w rezultacie raczej dobrze dobierał sobie utalentowanych pracowników. Wiadomość, że Gordon pisze wiersze, nie tylko go nie zgorszyła, lecz nawet wywarła na nim niejakie wrażenie. W Nowym Albionie potrzebowali literackich talentów. Posławszy po Gordona, przyglądał mu się ospale z ukosa, po czym zadał mu pewną liczbę nieskładnych pytań. Nie słuchał odpowiedzi Gordona, a jego własne pytania przerywał odgłos brzmiący jakby „hm, hm, hm”. Pisze wiersze, prawda? Ach, tak? Hm. I drukowali je w gazecie? Hm, hm. Myślę, że zapłacili panu za to? Niewiele, co? Nie, zapewne nie. Hm, hm. Wiersze? Hm. To musi być nieco trudne. Wszystkie linijki tej samej długości i tym podobne. Hm, hm. Pisze coś jeszcze? Opowiadania, i tak dalej? Hm. Ach, tak? Bardzo interesujące. Hm!

Następnie, bez dalszych pytań, awansował Gordona na specjalne stanowisko sekretarza - a właściwie ucznia - pana Clew, głównego autora tekstów reklamowych w Nowym Albionie. Jak każda agencja reklamowa, Nowy Albion nieustannie poszukiwał autorów tekstów obdarzonych szczyptą wyobraźni. Zadziwiająco, że znacznie łatwiej o fachowych rysowników niż o ludzi zdolnych wymyślić slogany typu „Sos Q.T. rozwesela mężusia” czy „Dzieciaki domagają się płatków śniadaniowych”. Płacy

Gordona chwilowo nie podniesiono, lecz firma miała na niego oko. Przy odrobinie szczęścia mógł za rok zostać sprawnym autorem tekstów. Nadarzyła się oczywista okazja na sukces.

Przez sześć miesięcy pracował z panem Clew. Pan Clew był znękanym mężczyzną około czterdziestki, o sztywnych włosach, w które często wbijał palce. Pracował w dusznym pokoiku o ścianach wyklejonych swymi dawnymi triumfami w formie plakatów. Przyjął Gordona zyczliwie, zapoznał z jego obowiązkami, a nawet chętnie słuchał jego sugestii. Pracowali wówczas nad serią ogłoszeń gazetowych reklamujących Kwietniową Rosę, wspaniały nowy dezodorant, który właśnie wypuszczała na rynek wytwórnia przyborów toaletowych Królowa Saba (zabawne, była to firma Flaxmana). Gordon rozpoczął pracę skrywając odrazę, lecz bieg wypadków okazał się całkiem nieoczekiwany. Niemal od początku Gordon wykazywał szczególny talent do pisania tekstów reklamowych. Potrafił ułożyć ogłoszenie, jak gdyby się z tym urodził. Wyrazisty zwrot, łatwy do zapamiętania, zgrabny akapit, w stu słowach mieszczący ogrom kłamstw- to wszystko przychodziło mu niemal bez namysłu. Zawsze posiadał zdolności pisarskie, lecz po raz pierwszy do czegoś mu się przydały. Pan Clew uważał, że się dobrze zapowiada. Gordon obserwował swój własny rozwój najpierw ze zdziwieniem, potem z rozbawieniem, wreszcie z pewnym przerażeniem. A więc na to mu przyszło! Pisał kłamstwa, by wyludzać pieniądze z kieszeni durniów! Na potworną ironię zakrawał fakt, że on, który chciał zostać „pisarzem”, odniósł swój jedyny sukces pisząc reklamy dezodorantów. Było to jednak mniej niezwykłe, niż przypuszczał. Jak powiadają, większość autorów tekstów reklamowych to powieściopisarze *manques*, a może właśnie jest odwrotnie?

W Królowej Sabie byli bardzo zadowoleni z reklam. Pan Erskine był również zadowolony. Zarobki Gordona podniesiono o dziesięć szylingów tygodniowo. Wtedy Gordon się przeląkł. Mimo wszystko pieniądze go dosięgły. Zsuwał się w dół, do piątecznego chlewu. Jeszcze trochę i ugrzęźnie w nim na zawsze. Dziwnie się to dzieje. Sprzeciwiasz się sukcesowi, przysięgasz, że nigdy ci się nie powiedzie - naprawdę wierzysz, że nie może ci się powieść, nawet gdybyś chciał; a potem nagle coś się zdarza, jakiś przypadek, i okazuje się, że powiodło ci się niemal odruchowo. Zrozumiał, że uciec należało natychmiast lub nigdy. Musiał się z tego wydostać - ze świata pieniędzy, nieodwołalnie, póki nie zabrnje zbyt daleko.

Jednak tym razem nie miał zamiaru dać się wziąć głodem. Poszedł do Ravelstona z prośbą o pomoc. Powiedział mu, że chciałby otrzymać jakąś posadę; nie „dobrą” posadę, lecz taką, która pozwoliłaby na utrzymanie ciała, a nie wymagałaby całkowitego zaprzeczenia duszy. Ravelston doskonale to rozumiał. Nie trzeba mu było wyjaśniać różnicy pomiędzy posadą a „dobrą” posadą; nie zwrócił Gordonowi uwagi na szaleństwo jego postępowania. To właśnie było wspaniałe u Ravelstona. Zawsze dostrzegał punkt widzenia drugiej osoby. Bez wątpienia sprawiły to pieniądze, bogaci bowiem mogą sobie pozwolić na inteligencję. Ponadto, jako człowiek bogaty, był w stanie znaleźć innym pracę. Już w dwa tygodnie później powiedział Gordonowi o czymś, co mogło mu odpowiadać. Niejaki pan McKechnie, raczej podupadły antykwariusz, z którym Ravelston miał do czynienia od czasu do czasu, poszukiwał pomocnika. Nie chciał wykwalifikowanego pomocnika, któremu należałoby płacić odpowiednią pensję; chciał kogoś, kto by wyglądał na kulturalnego człowieka i potrafił rozmawiać o książkach - kogoś, kto

mógłby wyrzucić wrażenie na bardziej czytanych klientach. Było to coś dokładnie przeciwnego niż „dobra” posada. Czas pracy był długi, płaca nędzna - dwa funty tygodniowo - i nie było żadnej możliwości awansu. Coś w rodzaju ślepej uliczki. A Gordon szukał takiej właśnie pracy. Poszedł zobaczyć się z panem McKechnie, sennym, łagodnym, starym Szkotem o czerwonym nosie i białej brodzie obsypanej tabaką, i został przyjęty bez wahania. Jego tomik, *Myszy*, właśnie miał się wówczas ukazać. Przyjął go siódmy z kolei wydawca, któremu go posłał. Gordon nie wiedział, że to zasługa Ravelstona, który był osobistym przyjacielem wydawcy. Zawsze załatwiał po kryjomu takie rzeczy początkującym poetom. Gordon sądził, że otwierała się przed nim przyszłość. Był człowiekiem z przyszłością - lub według aspidistralnych pojęć Smileisa, człowiekiem *bez* przyszłości.

W biurze dał miesięczne wypowiedzenie. Była to przykra sprawa. Julia bardzo się oczywiście zmartwiła tym powtórny porzuceniem „dobrej” posady. Gordon znał już wówczas Rosemary. Nie próbowała go powstrzymać od porzucenia pracy. Mieszanie się w cudze sprawy było wbrew jej zasadom - miała zawsze postawę typu „każdy żyje własnym życiem”. Zupełnie jednak nie pojmowała, dlaczego to robi. Najbardziej wszakże wytrąciła go z równowagi rozmowa z panem Erskine'em. Pan Erskine był naprawdę uprzejmy. Powiedział otwarcie, że nie chce, by Gordon odszedł z firmy. Z niejaką słoniowatą uprzejmością powstrzymał się od nazwania Gordona młodym głupcem. Zapytał jednak, dlaczego odchodzi. Gordon nie był w stanie uniknąć odpowiedzi, ani też powiedzieć, że szuka lepiej płatnej pracy, co było jedyną rzeczą, którą pan Erskine mógł zrozumieć. Wykrztusił z zakłopotaniem, że „nie sądzi, by świat interesu mu odpowiadał” i że „chce się

poświęcić pisaniu". Pan Erskine słuchał bez komentarzy. Pisanie, co? Hm. Dużo pieniędzy w czymś takim? Niedużo, co? Hm. Nie, zapewne nie. Hm. Z poczuciem własnej śmieszności Gordon wymamrotał, że „jego książka właśnie wychodzi”. Zbiór wierszy, dodał, z trudnością wymawiając słowa. Pan Erskine przyglądał mu się z ukosa, po czym zauważył:

- Wiersze, co? Hm, Wiersze? Wyżyje się z tego, jak pan myśli?

- No, niezupełnie. Ale będzie to jakaś pomoc.

- Hm... no, cóż! Przypuszczam, że pan wie najlepiej. Jeśli kiedyś będzie pan potrzebował pracy, proszę do nas przyjść. Sądzę, że znajdziemy dla pana miejsce. Ktoś taki jak pan nam się przyda. Proszę nie zapomnieć.

Gordon odszedł z nienawistnym uczuciem, że zachował się przekornie i niewdzięcznie. Musiał jednak tak zrobić, musiał wydostać się ze świata pieniędzy. Dziwne. W całej Anglii młodzi ludzie usychali z braku posad, a Gordonowi, którego samo słowo „posada” przyprawiało o mdłości, posady narzucały się same bez jego udziału. Przykład ten potwierdza fakt, że w świecie można zdobyć wszystko, jeśli się naprawdę tego nie chce. Utkwiły mu ponadto w pamięci słowa pana Erskine'a. Przypuszczalnie mówił to poważnie. Przypuszczalnie *znajdzie się* praca dla Gordona, jeśli zechce wrócić. A więc spalił za sobą mosty tylko połowicznie. Nowy Albion czyhał nie tylko w przeszłości, lecz również w przyszłości.

Jakże był początkowo szczęśliwy w księgarni pana McKechnego! Przez chwilę - krótką chwilę - ludził się, że naprawdę wydostał się ze świata pieniędzy. Oczywiście, handel książkami był oszustwem, jak wszystkie rodzaje handlu; jakże jednak odmiennym oszustwem! Nie było tu ani pośpiechu, ani sukcesu, ani pełzania w ryszotku.

Żaden przedsiębiorczy człowiek ani przez dziesięć minut nie zniosłby zatechłego powietrza handlu książkami. Sama praca była bardzo prosta. Chodziło głównie o to, żeby przebywać w sklepie przez dziesięć godzin dziennie. Pan McKechnie nie był złym staruszkiem. Był Szkotem, oczywiście, lecz Szkotem jest ten, kto po szkocku czyni. W każdym razie raczej nie był skąpy - jego najbardziej charakterystyczną cechą było chyba lenistwo. Był również abstynentem i należał do jakiejś sekty, lecz to nie obchodziło Gordona. *Myszy* ukazały się, gdy Gordon pracował w sklepie około miesiąca. Recenzje zamieściło co najmniej trzynaście czasopism! *Dodatek Literacki* „Timesa” napisał, że książka jest „nadzwyczaj obiecująca”. Dopiero po wielu miesiącach zrozumiał, że *Myszy* oznaczały beznadziejną klęskę.

Dopiero teraz, gdy zarabiał tylko dwa funty tygodniowo i gdy praktycznie pozbawił się możliwości zarabiania więcej, pojął właściwy charakter toczony przez siebie bitwy. Sęk w tym, że blask wyrzeczenia nigdy nie trwa długo. Życie za dwa funty tygodniowo przestaje być bohaterskim gestem, a staje się wstrętnym przyzwyczajeniem. Fiasko jest takim samym oszustwem jak sukces. Porzucił „dobrą” posadę i na zawsze wyrzekł się „dobrych” posad. Było to konieczne. Nie chciał się z tego wycofać. Nie miało jednak sensu udawać, że skoro jego ubóstwo pochodzi z wyboru, udało mu się uniknąć przykrości, jakie ubóstwo za sobą pociąga. Nie była to kwestia nędzy. Nie cierpi się prawdziwej nędzy za dwa funty tygodniowo, a jeśli nawet, to jest to bez znaczenia. Brak pieniędzy szkodzi przede wszystkim umysłowi i duszy. Gdy dochód spada poniżej pewnego poziomu, nieuchronnie pojawiają się martwota umysłowa i duchowa nędza. Wiara, nadzieja, pieniądz - jedynie święty mógłby posiadać dwie pierwsze, nie posiadając trzeciego.

Stopniowo dojrzewał. Dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć. Osiągnął wiek, w którym przyszłość przestaje być różową plamą, a staje się rzeczywistością i groźną. Widok krewnych wprawiał go w coraz większe przygnębienie. Czuł z Wiekiem, że jest do nich coraz bardziej podobny. A więc zmierzał w tym kierunku! Jeszcze parę lat, a będzie jak oni, zupełnie jak oni! Odczuwał to nawet w stosunku do Julii, którą widywał częściej niż ciotkę i wuja. Pomimo postanowień, że nigdy już tego nie zrobi, pożyczal czasem pieniądze od siostry. Włosy Julii siwiały szybko, a jej chude czerwone policzki przekreślały głębokie bruzdy. Popadła w życie w pewną rutynę, ale nie czuła się nieszczęśliwa. Praca w cukierni, „szycie” wieczorami w wynajmowanym pokoju w Earl's Court (drugie piętro, od podwórka, dziewięć szylingów tygodniowo bez umeblowania), od czasu do czasu spotkania z niezamężnymi przyjaciółkami równie samotnymi jak ona. Typowe nędzne życie ubogiej niezamężnej kobiety; godziła się z nim, nie zdając sobie sprawy, że jej los mógłby być inny. Jednakże bardziej cierpiała z powodu Gordona niż z własnego powodu. Stopniowy upadek rodziny, która wymierała, niczego nie dokonawszy, uważała za tragedię. Pieniądze, pieniądze! Wiecznie lamentowała: „Nikt z nas nigdy nie zrobi pieniędzy!”. Z nich wszystkich jeden Gordon miał szansę zrobienia pieniędzy, a zdecydował tego nie robić. Bezwolnie pograżał się w tę samą koleinę ubóstwa. Po tej pierwszej kłótni była zbyt przywoita, by znowu „rzucić” się na niego, gdy zrezygnował z posady w Nowym Albionie. Jednakże jego motywy były dla niej bez znaczenia. Bez słów, po kobiecemu zdawała sobie sprawę, że grzech przeciwko pieniądżom jest grzechem najcięższym.

Jeśli zaś chodzi o ciotkę Angelę i wuja Walter* - o Boże!
- Cóż to za para! Gordon czuł się dziesięć lat starszy, gdy na nich patrzył.

Na przykład, wuj Walter. Wywierał bardzo przygnębiające wrażenie. Miał sześćdziesiąt siedem lat, jego zaś dochód z rozmaitych, agencji" i kurczących się resztek ojcowizny zbliżał się przypuszczalnie do trzech funtów tygodniowo. Miał za biuro malutką komórkę w pobliżu Cursitor Street, a mieszkał w bardzo tanim pensjonacie w Holland Park. Było to zgodne ze zwyczajem, gdyż wszyscy Comstockowie rodzaju męskiego kończyli w pensjonatach. Gdy się patrzyło na biednego starego wuja, z dużym drżącym brzuchem, o ochryłym głosie, szerokiej, bladej, nieśmiałej i nadętej twarzy, dość przypo minającej portret Henry Jamesa pędzla Sargenta, z głową całkowicie pozbawioną włosów, o bladych podpuchniętych oczach, z opadającym wąsem, który na próżno starał się podkreść - gdy się na niego patrzyło, nie można było uwierzyć, że kiedykolwiek był młody. Czy można było sobie wyobrazić, by taka istota kiedykolwiek czuła, że życie pulsuje jej w żyłach? Czy wspiał się kiedykolwiek na drzewo, skoczył na głowę z trampoliny lub się zakochał? Czy jego umysł był kiedykolwiek w stanie używalności? Czy przynajmniej we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, gdy był arytmetycznie młody, próbował zaatakować życie? Być może kilka potajemnych apatycznych wybryków. Trochę whisky w nudnych barach, parę wizyt na promenadzie w teatrze Empire, trochę łajdaczenia się po cichu; coś w rodzaju wstrętnego, monotonnego cudzołóstwa, jakiemu mogą się oddawać mumie egipskie, gdy muzeum zamykają na noc. A potem długie, spokojne lata w interesach, lata samotności i stagnacji w ohydnych pensjonatach.

Jednakże wuj nie był chyba na starość nieszczęśliwy. Posiadał jedno trwale zainteresowanie, a mianowicie swoje choroby. Twierdził, że cierpi na wszystkie choroby ze słownika medycznego, a mówienie o nich nigdy go nie nużyło. Gordon odnosił wrażenie, że nikt z ludzi w pensjonacie wuja - bywał tam czasami - nigdy nie mówił o niczym innym jak tylko o chorobach. W ciemnym salonie starzejący się, wyblakli ludzie siedzieli parami, dyskutując o objawach. Ich rozmowa była jak kapanie stalaktytu na stalagmit. Kap, kap. - Jak tam pańskie lumbago? - powiada stalaktyt do stalagmitu. - Dobrze mi robią sole z Kruschen - powiada stalagmit do stalaktytu. Kap, kap, kap.

Była ponadto ciotka Angela, sześćdziesięciodziewięcioletnia. Gordon starał się nie myśleć o ciotce Angeli częściej niż musiał.

Biedna, kochana, dobra, życzliwa, smutna ciotka Angela!

Biedna, pomarszczona, pergaminowo żółta, koścista ciotka Angela! W nędznym bliźniaczym domu w Highgate - nazywał się Briarbrae - w swym pałacu pośród gór Północy mieszka ona, Angela wiecznie dziewica, o której żaden mężczyzna, żywy czy też w krainie cieni, nie może rzec, iż na jej wargach odcisnął czułe pieścizny kochanka. Samotnie mieszka i dzień cały wędruje, dzierżąc w rękę miotłkę uczynioną z piór ogona krnąbrnego indyka, czyszcząc nią ciemnowodne aspidistry i strącając nienawistny pył z olśniewającego, nigdy nie używanego porcelanowego serwisu do herbaty z manufaktury w Derby. Coraz to pokrzepia się łykami ciemnobrązowej herbaty, marki Flowery Orange lub Pekoe Points, którą synowie Coromandelu o małych bródkach przewieźli przez morze ciemne jak wino. Biedna, kochana, dobra, życzliwa, a mimo

wszystko niesympatyczna ciotka Angela! Jej dożywocie wynosiło dziewięćdziesiąt osiem funtów rocznie (trzydzieści osiem szylingów tygodniowo, lecz zachowała mieszczański zwyczaj myślenia o dochodzie w kategoriach rocznych, a nie tygodniowych), z tego dwanaście szylingów i sześć pensów tygodniowo szło na opłaty za dom. Przypuszczalnie przymierałaby głodem od czasu do czasu, gdyby Julia nie podrzucała jej ze sklepu paczuszek z ciastkami, chlebem i masłem, zawsze określając je jako „parę drobiazgów, które szkoda było wyrzucić”, oraz udając, że ciotka Angela właściwie ich nie potrzebuje.

Jednakże biedna stara ciotka też miała swoje przyjemności. Na starość została zapaloną czytelniczką powieści, gdyż biblioteka publiczna była jedynie o dziesięć minut drogi od Briarbrae. Za swego życia dziadzio Comstock, z powodu jakiegoś kaprysu, zabronił córkom czytać powieści. Zaczawszy zatem czytanie powieści dopiero w roku 1902, ciotka Angela znajdowała się zawsze o parę dziesięcioleci w tyle za aktualną modą w prozie. Podążała jednak naprzód mozolnie, przybliżając się powolutku. Około roku 1910 nadal czytała Rhodę Broughton i panią Henry Wood. W latach wojny odkryła Halla Caine'a i panią Humphry Ward. W latach dwudziestych czytała Silasa Hockinga i H. Seton Merrimana, z początkiem zaś lat trzydziestych niemal, choć niezupełnie, dogoniła W. B. Maxwella i Williama J. Locke'a. Dalej nie mogła się posunąć. O powojennych powieściopisarzach słyszała co nieco, o ich niemoralności, bluźnierstwach i oszałamiającej „inteligencji”. Lecz nie starczy jej życia na przeczytanie ich. Znamy Walpole'a, czytamy Hichensa, lecz kto to jest Hemingway?

Był więc rok 1934 i tylko tyle pozostało z rodziny Comstocków. Wuj Walter ze swymi „agencjami” i chorobami.

Ciotka Angela odkurzająca w Briarbrae porcelanowy serwis do herbaty z manufaktury w Derby. Ciotka Charlotte, wegetująca nadal nieświadomie w przytułku dla umysłowo chorych. Julia, pracująca siedemdziesiąt dwie godziny tygodniowo i „szyjąca” wieczorami w wynajętym pokoju przy nikłym świetle gazowym. Gordon, zbliżający się do trzydziestki, zarabiający dwa funty tygodniowo w głupiej pracy i zmagający się z okropną książką, która się nie posunęła do przodu, choć stanowiła jedyny oczywisty cel jego egzystencji.

Możliwe, że żyli jeszcze inni, dalsi krewni Comstocków, gdyż dziadzio Comstock był jednym z dwanaścioro rodzeństwa. Lecz jeśli gdzieś żyli, byli bogaci i zerwali kontakt z ubogimi krewnymi, pieniądź bowiem nie krew. W rodzinie Gordona połączony dochód ich pięciorga, uwzględniając sumę wypłaconą jednorazowo, gdy ciotkę Charlotte wzięto do przytułku dla umysłowo chorych, wynosił około sześciuset funtów rocznie. Mieli w sumie dwieście sześćdziesiąt trzy lata. Nikt z nich nigdy nie wyjeżdżał z Anglii, nie walczył na wojnie, nie siedział w więzieniu, nie jeździł konno, nie podróżował samolotem, nie ożenił się ani nie urodził dziecka. Wydawało się, że będą żyli tak samo aż do śmierci. Jak rok dłużej, *nic się nigdy nie działo* w rodzinie Comstocków.

4

*Złowróźnie wicher dmąc uginał =
Giętkie topole, obnażone.*

Prawdę powiedziawszy, tego popołudnia nie było nawet najłżejszego wiatru. Pogoda niemal wiosenna. Gordon powtórzył sobie rytmicznym szeptem wiersz, który zaczął wczoraj, dla samej przyjemności jego brzmienia. W tej chwili był zadowolony z wiersza. Był to dobry wiersz - a właściwie będzie, gdy go skończy. Zapomniał, że poprzedniego wieczoru niemal przyprawiał go o mdłości.

Płatany dumwały bez ruchu, rozmazane przez blade wieńce mgły. Daleko w dole huczał tramwaj. Gordon wspinał się na Malkin Hill, szeleszcząc nogami w suchych, nawianych liściach. Pokryły cały chodnik, złote i pomarszczone, jak chrupiące płatki przyrządzane w Ameryce na śniadanie; jak gdyby królowa Brobdingnagu rozsypała po pochyłości paczkę płatków śniadaniowych Truweet.

Kapitałne są takie bezwietrzne zimowe dni! Najlepsza pora roku - tak przynajmniej Gordon wówczas myślał. Był w dobrym humorze, o ile można być w dobrym humorze, gdy się nie paliło cały dzień i ma się całego majątku tylko trzy półpensówki oraz trzypensówkę. Był czwartek, sklepy

zamykano dziś wcześniej, więc Gordon miał wolne popołudnie. Szedł do domu Paula Doringa, krytyka, który mieszkał przy Coleridge Grove i urządzał literackie herbatki.

Przygotowania zajęły mu godzinę lub więcej. Gdy zarabia się dwa funty tygodniowo, życie towarzyskie jest nader skomplikowane. Zaraz po obiedzie ogolił się z trudem w zimnej wodzie. Włożył najlepsze ubranie - miało trzy lata, ale jeszcze ujdzie, zwłaszcza że pamiętał, aby wyprasować spodnie pod materacem. Odwrócił kołnierzyk na drugą stronę i tak zawiązał krawat, aby nie było widać rozerwanego miejsca. Końcem zapalki wyskrobał dość pasty z pudełka, by wypastować buty. Nawet pożyczył igłę od Lorenheima i zacerował skarpetki - uciążliwa praca, lecz lepsze to niż pomazanie atramentem tych miejsc, gdzie wyglądała noga. Postarał się również o puste pudełko papierosów Gold Flake i włożył do niego jednego papierosa wydobytego z jednopensowego automatu. To tylko dla zachowania pozorów. Oczywiście, nie można przyjść do czyjegoś domu *bez* papierosów. Ale jeśli się ma chociaż jednego, to jest w porządku, bo widząc jednego papierosa w pudełku ludzie sądzą, że pudełko było pełne. Dość łatwo udać, że to tylko przypadek.

- Papierosa? - powiadasz do kogoś niedbale.

- Och, dziękuję.

Otwierasz pudełko i wyrażasz zdziwienie:

- Do diabła! Został mi tylko jeden. A mógłbym przysiąc, że miałem całe pudełko.

- Och, nie wezmę ostatniego. Proszę się poczęstować *moim* - powiada ten drugi.

- Och, dziękuję.

Oczywiście później gospodarz i gospodyni wmuszają w ciebie papierosy. Ale żeby było honorowo, musisz mieć choć *jednego* papierosa.

Złowróźnie wicher dmąc ugina. Wkrótce skończy ten wiersz. Może go skończyć, kiedy tylko zechce. Dziwne, jak sama perspektywa pójścia na literacką herbatkę dodała mu animuszu. Gdy zarabia się dwa funty tygodniowo, przynajmniej nie jest się udręczonym przez zbyt częste kontakty z ludźmi. Nawet widok wnętrza czyjegoś domu stanowi przyjemność. Tyłek na wyścielonym fotelu, herbata, papierosy i zapach kobiet - docenia się takie rzeczy, gdy jest się ich pozbawionym. W rzeczywistości jednak przyjęcia u Doringa nigdy w najmniejszym nawet stopniu nie przypominały tego, czego Gordon oczekiwał. Te wspaniałe, dowcipne, uczone konwersacje, które sobie przedtem wyobrażał, nigdy się nie zdarzały, nigdy się na nie nawet nie zanosilo. Właściwie nie można było tego nazwać konwersacją, a jedynie głupim paplaniem, jakie ma miejsce na wszystkich przyjęciach, w Hamstead czy w Hongkongu. Na przyjęcia u Doringa nigdy nie przychodził nikt wybitny. Zresztą sam Doring był tak sparszywiałym lwem, że jego świty nie można było nazwać nawet szakalami. Połowę stanowiły kobiety w średnim wieku, o kurzych mózdkach, które niedawno uciekły z dobrych chrześcijańskich domów i zdradzały literackie ambicje. Okazowe egzemplarze można było spotkać w grupach zdolnych młodzieńców, którzy wpadali na pół godziny, tworzyli własne kółka i chichocząc rozmawiali o innych zdolnych młodzieńcach, operując ich przydomkami. Gordon przeważnie obijał się po obrzeżach konwersacji. Doring był życzliwy w swoiście niedbały sposób i przedstawiał go każdemu: „Gordon Comstock - wie pan, poeta. Napisał ten piekielnie inteligentny tom wierszy *Myszy. Wie pan*". Jednakże Gordon nigdy nie spotkał nikogo, kto by *wiedział*. Zdolni młodzieńcy oceniali go jednym rzutem oka i ignorowali. Miał około trzydziestki, był zniszczony i wyraźnie bez grosza. Jakże jednak

niecierpliwie wyglądał tych literackich herbatek, pomimo rozczarowania, które zawsze przynosiły. Stanowiły przynajmniej odmianę w jego samotności. Ubóstwo ma w sobie tę piekielną, stałą cechę - samotność. Dzień po dniu bez jednej inteligentnej osoby, do której można by otworzyć usta; noc po nocy w ohydny pokoju, zawsze sam. Może to zabawne, gdy jest się bogatym i rozrywającym towarzysko, lecz jakże to inaczej wygląda, gdy zmusza do tego konieczność!

Złowróźnie wicher dmąc ugina. Potok aut z warkotem wspiął się lekko na wzgórze. Gordon patrzył na nie bez zawiści. Komu potrzebne auto? Z okien samochodów spoglądały na niego różowe, lalkowate twarze kobiet z wyższych sfer. Cholerne kretyńskie pieski pokojowe. Rozpieszczone suki drzemiące na łańcuchach. Lepiej być samotnym wilkiem niż płaszczącym się psem. Pomyślał o stacjach metra wczesnym rankiem. Czarne tłumy urzędników pędzą pod ziemię jak mrówki do dziury; roje podobnych do mrówek ludzików, każdy z teczką w prawej ręce, gazetą w lewej, w sercu zaś tkwi jak robak strach przed wyrzuceniem z pracy. Jakże ich zżera ten ukryty strach! Zwłaszcza w zimowe dni, gdy słyszą złowróbną groźbę w wietrze. Zima, wyrzucenie z pracy, przytułek, ławki na bulwarze! Ach!

Złowróźnie wicher dmąc ugina

Giętkie topole, obnażone.

Kominów ciemna splywa wstęga;

Miotany w tę, to w tamtą stronę

Trzepocze plakat; mroźną nutą

Warczą tramwaje, grzmią podkowy

W drodze na stację urzędniczy

Drząc spoglądają ku wschodowi.

Każdy rozmyśla -

O czym rozmyślają? Nadchodzi zima. Czy mam pewną pracę? Zwolnienie oznacza przytułek. Obrzeźajcie napletki, powiada Pan. Zlizujcie pastę z butów szefa. Tak!

*Każdy rozmyśla: „Idzie zima!
Daj Bóg, bym nie utracił pracy!”
Gdy mróz wnętrzości im przesywa
Ostrzem swej lodowatej racy,
Myślą -*

Znowu „myślą”. Nieważne. O czym myślą? Pieniądze, pieniądze! Czynnysz, opłaty, podatki, rachunki za szkołę, bilety miesięczne, buty dla dzieci. I polisa ubezpieczeniowa, i pensja kuchty. Mój Boże, a jeśli żona znowu zajdzie w ciążę! Czy dość głośno się śmiałem, gdy szef opowiadał wczoraj ten dowcip? I następna rata za odkurzacz.

Zgrabnie, ciesząc się z własnej zrzeczności, z poczuciem, że wstawia kawałek za kawałkiem do układanki, ułożył następną zwrotkę:

*Myślą o czynszu, o podatkach,
O pensji kuchty - węgiel zdrożał -
Butach, rachunkach oraz ratach
Za dwa małżeńskie, miękkie łoża.*

Nieźle, całkiem nieźle. Skończy to szybko. Jeszcze cztery lub pięć zwrotek. Ravelston to wydrukuje.

W nagich konarach platana siedział szpak nucąc żałośnie, jak mają to szpaki w zwyczaju w ciepłe zimowe dni, gdy myślą, że wiosna nadchodzi. U stóp drzewa siedział bez ruchu, z otwartym pyskiem, ogromny rudawy kot, patrząc w górę z pożądaniem, najwyraźniej oczekując, że szpak spadnie mu prosto do pyska. Gordon powtórzył cztery ukończone zwrotki wiersza. Był naprawdę dobry. Dlaczego poprzedniego wieczora wydawał

mu się mechaniczny, słaby i płytki? Był poetą. Szedł bardziej wyprostowany, niemal wyzywająco, dumny jak poeta. Gordon Comstock, autor *Myszy*. „Niezwyczajnie obiecujący”, jak napisał *Dodatek Literacki* „Timesa”. Również autor *Rozrywek londyńskich*. To też wkrótce ukończy. Wiedział teraz, że może je skończyć, gdy tylko zechce. Dlaczego stracił nadzieję? Może to zająć trzy miesiące; dość czasu, by wyszły w lecie. Oczyma duszy ujrzał „zgrabny” biały płócienny kształt *Rozrywek londyńskich*: świetny papier, szerokie marginesy, dobra czcionka typu Caslon, wykwinna obwoluta. Recenzje w najlepszych czasopismach. „Wybitne osiągnięcie” - *Dodatek Literacki* „Timesa”. „Wreszcie coś odmiennego niż szkoła Sitwelów” - „Scrutiny”.

Coleridge Grove była to wilgotna, cienista, odludna ulica, pozbawiona ruchu, gdyż stanowiła ślepy zaułek. Ciążyły nad nią błędne literackie skojarzenia (powiadano, że Coleridge mieszkał tu przez sześć tygodni w lecie 1821 roku). Gdy patrzyłeś na te wiekowe niszczące domy, odsunięte od ulicy, w wilgotnych ogrodach pod ciężkimi drzewami, czułeś, jak cię przenika atmosfera zamierzchłej „kultury”. W niektórych domach nadal z pewnością kwitły towarzystwa imienia Browninga, a panie w artystycznych sukiennych szatach siadywały u stóp przebrzmiałych poetów, rozmawiając o takich poetach jak Swinburne i Walter Pater. Na wiosnę ogrody roiły się od fioletowych i żółtych krokusów, a później dzwonek, które wschodziły elficznymi kółeczkami w anemicznej trawie; Gordonowi wydawało się, że nawet drzewa przystosowały się do środowiska i poskręcały w kapryśne kształty w stylu Rackhama. Dziwne, że taki zamożny, tyrający krytyk jak Paul Doring mieszkał w tego rodzaju miejscu. Doring był zaskakująco złym krytykiem. Recenzował powieści

w „Sunday Post” i z godną Walpole'a regularnością raz na dwa tygodnie odkrywał wielką angielską powieść. Można było sądzić, że wynajmuje mieszkanie w Hyde Park Corner. Możliwe że była to pokuta, jaką na siebie nałożył, jak gdyby przez mieszkanie w wykwintnej niewygodzie Cole-ridge Grove chciał przebłagać obrażone bogi literatury.

Gordon minął róg, powtarzając sobie linijkę z *Rozrywek londyńskich*. Nagle się zatrzymał. Brama Doringa wyglądała jakoś nie tak. Co to było? Ach, oczywiście! Nie było przed nią samochodów.

Postał chwilę, zrobił parę kroków i znowu stanął, jak pies wietrzący niebezpieczeństwo. To było nie w porządku. *Powinny* być samochody. Na przyjęciach u Doringów bywało zwykle mnóstwo ludzi, a połowa przyjeżdżała samochodami. Dlaczego nikt nie przyszedł? Może jest za wcześnie? Nie! Powiedzieli, że o wpół do czwartej, a była już co najmniej za dwadzieścia czwarta.

Pospieszył w kierunku bramy. Był już właściwie pewny, że przyjęcie odwołano. Owionął go chłód, jak gdyby od cienia chmury. Może Doringów nie ma w domu?! Może przyjęcie odwołano?! Choć myśl ta przeraziła go, nie wydawała się nieprawdopodobna. Był to jego postrach, dziecinny lęk, który go prześladował, że go zapraszają, a potem nie zastaje nikogo w domu. Nawet gdy zaproszenie nie budziło wątpliwości, zawsze na wpół oczekiwał, że wystąpi jakaś komplikacja. Nigdy nie był pewien, jak go przyjmą. Uważał za oczywiste, że ludzie będą mu robić afronty i zapominać o nim. Dlaczego nie? Nie miał pieniędzy. Gdy się nie ma pieniędzy, życie jest jednym pasmem afrontów.

Popchnął żelazną bramę. Zaskrzypiała samotnym dźwiękiem. Wilgotną, pokrytą mchem ścieżkę okalały odłamki różowego kamienia na modłę Rackhama. Gordon przyjrzał się uważnie fasadzie domu. Tak był do tego

przyzwyczajony. Wykształcił w sobie coś w rodzaju techniki Sherlocka Holmesa dla wykrywania, czy dom jest zamieszkały, czy nie. Tym razem nie było wątpliwości. Dom wyglądał na opustoszały. Nie było dymu z kominów, okna się nie świeciły. Wewnątrz musiało już być ciemnawo - zapaliliby chyba lampy? Na schodach żadnych śladów stóp; jasna sprawa. Mimo to z rozpaczliwą nadzieją pociągnął za dzwonek. Oczywiście staromodny dzwonek. Posiadanie elektrycznego dzwonka uznano by na Coleridge Grove za trywialne i nieliterackie.

Dzyń, dzyń, dzyń! zadzwonił dzwonek.

Ostatnia nadzieja Gordona zniknęła. Bez wątpienia głuchy brzęk dzwonka rozbrzmiewał w zupełnie pustym domu. Powtórnie chwycił za rączkę i szarpnął tak, że omal nie urwał drutu. Odpowiedział mu okropny, wrzaskliwy dźwięk. Było to bez sensu, zupełnie bez sensu. W domu nie było nikogo. Nawet służba wyszła. W tej samej chwili zauważył koronkowy czepek, ciemne włosy i parę młodzieńczych oczu przyglądających mu się ukradkiem z sufereny sąsiedniego domu. Była to służąca, która wyjrzała sprawdzić, skąd ten hałas. Napotkała jego wzrok, więc popatrzyła w dal. Wiedział, że wygląda jak dureń. Zawsze się wygląda na durnia dzwoniąc do pustego domu. Nagle przyszło mu na myśl, że dziewczyna wie o nim wszystko - wie, że przyjęcie odwołano i że zawiadomiono wszystkich, z wyjątkiem Gordona - wie, że stało się tak dlatego, że on nie ma pieniędzy i że nie warto zawracać sobie głowy zawiadamianiem go. Wiedziała. Służba zawsze wie.

Odrócił się i skierował ku bramie. Śledzony przez służącą musiał odchodzić niedbale, jak gdyby było to drobne rozczarowanie, które nie miało znaczenia. Lecz tak trząsał się z gniewu, że było mu trudno opanować ruchy. Skurwysyny! Cholerne skurwysyny! Zęby tak go

urządzić! Zaprosili go, a potem zmienili datę i nie pofatygowali się go zawiadomić! Mogły być inne przyczyny, ale nie chciał o tym myśleć. Skurwysyny, cholerne skurwysyny! Jego wzrok padł na odłamek kamienia na modłę Rackhama. Jakaż miałby ochotę podnieść go i cisnąć w okno! Chwycił zardzewiałą sztchetę w bramie tak silnie, że aż go zabolęła ręka i omal jej nie zranił. Ból fizyczny dobrze mu zrobił. Przeciwdziałał cierpieniu duszy. Nie chodziło tylko o to, że pozbawiono go wieczoru spędzonego w towarzystwie, choć i to dużo znaczyło. Chodziło o to, że był bezradny, bez znaczenia, że go odsunięto, zignorowano jak istotę, którą nie warto się przejmować. Zmienili datę i nie zadali sobie trudu, żeby go zawiadomić. Zawiadomili wszystkich, lecz nie jego. Tak cię traktują, gdy nie masz pieniędzy! Obrażają złośliwie i rozmyślnie. Prawdopodobnie Doringowie naprawdę zapomnieli, bez żadnych złych intencji; możliwe, że on sam pomylił datę. Lecz nie! Nie chce o tym myśleć! Doringowie postąpili tak specjalnie. To *oczywiste*, że postąpili tak specjalnie! Po prostu nie zadali sobie trudu, żeby go zawiadomić, bo nie ma pieniędzy i wobec tego nic nie znaczy. Skurwysyny!

Oddalał się pospiesznie. W piersi czuł przenikliwy ból. Kontakty z ludźmi, ludzkie głosy! Na cóż się jednak zdadzą pragnienia? Będzie musiał spędzić wieczór samotnie, jak zwykle. Przyjaciół miał mało i mieszkali daleko. Rosemary jeszcze była w pracy; poza tym mieszkała na końcu świata, w West Kensington, w pensjonacie dla kobiet, którego strzegły smoki płci żeńskiej. Ravelston mieszkał bliżej, w okolicy Regent's Park. Lecz Ravelston był bogaty i prowadził urozmaicone życie towarzyskie; mało prawdopodobne, by zastał go w domu. Gordon nie mógł nawet do niego zatelefonować, gdyż nie miał

potrzebnych na to dwóch pensów; jedynie trzy półpensówki i trzypensówkę. Ponadto, jak mógł pójść do Ravelstona, gdy nie miał pieniędzy? Ravelston z pewnością powie: „Chodźmy do knajpy”, lub coś w tym rodzaju. Nie może pozwolić, by Ravelston fundował mu alkohol. Przyjaźń z Ravelstonem była możliwa tylko przy założeniu, że zawsze pokrywał swoją część kosztów.

Wyjął jedyne go papierosa i zapalił. Przy szybkim marszu palenie nie sprawiało mu przyjemności; był to jedynie lekkomyślny gest. Nie zwracał uwagi, dokąd idzie. Chciał tylko się zmęczyć, chodzić tak długo, dopóki fizyczne zmęczenie nie przyćmi afrontu u Doringów. Kierował się mniej więcej na południe - przez pustkowia Camden Town, przez Tottenham Court Road. Od pewnego czasu było już ciemno. Minął Oxford Street, przedostał się przez Covent Garden, znalazł się na Strandzie, po czym przeszedł przez rzekę mostem Waterloo. Wieczorem zrobiło się zimno. W miarę marszu gniew nieco się zmniejszał, lecz nastrój niezbyt mu się poprawił. Prześladowała go myśl - myśl, przed którą uciekał, lecz przed którą nie było ucieczki. Myśl o wierszach. Jego bezsensowne, głupie, błahe wiersze! Jakże mógł kiedykolwiek w nie uwierzyć! Pomyśleć, że tak niedawno wyobrażał sobie, że nawet z *Rozrywek londyńskich* kiedyś coś będzie. Myśl o wierszach przyprawiała go teraz o mdłości. Zupełnie jak wspomnienie wczorajszej rozpusty. Wiedział instynktownie, że jest nic niewart i że jego wiersze nic nie są warte. Nigdy nie skończy *Rozrywek londyńskich*. Nawet gdyby dożył tysiąca lat, nigdy nie napisze linijki, która byłaby coś warta. W poczuciu nienawiści do samego siebie powtarzał cztery zwrotki wiersza, który zaczął komponować. Boże, co za kicz! Rym do rymu - dzyń, dzyń, dzyń! Głuche jak pusta puszką po herbatnikach. A więc na taki gnój zmarnował życie.

Zaszedł daleko, może pięć lub siedem mil. Stopy miał rozpalone i nabrzmiałe od chodzenia. Znajdował się gdzieś w Lambeth, w nędznej dzielnicy, gdzie wąskie, pełne kałuż uliczki zanurzały się w ciemność w odległości pięćdziesięciu metrów. Nieliczne lampy, otoczone mgłą, wisiały jak pojedyncze gwiazdy, oświetlając jedynie same siebie. Był potwornie głodny. Nęciły go kawiarnie o zaparowanych oknach i nagryzmołonych kredą napisach: „Filiżanka dobrej herbaty, 2 pensy. Nie używa się dzbanków”. Lecz to na nic, nie mógł wydać trzypensówki. Przeszedł pod hałaśliwymi przesłami kolejowymi i skierował się zaułkiem w kierunku Hungerford Bridge. Na powierzchni błotnistej wody, oświetlonej blaskiem reklam, gnój wschodniego Londynu mknął w górę rzeki. Korki, cytryny, deski, zdechły pies, kromki chleba. Gordon poszedł bulwarem w kierunku Westminsteru. Wiatr grzechotał platanami. *Złowróźnie wicher dmąc ugina*. Skrzywił się. Znów ten kicz! Choć był już grudzień, kilku biednych obszarpanych wyrzutek układało się na ławkach, otulając się zwojami gazet. Gordon patrzył na nich bez litości. Po żebracku, jak to powiadają. Kiedyś i jemu na to przyjdzie. Może tak jest lepiej? Nigdy nie czuł litości w stosunku do prawdziwych biedaków. Litości potrzebują biedacy w czarnych ubraniach, ze średnich klas średnich.

Doszedł do Trafalgar Square. Jeszcze wiele godzin do zabicia. Galeria Narodowa? Ach, oczywiście dawno już zamknięta. Z pewnością. Był kwadrans po siódmej. Jeszcze trzy, cztery, pięć godzin, zanim będzie mógł usnąć. Siedem razy obszedł powoli plac. Cztery razy zgodnie z ruchem wskazówek zegara, trzy razy odwrotnie. Bolały go nogi, a choć większość ławek była wolna, nie chciał usiąść. Gdyby się zatrzymał choć na chwilę, zapragnąłby papierosa. Na Charing Cross

Road herbaciarnie przyzywały niczym syreny. Szklane drzwi restauracji Lyonsa otwały się, wypuszczając falę gorącego, pachnącego ciastkami powietrza. Omal się nie poddał. Właściwie, dlaczego by nie wejść? Można tam posiedzieć prawie przez godzinę. Herbata, dwa pensy, dwie bułeczki po pensie. Miał cztery i pół pensa, wliczając trzypensówkę. Lecz nie! Cholerna trzypensówka! Dziewczyna przy kasie będzie chichotać. Ujrzał wyraźnie dziewczynę przy kasie, jak bierze do ręki jego trzypensówkę, uśmiechając się ironicznie do dziewczyny za ladą z ciastkami. Będą wiedziały, że to ostatnia trzypensówka. Nie ma sensu. Dalej. Idź dalej.

Oświetlone upiornym blaskiem neonów chodniki były zatłoczone. Gordon przepychał się, drobna wyświechtana postać o bladej twarzy i rozczochranych włosach. Tłum przemykał obok; unikał ludzi i jego unikano. Londyn wieczorem jest okropny; zimny, anonimowy, pełen rezerwy. Siedem milionów ludzi przemyka we wszystkich kierunkach, unikając kontaktów, nieświadomi istnienia innych, niczym ryby w akwarium. Ulica roiła się od ładnych dziewcząt. Przepływały obok całymi dziesiątkami, z odwróconymi lub niewidzącymi twarzami; zimne nimfy lękające się spojrzenia mężczyzny. Wiele z nich szło samotnie lub z inną dziewczyną. Zauważył, że było znacznie więcej samotnych kobiet niż kobiet z mężczyznami. To także sprawa pieniędzy. Ileż dziewcząt pozostanie raczej bez mężczyzny, niż weźmie sobie mężczyznę bez pieniędzy?

Knajpy były otwarte, wydobywały się z nich kwaśne opary piwa. Ludzie sączyli się do kin pojedynczo lub parami. Gordon zatrzymał się przed jaskrawo oświetlonym kinem, by obejrzeć fotosy, śledzony znużonym wzrokiem portiera. Greta Garbo w *Malowanej zasłonie*.

Pragnął wejść do środka, nie ze względu na Gretę, lecz dla ciepła i miękkości pluszowego fotela. Oczywiście nie znosił filmów, rzadko na nie chodził, nawet gdy go było na to stać. Dlaczego popierać sztukę, która zastąpi literaturę? Jednakże jest w tym jakaś lepka atrakcja. Siedzisz w wyściełanym fotelu, w ciepłej, pachnącej dymem ciemności, a migające na ekranie bzdury powoli cię zalewają, czujesz, że fale głupoty cię opływają, aż zdajesz się tonąć w oszołomieniu w kleistym morzu - jest to przecież narkotyk, jakiego potrzebujemy. Właściwy narkotyk dla ludzi pozbawionych przyjaciół. Gdy zbliżał się do Pałace Theatre, zauważyła go ulicznica stojąca na warcie przed wejściem, wynurzyła się i stanęła mu na drodze. Niska, krępa Włoszka, bardzo młoda, z dużymi czarnymi oczyma. Wyglądała sympatycznie i wesoło, co tak rzadkie u ulicznic. Zatrzymał się na chwilę, nawet odważył się spojrzeć na nią. Patrzyła na niego, gotowa rozpląnąć się w szerokim uśmiechu. Dlaczegoż by się nie zatrzymać i nie porozmawiać? Robiła wrażenie kogoś, kto mógłby go zrozumieć. Lecz nie! Nie ma pieniędzy! Odwrócił wzrok i ominął ją z chłodnym pośpiechem człowieka, którego ubóstwo czyni cnotliwym. Jakże byłaby wściekła, gdyby się zatrzymał, a ona się później przekonała, że on nie ma pieniędzy! Szedł naprzód. Nawet rozmowa kosztuje.

Przejdzie przez Tottenham Court Road i Camden Road było ponure i mozolne. Szedł wolniej, powłócząc nieco nogami. Przemaszzerował dziesięć mil. Nadal przepływały obok dziewczęta, nie zwracając nań uwagi. Dziewczęta samotne, dziewczęta z młodzieńcami, dziewczęta z innymi dziewczętami, dziewczęta samotne. Spojrzenia okrutnych młodzieńczych oczu przesuwają się po nim i przez niego, jak gdyby nie istniał. Zbyt był zmęczony, by czuć się dotkniętym. Ramiona ugięły mu się ze

zmęczenia; przygarbił się, nie próbując już zachować wyprostowanej postawy i zawadiackiej miny. Pierzcha przede mną, kto mnie ongi szukał. Czyż można im mieć za złe? Miał trzydzieści lat, był zniszczony i niepociągają-cy. Dlaczego jakaś dziewczyna miałaby na niego spojrzeć?

Przyszło mu na myśl, że musi natychmiast iść do domu, jeśli chce zjeść kolację, gdyż Mama Wisbeach nie podawała posiłków po dziewiątej. Jednakże myśl o zimnej sypialni bez kobiety przyprawiała go o mdłości. Wejść na schody, zapalić gaz, opaść na krzesło przy stole, mając przed sobą tyle czasu do zabicia i nic do roboty, nic do czytania, nic do palenia - nie, to było zupełnie nie do zniesienia. W Camden Town knajpy były pełne ludzi i hałasu, choć był dopiero czwartek. Trzy kobiety o czerwonych ramionach, przysadziste jak trzymane przez nie kufle piwa, stały rozmawiając przed knajpą. Z wewnątrz dobiegały ochryple głosy, dym papierosowy, opary piwa. Gordon pomyślał o Crichton Arms. Mógł tam być Flaxman. Czemu nie zaryzykować? Małe piwo, trzy i pół pensa. Miał cztery i pół pensa, licząc trzypensówkę. Przecież trzypensówka jest legalnym środkiem płatniczym.

Już poczuł straszliwe pragnienie. To był błąd, że pomyślał o piwie. Zbliżając się do Crichton, usłyszał śpiewy. Ogromna jaskrawa knajpa wydawała się oświetlona jaśniej niż zwykle. Odbywał się jakiś koncert czy coś w tym rodzaju. Dwadzieścia głębokich męskich głosów śpiewało unisono:

*Bo faajny snieeego chop,
Bo-o faajny snieeego chop,
Bo faajny snieeego choop,
Taa mówi kaaażdy snas!*

Tak to przynajmniej brzmiało. Gordon podszedł bliżej, przeszyty gwałtownym pragnieniem. Głosy były tak lep-

kie, tak opite piwem. Słyszając je, widziało się szkarłatne twarze zamożnych hydraulików. Za barem znajdowało się prywatne pomieszczenie, gdzie Bawoły odbywały sekretne zgromadzenia. To z pewnością oni śpiewali. Czciłi opilstwem swego prezydenta, sekretarza, Wielkiego Trawożercę, czy jak go tam zwać. Gordon zawahał się przed lepszym barem. Może lepiej pójść do zwykłego baru. Piwo z beczki w zwykłym, piwo butelkowane w lepszym. Dobiegły go zdławione piwem głosy:

I taa mówi kaaaždy sna,

I kaaaždy sna -

Bo-o faaajny sniego chop.

Bo faaajny snieeego chop -

Przez chwilę było mu słabo. Zarówno z pragnienia, jak z głodu i zmęczenia. Mógł sobie wyobrazić przytulny pokój, gdzie śpiewały Bawoły: huczący ogień, duży lśniący stół, bycze fotografie na ścianach. Gdy śpiew się urwał, mógł sobie również wyobrazić dwadzieścia szkarłatnych twarzy znikających w kufkach piwa. Włożył rękę do kieszeni, by się upewnić, że ma jeszcze trzypensową monetę. Dlaczegoż by nie? Któż zwróci uwagę w zwykłym barze? Ciśniesz trzypensówkę na bar jakby żartem. - Schowałem ze świątecznego ciasta - ha, ha! - Śmiech dookoła. Już mu się zdawało, że czuje na języku metaliczny smak piwa z beczki.

Niezdecydowanie obracał w palcach malutki krążek. Bawoły podjęły znowu:

I taa mówi kaaždy sna,

I kaaaždy sna!

Bo-o faaajny sniego chop.

Gordon zawrócił do lepszego baru. Okno było z matowego szkła, nieco zaparowane od gorąca. Można było

jednak zajrzeć do wnętrza przez szparki. Zerknął. Tak, był tam Flaxman.

Lepszy bar był zatłoczony. Jak wszystkie pomieszczenia oglądane z zewnątrz, wyglądał niezwykle przytulnie. Płonący na kominku ogień płażał, odbijając się w mosiężnych spluwaczkach. Gordonowi się wydało, że czuje zapach piwa poprzez szkło. Flaxman podpierał bar wraz z dwoma kumplami o rybich twarzach, wyglądającymi na agentów ubezpieczeniowych lepszej klasy. Oparłszy łokieć na barze, nogę na podpórcę, z ociekającym piwem kuflem w drugiej ręce, przekomarzał się z rezolutną blond bufetową. Stała na krześle za barem ustawiając butelki z piwem i gadając szelmowsko przez ramię. Nie było słyhać, co mówili, lecz można się było domyślać. Flaxman opowiedział parę niezapomnianych dowcipów. Mężczyźni o rybich twarzach zarykiwali się sprośnym śmiechem. Rezolutna blondyna, chichocząc, na wpół oburzona, na wpół zachwycona, kręciła zgrabnym tyłeczkiem.

W Gordonie serce omdlało. Być tam, po prostu być tam w środku! W ciepłe i światło, rozmawiać z ludźmi, mieć piwo i papierosy, flirtować z dziewczyną! Dlaczegoż by nie wejść? Można pożyczyć szylinga od Flaxmana. Flaxman pożyczy. Wyobraził sobie niedbałą zgodę Flaxmana: - Hola, kochasiu! Jak życie? Co? Szylinga? Jasne! Bierz dwa. Łap, kochasiu! - i dwuszylingowa moneta śmiga przez mokry od piwa bar. Flaxman był na swój sposób przyzwoity.

Gordon położył rękę na drzwiach wahadłowych. Nawet je nieco popchnął. Przez szczelinę wymknął się ciepły opar dymu i piwa. Znajomy, orzeźwiający zapach: a jednak ten zapach odebrał mu odwagę. Nie! Nie może wejść. Zawrócił. Nie może się wpychać do lepszego baru, mając jedynie cztery i pół pensa w kieszeni. Nie można po-

zwolnić, by inni ci stawiali! Pierwsze przykazanie biedaków. Odszedł ciemnym chodnikiem.

*Bo faaajny snieeego cho-op
-Taa mówi kaazdy snas! I taa
mówi kaazdy sna! I kaa -*

Słabnące z oddaleniem głosy biegły za nim, niosąc z sobą nikły posmak piwa. Gordon wyjął z kieszeni trzypensową monetę i cisnął ją w mrok.

Szedł do domu, jeśli „szedł” było odpowiednim słowem. W każdym razie ciążył w tym kierunku. Nie miał ochoty iść do domu, ale musiał gdzieś usiąść. Nogi go bolały, stopy miał poobcierane, ten wstrętny pokój zaś był jedynym miejscem w Londynie, gdzie sobie opłacił prawo do siedzenia. Wśliznął się cicho, lecz jak zwykle nie na tyle cicho, by go nie usłyszała pani Wisbeach. Obrzuciła go zza drzwi krótkim, wścibskim spojrzeniem. Było pewnie nieco po dziewiątej. Może by mu dała kolację, gdyby ją poprosił. Ale będzie narzekać i robić łaskę, więc woli raczej pójść spać głodny.

Zaczął iść na górę po schodach. Był w połowie pierwszej kondygnacji, gdy aż podskoczył na odgłos podwójnego stukania. Poczta! Może list od Rosemary!

Kłapa na listy podniosła się, popchnięta z zewnątrz, i z wysiłkiem, jak czapla zwracająca płaszczkę, zwymiotowała na matę pakiet listów. Gordonowi waliło serce. Było ich sześć lub siedem. Na pewno pomiędzy nimi musi być jakiś dla niego! Pani Wisbeach wypadła jak zwykle ze swojej nory na odgłos stukania listonosza. W ciągu dwóch lat Gordonowi nigdy się nie udało zabrać listu, zanim pani Wisbeach położyła na nim rękę. Przycisnęła je zazdrośnie do piersi, po czym zaczęła odczytywać adresy, podnosząc je po kolei do góry. Jej zachowanie wskazywało, iż podejrzewała, że każdy

zawiera wezwanie sądowe, nieprzyzwoity list miłosny lub reklamę pigułek na sztuczne poronienia.

- Dla pana, panie Comstock - powiedziała kwaśno, wręczając mu list.

Serce mu zamarło. Podłużna koperta. A więc nie od Rosemary. Ach! Zaadresowana jego własnym pismem. W takim razie od redakcji. Miał dwa wiersze w czasopiśmie. Jeden w „Californian Review”, drugi w „Primrose Quarterly”. Ale znaczek nie był amerykański. A w „Primrose” trzymali jego wiersz co najmniej od sześciu tygodni! Dobry Boże, a jeśli go przyjęli?

Zapomniał o istnieniu Rosemary. Powiedział: „dziękuję!”, wepchnął list do kieszeni i ruszył po schodach, pozorując spokój, lecz gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku pani Wisbeach, pomknął, przeskakując po trzy stopnie. Musiał być sam przy otwieraniu listu. Już przed drzwiami szukał zapalek, lecz ręce tak mu się trzęsły, że zapalając gaz uszkodził klosz. Usiadł i wyjął list z kieszeni, ale wówczas zabrakło mu odwagi. Przez chwilę nie mógł zdobyć się na otwarcie listu. Podniósł go pod światło i pomacał, czy jest gruby. Jego wiersz był na dwóch arkuszach. Następnie, wymyślając sobie odurniów, rozerwał kopertę. Wypadł z niej jego wiersz wraz ze zgrabnym - och, jak zgrabnym! - zadrukowanym arkusikiem sztucznego pergaminu:

Rędką z żalem zawiadamia, że nie skorzysta z załączonego materiału.

Arkusik ozdabiał wzór z pogrzebowych liści wawrzynu.

Gordon patrzył nań z niewysłowioną nienawiścią. Żaden afront nie jest tak morderczy, gdyż żaden nie jest tak bezsporny. Nagle znienawidził swój wiersz i zaczął się go bardzo wstydzić. Nie spojrzawszy na niego, podał go na kawałeczki i cisnął do kosza na śmieci. Na zawsze wyrzuci ten wiersz z pamięci. Jednak druczku od redakcji jeszcze nie

podarł. Macał go, wyczuwając jego nienawistną gładkość. Taki elegancki drobiazg, drukowany taką wspaniałą czcionką. Na pierwszy rzut oka widać, że nadszedł z „dobrego” czasopisma - snobistycznego, intelektualnego czasopisma, mającego za sobą pieniądze wydawnictwa. Pieniądze, pieniądze! Pieniądze i kultura! Głupio postąpił. Co za pomysł, żeby wysłać wiersz do takiej gazety jak „Primrose”! Jak gdyby przyjmowali wiersze od takich ludzi jak on. Już sam fakt, że wiersz nie był napisany na maszynie, świadczył o tym, kim był. Równie dobrze mógłby zostawić kartę wizytową w pałacu Buckingham. Pomyślał o ludziach, którzy pisali dla „Primrose”: koteria zamożnych intelektualistów, gładkich, wytwornych młodych zwierzaków, którzy wyssali pieniądze i kulturę z mlekiem matki. Pomyśleć, że próbował wcisnąć się w ten tłum pedałów! Mimo to przeklinał ich. Skurwysyny! Cholerne skurwysyny! „Redakcja z żalem zawiadamia”! Po co ta cholerna obłuda? Dlaczego nie powiedzieć po prostu: „Nie chcemy pańskich cholernych wierszy. Przyjmujemy wiersze tylko od gości, z którymi studiowaliśmy razem w Cambridge. Proletariusze trzymajcie się z daleka”. Cholerne, obłudne skurwysyny! Wreszcie zmiął arkusik od redakcji, wyrzucił i powstał. Lepiej pójść do łóżka, póki ma jeszcze dość energii, by się rozebrać. Łóżko było jedynym ciepłym miejscem. Ale zaraz. Nakręcić zegar, nastawić budzik. Wykonał znajomą czynność, odczuwając śmiertelne zmęczenie. Napotkał wzrokiem aspidistrę. Od dwóch lat mieszkał w tym ohydny pokoju; od dwóch lat, niczego nie dokonawszy. Siedemset straconych dni, z których wszystkie kończyły się w pustym łóżku. Afronty, klęski, obelgi, żadna nie pomszczona. Pieniądze, pieniądze, pieniądze to wszystko! Ponieważ nie miał pieniędzy, „Primrose” odrzucił jego wiersz, ponieważ nie miał pieniędzy, Rosemary nie chciała

z nim spać. Fiasko towarzyskie, fiasko artystyczne, fiasko seksualne - nie ma różnicy. Ich przyczyną jest brak pieniędzy.

Musi się odegrać na kimś lub na czymś. Nie mógł iść do łóżka, mając myśli zajęte odmową redakcji. Pomyślał o Rosemary. Ostatnio pisała pięć dni temu. Gdyby dostał od niej list tego wieczoru, nawet ta nauczka dana mu przez „Primrose Quarterly” nie miałyby takiego znaczenia. Oświadczała, że go kocha, a jednak nie chciała z nim spać, nie chciała nawet do niego pisać! Była taka jak wszyscy. Pogardzała nim i zapomniała o nim, ponieważ nie miał pieniędzy i wobec tego nic nie znaczył. Napisze do niej długi list i powie jej, co to znaczy czuć się lekceważonym i obrażonym, unaoczni jej, jak okrutnie z nim postąpiła.

Znalazł czysty arkusz papieru i napisał w prawym górnym rogu:

31 Willowbed Road, NW. 1 grudnia, 9.30 włącz.

Napisawszy to, poczuł, że nie może napisać nic więcej. Był w nastroju takiego przygnębienia, że nawet napisanie listu stanowiło zbyt wielki wysiłek. Poza tym, jaki to miało sens? Ona nigdy tego nie zrozumie. Kobiety nigdy nie rozumieją. Musi jednak coś napisać. Coś, co by ją zraniło - w tej chwili tego najbardziej pragnął. Zastanawiał się długo, a wreszcie napisał, dokładnie pośrodku arkusza:

Złamałaś mi serce.

Bez adresu, bez podpisu. Wyglądało to dość zgrabnie, samo pośrodku arkusza papieru, wypisane drobnym „uczonym” charakterem pisma. Niemal poemacik sam w sobie. Ta myśl podniosła go nieco na duchu.

Włożył list do koperty, wyszedł i nadał go na poczcie na rogu, wydawszy swe ostatnie trzy półpensówki na znaczek za pensa i znaczek za pół pensa kupione w automacie.

- Drukujemy ten twój wiersz w „Antychryście” w przyszłym miesiącu - powiedział Ravelston z okna pierwszego piętra.

Gordon, stojąc na chodniku na dole, udawał, że zapomniał o wierszu, o którym mówił Ravelston; oczywiście, pamiętał go doskonale, podobnie jak pamiętał wszystkie swoje wiersze.

- Który wiersz? - powiedział.

- Ten o umierającej prostytutce. Uznaliśmy go za dość udany.

Śmiech Gordona był śmiechem zadowolonej próżności, lecz zdołał nadać mu pozory, sardonicznego rozbawienia.

- Aha! Umierająca prostytutka! Jest to, można by powiedzieć, jeden z moich tematów. Następnym razem dam wam wiersz o aspidistrze.

Przeczulona, chłopięca twarz Ravelstona, okolona ładnymi ciemnobrązowymi włosami, odsunęła się nieco od okna.

- Zimno nie do wytrzymania - powiedział. - Chodź lepiej na górę i zjedzmy coś.

- Nie, to ty zejź. Jadłem już kolację. Chodźmy do knajpy, napijemy się piwa.

- Dobrze. Poczekaj minutę, włożę buty.

Rozmawiali od paru minut, Gordon na chodniku, Ravelston wychylony z okna na górze. Gordon obwieścił swoje przybycie nie przez zastukanie do drzwi, lecz przez rzućnię kamyczkiem w szybę. Starał się nie wchodzić do mieszkania Ravelstona. W atmosferze tego mieszkania było coś, co go niepokoiło i sprawiało, że czuł się nędzny, brudny i nie na miejscu. Było tak przytłaczająco, choć nieświadomie, arystokratycznie. Jedynie na ulicy lub w knajpie mógł czuć się mniej więcej równy Ravelstonowi. Ravelston zdziwiłby się, gdyby wiedział, że jego czteropokojowe mieszkanie, które uważał za ciasne, wywierało takie wrażenie na Gordonie. Dla Ravelstona mieszkanie na pustkowiach Regent's Park oznaczało właściwie to samo co mieszkanie w slumsach; zdecydował się tam zamieszkać, *un bon socialiste*, na tej samej zasadzie, na jakiej snob z towarzystwa będzie mieszkał w dawnych stajniach w Mayfair po to tylko, by na papierze listowym mieć adres W 1. Była to próba ucieczki od własnej klasy i zostania honorowym członkiem proletariatu. Jak wszystkie podobne próby, skazana była na klęskę. Nigdy bogatemu nie uda się przebrać za biedaka, bowiem pieniądze, tak jak morderstwo, zawsze wyjdą na jaw.

Na drzwiach od ulicy znajdowała się mosiężna tabliczka z napisem:

P.W.H. RAVELSTON
ANTYCHRYST

Ravelston mieszkał na pierwszym piętrze, a biura redakcyjne „Antychrysta” znajdowały się na dole. „Antychryst” był miesięcznikiem dla intelektualistów i średniaków, gwałtownie, choć mgliście socjalistycznym w tonie. Sprawiał wrażenie, że redaguje go żarliwy członek jakiejś

sekty, który przestał wierzyć w Boga, a uwierzył w Marksa, a ponadto zadaje się z bandą poetów uprawiających *vers libre*. Charakter Ravelstona nie był właściwie taki; po prostu miał bardziej miękkie serce, niż redaktor mieć powinien, w rezultacie czego znajdował się w rękach współpracowników. W „Antychryście” można było wydrukować właściwie wszystko, *jeśli* tylko *Ravelston* podejrzewał, że autor przymiera głodem.

Ravelston zjawił się w chwilę później, bez kapelusza, naciągając długie rękawiczki. Na pierwszy rzut oka było widać, że to bogaty młody człowiek. Ubrany był w mundur zamożnej inteligencji: starą marynarkę z tweedu - jedną z tych marynarek uszytych u dobrego krawca, które z upływem czasu stają się coraz bardziej arystokratyczne - bardzo luźne szerokie spodnie z szarej flaneli, szary pulower, znoszone brązowe buty. Uważał za punkt honoru chodzić w tym ubraniu wszędzie, nawet do modnych domów i drogich restauracji, by okazać swą pogardę dla arystokratycznych konwencji; nie zdawał sobie sprawy, że tylko arystokracja może sobie na to pozwolić. Choć był o rok starszy od Gordona, wyglądał dużo młodziej. Był bardzo szczupły, wysoki, szerokoplecy, posiadał nonszalancki wdzięk typowy dla arystokratycznego młodzieńca. W jego ruchach i w wyrazie twarzy było jednak coś dziwnie nieśmiałego. Zdawało się, że zawsze komuś ustępuje z drogi. Wypowiadając swe zdanie, pocierał nos palcem wskazującym lewej ręki. W istocie w każdej chwili swego życia usprawiedliwiał się, bez słów, z wielkości własnych dochodów. Czuł się nieswojo na wzmiankę o tym, że jest bogaty, podobnie jak Gordon czuł się nieswojo na wzmiankę, że jest biedny.

- Przypuszczam, że jadłeś kolację? - powiedział Ravelston tonem intelektualistów z Bloomsbury.

- Tak, już dawno. A ty?
- O, tak, oczywiście. Zrozumiałe.

Było dwadzieścia po ósmej, a Gordon nic nie jadł od południa. Ravelston też nie. Gordon nie wiedział, że Ravelston jest głodny, lecz Ravelston wiedział, że Gordon jest głodny, Gordon zaś wiedział, że Ravelston o tym wie. Jednakże obaj uznali za stosowne udawać, że nie są głodni. Rzadko kiedy jadali razem. Gordon nie pozwoliłby Ravelstonowi zapłacić za siebie, a jego samego nie było stać na restauracje, nawet na Lyonsa lub A.B.C. Był poniedziałek i zostało mu pięć szylingów i dziesięć pensów. Stać go było na parę dużych piw w knajpie, lecz nie na jedzenie. Gdy spotykali się z Ravelstonem, przyjmowali na zasadzie cichej umowy, że nie będą robić niczego, co wymagałoby pieniędzy, poza szylingiem, którego *się wydaje* w knajpie. W ten sposób podtrzymywali fikcję, że ich dochody nie różnią się zasadniczo.

Gdy ruszyli chodnikiem, Gordon przysunął się bliżej Ravelstona. Wzięłyby go pod rękę, gdyby to uchodziło. Przy wysokim i przystojnym Ravelstonie przedstawiał się jako wątpy, nerwowy i nędznie ubrany. Uwielbiał Ravelstona, a nigdy nie czuł się swobodnie w jego towarzystwie. Ravelston posiadał nie tylko czarujące maniery, lecz również odznaczał się pewną przyzwoitością i pełnym wdzięku stosunkiem do życia, z czym Gordon nigdzie się prawie nie spotykał. Z pewnością łączyło się to z bogactwem Ravelstona. Za pieniądze można nabyć wszelkie cnoty. Pieniądz jest cierpliwy i łaskawy, nie nadyma się, nie pragnie zaszczytów, nie szuka swego. Jednakże Ravelston pod pewnymi względami nie przypominał zamożnego człowieka. Ominęło go tłuszczowe zwyrodnienie ducha, które towarzyszy bogactwu, lub może świadomie tego uniknął. Jego życie było walką przeciwko niemu.

Z tej przyczyny poświęcał czas i znaczną część dochodu na wydawanie niepopularnego socjalistycznego miesięcznika. Z wyjątkiem „Antychrysta”, pieniądze płynęły do niego zewsząd. Pasła się na nim stale gromada darmożjadów, od poetów do malarzy chodnikowych. On sam utrzymywał się za około osiemset funtów rocznie, i wstydził się nawet tego. Zdawał sobie sprawę, że nie był to dochód proletariusza, lecz nie nauczył się obywać mniejszą ilością pieniędzy. Osiemset funtów rocznie stanowiło dla niego płacę minimalną, podobnie jak dwa funty tygodniowo dla Gordona.

- Jak tam twoja praca? - odezwał się niebawem Ravelston.

- Och, jak zwykle. To nieco senna robota. Wymiana zdań ze starymi kwokami na temat Hugh Walpole'a. Nie mam nic przeciwko temu.

- Miałem na myśli twoją własną pracę - twoje pisanie. Czy *Rozrywki londyńskie* posuwają się naprzód?

- O Boże! Nie mówmy o tym. Włosy mi od tego siwieją.

- Czy w ogóle nie posuwają się naprzód?

- Moje książki nie posuwają się naprzód. Cofają się.

Ravelston westchnął. Jako redaktor „Antychrysta” tak przywykł do dodawania otuchy zniechęconym poetom, że stało się to jego drugą naturą. Nie trzeba mu było mówić, dlaczego Gordon „nie mógł” pisać, ani dlaczego dzisiejsi poeci „nie mogą” pisać, ani też dlaczego, jeśli już coś piszą, jest to tak jałowe jak grzechotanie ziarenka grochu w wielkim bębnie. Odezwał się z nutą współczującego przygnębienia:

- Przyznaj, że nie jest to czas sprzyjający pisaniu poezji.

- No pewnie.

Gordon niecierpliwił się. Wolałby nie wspominać o *Rozrywkach londyńskich*. Przywiodło mu to na myśl nędzny, zimny pokój i zagryzłone papiery porzucane pod aspidistrą. Powiedział szorstko:

- To całe pisanie! Cóż to za gówno! Siedzi się w kącie i dręczy nerw, który już nie reaguje. Kto dzisiaj potrzebuje poezji? Pożyteczniej byłoby tresować pchły.

- Jednak nie powinieneś się zniechęcać. Mimo wszystko coś piszesz, czego nie można powiedzieć o wielu dzisiejszych poetach. Były na przykład *Myszy*.

- Och, *Myszy*. Na myśl o nich chce mi się rzygać.

Pomyślał z nienawiścią o przypoehlebnym tomiku w formacie ósemki. Czterdzieści czy pięćdziesiąt szarych, martwych wierszyków, każdy jak płód w słoiku z naklejką „Nadzwyczaj obiecujący”, jak napisał *Dodatek Literacki „Timesa”*. Sprzedano sto pięćdziesiąt trzy egzemplarze, a pozostałe przeceniono. Ogarnęła go fala pogardy, a nawet przerażenia, jakie miewają czasem artyści, gdy myślą o własnej pracy.

- Są martwe - powiedział. - Martwe jak jakiś przeklęty płód w butelce.

- Cóż, myślę, że tak się dzieje z większością książek. Nie można oczekiwać dzisiaj wielkiego popytu na poezję. Zbyt duża rywalizacja.

- Nie to miałem na myśli. Uważam, że same wiersze są martwe. Nie ma w nich życia. Wszystko, co piszę, jest takie. Bez życia, bez energii. Niekoniecznie brzydkie czy pospolite, ale martwe - po prostu martwe. - Słowo „martwe” rozbrzmiewało mu w myśli, układając się w łańcuch skojarzeń. Dodał: - Moje wiersze są martwe, bo ja jestem martwy. Ty jesteś martwy. Wszyscy jesteśmy martwi. Martwi ludzie w martwym świecie.

Ravelston szeptem przyznał mu rację, z dziwnym poczuciem winy. Rozpoczęli dyskusję na ulubiony temat, w każdym razie, na ulubiony temat Gordona: jak bezpłodne, cholerne i martwe jest współczesne życie. Żadne ich spotkanie nie odbyło się bez przynajmniej półgodzinnej rozmowy w tym stylu. Lecz Ravelston czuł się wtedy nieswojo. Wiedział oczywiście - „Antychryst” istniał właśnie po to, by to podkreślać - że życie w rozkładającym się kapitalizmie jest trupie i pozbawione znaczenia. Wiedza ta jednak była tylko teoretyczna. Nie można tego naprawdę czuć przy dochodzie wynoszącym osiemset funtów rocznie. Na ogół, gdy nie myślał o górnikach, chińskich kulisach i bezrobotnych w Middlesbrough, miał wrażenie, że życie jest ogromnie zabawne. Ponadto żywił naiwne przekonanie, że socjalizm wkrótce naprawi wszystko. Zawsze mu się wydawało, że Gordon przesadza. Różnili się więc nieco w zapatrywaniach, lecz Ravelston był zbyt dobrze wychowany, by to podkreślać.

Z Gordonem było inaczej. Zarobki Gordona wynosiły dwa funty tygodniowo. Zatem naprawdę odczuwał nienawiść do współczesnego życia i pragnął ujrzeć naszą piękną cywilizację rozwaloną przez bomby. Szli na południe, ciemną, przyzwoitą, choć nędzną, ulicą domów mieszkalnych, z nielicznymi sklepami o zamkniętych okiennicach. Z tablicy na ślepej ścianie domu wdzięczyła się metrowej szerokości twarz Naroźnego Stolika, błada w ulicznym świetle. Gordon zauważył usychającą aspidistrę w jednym z dolnych okien. Londyn! Całe kilometry nędznych samotnych budynków, w których wynajmuje się mieszkania i pojedyncze pokoje; nie domy, nie wspólnoty, a jedynie wiązki nic nie znaczących żywotów niesionych w sennym chaosie do grobu! Widział ludzi jako chodzące trupy. Nie przejmował się tym, że jedynie

obiektywizuje własną niedolę. Powrócił myślą do środowego popołudnia, gdy zapragnął usłyszeć warkot nieprzyjacielskich samolotów nad Londynem. Chwycił Ravelstona za ramię i zatrzymał się, wskazując na plakat z Narodnym Stolikiem.

- Spójrz na to cholerstwo! Spójrz na to, tylko spójrz na to! Czy nie chce ci się rzygać?

- Przyznaję, że obraża poczucie estetyki. Lecz nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie.

- Oczywiście, że ma - całe miasto wylepione czymś takim.

- Och, to tylko zjawisko przejściowe. Kapitalizm wszedł w ostatnią fazę. Nie uważam, że warto się tym przejmować.

- Ale to coś więcej. Spójrz tylko na gapiącą się na nas twarz tego faceta! Masz na niej wypisaną całą naszą cywilizację. Głupota, bezsensowność, pustka! Nie można na to patrzeć, nie pomyślawszy o prezerwatywach i karabinach maszynowych. Czy wiesz, że parę dni temu naprawdę pragnąłem, żeby wybuchła wojna? Tęskniłem za tym - niemal się o to modliłem.

- Widzisz, problem w tym, że połowa młodych ludzi w Europie pragnie tego samego.

- Miejmy nadzieję. Może wtedy się to stanie.

- Nie, mój stary! Raz to całkiem wystarczy.

Gordon szedł dalej nerwowo. - Życie, jakim dzisiaj żyjemy! To nie życie, to stagnacja, śmierć za życia. Spójrz na te cholerne domy, na nic nie znaczących ludzi wewnątrz! Czasem wydaje mi się, że wszyscy jesteśmy trupami. Gnijemy na stojąco.

- Błąd twój polega na tym, że mówisz, jakby nie można było temu zaradzić. Ale tak się dzieć musi, dopóki proletariat nie przejmie władzy.

- Och, socjalizm! Nie mów mi o socjalizmie!

- Powinieneś poczytać Marksa, Gordonie, naprawdę powinieneś. Wtedy uświadomiłbyś sobie, że to tylko jedna faza. To nie może trwać wiecznie.

- Nie może? Ma się jednak wrażenie, że to będzie trwać wiecznie.

- Po prostu żyjemy w nieodpowiednim momencie. Musimy umrzeć, zanim będziemy mogli się odrodzić, jeśli mnie rozumiesz.

- Umieramy rzeczywiście. Nie widzę jednak oznak naszego odrodzenia.

Ravelston potarł nos.

- Och, musimy wierzyć. I mieć nadzieję.

- To znaczy, musimy mieć pieniądze - powiedział ponuro Gordon.

- Pieniądze?

- To cena optymizmu. Daj mi pięć funtów, tygodniowo, a zapewne będę socjalistą.

Ravelston odwrócił wzrok, zbity z tropu. Te pieniądze! Wszędzie na nie natrafisz! Gordon żałował, że to powiedział. Nigdy nie należy wspominać o pieniądzach, gdy się przebywa z ludźmi bogatszymi od siebie. A jeśli się już wspomina, muszą to być pieniądze abstrakcyjne, pieniądze przez duże „p”, nie zaś konkretne pieniądze, które znajdują się w twojej kieszeni, a nie ma ich w mojej. Jednakże ten przeklęty przedmiot przyciągał go jak magnes. Wcześniej czy później, zwłaszcza po paru kolejkach, zaczynał mówić, rozczulając się nad sobą, o tym, jak to cholernie żyć za dwa funty tygodniowo. Czasem, wiedziony nerwowym odruchem mówienia rzeczy niewłaściwych, wygłaszał jakieś plugawe wyznanie - na przykład, że od dwóch dni jest bez papierosa, że bieliznę ma dziurawą lub że zastawił płaszcz w lombardzie. Zdecydował jednak, że tego wieczoru nic takiego się nie zdarzy. Prędko porzucili temat

pieniędzy i zaczęli ogólną rozmowę o socjalizmie. Ravelston od paru lat próbował nawrócić Gordona na socjalizm, lecz nie udało mu się go nawet tym zainteresować. Mijali właśnie narożną, podle wyglądającą knajpę w bocznej uliczce. Zdawał się ją spowijać kwaśny opar piwa. Zapach ten wzbudził w Ravelstonie odrazę. Chętnie przyspieszyłby kroku, by uciec od niego. Lecz Gordon, którego nozdrza zapach polechtał, zatrzymał się.

- Boże! Napiłbym się - powiedział.
- Ja też - przytaknęła dzielnie Ravelston.

Gordon pchnął drzwi do ogólnego baru, Ravelston wszedł za nim. Tłumaczył sobie, że lubi knajpy, zwłaszcza podle knajpy. Knajpy mają prawdziwie proletariacki charakter. W knajpie można obcować z klasą robotniczą jak równy z równym - przynajmniej taka jest teoria. W praktyce Ravelston nigdy nie odwiedzał knajp, chyba że był w towarzystwie kogoś takiego jak Gordon, a kiedy się już tam znalazł, zawsze czuł się jak ryba pozbawiona wody. Owionęło ich smrodliwe, choć zimnawe powietrze. Pomieszczenie było plugawe, zadymione i niskie, podłoga posypana trocinami, wianki kufli okalały proste drewniane stoły. W jednym kącie siedziały cztery ogromne kobiety o piersiach wielkości melonów, popijając porter i rozmawiając zapalczywie o jakiejś pani nazwiskiem Croop. Właścicielka, wysoka, ponura kobieta z czarną grzywką, o wyglądzie burdelmamy, stała za barem, skrzyżowawszy potężne ramiona, i przyglądała się grze w strzałki, która toczyła się pomiędzy czterema robotnikami i listonoszem. Przechodząc przez salkę, trzeba było uskakiwać przed strzałkami. Nastąpiła chwila ciszy, a ludzie patrzyli pytająco na Ravelstona. Było zupełnie jasne, że jest dżentelmenem. Ludzi tego pokroju nieczęsto widuje się w zwykłych barach.

Ravelston udawał, że nie widzi, iż wszyscy się na niego gapią. Przeszedł niespiesznie do baru, ściągając rękawiczkę, by poszukać pieniędzy w kieszeni.

- Co pijesz? - rzucił niedbale.

Lecz Gordon już się tam przepchnął przed nim i postukiwał szylingiem o bar. Zawsze płacił za pierwszą kolejkę! Był to jego punkt honoru. Ravelston skierował się do jedyne go wolnego stolika. Wsparty o bar wyrobnik okręcił się na łokciu i obrzucił go długim, beczelnym spojrzeniem. - Cholerny elegancik - pomyślał. Nadszedł Gordon niosąc dwie półlitrowe szklanki zwykłego ciemnego piwa. Szklanki były grube i tanie, niemal tak grube jak słoiki na dżem, przy tym ciemne i tłuste. Na piwie osiadała cienka żółta piana. Powietrze było ciężkie od dymu papierosowego woniejącego jak proch strzelniczy. Ravelston zauważył w pobliżu baru wypełnioną spluwaczkę i odwrócił wzrok. Przyszło mu na myśl, że piwo pompowano metrami oślizłych rur z pełnej robactwa piwnicy i że szklanek nigdy nie myto, a jedynie płukano w zabarwionej piwem wodzie. Gordon był bardzo głodny. Zjadłby chleb z serem, lecz gdyby zamówił, zdradziłby się tym, że nie jadł kolacji. Pociągnął piwa i zapalił papierosa, co sprawiło, że nieco zapomniał o głodzie. Ravelston również przelknął łyk i delikatnie odstawił szklankę. Piwo było typowo londyńskie, mdłe i pozostawiające smak chemikaliów w ustach. Ravelston pomyślał o winach z Burgundii. Nadal dyskutowali o socjalizmie.

- Wiesz, Gordon, naprawdę czas, żebyś zaczął czytać Marksa - powiedział Ravelston, mniej skruszonym tonem niż zazwyczaj, gdyż zirytował go ohydny smak piwa.

- Pręde j przeczytam panią Humphry Ward - powiedział Gordon.

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, że twój stosunek do tych kwestii jest nierozsądny? Wygłaszasz tyrady przeciwko kapitalizmowi, a nie przyjmujesz jedynej możliwej alternatywy. Nie można uzdrawiać rzeczy pokątnie. Musi się przyjąć albo kapitalizm, albo socjalizm. Nie ma innego wyjścia.

- Mówię ci, że nie będę sobie zwracać głowy socjalizmem. Na samą myśl o tym chce mi się ziewać.

- A co masz przeciwko socjalizmowi?

- To tylko mam przeciwko socjalizmowi, że nikt go nie chce.

- Och, to całkiem absurdalne!

- To znaczy nikt, kto wie, co socjalizm naprawdę oznacza.

- A co oznacza socjalizm, twoim zdaniem?

- Och! Coś w rodzaju Nowego Wspaniałego Świata Aldousa Huxleya, tylko mniej zabawnego. Cztery godziny dziennie we wzorowej fabryce przy ostrzeniu sworzni numer 6003. Porcje w pergaminowym papierze wydzielane we wspólnej kuchni. Wspólne przejażdżki z hotelu robotniczego imienia Marksa do hotelu robotniczego imienia Lenina i z powrotem. Bezpłatne kliniki przerywania ciąży na każdym rogu. Wszystko świetnie, oczywiście. Tylko że my tego nie chcemy.

Ravelston westchnął. Raz na miesiąc krytykował w „Antychryście” taką wersję socjalizmu.

- Czego zatem chcemy?

- Bóg wie. Wiemy tylko, czego nie chcemy. To właśnie nam dziś dolega. Wahamy się jak osioł Buridana. Tylko że zamiast dwóch możliwości są trzy, a wszystkie trzy przyprowadzają nas o mdłości. Socjalizm jest tylko jedną z nich.

- A jakie są dwie pozostałe?

- Och, myślę, że samobójstwo i Kościół katolicki.

i, Ravelston uśmiechnął się, urażony w swym antyklerykalizmie.

- Kościół katolicki! Uważasz to za alternatywę?
- Cóż, to stała pokusa dla inteligencji, nieprawdaż?
- Ja bym tego nie nazywał inteligencją. Chociaż był Eliot, oczywiście - przyznał Ravelston.

- Zobaczysz, będzie ich dużo więcej. Powiedziałbym, że pod skrzydłem matki Kościoła jest dość przytulnie. Oczywiście, nieco niezdrowo - ale czujesz się tam bezpiecznie.

Ravelston z namysłem potarł nos. - Wydaje mi się, że to tylko inna forma samobójstwa.

- Poniekąd. Lecz podobnie rzecz się ma z socjalizmem. To porada rozpaczy. Ale nie mógłbym popełnić samobójstwa, prawdziwego samobójstwa. To zbyt pokorne i potulne. Nie oddam nikomu mojej części ziemi. Wolałbym najpierw załatwić paru moich wrogów.

Ravelston ponownie się uśmiechnął.

- A kim są twoi wrogowie?
- Och, każdy z dochodem powyżej pięciuset rocznie.

Na chwilę zapadła krępująca cisza. Dochód Ravelstona, po zapłaceniu podatku, wynosił przypuszczalnie dwa tysiące funtów rocznie. Gordon zawsze mówił rzeczy tego rodzaju. By zatrzeć niezręczną sytuację, Ravelston podniósł szklankę, zebrał siły przeciwko mdlącemu smakowi i połknął mniej więcej dwie trzecie piwa - w każdym razie dość, by sprawić wrażenie, że je skończył.

- Wypij! - powiedział udając serdeczność. - Czas to powtórzyć.

Gordon opróżnił szklankę i pozwolił, by Ravelston ją zabrał. Nie miał nic przeciwko temu, by Ravelston zapłacił za tę kolejkę. On zapłacił za pierwszą, więc honorowi stało się zadość. Ravelston poszedł z zażenowaniem do

baru. Ludzie znów zaczęli się mu przyglądać, gdy tylko wstał. Wyrobnik, nadal wsparty o bar nad nietkniętym kuflem piwa, patrzył na niego z beczelnym spokojem. Ravelston postanowił, że nie będzie więcej pił tego ohydneho zwykłego piwa.

- Dwie podwójne whisky, mogę prosić? - powiedział przepraszająco.

Ponura właścicielka spojrzała na niego. - Co? - zapytała.

- Proszę dwie podwójne whisky.

- Nie ma whisky. Nie sprzedajemy alkoholu. To piwiarnia.

Wyrobnik uśmiechnął się przelotnie pod wąsem. - Cholernie nieobyty elegancik! - pomyślał. - Prosić o whisky w piwiarni! - Błada twarz Ravelstona lekko poczerwieniała. Aż do tej chwili nie miał pojęcia, że niektóre podlejsze knajpy nie mogły sobie pozwolić na wykupienie licencji na alkohol.

- A więc bass, dobrze? Dwie półlitrowe butelki bassa.

Nie było półlitrowych butelek. Musieli wziąć cztery ćwierćlitrowe. To była bardzo poślednia knajpa. Gordon pociągnął głęboki rozkoszny łyk bassa. O większej zawartości alkoholu niż piwo z beczki, musowało i szczypało go w gardle, a ponieważ był głodny, poszło mu nieco do głowy. Poczul natychmiast przyływ rozczenia i ochotę do filozofowania. Postanowił sobie wcześniej nie zaczynać wywnętrzania się na temat własnego ubóstwa, lecz teraz miał zamiar zacząć mimo wszystko. Powiedział szorstko:

- To wszystko jaja, o czym mówiliśmy.

- Co jaja?

- To wszystko o socjalizmie i kapitalizmie, i położeniu współczesnego świata, i Bóg wie co. Nie dbam o położe-

nie współczesnego świata. Nawet gdyby cała Anglia konała z głodu, poza mną i ludźmi, na których mi zależy, gwizdę na to.

- Czy nie przesadzasz troszeczkę?

- Nie. Cała ta nasza rozmowa - my tylko obiektywizujemy nasze uczucia. Wszystko nam dyktuje zawartość naszych kieszeni. Chodzę po Londynie, mówiąc, że to miasto umarłych i że nasza cywilizacja umiera, i pragnę, żeby wybuchła wojna, i Bóg wie co; a to wszystko znaczy, że zarabiam dwa funty tygodniowo, a chciałbym zarabiać pięć.

Ravelston, któremu jeszcze raz przypomniano pośrednio o jego dochodzie, pogłodził powoli nos kostką palca wskazującego lewej dłoni.

- Oczywiście, w pewnej mierze się z tobą zgadzam. Przecież to już Marks powiedział. Każda ideologia jest odzwierciedleniem stosunków ekonomicznych.

- Ach, ale ty rozumiesz to tylko u Marksa! Nie wiesz, co to znaczy pełzać za dwa funty tygodniowo. To nie jest kwestia biedy - to nie jest coś tak przyzwoitego jak bieda. To cholerna, ukradkowa, plugawa nędza. Żyjesz sam przez całe tygodnie, bo gdy nie masz pieniędzy, nie masz przyjaciół. Nazywasz siebie pisarzem, ale niczego nigdy nie tworzysz, gdyż jesteś zawsze zbyt skonany, żeby pisać. Żyje się w jakimś plugawym podziemnym świecie. W jakimś duchowym ścieku.

A więc zaczęło się. Gdy się spotykali, wkrótce Gordon zaczynał mówić w tym tonie. Wstrętne manieri. Powodowało to okropne zakłopotanie Ravelstona. A jednak Gordon nie mógł się powstrzymać. Musiał opowiedzieć komuś o swych kłopotach, a Ravelston był jedyną osobą, która go rozumiała. Ubóstwo, jak wszelką inną brudną ranę, należy czasami pokazywać publicznie. Zaczął mówić

o ohydnych szczegółach życia na Willowbed Road. Rozwodził się o zapachu pomyj i kapusty, o butelkach z zakrzepłym sosem w jadalni, o wstrętnym jedzeniu, o doniczkach z aspidistrą. Opisywał potajemnie wypijaną herbatę oraz sposób na wyrzucanie fusów do w.c. Ravelston, nieszczęśliwy i pełen winy, siedział patrząc na szklanekę i obracając ją powoli w dłoniach. Na prawej piersi wyczuwał kwadratowy oskarżający kształt, portfel, w którym, jak wiedział, osiem banknotów jednofuntowych i dwa banknoty dziesięcioszylingowe tuliły się do grubej zielonej książeczki czekowej. Jakże okropne są szczegóły ubóstwa! Chociaż to, co opisywał Gordon, nie było jeszcze prawdziwym ubóstwem. Był to co najwyżej sam margines ubóstwa. Ale co powiedzieć o naprawdę biednych? Co powiedzieć o bezrobotnych w Middlesbrough, po siedmioro w pokoju przy zarobkach dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo? Gdy ludzie żyją w ten sposób, jak można spacerować sobie z jednofuntowymi banknotami i książeczkami czekowymi w kieszeni?

- Cholera - mruknął kilkakrotnie, całkiem bezsilnie. W głębi duszy zastanawiał się - była to stała reakcja - czy Gordon przyjąłby dziesięć funtów, gdyby zaproponował mu pożyczkę.

Wypili jeszcze jedną kolejkę, za którą ponownie zapłacił Ravelston, po czym wyszli na ulicę. Zbliżał się czas rozstania. Gordon nigdy nie przebywał z Ravelstonem dłużej niż godzinę lub dwie. Kontakty z ludźmi bogatymi, podobnie jak odwiedziny u ludzi na wysokich stanowiskach, muszą być krótkie. Noc była bezksiężycowa i bezgwiezdna, wiał wilgotny wiatr. Nocne powietrze, piwo i wodnisty blask lamp wzbudziły w Gordonie posępną jasność myśli. Uświadomił sobie, że nie można wyjaśnić nikomu bogatemu, nawet tak przyzwoitemu jak Ravel-

ston, jak cholerne jest w istocie ubóstwo. Stąd też bardzo ważne było, by to wyjaśnić. Powiedział nagle:

- Czy czytałeś *Opowieść prawnika* Chaucera?

- *Opowieść prawnika*? Nie przypominam sobie. O czym to jest?

- Zapomniałem. Miałem na myśli sześć pierwszych zwrotek. Gdzie mówi o ubóstwie. O tym, jak daje każdemu prawo cię deptać! Jak każdy *chce* cię deptać! Jeśli ludzie wiedzą, że nie masz pieniędzy, *nienawidzą* cię. Obrażają cię dla samej przyjemności obrażania cię, bo wiedzą, że nie możesz oddać ciosu.

Ravelston posmutniał.

- Och, na pewno nie! Ludzie nie są aż tak źli.

- Ach, nie masz pojęcia o rzeczach, jakie się dzieją!

Gordon nie chciał, by mu mówiono, że „ludzie nie są aż tak źli”. Z bolesną radością trwał w przekonaniu, że ponieważ jest biedny, każdy musi *mieć ochotę* na obrażanie go. Zgadzało się to z jego filozofią życia. Nagle, czując, że nie może się powstrzymać, zaczął mówić o tym, co go jątrzyło od dwóch dni - o afrontie, jakiego doznał w czwartek od Doringów. Całkiem bezwiednie opowiedział całą historię. Ravelston zdumiał się. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Gordon robi o to tyle hałasu. Wydawało mu się absurdalne, że ktoś się rozczarował, bo nie był na jakiejś okropnej literackiej herbatce. On sam nie poszedłby na literacką herbatkę, nawet gdyby mu zapłacić. Podobnie jak wszyscy bogaci ludzie, więcej czasu poświęcał na unikanie ludzkiego towarzystwa niż szukanie go. Przerwał Gordonowi:

- Naprawdę nie powinieneś tak łatwo się obrażać. Przecież rzeczy tego rodzaju naprawdę nie mają znaczenia.

- Tu nie chodzi o rzecz samą, ale o motyw. O to, że wyrządzają ci afront tylko dlatego, że nie masz pieniędzy.

- Ale całkiem możliwe, że to była jedynie pomyłka. Dlaczego ktoś chciałby zrobić ci afront?

- „Gdy biedny jesteś, twój brat cię nienawidzi” - zacytował Gordon przewrotnie.

Ravelston, który okazywał szacunek nawet dla poglądów osób nieżyjących, potarł nos. - Czy Chaucer tak powiada? W takim razie z przykrością muszę nie zgodzić się z Chaucerem. Nieprawda, że ludzie cię nienawidzą

- Prawda. I mają rację. Budzisz nienawiść. To jak w tych ogłoszeniach reklamujących listerine. - Dlaczego zawsze jesteś samotny? „Niemily oddech niszczy mu karierę”. Ubóstwo jest niemilym oddechem w sensie duchowym.

Ravelston westchnął. Niewątpliwie Gordon był przewrotny. Szli dalej dyskutując, Gordon gwałtownie, Ravelston z dezaprobatą. W tego rodzaju dyskusji z Gordonem Ravelston był bezradny. Miał poczucie, że Gordon przesadza, a jednak nie chciał się z nim sprzeczać. Jakżeby mógł? Był bogaty, Gordon zaś był biedny. Jak można dyskutować o ubóstwie z kimś, kto naprawdę jest biedny?

- I jak cię traktują kobiety, gdy nie masz pieniędzy! - ciągnął Gordon. - To jeszcze jedna rzecz związana z tymi przekłętymi pieniędzmi - kobiety!

Ravelston przytaknął ponuro ruchem głowy. To wydało mu się rozsądniejsze od tego, o czym Gordon mówił poprzednio. Pomyślał o Hermione Slater, swojej dziewczynie. Byli kochankami od dwóch lat, lecz nie zaprzęтали sobie głowy małżeństwem. To „zbyt duży wysiłek”, jak mówiła Hermione. Oczywiście, była bogata, a raczej jej rodzina. Pomyślał o jej ramionach, szerokich, gładkich i młodych, zdających się wynurzać z ubrania jak syrena wynurza się z morza; o jej skórze i włosach, ciepłych i sennych jak pole pszenicy w słońcu. Hermione zawsze

ziewała na wzmiankę o socjalizmie i nawet nie chciała czytać „Antychrysta”. - Nie mów mi o pospółstwie - mówiła. - Nienawidzę ich. *Śmierdzą*. - Ravelston zaś ją uwielbiał.

- Oczywiście, kobiety to problem - przyznał.

- To więcej niż problem, to przekleństwo. To znaczy, jeśli nie masz pieniędzy. Kobieta wprost nie może na ciebie patrzeć, jeśli nie masz pieniędzy.

- Myślę, że to zbyt mocno powiedziane. To nie przedstawia się aż tak brutalnie.

- Co za bzdura - Gordon nie słuchał! - mówić o socjalizmie czy innym „izmie”, gdy kobiety są właśnie takie, jakie są! Jedyną rzeczą, której kobieta pragnie, są pieniądze; pieniądze na własny dom, dwoje dzieci, meble od Drage'a i aspidistrę. Jedyne grzech, jaki mogą sobie wyobrazić, to brak chęci do zagarniania pieniędzy. Żadna kobieta nie ocenia mężczyzny inaczej niż według jego dochodu. Oczywiście nie określa tego w ten sposób. Powiada, że to *taki miły człowiek* - co oznacza, że ma mnóstwo pieniędzy. Jeśli zaś nie masz pieniędzy, nie jesteś *miły*. Jesteś zhańbiony. Zgrzeszyłeś. Zgrzeszyłeś przeciwko aspidistrze.

- Dużo mówisz o aspidistrze - odezwał się Ravelston.

- To piekielnie ważny temat - powiedział Gordon.

Ravelston potarł nos i, skrzępowany, odwrócił wzrok.

- Słuchaj, Gordon, nie weźmiesz mi za złe, że zapytam - czy masz jakąś dziewczynę?

- O Boże! Nie mówmy o niej!

Pomimo to zaczął mówić o Rosemary. Ravelston nigdy jej nie widział. W tej chwili Gordon nie mógł sobie nawet przypomnieć, jak Rosemary wygląda. Nie pamiętał, jak się nawzajem lubili i jak byli zawsze szczęśliwi w tych rzadkich wypadkach, gdy mogli się spotkać, jak cierpliwie znosiła jego nieznośne zachowanie. Nie pamiętał niczego

poza tym, że nie chciała z nim spać oraz że ostatnio pisała do niego przed tygodniem. W wilgotnym nocnym powietrzu, po wypiciu piwa, czuł się samotny i wzgardzony. Rosemary była dla niego „okrutna” - tak to rozumiał. Przewrotnie, dla samej przyjemności dręczenia siebie i wprawienia Ravelstona w zakłopotanie, zaczął wymyślać charakter Rosemary. Stworzył jej obraz jako nieczulej istoty, która bawiła się nim, a jednocześnie niemal nim pogardzała, igrała z nim i zarazem trzymała z daleka, ale natychmiast padłaby mu w ramiona, gdyby miał trochę więcej pieniędzy. Ravelston, który nie znał Rosemary, właściwie w to wierzył. Wtrącił:

- Posłuchaj, Gordon. Ta dziewczyna, panna... panna Waterlow, czy tak się nazywa?... Rosemary; czy jej na prawdę na tobie nie zależy?

Gordona zapiekło sumienie, choć nie za bardzo. Nie mógł powiedzieć, że Rosemary na nim nie zależy.

- O tak, zależy jej na mnie. W pewien sposób, jak sądzę, nawet dość jej na mnie zależy. Ale, widzisz, nie zanadto. Zresztą nie może jej zależeć, gdyż nie mam pieniędzy. To wszystko kwestia pieniędzy.

- Lecz pieniądze z pewnością nie są aż tak ważne? Są jeszcze inne rzeczy.

- Jakie inne rzeczy? Czyż nie rozumiesz, że cała osobowość mężczyzny wiąże się z jego dochodem? Dochód jest jego osobowością. Jak można być atrakcyjnym dla dziewczyny, jeśli się nie ma pieniędzy? Nie można być porządnie ubranym, nie można zabierać jej na kolację, do teatru czy na weekendy, nie można być zawsze w wesołym nastroju. To bzdura, że to nie ma znaczenia. Ma. Jeśli się nie ma pieniędzy, nie ma się nawet gdzie spotykać. Spotykamy się z Rosemary tylko na ulicach lub w galeriach. Ona mieszka w jakimś okropnym pensjonacie dla

kobiet, a moja cholerna gospodyni nie pozwala przyprowadzać kobiet do domu. Spacerowanie po potwornie mokrych ulicach - oto, co się Rosemary kojarzy ze mną. Czy nie rozumiesz, że to odbiera wszystkiemu urok?

Ravelston poczuł się strapiony. To musi być naprawdę potworne, gdy się nie ma pieniędzy, żeby gdzieś zabrać dziewczynę. Próbował zebrać odwagę, by coś powiedzieć, lecz nie mógł. Z poczuciem winy, lecz także z pożądaniem, pomyślał o ciele Hermione, nagim, jak dojrzały, ciepły owoc. Możliwe, że go odwiedziła w jego mieszkaniu tego wieczora. Prawdopodobnie czeka właśnie na niego. Pomyślał o bezrobotnych w Middlesbrough. Bezrobotni są straszliwie wygłodzeni seksualnie. Zbliżali się do mieszkania. Spojrzał na okna w górze. Tak, paliło się światło. Hermione musi tam być. Miała swój własny klucz.

W miarę zbliżania się do mieszkania Gordon przysuwał się bliżej do Ravelstona. Wieczór się kończył, więc musi się rozstać z Ravelstonem, którego uwielbiał, i wrócić do wstrętnego pustego pokoju. Wszystkie wieczory tak się kończyły: powrotem przez ciemne ulice do pustego pokoju, do łóżka bez kobiety. Ravelston powie: - Wstąp na górę, dobrze? - Gordon zaś, z poczucia obowiązku, powie: - Nie. - Nie pozostawaj zbyt długo z tymi, których kochasz; jeszcze jedno przykazanie ludzi bez pieniędzy.

Zatrzymali się u podnóża schodów. Ravelston oparł dłoń w rękawicze na żelaznym ostrzu ogrodzenia.

- Wstąpisz na górę? - powiedział bez przekonania.
- Nie, dziękuję, muszę już wracać.

Palce Ravelstona zacisnęły się na ostrzu. Zrobił ruch, jak gdyby szedł na górę, lecz nie poszedł. Z zakłopotaniem, patrząc w przestrzeń ponad głową Gordona, powiedział:

- Słuchaj, Gordon. Nie obrazisz się, jeśli coś powiem?
- Co?
- Wiesz, to straszne, to o tobie i twojej dziewczynie. Ze nie możesz jej nigdzie zabrać, i w ogóle. To cholerna sprawa.
- Och, to naprawdę nic takiego.

Skoro tylko usłyszał, że Ravelston powiedział, iż to „cholerna sprawa”, zrozumiał, że przesadził. Szkoda, że tak głupio się rozczulał nad sobą. Człowiek mówi takie rzeczy, nie może się powstrzymać, a potem żałuje.

- Sądzę, że trochę przesadziłem.
- Słuchaj, Gordon. Pozwól, że ci pożyczę dziesięć funtów. Zabierz dziewczynę parę razy na kolację. Albo wyjedźcie na weekend lub coś w tym rodzaju. To może wszystko odmienić. Nie chcę myśleć...

Gordon zmarszczył się z goryczą, niemal z zawziętością. Cofnął się o krok, jak gdyby dla uniknięcia groźby czy obrazy. Straszne było to, że omal nie przemogła w nim pokusa powiedzenia: tak. Tyle można osiągnąć za dziesięć funtów! Ujrzał przelotnie siebie i Rosemary przy stole w restauracji - półmisek z winogronami i brzoskwiniami, usłużny kelner w pobliżu, butelka wina, ciemna i omszała, w wiklinowej plecionce.

- Nigdy w życiu! - powiedział.
- Wielka szkoda. Mówię ci, że *chciałbym* ci pożyczyć.
- Dziękuję. Ale wolę zachować przyjaciół.
- Czy to nie... no, dość mieszczańskie powiedzenie?
- Czy sądzisz, że byłaby to *pożyczka*, jeśli wziąłbym od ciebie dziesięć funtów? Nie zwróciłbym tego przez dziesięć lat.
- Och, to bez znaczenia. - Ravelston spojrzął w bok. Teraz musiało to nastąpić - haniebne, nienawistne wyznanie, które był zmuszony składać tak niespodziewanie często! - Jak wiesz, mam dość dużo pieniędzy, i-

- Wiem. I właśnie dlatego nie pożyczę od ciebie.
- Wiesz, Gordon, czasami jesteś troszeczkę - no, uparty.
- Tak sądzę. Nic na to nie poradzę.
- Cóż, trudno! A zatem dobranoc.
- Dobranoc.

Dziesięć minut później Ravelston i Hermione jechali taksówką na południe. Czekala na niego, śpiąc lub drzeмиąc w jednym z ogromnych foteli przed kominkiem w salonie. Gdy Hermione nie miała nic do roboty, zasypiała natychmiast, jak zwierz, im zaś więcej spała, tym była zdrowsza. Gdy do niej podszedł, przebudziła się i przeciągnęła wijąc się sennie i lubieżnie, na wpół uśmiechając, na wpół ziewając, z jednym policzkiem i obnażonym ramieniem zaróżowionymi od ognia. Wreszcie stłumiła ziewanie, by go powitać:

- Cześć, Filip! Gdzie byłeś? Czekam od bardzo dawna.
- Och, wyszedłem z pewnym gościem. Gordon Comstock. Nie sądzę, żebyś go znała. Poeta.
- Poeta! Ile od ciebie pożyczył?
- Nic. On nie jest osobą tego rodzaju. Właściwie jest głupcem w sprawach pieniężnych. Ale na swój sposób bardzo uzdolniony.
- Ty i twoi poeci! Wyglądasz na zmęczonego, Filipie. Kiedy jadłeś kolację?
- Cóż, prawdę powiedziawszy w ogóle nie jadłem kolacji.
- Nie jadłeś kolacji! Dlaczego?
- Och, widzisz - nie wiem, czy to zrozumiesz. To był przypadek. To było tak.

Wyjaśnił jej. Hermione wybuchnęła śmiechem i przybrała nieco bardziej wyprostowaną pozycję.

- Filip! Naprawdę jesteś niemądrym osłem! Obywać się bez kolacji, żeby tylko nie urazić tego łobuza!

Natychmiast musisz coś zjeść. A twoja dochodząca poszła oczywiście do domu. Dlaczego nie przyjmiesz porządnych służących, Filipie? Nienawidzę tego twego pokątne-go życia. Wyjdziemy i zjemy kolację u Modiglianiego.

- Ale już po dziesiątej. Będzie zamknięte.

- Nonsens! Mają otwarte do drugiej. Zadzwońię po taksówkę. Nie dopuszczę, żebyś się głodził.

W taksówce oparła się o niego, jeszcze na wpół senna, z głową na jego piersi. Pomyślał o bezrobotnych w Middlesbrough, po siedmioro w pokoju, żyjących za dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo. Lecz ciało dziewczyny ciążyło na nim, Middlesbrough zaś było daleko. Ponadto był potwornie głodny. Pomyślał o ulubionym narożnym stoliku u Modiglianiego i o tej ohydnej knajpie z twardymi ławkami, stęchłym smrodem piwa i mosiężnymi spluwaczkami. Hermione robiła mu sennie wymówki.

- Filip, dlaczego musisz prowadzić takie okropne życie?

- Nie prowadzę okropnego życia.

- Ależ tak. Udajesz, że jesteś biedny, podczas gdy nie jesteś, mieszkasz w tym ciasnym mieszkaniu bez służby i zadajesz się z tymi potwornymi ludźmi.

- Jakimi potwornymi ludźmi?

- Och, takimi jak ten poeta, twój przyjaciel. Z tymi wszystkimi ludźmi, którzy piszą do twojej gazety. Robią to tylko po to, żeby od ciebie żebrać. Oczywiście wiem, że jesteś socjalistą. Ja też. To znaczy, wszyscy jesteśmy dziś socjalistami. Ale nie rozumiem, dlaczego musisz rozdawać wszystkie swoje pieniądze i przyjaźnić się z pospółstwem. Twierdzą, że można być socjalistą i zarazem dobrze się bawić.

- Hermione, kochanie, proszę cię, nie nazywaj ich pospółstwem!

- Dlaczego nie? Przecież są pospółstwem, prawda?
- To takie wstrętne wyrażenie. Nazywaj ich klasą robotniczą, dobrze?
- A więc, jeśli chcesz, klasa robotnicza. Ale śmierdzą całkiem tak samo.
- Nie powinnaś mówić takich rzeczy - zaprotestował słabo.
- Wiesz, Filipie, czasem myślę, że naprawdę lubisz pospółstwo.
- Oczywiście, że ich lubię.
- To obrzydliwe. Naprawdę obrzydliwe.

Leżała spokojnie, już się nie sprzecząc, otoczywszy go ramionami, jak senna syrena. Wydzielała kobiecy zapach, potężną propagandę bez słów skierowaną przeciwko altruizmowi i sprawiedliwości. Przed Modiglianem zapłacili za taksówkę i właśnie szli ku wejściu, gdy wysoki, chudy nędzarz jakby wyskoczył przed nimi z płyt chodnika. Stał im na drodze jak łaszące się zwierzę, skwapliwy, choć nieśmiały, jak gdyby bał się, że Ravelston go uderzy. Zbliżył twarz do twarzy Ravelstona - okropną twarz, rybiobiałą i zarośniętą szczecina aż po oczy. Przez spróchniałe zęby wysapał słowa: - Na herbatę psze pana! - Ravelston odsunął się ze wstrętem. Nie mógł się opanować. Jego ręka odruchowo powędrowała do kieszeni. Jednakże w tej samej chwili Hermione chwyciła go za ramię i wciągnęła do restauracji.

- Rozdałbyś każdy grosz, gdybym ci na to pozwoliła - powiedziała.

Skierowali się do ulubionego stolika w rogu. Hermione zjadła nieco winogron, lecz Ravelston był bardzo głodny. Zamówił stek z rusztu, na który już od dawna miał ochotę, oraz pół butelki Beaujolais. Gruby siwy kelner, Włoch, od lat zaprzyjaźniony z Ravelstonem, przyniósł dymiący stek. Ravelston przekroił go. Wspaniałe, ciemnoczerwone wnętrze!

W Middlesbrough bezrobotni gniotą się w niechlujnych łózkach, mając w żołądku jedynie chleb z margaryną i herbatę bez mleka. Zabrał się do steku z wstydliwą radością psa, który ukradł udziec barani. ..

Gordon szedł spiesznie do domu. Było zimno. Piąty grudnia - prawdziwa zima. Obrzezajcie wasze napletki, powiada Pan. Wilgotny wiatr dął dokuczliwie poprzez nagie gałęzie. *Złowróźnie wicher dmąc ugina*. Przyszedł mu na myśl zaczęty w środe wiersz, którego sześć zwrotek było gotowych. W tej chwili nie wydawał mu się zły. Dziwne, jak rozmowa z Ravelstonem zawsze dodawała mu otuchy. Wydawało się, że sam kontakt z Ravelstonem budził wiarę we własne siły. Nawet jeśli rozmowa nie dawała zadowolenia, odchodził z uczuciem, że nie był jednak tak całkiem do niczego. Powtórzył półgłosem sześć gotowych zwrotek. Były niezłe, całkiem niezłe.

Od czasu do czasu powracał myślą do rzeczy, które powiedział Ravelstonowi. Podtrzymywał wszystko, co powiedział. Upokorzenia ubóstwa! Tego właśnie nie mogą i nie chcą zrozumieć. Nie bieda - nie cierpi się biedy przy zarobku dwa funty tygodniowo, a gdyby nawet, nie miałyby to znaczenia - ale upokorzenie, okropne, cholerne upokorzenie. To, że każdy ma prawo cię deptać. To, że każdy *chce* cię deptać. Ravelston nie chciał temu wierzyć. To dlatego, że jest zbyt przyzwoity. Myślał, że można być biednym, a mimo to traktowanym jak człowiek. Lecz Gordon wiedział swoje. Wszedł do domu, powtarzając, że wie swoje.

Na tacy w przedpokoju czekał na niego list. Serce mu podskoczyło. Listy wprawiały go teraz w podniecenie. Wbiegł po schodach przeskakując po trzy stopnie, zamknął się i zapalił gaz. List był od Doringa.

DROGI COMSTOCK, jaka szkoda, że nie przyszedł Pan w sobotę. Było u nas parę osób, z którymi chciałem Pana zapoznać. Powiedzieliśmy Panu chyba, że tym razem to będzie sobota, a nie czwartek? Żona mówi, że na pewno Panu powiedziała. Urządzamy następne przyjęcie dwudziestego trzeciego, coś w rodzaju przyjęcia przedbożonarodzeniowego, o tej samej porze. Czy zechciałby Pan przyjść. Proszę nie zapomnieć o dacie.

Pański

PAUL DORING

Gordona schwycił bolesny skurcz poniżej żeber. A więc Doring udawał, że to była pomyłka - udawał, że go wcale nie obraził! I tak nie mógłby pójść w sobotę, gdyż w sobotę musiał być w sklepie; jednakże liczyły się chęci.

Oburzył się ponownie przeczytawszy słowa: „parę osób, z którymi chciałem Pana zapoznać”. Zawsze miał takie cholerne szczęście! Pomyślał o ludziach, których mógł poznać - na przykład, redaktorów pism intelektualnych. Mogliby dać mu książki do recenzji lub poprosiliby go o pokazanie wierszy, lub Bóg wie co. Przez chwilę kusilo go strasznie, by uwierzyć, że Doring mówi prawdę. Może jednak powiedzieli mu, że chodzi o sobotę, a nie o czwartek. Może gdyby poszukał w pamięci, mógłby sobie przypomnieć - może nawet znalazłby list pomiędzy stertą papierów. Lecz nie! Nie chce o tym myśleć. Zwalczył pokusę. Doringowie obrazili go celowo. Był biedny, więc obrazili go. Gdy jesteś biedny, ludzie cię obrażają. W to wierzył. Trzymaj się tego!

Podszedł do stołu, drąc list od Doringa na kawałeczki. Aspidistra rosła w doniczce, matowozielona, nędzna,

żałosna chorobliwą brzydota. Siadając, przysunął ją ku sobie i przyjrzał się jej w zadumie. Pomiedzy nim i aspidi-strą wytworzył się zażyły stosunek nienawiści. - Jeszcze cię pokonam, ty szelmo - szepnął w zakurzone liście.

Przetrząsnął papiery, dopóki nie znalazł czystego arkusza, wziął pióro i napisał drobnym, schludnym pismem pośrodku arkusza:

DROGI DORING, odnośnie do Pańskiego listu:
odwal się Pan.

Szczerze oddany
GORDON COMSTOCK

Włożył do koperty, zaadresował ją i natychmiast wyszedł, by kupić znaczki w automacie. Wysłać list dziś wieczorem; rano sprawy przedstawiają się inaczej. Wrzucił go do skrzynki. A więc koniec jeszcze jednej przyjaźni.

6

Te kobiety ! Jakież to niezdolność! Jaka szkoda, że nie możemy się bez tego obyć lub przynajmniej być jak zwierzęta - parę minut gwałtownej chuci i całe miesiące lodowatej wstrzemięźliwości. Weźmy na przykład samca bażanta. Wskakuje samicom na grzbiet, nie pytając o pozwolenie. A zaraz po tym zapomina o całej sprawie. Niemal nie zauważa samic; nie zwraca na nie uwagi lub dziobie je, gdy mu podchodzą zbyt blisko do jedzenia. Nie wymaga się też od niego, by utrzymywał swe potomstwo. Szczęśliwy bażant! Jakże inna sprawa z panem stworzenia, miotającym się pomiędzy wspomnieniem a sumieniem!

Tego wieczoru Gordon nawet nie udawał, że pracuje. Wyszedł z domu zaraz po kolacji. Szedł na południe, dość powoli, rozmyślając o kobietach. Wieczór był łagodny i mglisty, raczej jesienny niż zimowy. Był wtorek i miał jeszcze cztery szylingi i cztery pensy. Mógłby pójść do Crichton, gdyby miał ochotę. Z pewnością Flaxman i jego kumple już tam pili. Lecz Crichton, knajpa, która wydawała się rajem, gdy nie miał pieniędzy, nudziła go i budziła w nim wstręt, gdy mógł sobie na nią pozwolić. Nienawidził tego zatęchłego, woniącego piwem lokalu oraz widoków, dźwięków i zapachów,

które miały tak odpychająco i rażąco męski charakter. Nie było tam kobiet, jedynie dziewczyna za barem, uśmiechnięta lubieżnie, co zdawało się obiecywać wszystko, a nie obiecywało niczego.

Kobiety, kobiety! Mgła wisząca bez ruchu w powietrzu zmieniała w duchy przechodniów, znajdujących się w odległości dwudziestu metrów, lecz w małych kręgach światła przy latarniach można było dostrzec dziewczęce twarze. Pomyślał o Rosemary, o kobietach w ogóle, potem znowu o Rosemary. Myślał o niej przez całe popołudnie. Z pewną złością myślał o jej drobnym, silnym ciele, którego nigdy nie widział nagim. To potwornie niesprawiedliwe, że pełni jesteśmy nieznośnych żądz i że zabrania nam się je zaspakajać! Dlaczego mamy być *tego* pozbawieni, tylko dlatego, że nie mamy pieniędzy? Wydaje się to takie naturalne, takie niezbędne, stanowi tak ważną część niezbywalnych praw człowieka. Idąc ciemną ulicą, w zimnym, choć dusznym powietrzu, czuł w piersi dziwną nadzieję. Na poły wierzył, że gdzieś w ciemności czeka na niego kobiece ciało. Wiedział jednak także, że nie czeka na niego żadna kobieta, Rosemary też nie. Upłynęło osiem dni, odkąd do niego pisała. Szelma! Nie napisała przez całe osiem dni. A wie, ile jej listy dla niego znaczą! Było oczywiste, że nie zależało jej już *na nim*, że jej się tylko naprzykrzał swoim ubóstwem, znoszonym ubraniem i ustawicznym zadreczaniem, by powiedziała, że go kocha! Najprawdopodobniej już nigdy nie napisze. Miała go dość - miała go dość, ponieważ nie miał pieniędzy. Czegoż innego można by się spodziewać? Nie miał na nią wpływu. Nie miał pieniędzy, więc nie miał wpływu. Cóż ostatecznie wiąże kobietę z mężczyzną, jeśli nie pieniądze?

Chodnikiem nadchodziła samotna dziewczyna. Minał ją w świetle latarni. Dziewczyna ze środowiska robotnicze-

go, może osiemnastoletnia, bez kapelusza, o różanej twarzy. Szybko odwróciła głowę, gdy zauważyła, że na nią patrzy. Bała się spotkania z jego wzrokiem. Pod cienkim jedwabistym prochowcem, ściśniętym paskiem w talii, jej młodzieńcze biodra zdawały się zgrabne i prężne. Mógłby zawrócić i pójść za nią. Lecz co za sens? Albo ucieknie, albo zawoła policjanta. Me złote pukle w srebro czas zamienił, pomyślał. Miał trzydzieści lat i był zniszczony. Czy atrakcyjna kobieta spojrzy jeszcze na niego?

Te kobiety! Może to inaczej wygląda, gdy jest się żonatym? Lecz już dawno temu poprzysiągł sobie nie żenić się. Małżeństwo to tylko pułapka zastawiona przez bożka pieniędzy. Chwytasz przynętę; pułapka zaskakuje, i oto jesteś, przykuty za nogę do jakiejś „dobrej” posady, póki cię nie wywiozą na Kensal Green. I co to za *życiel* Uprawniony stosunek płciowy w cieniu aspidistry. Popychanie wózka i pokątne cudzołóstwo. Zona to wykrywa i tłucze ci na głowie karafkę na whisky z rżniętego szkła.

Zdawał sobie jednak sprawę, że właściwie należy się żenić. Jeśli małżeństwo jest złe, alternatywa jest jeszcze gorsza. Przez chwilę żałował, że nie jest żonaty; zateśknił za trudnościami, rzeczywistością, bólem. Małżeństwa nie można rozwiązać, jest się w nim na dobre i na złe, w bogactwie i w ubóstwie, póki śmierć was nie rozłączy. Stary ideał chrześcijański - małżeństwo łagodzone przez cudzołóstwo. Cudzołóż, jeśli musisz, lecz miej przynajmniej na tyle przyzwoitości, by przynajmniej nazwać to cudzołóstwem. Bez tego amerykańskiego bredzenia o pokrewieństwie dusz. Zabaw się, a potem zmykaj do domu, z wąsami ociekającymi sokiem z zakazanego owocu, i ponieś konsekwencje. Karafki do whisky z rżniętego szkła tłuczone ci na głowie, gderanie, przypalone jedzenie, płacz dzieci, gromy ciskane przez wojownicze teściowe. Może

to lepsze niż ta okropna wolność? Człowiek by przynajmniej wiedział, że żyje.

Jak jednak można się ożenić zarabiając dwa funty tygodniowo? Pieniądze, pieniądze, zawsze pieniądze! Piekielne jest to, że poza małżeństwem niemożliwy jest uczciwy stosunek z kobietą. Przebiegł myślą dziesięć lat swego dorosłego życia. Mignęły mu w pamięci twarze kobiet. Było ich dziesięć lub dwanaście. Ulicznice też. *Comme au long d'un cadavre un cadavre etendu*. Nawet gdy nie były to ulicznice, było to zawsze plugawe. Zaczynało się zawsze z zimną premedytacją, a kończyło wstrętą, bezlitosną ucieczką. To także wiązało się z pieniędzmi. Bez pieniędzy nie można być prostolinijnym w stosunkach z kobietami. Bez pieniędzy nie ma wyboru, trzeba brać takie kobiety, jakie są pod ręką, potem, oczywiście, trzeba się od nich uwolnić. Za stałość, podobnie jak za inne cnoty, trzeba płacić pieniędzmi. Sam fakt, że zbuntował się przeciwko kodeksowi pieniądza i nie chciał osiąść w więzieniu „dobrej” posady - czego żadna kobieta nigdy nie zrozumie - wniósł w jego stosunki z kobietami pewną nietrwałość i zakłamanie. Wyrzekłszy się pieniędzy, powinien był wyrzec się też kobiet. Służyć bożkowi pieniądza lub obchodzić się bez kobiet - to jedyna alternatywa. Oba wyjścia jednakowo niemożliwe do przyjęcia.

Mgłą przeciął snop białego światła z bocznej ulicy i rozległy się pokrzykiwania przekupniów. To Luton Road, gdzie przez dwa wieczory w tygodniu odbywał się targ na świeżym powietrzu. Gordon skręcił w lewo, na targ. Często tu przychodził. Ulica była tak zatłoczona, że z trudem można było się przepchnąć zawałonym kapustą przejściem pomiędzy straganami. W blasku zwisających żarówek elektrycznych stragany jarzyły się niesamowitymi barwami - porąbane szkarłatne kawały mięsa, stopy pomarańcz oraz zielonych i białych brokułów, sztywne,

szklanookie króliki, żywe węgorze wijące się w emaliowanych misach, oskubane ptactwo zwisające w rzędach, wypinające nagie piersi jak nadzy gwardziści na zbiórce. Humor Gordona poprawił się nieco. Podobał mu się hałas, ruch, pełnia życia. Na targu ulicznym widać, że istnieje jeszcze dla Anglii nadzieja. Jednak nawet tutaj doskwierała mu samotność. Wszędzie tłumy dziewcząt, po cztery, po pięć; buszowały pożądliwie po straganach z tanią bielizną, przekomarzając się z podążającymi za nimi chłopcami i wybuchając śmiechem. Żadna nie spojrzała na Gordona. Szedł wśród nich, jak gdyby był niewidzialny, choć ich ciała usuwały się, gdy je mijał. Ach, spójrz! Zatrzymał się mimowolnie. Trzy dziewczyny pochylały się nad stosem bielizny ze sztucznego jedwabiu na straganie, zaaferowane, zbliżywszy do siebie twarze - trzy młodzieńcze twarze, w ostrym świetle podobne do kwiatów, jak wiązka kwiecica goździków lub floksów. Serce mu zabiło. Nie widzą go, oczywiście. Jedna z dziewcząt podniosła wzrok. Rumieniec delikatny jak akwarela oblał jej twarz. Przestraszył ją brutalny, pożałdliwy wyraz jego oczu. Pierzcha przede mną, kto mnie ongi szukał! Poszedł dalej. Gdyby Rosemary tu była! Przebaczył jej teraz to, że do niego nie napisała. Przebaczyłby jej wszystko, gdyby tylko tu była. Zdawał sobie teraz sprawę, jak wiele dla niego znaczyła: była przecież jedyną na świecie kobietą, która chciała go ocalić od upokorzenia samotności.

Właśnie wówczas podniósł wzrok i ujrzał coś, na widok czego gwałtownie zabiło mu serce. Przyjrzał się uważnie. Przez chwilę myślał, że mu się tylko zdaje. Lecz nie! To naprawdę była Rosemary!

Szła uliczką pomiędzy straganami w odległości dwudziestu lub trzydziestu metrów. Wyglądało to tak, jak gdyby jego pragnienie powołało ją do życia. Jeszcze go nie zauważyła.

Zbliżała, się ku niemu, drobna i pogodna, zręcznie przemykając się pomiędzy tłumem i poprzez błoto, z twarzą niemal całkiem zakrytą płaskim czarnym kapeluszem, który nosiła nasunięty na oczy, podobnie jak uczniowie z Harrow noszą słomkowe kapelusze. Ruszył ku niej, wołając ją po imieniu.

- Rosemary! Hej, Rosemary!

Mężczyzna w niebieskim fartuchu, który macał dorsze na straganie, odwrócił się i spojrzał na niego. Rosemary go nie usłyszała z powodu zgiełku. Zawołał znowu.

- Rosemary! Halo, Rosemary!

Dzieliło ich teraz już tylko kilka metrów. Drgnęła i podniosła wzrok.

- Gordon! Co tu robisz?

- A co *ty* tutaj robisz?

- Szłam cię odwiedzić.

- Ale skąd wiedziałaś, że jestem tutaj?

- Nie wiedziałam. Zawsze tędy chodzę. Wsiadam z metra w Camden Town.

Rosemary przychodziła czasem odwiedzić Gordona na Willowbed Road. Pani Wisbeach powiadamiała go kwaśno, że „przyszła do niego młoda kobieta”, a wówczas schodził na dół i szli pospacerować ulicami. Rosemary nie wolno było wejść do środka, nawet do przedpokoju. Takie *panowały* zasady w domu. Ze sposobu wyrażania się pani Wisbeach można by wnosić, że „młode kobiety” to roznoszące zarazę szczury. Gordon ujął Rosemary za ramię i przyciągnął ją do siebie.

- Rosemary! Och, co za radość, że znowu cię widzę! Byłem tak okropnie samotny. Dlaczego nie przysłaś wcześniej?

Straciła jego rękę i cofnęła się tak, że nie mógł jej dosięgnąć. Spod skośnego randa kapelusza rzuciła mu spojrzenie, które miało wyrażać gniew.

- Puść mnie! Jestem bardzo zła na ciebie. Po tym potwornym liście, który mi przysłałeś, miałam w ogóle nie przyjść.

- Jakim potwornym liście?

- Dobrze wiesz, jakim.

- Nie, nie wiem. Och, chodźmy stąd. Tam, gdzie będziemy mogli rozmawiać. Tędy.

Ujął jej ramię, lecz znów go odtrąciła, chociaż nadal szła przy nim. Jej kroki były szybsze i krótsze niż jego kroki. Idąc obok wydawała się nadzwyczaj drobna, zwinna i młoda, jak jakieś pływające obok niego ruchliwe zwierzątko, na przykład wiewiórka. W rzeczywistości była niewiele niższa od Gordona, a młodsza jedynie o kilka miesięcy. Nikt jednak nie określiłby Rosemary mianem niemal trzydziestoletniej starej panny, choć była nią w istocie. Była silną, zwinną dziewczyną, o sztywnych czarnych włosach, drobnej trójkątnej twarzy z mocno zarysowanymi brwiami. Miała drobną, spiczastą, zdradzającą silny charakter twarz, jakie się widuje na szesnastowiecznych portretach. Gdy pierwszy raz zdejmowała przy kimś kapelusz, następowało zdziwienie, gdyż na czubku głowy trzy siwe włosy lśniły jak srebrne druty pomiędzy czarnymi. Było to charakterystyczne dla Rosemary, że nie zależało jej na wyrwaniu siwych włosów. Nadal uważała się za bardzo młodą dziewczynę, i wszyscy myśleli podobnie. Lecz gdy się przyjrzeć bliżej, znamiona czasu były już wyraźnie widoczne na jej twarzy.

Gordon szedł śmieiej z Rosemary u boku. Był z niej dumny. Ludzie patrzyli na nią, a zatem także na niego. Kobiety przestały traktować go jak powietrze. Rosemary była jak zawsze ładnie ubrana. Pozostawało tajemnicą, jak jej się to udaje przy zarobkach wynoszących cztery funty tygodniowo. Podobał mu się zwłaszcza jej kapelusz - jeden z tych płaskich filcowych kapeluszy, które właśnie stawały

się modne, a które naśladowały szerokie kapelusze duchownych anglikańskich. Było w nim coś frywolnego. W jakiś trudny do opisania sposób kął jego nachylenia harmonizował ponętnie z wypukłością pośladków Rosemary.

- Podoba mi się twój kapelusz - powiedział.

Uśmiech zadrgał mimo woli w kąćku jej ust.

- Rzeczywiście jest dość ładny - powiedziała, pogłaskawszy kapelusz.

Nadal jednak udawała, że się gniewa. Uważała, by ich ciała się nie dotykały. Skoro tylko dotarli do końca straganów i znaleźli się przy głównej ulicy, zatrzymała się i smutno spojrzała na niego.

- Co to znaczy, że piszesz do mnie takie listy? - spytała.

- Jakie listy?

- Piszesz, że zламаłam ci serce.

- Bo zламаłaś.

- Więc tak uważasz!

- Nie wiem. Z pewnością tak czuję.

Powiedział te słowa półzartem, a jednak spojrzała na niego uważniej - na jego bladą, zniszczoną twarz, nie strzyżone włosy, na jego zbiedzony, zaniedbany wygląd. Serce natychmiast w niej zmiękło, lecz nadal robiła groźną minę. Dlaczego nie chce dbać o siebie? - pomyślała. Stali teraz blisko siebie. Ujął ją za ramiona. Pozwoliła mu na to i otoczywszy go drobnymi rękami, uściśnęła mocno, co oznaczało na poły sympatię, na poły rozdrażnienie.

- Gordon, z ciebie naprawdę nieszczęsna istota! - powiedziała.

- Dlaczego ze mnie nieszczęsna istota?

- Dlaczego nie dbasz o siebie? Wyglądasz jak prawdziwy strach na wróble. Jakie ty nosisz okropne stare ubranie!

- Pasuje do mojej pozycji. Jak wiesz, nie można się przyzwoicie ubierać za dwa funty tygodniowo.

- Ale z pewnością nie musisz wyglądać jak worek na śmieci. Spójrz na ten guzik na marynarce, jest złamany!

Dotknęła złamanego guzika, po czym nagle odsunęła spłowiały krawat od Woolwortha. W jakiś kobiecy sposób domyśliła się, że koszula nie ma guzików.

- Tak, *znowul* Ani jednego guzika. Jesteś okropny, Gordon!

- Powiadam ci, że nie będę sobie zawracał głowy takimi rzeczami. Jestem ponad guziki.

- Ale dlaczego nie dasz ich *mnie*, żebym ci przyszyła? Och, Gordon! Nawet się dzisiaj nie ogoliłeś. To zupełnie potworne. Mógłbyś sobie przynajmniej zadać tyle trudu, żeby się golić codziennie.

- Nie mogę sobie pozwolić na codzienne golenie - powiedział przewrotnie.

- Co to właściwie znaczy, Gordon? Przecież golenie nie kosztuje, prawda?

- Tak, kosztuje. Wszystko kosztuje. Czystość, przyzwoitość, energia, poszanowanie - wszystko. To wszystko pieniądze. Czy nie mówiłem ci tego milion razy?

Ponownie uściśnęła go - była zadziwiająco silna - i zrobiła groźną minę, przyglądając się jego twarzy w taki sposób, w jaki matka patrzy na kapryśne dziecko, które nierozsądnie kocha.

- Jakaż jestem głupia! - powiedziała.

- Dlaczego głupia?

- Bo tak cię lubię.

- Naprawdę mnie lubisz?

- Oczywiście. Wiesz, że tak. Uwielbiam cię. To idiotyzm.

- W takim razie chodźmy, gdzie jest ciemno. Chcę cię całować.

- Też coś, pocałunki mężczyzny, który się nawet nie ogolił.

- A więc będzie to dla ciebie nowe przeżycie.

- Nie, Gordon. Nie w wypadku, gdy znam *ciebie* od dwóch lat.

- Och, chodź, mimo wszystko.

Znaleźli niemal ciemny zaułek na tyłach domów. Zawsze całowali się w takich miejscach. Ulice stanowiły jedyne miejsce, gdzie mogli znaleźć nieco intymności. Przycisnął jej ramiona do szorstkich i wilgotnych cegieł muru. Zwróciła ku niemu ochoczo twarz i przyłgnęła do niego powodowana gwałtownym uczuciem, zupełnie jak dziecko. Choć stykali się ciałami, wydawało się, że oddziela je tarcza. Całowała go, podobnie jak robiłoby to dziecko, ponieważ wiedziała, że oczekiwał tego. Zawsze tak było. Bardzo rzadko był w stanie rozbudzić w niej początki fizycznego pożądania; wydawało się, że później o tym zapominała, tak że zawsze musiał zaczynać od nowa. Jej drobne, kształtne ciało wymykało mu się jakby. Pragnęła poznać, co znaczy miłość cielesna, a zarazem bała się jej. Zniszczyłaby jej młodość, ten młodzieńczy, bezpłciowy świat, w którym żyła.

Oderwał usta od jej ust, by porozmawiać.

- Czy mnie kochasz? - zapytał.

- Oczywiście, głuptasie. Dlaczego zawsze mnie o to pytasz?

- Chcę usłyszeć, jak to mówisz. Nigdy nie czuję się ciebie pewien, dopóki nie usłyszę, że to mówisz.

- Ale dlaczego?

- Och, bo ja wiem, mogłaś zmienić zdanie. Przecież niezupełnie odpowiadam ideałowi, o jaki modła się dziewczęta. Mam trzydzieści lat, a już jestem zniszczony.

- Nie bądźże niemądry, Gordon! Z tego, co mówisz, można by wnosić, że masz sto lat. Wiesz, że jestem w tym samym wieku.

- Tak, lecz nie jesteś zniszczona.

Potarła policzkiem o jego policzek, czując szorstkość jednodniowego zarostu. Ich brzuchy stykały się. Pomyślała o tych dwóch latach, kiedy to pragnął jej, lecz jej nie miał. Zbliżywszy usta do jej ucha wyszeptał:

- Czy ty w ogóle kiedyś prześpisz się ze mną?

- Tak, kiedyś. Nie teraz. Kiedyś.

- Zawsze „kiedyś”. Już od dwóch lat jest „kiedyś”.

- Wiem. Ale nic na to nie poradzę.

Przycisnął ją do muru, zsunął śmieszny płaski kapelusz i zanurzył twarz w jej włosach. Męką była jej bliskość, która na nic się zdała. Ujął ręką jej podbródek i uniół drobną twarz, starając się rozróżnić jej rysy w niemal zupełnej ciemności.

- Powiedz, Rosemary, że tak. No, kochanie! Powiedz!

- Wiesz, że tak, *kiedyś*.

- Tak, ale nie *kiedyś* - teraz. To znaczy, nie w tej chwili, lecz niedługo. Gdy będziemy mieli okazję. Powiedz, że tak!

- Nie mogę. Nie mogę przyrzec.

- Powiedz „tak”, Rosemary. Powiedz, proszę!

- Nie.

Głaszcząc jej niewidoczną twarz, zacytował:

Veillez le dire donc selon

Que vous estes benigne et doulche,

Car ce doux mot nest pas si long

Qu'il vous face mai en la bouche.

- Co to znaczy?

Przetłumaczył jej.

- Nie mogę, Gordon. Po prostu nie mogę.

- Powiedz „tak”, Rosemary, no kochanie. Z pewnością tak samo łatwo powiedzieć „tak”, jak „nie”.

- Nie, nie tak samo. Łatwo dla ciebie. Jesteś mężczyzną. Z kobietą jest inaczej.

- Powiedz „tak”, Rosemary! „Tak” - to takie łatwe słowo. No, powiedz. „Tak!”

- Ktoś by pomyślał, Gordon, że uczysz mówić papugę.

- Do licha! Nie żartuj sobie z tego.

Nie było sensu się kłócić. Wkrótce wyszli na ulicę i zaczęli iść na południe. Z szybkich, zgrabnych ruchów Rosemary, z jej wyglądu dziewczyny, która wie, jak o sobie dbać, a która mimo to traktuje życie niepoważnie, można było łatwo się domyślić, jak ją wychowano i jakie były jej rodzinne tradycje. Była najmłodszym dzieckiem w jednej z tych ogromnych, wygłodniałych rodzin, które występują jeszcze tu i ówdzie pośród klas średnich. Dzieci było czternaścioro - ojciec był radcą prawnym na prowincji. Niektóre z siostr Rosemary wyszły za mąż, inne były nauczycielkami lub prowadziły biura pisania na maszynie; bracia prowadzili gospodarstwa w Kanadzie, plantacje herbaty na Cejlonie lub służyli w podrzędnych pułkach w Indiach. Jak wszystkie kobiety, które miały urozmaicone dzieciństwo, Rosemary pragnęła na zawsze pozostać dziewczynką. Dlatego właśnie była tak niedojrzała seksualnie. Przechowywała radosną, bezpłciową atmosferę dużej rodziny. Wyniosła stamtąd również głęboko zakorzenioną zasadę czystej gry oraz wzajemnej tolerancji. Była głęboko wielkoduszna i całkiem niezdolna do wywierania nacisków psychicznych. Od Gordona, którego uwielbiała, zносиła nieomal wszystko. Miarą jej wielkoduszności było to, że w ciągu dwóch lat ich znajomości nigdy nie miała do niego pretensji, że nie próbował przyzwocicie zarabiać.

Gordon był tego świadom. W tej chwili jednak myślał o czym innym. W bładych kręgach światła pod latarniami, u boku drobniejszej i schludniejszej postaci Rosemary, czuł, że jest pozbawiony wdzięku, zabiedzony i brudny. Żałował, że się rano nie ogolił. Ukradkiem wsunął rękę do kieszeni i dotknął pieniędzy, jakby się lękał - ten strach prześladował go stale - że może zgubił jakąś monetę. Wyczuł jednakże karbowany brzeg monety dwuszylinkowej, jego najważniejszej monety w danej chwili. Zostało mu cztery szylingi i cztery pensy. Pomyślał, że nie mógłby jej zaprosić na kolację. Będą musieli jak zwykle włączyć się ponuro po ulicach, najwyżej pójdą do Lyonsa na kawę. Cholera! Nie można się zabawić, gdy się nie ma pieniędzy. Powiedział w zadumie:

- Oczywiście wszystko sprowadza się do pieniędzy.

Ta uwaga padła całkiem nieoczekiwanie. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Co to znaczy, że wszystko sprowadza się do pieniędzy?

- To, że nic mi się w życiu nie układa. A zwłaszcza pomiędzy mną a tobą. To dlatego naprawdę mnie nie kochasz. Pomiedzy nami istnieje coś w rodzaju warstewki pieniędzy. Czuję to za każdym razem, gdy cię całuję.

- Pieniądze! Cóż pieniądze mają z tym do czynienia?

- Pieniądze mają ze wszystkim do czynienia. Gdybym miał więcej pieniędzy, bardziej byś mnie kochała.

- Oczywiście że nie! Dlaczego?

- Nic byś na to nie mogła poradzić. Czyż nie widzisz, że gdybym miał więcej pieniędzy, byłbym bardziej godny miłości? Spójrz na mnie! Spójrz na moją twarz, spójrz na ubranie, które noszę, spójrz na mnie całego. Czy sądzisz, że byłbym taki, gdybym miał dwa tysiące rocznie? Gdybym miał więcej pieniędzy, byłbym inną osobą.

- Gdybyś był inną osobą, nie kochałabym cię.

- To także nonsens. Ale spójrzmy na to inaczej. Czy spałabyś ze mną, gdybyśmy byli małżeństwem?

- Cóż za pytania zadajesz! Oczywiście, że tak. W przeciwnym wypadku, po cóż byłoby się pobierać?

- Zatem zakładając, że by mi się nieźle powodziło, czy wyszłabyś za mnie?

- Co za sens mówić o tym, Gordon? Wiesz przecież, że nie możemy sobie pozwolić na małżeństwo

- Tak, ale *gdybyśmy* mogli. Czy wyszłabyś?

- Nie wiem. Tak, myślę, że tak.

- A widzisz! To, co powiedziałem - pieniądze!

- Nie, Gordon, nie! To nieuczciwe! Przekręcasz moje słowa.

- Nie, nie przekręcam. Masz to zakorzenione w sercu. Każda kobieta to ma. Chciałabyś, żebym miał *dobrą* posadę, prawda?

- Nie w tym znaczeniu. Chciałabym, abyś więcej zarabiał.

- I myślisz, że powinienem być zostać w Nowym Albionie, prawda? Chciałabyś, żebym tam teraz wrócił i pisał reklamy dla sosu Q.T. i płatków śniadaniowych Truweet, prawda?

- Nie, nie chciałabym. *Nigdy* tego nie powiedziałam.

- Ale pomyślałaś. Każda kobieta by pomyślała.

Stawał się okropnie niesprawiedliwy i zdawał sobie z tego sprawę. Rosemary nigdy nie powiedziała, przypuszczalnie nie była zdolna powiedzieć, że powinien wrócić do Nowego Albionu. W tej chwili jednak nie chciał być sprawiedliwy. Rozczarowanie seksualne nadal nie dawało mu spokoju. Z melancholijnym triumfem pomyślał, że mimo wszystko miał rację. Dzielili ich pieniądze. Pieniądze, pieniądze, pieniądze to wszystko! Półserio rozpoczął tyradę:

- Kobiety! Jak nedorzeczny czynią nasze ideały! Ponieważ nie można się bez kobiet obejść, każda kobieta zaś zmusza do płacenia tej samej ceny. „Odrzuć przyzwoitość i zarabiaj więcej pieniędzy” - tak właśnie mówią kobiety. „Odrzuć przyzwoitość, zlizuj pastę z butów szefa i kup mi lepsze futro niż to, które ma sąsiadka”. Każdemu mężczyźnie wisi u szyi jak syrena jakaś przeklęta kobieta, która go ciągnie w dół - do potwornej bliźniaczej willi w Putney, z meblami kupionymi na raty, przenośnym radiem i aspidistrą w oknie. To kobiety uniemożliwiają wszelki postęp. Nie żebym wierzył w postęp - dodał dość niezręcznie.

- Mówisz zupełnie od rzeczy, Gordon! Jak gdyby kobiety były wszystkiemu winne!

- Ostatecznie to ich wina. Bo to kobiety naprawdę wierzą w kodeks pieniądza. Mężczyźni mu się podporządkowują; muszą to robić, lecz weń nie wierzą. To kobiety go podtrzymują. Kobiety i ich wille w Putney, futra, dzieci i aspidistry.

- Przecież to nie kobiety, Gordon! Kobiety nie wynalazły pieniędzy, prawda?

- Nieważne, kto je wynalazł, rzecz w tym, że to kobiety oddają im cześć. Kobieta żywi wobec pieniędzy jakieś mistyczne uczucie. W umyśle kobiety dobro i zło oznaczają po prostu pieniądze i brak pieniędzy. Spójrz na siebie i na mnie. Nie chcesz ze mną spać tylko dlatego, że nie mam pieniędzy. Tak, taka jest przyczyna (ścisnął jej ramię, by ją zmusić do milczenia). Przyznałaś to sama przed chwilą. Gdybym zaś posiadał przyzwoity dochód, natychmiast poszłabyś ze mną do łóżka. Nie dlatego, że jesteś interesowna. Nie chcesz, żebym *ciplacil* za spanie ze mną. Nie jest to aż tak prymitywne. Lecz tkwi w tobie głęboko to mistyczne uczucie, że mężczyzna bez pieniędzy nie jest ciebie wart. Jest cherlakiem, jakimś półmężczyzną - tak to

odczuwasz. Herkules, bóg siły i bóg pieniędzy - znajdziesz to u Lempriere'a. To kobiety podtrzymują mitologie. Kobiety!

- Kobiety! - zawtórowała Rosemary innym tonem. - Nie znoszę sposobu, w jaki mężczyźni mówią o *kobietach*. „Kobiety to”, „kobiety tamto” - jak gdyby wszystkie kobiety były takie same!

- Oczywiście, że wszystkie kobiety są takie same. Czegoż innego pragnie kobieta, jeśli nie zabezpieczonego dochodu, dwojga dzieci i bliźniaczej willi w Putney z aspidistrą w oknie?

- Och, ty i te twoje aspidistry!

- Przeciwnie, *twoje* aspidistry. Należysz do płci, która je hoduje.

Uścisnęła go za ramię i wybuchnęła śmiechem. Była naprawdę bardzo łagodnego usposobienia. Poza tym to, co mówił, było tak niedorzeczne, że nawet jej nie irytowało. Diatryby Gordona przeciwko kobietom stanowiły w istocie przewrotny żart; cała wojna płci jest zasadniczo żartem. Z jakichś względów bardzo zabawnie udawać feministkę, lub antifeministę, zależnie od płci. Idąc dalej, zaczęli się gwałtownie sprzeczać na temat odwiecznej i idiotycznej kwestii Mężczyzny i Kobiety. Argumenty w tym sporze - gdyż sprzeczali się przy każdym spotkaniu - były zawsze bardzo podobne. Mężczyźni to brutale, a kobiety nie mają duszy, kobiety zawsze były ujarzmione i właśnie powinny być ujarzmione, spójrz na Cierpliwą Gryzeldę i spójrz na Lady Astor, a co z poligamią i hinduskimi wdowami, a co powiesz o sielskich czasach Mamy Pankhurst, gdy każda przyzwoita kobieta tak strzegła swojej cnoty, że gdy patrzyła na mężczyznę, świerzbiała ją ręka, by sięgnąć po noż do kastrowania? Gordon i Rosemary nigdy nie mieli tego dość. Każde z nich śmiało

się uradowane, słysząc niedorzeczności drugiego. Prowadzili wesołą wojnę. Tak dyskutując, z radością przywierali do siebie ciałami. Byli bardzo szczęśliwi. W rzeczywistości uwielbiali się nawzajem. Pobudzali się nawzajem do śmiechu, choć jedno drugie ogromnie ceniło. Wreszcie w oddali pojawiła się czerwono-niebieska mgiełka neonów. Dotarli do początków Tottenham Court Road. Gordon otoczył Rosemary ramieniem i popchnął w prawo, w ciemną boczną ulicę. Byli tak szczęśliwi, że musieli się całować. Stali objęci pod latarnią, jeszcze się śmiejąc, dwaj wrogowie, pierś w pierś. Potarła policzkiem o jego policzek.

- Gordon, jesteś takim kochanym osłem! Nie mogę cię nie kochać z tą szpeciniastą brodą.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Nadal obejmując go ramionami, odchyliła się nieco do tyłu, przycisnąwszy do niego brzuch z niewinną zmysłowością.

- Naprawdę warto żyć, prawda, Gordon?

- Czasami.

- Gdybyśmy się mogli częściej spotykać! Czasem nie widzę cię przez całe tygodnie.

- Wiem. Cholera. Gdybyś wiedziała, jak nienawidzę moich samotnych wieczorów!

- Nigdy się nie ma na nic czasu. Z tego potwornego biura wychodzę dopiero przed siódmą. Co robisz w niedzielę, Gordon?

- Och, Boże! Pałętam się i jestem nieszczęśliwy, jak wszyscy.

- Może byśmy się kiedyś wybrali na spacer za miasto. Spędzilibyśmy razem cały dzień. Na przykład, w przyszłą niedzielę?

Jej słowa zmroziły go. Przypomniały mu znowu o pieśniadkach, o których udało mu się zapomnieć przez

ostatnie pół godziny. Wycieczka za miasto będzie kosztować, i to znacznie więcej, niż go na to stać. Powiedział wymijająco, przesuując całą sprawę w dziedzinę abstrakcji:

- Oczywiście, nieźle jest w niedzielę w Richmond Park. A nawet na Hampstead Heath. Zwłaszcza gdy pójść tam rano, zanim zejdą się tłumy.

- Och, pojedźmy naprawdę za miasto! Na przykład gdzieś w Surrey albo do Burnham Beeches. Tak pięknie jest o tej porze roku, ze spadłymi liśćmi na ziemi, można iść cały dzień i nie spotkać żywej duszy. Będziemy iść kilometrami i zjemy obiad w gospodzie. Byłoby tak wspaniale. Pojedźmy!

Do licha! Znowu pieniądze. Wycieczka, choćby tylko do Burnham Beeches, będzie kosztować całe dziesięć szylingów. Pospiesznie zrobił dodawanie w pamięci. Pięć szylingów będzie mógł wygospodarować, a Julia „pożyczy” mu pięć; to znaczy, *da* mu pięć. W tej samej chwili przypomniał sobie swoją przysięgę, stale ponawianą i zawsze łamaną, żeby nie „pożyczać” pieniędzy od Julii. Tym samym niedbałym tonem powiedział:

- Rzeczywiście, *byłoby* wspaniale. Myślę, że moglibyśmy to zorganizować. Dam ci znać w tygodniu.

Wyszli z bocznej ulicy, nadal ramię przy ramieniu.

Na rogu była knajpa. Rosemary wspięła się na palce i przytrzymując się ramienia Gordona zajrzała do środka ponad mleczną szybą w dolnej części okna.

- Popatrz, Gordon, tam jest zegar. Jest już prawie wpół do dziesiątej. Czy nie chce ci się okropnie jeść?

- Nie - powiedział szybko i niezgodnie z prawdą.

- Mnie tak. Po prostu umieram z głodu. Chodźmy coś zjeść.

Znowu pieniądze! Jeszcze chwila, a będzie musiał wyznać, że ma całego majątku tylko cztery szylingi i cztery pency - cztery szylingi i cztery pency do piątku.

- Nie mógłbym nic zjeść - powiedział. - Myślę, że napiłbym się czegoś. Chodźmy gdzieś na kawę. Sądzę, że jakiś Lyons będzie otwarty.

- Och, nie idźmy do Lyonsa! Znam pewną miłą włoską restaurację, tu niedaleko. Zamówimy *spaghetti napolitaine* i butelkę czerwonego wina. Uwielbiam spaghetti. Chodźmy.

Serce w nim zamarło. To bez sensu. Będzie musiał się przyznać. Kolacja dla nich dwojga we włoskiej restauracji nie może kosztować mniej niż pięć szylingów. Niemal opryskliwie powiedział:

- Właściwie czas, żebym wracał do domu.

- Och, Gordon! Już? Dlaczego?

- Cóż, jeśli *musisz* naprawdę wiedzieć, to mam całego majątku cztery szylingi i cztery pensy. Ma mi to wystarczyć do piątku.

Rosemary zatrzymała się nagle. Była tak zła, że uszczypnęła go w ramię z całej siły, żeby go zabolalo, bo chciała go ukarać.

- Osioł z ciebie, Gordon! Zupełny idiota! Najobrzydliwszy idiota pod słońcem!

- Dlaczego idiota?

- Bo to obojętne, czy masz pieniądze, czy nie! To *ja* zapraszam ciebie na kolację.

Uwolnił ramię i cofnął się. Nie chciał jej patrzeć w twarz.

- Co? Czy sądzisz, że pójde do restauracji i pozwolę ci za siebie płacić?

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że takich rzeczy nie można robić. Tego się nie robi.

- Tego się „nie robi”! Za chwilę powiesz, że to „nie uchodzi”. Czego się „nie robi”?

- Nie pozwala się, żebyś płaciła za mnie w restauracji. Mężczyzna płaci za kobietę, kobieta nie płaci za mężczyznę.

Och, Gordon! Czy żyjemy za panowania królowej Wiktorii?

- Tak, jeśli o to chodzi. Pojęcia nie zmieniają się tak szybko.

- Ale *moje* pojęcia się zmieniły.

- Nie, nie zmieniły się. Myślisz, że tak, ale się nie zmieniły. Wychowano cię jak kobietę, więc nie możesz nie zachowywać się jak kobieta, choćbyś się bardzo starała.

- Co masz na myśli mówiąc „zachowywać się jak kobieta”?

- Twierdzę, że każda kobieta jest taka sama, jeśli o to chodzi. Kobieta pogardza mężczyzną, który jest od niej zależny i żeruje na niej. Może mówić, że tak nie jest, może nawet *myśleć*, że tak nie jest, ale tak jest. Nic nie może na to poradzić. Jeśli pozwolę ci płacić za mnie w restauracji, ty także będziesz mną pogardzała

Odwrocił się. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się obrzydliwie. Jednakże musiał to wszystko powiedzieć. Przekonanie, że ludzie - nawet Rosemary - *muszą* nim pogardzać za ubóstwo, było w nim zbyt silnie zakorzenione. Mógł zachować poczucie godności własnej jedynie przez okazywanie nieustępliwej, zazdrosnej niezależności. Tym razem naprawdę sprawił Rosemary ból. Chwyła go za ramię i odwróciła ku sobie, zmuszając go do spojrzenia jej; w twarz. Natarczywie, ze złością, a *zarazem domagając* się miłości, przyłgnęła piersią do niego.

- Gordon! Nie wolno ci mówić takich rzeczy. Jak możesz mówić, że tobą kiedykolwiek gardziłam?

- Powiadam ci, że będziesz musiała mną gardzić, jeśli zgodzę się żerować na tobie.

- Żerować na mnie! Co za wyrażenia! Czyż żerowaniem na mnie jest to, że raz zafunduję ci kolację?

Wyczuwał jej małe piersi, jędrne i krągłe, tuż pod swymi. Spojrzała na niego, zagniewana, lecz bliska płaczu.

Uważała, że jest przewrotny, nierozsądny, okrutny. Jej fizyczna bliskość oszałamiała go. W tej chwili pamiętała tylko o tym, że przez te dwa lata nigdy mu nie uległa. Pozbawiła go tej jedynej rzeczy, która ma znaczenie. Po cóż udawać, że go kocha, jeśli wzdragała się w sprawie zasadniczej? Dodał ze złośliwym zadowoleniem:

- W pewien sposób istotnie mną pogardzasz. Och, tak, wiem, że mnie lubisz. Jednakże nie jesteś w stanie traktować mnie poważnie. Jestem dla ciebie pewnego rodzaju kaprysem. Lubisz mnie, a jednak niezupełnie jestem ci równy - tak to czujesz.

Powiedział to samo już przedtem, lecz tym razem z tą różnicą, że był o tym przekonany, czy też powiedział to tak, jak gdyby był o tym przekonany. Zawołała ze łzami:

- Nie, Gordon, nie! Wiesz, że nie!

- Tak. Dlatego właśnie nie chcesz ze mną spać. Czy już ci tego nie mówiłem?

Spojrzała na niego nieco dłużej, po czym ukryła twarz na jego piersi tak nagle, jak gdyby chciała uniknąć ciosu. Stało się to dlatego, że wybuchnęła płaczem. Płakała mu na piersi, zła na niego, nienawidząc go, a mimo to lgnąc do niego jak dziecko. Najbardziej bolało go to, że w tak dziecinny sposób lgnęła do niego, jak do pierwszej lepszej męskiej piersi, na której można się wypłakać. Z uczuciem nienawiści do siebie, pomyślał o innych kobietach, które tak samo płakały mu na piersi. Wyglądało na to, że potrafi tylko doprowadzać kobiety do płaczu. Otoczywszy jej barki ramieniem pieścił ją niezgrabnie, próbując ją uspokoić.

- Doprowadziłeś mnie do płaczu! - załkała, gardząc sama sobą.

- Przepraszam! Rosemary, kochanie! Nie płacz, *proszę cię*, nie płacz.

- Gordon, najdroższy! Dlaczego musisz się tak potwornie zachowywać w stosunku do mnie?

- Przepraszam, przepraszam! Czasami nie mogę się powstrzymać.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

Przestała płakać. Uspokojona, odsunęła się od niego i zaczęła szukać czegoś do wytarcia oczu. Żadne z nich nie miało chusteczki. W zniecierpliwieniu otarła łzy z oczu wierzchem dłoni.

- Zawsze jesteśmy tacy niemądrzy! A teraz, Gordon, bądź miły, choć jeden raz. Chodźmy do restauracji na kolację i pozwól mi za nią zapłacić.

- Nie.

- Ten jeden raz. Nie przejmuj się całą tą kwestią pieniędzy. Zrób to, żeby mi sprawić przyjemność.

- Mówię ci, że nie mogę tego zrobić. Muszę trzymać fason.

- Co to znaczy „trzymać fason”?

- Wydałem wojnę pieniądзом i muszę przestrzegać zasad. Pierwszą jest nieprzyjmowanie jałmużny.

- Jałmużny! Och, Gordon, myślę, że naprawdę jesteś niemądry!

Ponownie ścisnęła mu żebra. Była to oznaka pokoju. Nie rozumiała go, przypuszczalnie nigdy go nie zrozumie; jednakże przyjmowała go takim, jakim był, niezbyt nawet protestując przeciwko jego brakowi rozsądku. Gdy podniosła twarz, by ją pocałował, zauważył, że jej wargi są słone. Spłynęła na nie łza. Przycisnął ją do siebie. Ciało jej pozbyło się odruchu obronnego. Zamknąwszy oczy osunęła się na niego i w niego, jak gdyby jej kości zmiękły, rozchyliła usta i małym języczkiem poszukała jego języka. Bardzo rzadko to robiła. Czując, jak jej ciało się poddaje, zdał sobie nagle sprawę, że ich walka chyba dobiegła końca.

Należała teraz do niego, o ile tylko zechce ją wziąć. Przypuszczalnie nie uświadamiała sobie w pełni, co mu ofiarowuje; był to po prostu instynktowny odruch wielkoduszności, chęć uspokojenia go - zatarcia nienawistnego poczucia, że jest nieponętny i niekochany. Nie wyraziła tego słowami. Jej ciało zdawało się to mówić. Jednakże nawet gdyby czas i miejsce były odpowiednie, nie mogłyby jej wziąć. W tej chwili kochał ją, lecz jej nie pożądał. Pożądanie mogło powrócić kiedyś w przyszłości, gdy nie będzie pamiętał o niedawnej kłótni ani miał krępującej świadomości czterech szylingów i czterech pensów w kieszeni.

Wreszcie oderwali od siebie usta, choć nadal trwali w uścisku.

- Jakże głupio się kłócimy, prawda, Gordon? Kiedy tak rzadko się spotykamy.

- Wiem. To moja wina. Nic na to nie poradzę. Wszystko mnie denerwuje. Za wszystkim kryją się pieniądze. Zawsze pieniądze.

- Och, pieniądze! Zbyttno się nimi martwisz, Gordon.

- Niemożliwe. To jedyna rzecz, którą warto się martwić.

- Jednak wybierzemy się za miasto w przyszłą niedzielę, prawda? Do Burnham Beeches lub gdzie indziej. Byłoby tak miło.

- Tak, bardzo chętnie. Wyjedziemy wcześniej i będziemy cały dzień. Postaram się zdobyć pieniądze na bilety.

- Ale pozwolisz mi zapłacić za bilet, dobrze?

- Nie, wolę sam zapłacić. Ale mimo wszystko pojedziemy.

- Naprawdę nie pozwolisz mi zafundować ci kolacji - tylko ten jeden raz, żeby mi pokazać, że mi ufasz?

- Nie, nie mogę. Przykro mi. Powiedziałem ci już dlaczego.

- O Boże! Myślę, że będziemy musieli się pożegnać. Robi się późno.

Rozmawiali jednak jeszcze długo, tak długo, że Rosemary nie zjadła kolacji. Musiała być w domu przed jedenastą, gdyż inaczej żeńskie smoki się złościły. Gordon podszedł do Tottenham Court Road i wsiadł do tramwaju. Był o pensa tańszy od autobusu. Siedział na drewnianym siedzeniu na górnym pomoście przyciśnięty do drobnego brudnego Szkota, który czytał wyniki meczów piłkarskich i od którego zalatywało piwem. Gordon był bardzo szczęśliwy. Rosemary zostanie jego kochanką. *Złowróźnie wicher dmąc ugina*. W takt łoskotu tramwaju wyszeptał siedem ukończonych strof wiersza. Będzie tego dziewięć strof. Był naprawdę dobry. Wierzył w wiersz i w siebie. Był poetą. Gordon Comstock, autor *Myszy*. Uwierzył ponownie nawet w *Rozrywki londyńskie*.

Pomyślał o niedzieli. Mieli się spotkać o dziewiątej na stacji Paddington. Będzie to kosztować około dziesięciu szylingów; zdobędzie pieniądze, choćby miał zastawić koszulę. Ona zaś zostanie jego kochanką, może nawet tej niedzieli, jeśli nadarzy się okazja. Nic sobie nie powiedzieli. Jednakże jakoś tak to zostało uzgodnione.

Daj Boże ładną pogodę w niedzielę! Była teraz pełnia zimy. Może się jednak zdarzyć jeden z tych wspaniałych bezwietrznych dni - jeden z tych dni, które niemal przypominają lato, gdy można leżeć godzinami na zwiędłych paprociach i nie zmarznąć! Niewiele jednak bywa takich dni, najwyżej około tuzina w zimie. Przypuszczalnie będzie padać. Zastanawiał się, czy nadarzy im się okazja. Nie mieli gdzie się podziać, tylko pod gołym niebem. W Londynie tylu jest kochanków, którzy „nie mają się gdzie podziać”, mają tylko ulice i parki, gdzie nie są sami i gdzie zawsze jest zimno. Niełatwo kochać się w zimnym klimacie, jeśli się nie ma pieniędzy. Powieści niedostatecznie eksponują motyw braku miejsca i czasu.

7

Pióropusze kominów unosiły się pionowo na niebie barwy przydymionej róży.

Gordon złapał autobus numer 27 dziesięć po ósmej. Ulice nadal spowijał niedzielny sen. Na progach czekały nieodebrane butelki z mlekiem, niczym biali wartownicy. Gordon miał przy sobie czternaście szylingów - to znaczy, trzynaście i dziewięć pensów, gdyż bilet autobusowy kosztował trzy pency. Dziewięć szylingów odłożył z zarobków - zdawał sobie sprawę, co to oznaczało później w ciągu tygodnia! - pięć zaś pożyczył od Julii.

W czwartek wieczór poszedł do mieszkania Julii. Pokój Julii w EarPs Court, choć tylko na drugim piętrze od podwórka, nie był pospolitą sypialnią jak pokój Gordona. Była to sypialnia z salonikiem, z akcentem na „salonik”. Julia umarłaby raczej z głodu, niż pogodziła się z nędzą, w jakiej mieszkał Gordon. Każdy z jej nielicznych mebli, uzbieranych na przestrzeni lat, oznaczał okres przymierania głodem. Była tu otomana, którą można by wziąć niemal za sofę, okrągły stolik z przyczerzonego dębu, dwa „antyczne” krzesła z twardego drewna, dekoracyjny podnózek, pokryty perkalem fotel - od Drage'a, trzynaście miesięcznych rat - przed małym kominkiem

gazowym; ponadto rozmaite póleczki z oprawionymi fotografiami ojca, matki, Gordona i ciotki Angeli oraz brzozowy kalendarz - czyjś prezent gwiazdkowy - z wypalonym napisem: „Długa jest droga bez zakrętu”. Julia sprawiała na Gordonie ogromnie przygnębiające wrażenie. Zawsze sobie mówił, że powinien ją częściej odwiedzać, lecz praktycznie zjawiał się tylko po to, by „pożyczyć” pieniądze.

Gdy Gordon zapukał trzy razy - trzy razy to sygnał dla drugiego piętra - Julia zabrała go do swego pokoju i uklękła przed kominkiem gazowym.

- Zapalę znowu ogień - powiedziała. - Napijesz się herbaty, prawda?

Zauważył to „znowu”. Pokój był potwornie zimny - nie zapalano w nim tego wieczoru. Julia zawsze „oszczędzała gaz”, gdy była sama. Przyjrzał się jej długim wąskim plecóm, gdy uklękła. Jak bardzo siwiały jej włosy! Całe pukle były już siwe. Jeszcze trochę i będzie siwa *tout court*.

- Lubisz mocną herbatę, prawda? - wyszeptła Julia, krzątając się przy puszcze na herbatę i wykonując delikatne gęsie ruchy.

Gordon pił herbatę, stojąc, z wzrokiem utkwionym w brzozowym kalendarzu. Powiedz to! Miej to za sobą! Nieomal zabrakło mu odwagi. Podłość tego nienawistnego zebrania! Ile to wyniesie, te pieniądze, które od niej „pożyczył” przez te trzy lata?

- Posłuchaj, Julio, okropnie mi przykro - nie znoszę prosić cię o to; ale widzisz...

- Tak, Gordon? - powiedziała spokojnie. Wiedziała, co nastąpi.

- Widzisz, Julio, okropnie mi przykro, ale czy mogłabyś mi pożyczyć pięć szylingów?

- Tak, Gordon, myślę, że tak.

Odszukała małą, zniszczoną czarną portmonetkę ukrytą na dnie szuflady z bielizną. Wiedział, co myślała. Oznaczało to mniej pieniędzy na prezenty gwiazdkowe. Stano-
wiło to teraz wielkie wydarzenie w jej życiu - Boże Narodzenie i wręczanie prezentów; późno wieczór po zamknięciu cukierni buszowała po rozświetlonych ulicach, polując na sklepy z wyprzedają i wyszukując tandetę, w której tak zadziwiająco lubują się kobiety. Saszetki na chusteczki, podstawki na listy, czajniki, przybory do manicure, brzozone kalendarze z wypalonym mottem. Przez cały rok składała z nędznych zarobków na „prezent gwiazdkowy dla tego” lub „prezent urodzinowy dla tamtego”. Czyż na ostatnie Boże Narodzenie nie podarowała Gordonowi, ponieważ „lubił poezję”, *Wierszy wybranych* Johna Drinkwatera w zielonej skórce, które sprzedał za pół korony? Biedna Julia! Gordon odszedł z pięcioma szylingami, gdy tylko pozwoliły na to względy przyzwoitości. Dlaczego tak jest, że nie można pożyczać od bogatego przyjaciela, a można od przymierającego głodem krewnego? Lecz, oczywiście, rodzina „się nie liczy”.

Na górnym piętrze autobusu przeliczył w myśli. Trzy-
naście szylingów i dziewięć pensów gotówką. Dwa bilety powrotne do Slough, pięć szylingów. Kanapki z serem i piwo w gospodzie, powiedzmy po szylingu, dziewięć szylingów. Herbata, po osiem pensów, dwanaście szylingów. Szyling na papierosy, trzynaście szylingów. Na nieprzewidziane wydatki zostawało dziewięć pensów. Powinno im wystarczyć. A co z resztą tygodnia?¹ Ani pensa na papierosy! Teraz jednak nie chciał się tym martwić. Dzień dzisiejszy będzie tego wart.

Rosemary spotkała się z nim punktualnie. Jedną z jej zalet było to, że nigdy się nie spóźniała, i nawet o tej

rannej godzinie była pogodna i w dobrym humorze. Była jak zwykle ładnie ubrana. Miała ponownie na głowie kapelusz przypominający kapelusz duchownego, ponieważ Gordon powiedział, że mu się podoba. Byli właściwie sami na stacji. Ogromny szary budynek, zaśmiecony i pusty, wyglądał brudno i niechlujnie, jak gdyby jeszcze odsypiał sobotnią hulankę. Ziewający bileter, któremu przydałoby się golenie, powiedział im, jak najlepiej dojechać do Burnham Beeches, więc wkrótce znaleźli się w przedziale trzeciej klasy dla palących w pociągu zdążającym na zachód, wokół zaś roztaczały się nędzne pustkowia Londynu, przechodząc w wąskie, okopcone pola upstrzone reklamami pigulek Cartera na wątrobę. Dzień był łagodny i ciepły. Spełniła się modlitwa Gordona. Był to jeden z tych bezwietrznych dni, które bardzo przypominają lato. Można było wyczuć słońce poza mgłą; przy odrobinie szczęścia wkrótce się przebiję. Gordon i Rose-mary byli głęboko i niedorzecznie szczęśliwi. Wyjeżdżając z Londynu mieli poczucie wielkiej przygody, mając przed sobą cały długi dzień „na wsi”. Rosemary od miesięcy, Gordon zaś od roku nie byli „na wsi”. Siedzieli przy sobie, z gazetą „Sunday Times” rozłożoną na kolanach; nie czytali jej jednak, gdyż patrzyli na umykające pola, krowy, domy, puste ciężarówki i wielkie uśpione fabryki. Obojgu tak się podobała podróż pociągiem, że chcieliby, aby trwała dłużej.

Wysiedli w Slough i pojechali do Farnham Common śmiesznym czekoladowym autobusem pozbawionym piętra. Slough było jeszcze na poły uśpione. Gdy dotarli do Farnham Common, Rosemary przypomniała sobie, którądy iść. Szło się koleiniastą drogą i wychodziło na połączenie pięknej, wilgotnej trawy usianej nagimi brzoškami. Lasy bukowe znajdowały się dalej. Nie drgnęła ani jedna gałąz-

ka, ani jedno źdźbło trawy. W spokojnym, mglistym powietrzu drzewa stały jak duchy. Rosemary i Gordon wydawali okrzyki radości podziwiając otaczające ich piękno. Rosa, cisza, satynowe pnie brzoź, miękkość murawy pod nogami! Mimo to z początku czuli się mali i zagubieni, jak zwykle czują się londyńczycy poza Londynem. Gordon miał poczucie, że długi czas spędził pod ziemią. Czuł się zwiędły i niechlujny. Idąc, cofnął się za Rosemary, by nie widziała jego pomarszczonej, bezbarwnej twarzy. Nie uszli daleko, a już się zasapali, gdyż przyzwyczajeni byli jedynie do chodzenia po Londynie, więc przez pierwsze pół godziny niemal nie rozmawiali. Zanurzyli się w lasy i ruszyli ku zachodowi, niezbyt wiedząc, gdzie idą - wszystko jedno, byle dalej od Londynu. Wokół nich wznosiły się buki, falliczne w wyglądzie, z korą gładką jak skóra i żłobkowaniami u podstawy. Nic nie rośło pod nimi, lecz uschłe liście leżały tak grubo, że z oddali zbrocza wyglądały jak zwoje jedwabiu w kolorze miedzi. Wydawało się, że wokół nie ma żywej duszy. Wreszcie Gordon zrównał się z Rosemary. Szli dalej trzymając się za ręce, z szelestem rozgarniając nogami suche miedziane liście nagromadzone w koleinach. Czasami wychodzili na drogę mijając wielkie, puste domy - niegdyś, w czasach powozów, wystawne rezydencje, lecz teraz opustoszałe i trudne do sprzedania. Mające we mgle żywopłoty miały tę dziwną purpurowobrazową barwę, barwę marzanny, jaką nagie poszycie przybiera w zimie. Było tu trochę ptaków - czasem pomiędzy drzewami nurkującym lotem przemykały sójki, a bażanty wałęsały się po drodze powłócząc drugimi ogonami, oswojone jak kury, jak gdyby wiedziały, że w niedzielę są bezpieczne. W ciągu pół godziny Gordon i Rosemary nie spotkali żywej duszy. Okolicę spowijał sen. Trudno było uwierzyć, że znajdowali się tylko dwadzieścia mil od Londynu.

Wreszcie zdobyli kondycję marszową. Złapali drugi oddech i krew zagrała im w żyłach. Był to dzień, gdy człowiek czuje, że mógłby w razie potrzeby przejść choć by i sto mil. Nagle, gdy znów wyszli na drogę, rosa na żywopłocie zaiskrzyła się błyskiem diamentów. Słońce przebiło chmury. Żółte światło padło ukośnie na pola, a delikatne, niespodziewane barwy rozbłyły wszędzie, jak gdyby dziecko olbrzyma dokazywało z nowymi farbami. Rosemary pochwyciła Gordona za ramię i przyciągnęła do siebie.

- Och, Gordon, jakież *cudowny* dzień!
- Cudowny.
- Och, patrz, patrz! Spójrz na te króliki na polu!

Na drugim końcu pola niezliczone króliki szczypały trawę, niemal niczym stado owiec. Nagle coś się poruszyło pod żywopłotem. Leżał tam królik. Wskoczył z legowiska w trawie rozpryskując rosę i pognął przez pole z podniesionym białym ogonem. Rosemary rzuciła się Gordonowi w ramiona. Było zadziwiająco ciepło, ciepło jak w lecie. Przyłgnęli do siebie ciałami w uniesieniu bez pożądania, jak dzieci. W świetle dnia widział wyraźnie ślady czasu na jej twarzy. Miała niemal trzydzieści lat i wyglądała na tyle, on zaś miał niemal trzydzieści, a wyglądał na więcej; było to jednak bez znaczenia. Zdjął jej ten śmieszny płaski kapelusz. Na czubku głowy rozbłyły trzy siwe włosy. W tej chwili pragnął, by tam były. Należały do niej, więc były sympatyczne.

- Jak wspaniale być tu tylko z tobą! Cieszę się, że przyjechaliśmy tu!

- Och, Gordon, pomyśl, że mamy przed sobą cały dzień bycia razem! A przecież mogło padać. Jakie mamy szczęście!

- Tak. Zaraz zapalimy ofiarę dla nieśmiertelnych bogów.

Byli niezmiernie szczęśliwi. Idąc dalej, zaczęli się niedorzecznie zachwycać wszystkim, co widzieli: podniesionym piórem sójki, niebieskim jak lapis lazuli; stawkiem stojącej wody podobnym do czarnego zwierciadła, w którego głębi odbijały się gałęzie; grzybami kielkującymi z drzew jak ogromne poziome uszy. Długo dyskutowali na temat najlepszego epitetu dla buka. Oboje zgadzali się, że buki, bardziej niż inne drzewa, wyglądają na istoty czujące. Przypuszczalnie ze względu na gładkość ich kory, a także dlatego, że gałęzie tak dziwnie wyrastają z pnia, jak ramiona. Gordon powiedział, że guzki na korze są jak sutki piersi i że kręte górne gałęzie, o gładkiej poczerniającej skórze, są jak wijące się trąby słoni. Dyskutowali o porównaniach i metaforach. Od czasu do czasu kłócili się namiętnie, jak to mieli w zwyczaju. Gordon zaczął się z nią drażnić wynajdując brzydkie porównania dla wszystkiego, co mijali. Powiedział, że rdzawe listowie grabów jest jak włosy dziewic Burne-Jonesa i że gładkie wąsy bluszczu wijącego się wokół drzew są jak uścisk ramion bohaterów Dickensa. Raz uparł się zniszczyć liliowe muchomory, bo, jak mówił, przypominają mu pewną ilustrację Rackhama i podejrzewa, że tańczą wokół nich skrzaty. Rosemary nazwała go bezdusznym świntuchem. Brodziła po kolana w stertach liści bukowych, które szeleściły wokoło jak nieważkie czerwono-złote morze.

- Och, Gordon, te liście! Spójrz, jak wyglądają w słońcu! Są jak złoto. Naprawdę są jak złoto.

- Skrzacie złoto. Za chwilę zaczniesz mówić całkiem jak Barrie. A właściwie, jeśli już chcesz dokładnego porównania, są barwy zupy pomidorowej.

- Nie bądź świntuchem, Gordon! Posłuchaj, jak szeleczą. „Gęsto niby liście jesienne, które w Vallombrosa kryją strumyków leśnych nurt”.

- Lub jak te amerykańskie płatki śniadaniowe. Płatki śniadaniowe Truweet. „Dzieciaki domagają się płatków śniadaniowych”.

- Potwór z ciebie.

Zaśmiała się. Szli, trzymając się za ręce, szurając nogami po kostki zanurzonymi w liściach i deklamując:

*Gęsto niby płatki
Owsiane, które na talerzach leżą
Tu w Welwyn Garden City!*

Było wspaniale. Wreszcie wyszli z lasów. Wokół można było teraz spotkać mnóstwo ludzi, lecz niewiele samochodów, jeśli unikało się głównych dróg. Czasem słyszeli dźwięk dzwonów kościelnych, więc zbaczali z drogi, by uniknąć ludzi idących do kościoła. Zaczęli mijać rozległe wsie, na których skraju wznosiły się pogardliwie wille udające styl Tudorów, pośród garaży, laurowych zagajników i zaniedbanych trawników. Gordon bawił się szydząc z willi i z bezbożnej cywilizacji, do której należały - cywilizacji maklerów giełdowych i ich uszminkowanych żon, golfa, whisky, wirujących stolików i terierów imieniem Jock. Tak przeszli jeszcze około czterech mil, rozmawiając i często się kłócąc. Kilka delikatnych chmurek przesunęło się po niebie, lecz niemal nie było wiatru.

Zaczęły ich boleć nogi i coraz bardziej odczuwali głód. Rozmowa samorzutnie zaczęła obracać się wokół jedzenia. Żadne z nich nie miało zegarka, lecz przechodząc przez wieś zauważyli, że otwarto gospody, więc musiało być po dwunastej. Zatrzymali się przed dość podrzędną gospodą pod nazwą Ptaszek w Garści. Gordon był za wejściem do środka; pomyślał sobie, że w takiej gospodzie kanapki z serem i piwo będą kosztować najwyżej szylinga. Jednakże Rosemary powiedziała, że lokal robi wstrętne

wrażenie, co było prawdą, więc poszli dalej, licząc na to, że na drugim końcu wsi znajdą przyjemniejszą gospodę. Wyobrażali sobie przytulny bar, z dębową ławą, a może z wypchanym szczupakiem w gablotce na ścianie.

We wsi nie było jednak innej gospody, wkrótce zaś znaleźli się znowu wśród pól, gdzie nie było widać żadnych domów ani nawet drogowskazów. Gordon i Rosemary zaczęli się niepokoić. O drugiej zamkną gospody i nie będzie można dostać nic do jedzenia, poza paczką herbatników w wiejskim sklepie ze słodyczami. Ta myśl wywołała w nich przemożne uczucie głodu. Wspinali się z wysiłkiem na ogromne wzgórze, mając nadzieję, że po drugiej stronie ujrzą wioskę. Jednakże nie było wioski, lecz daleko w dole wiała się ciemnozielona rzeka, wzdłuż jej brzegów zaś rozciągało się najwyraźniej duże miasto i przecinał ją szary most. Nie wiedzieli nawet, jaka to rzeka - oczywiście była to Tamiza.

- Dzięki Bogu! - powiedział Gordon. - Tam musi być dużo gospód. Wejdźmy lepiej do pierwszej z brzegu.

- Tak, oczywiście. Umieram z głodu.

Kiedy zbliżyli się do miasta, wydało im się dziwnie ciche. Gordon zastanawiał się, czy wszyscy ludzie są w kościele, czy też jedzą niedzielny obiad, póki nie uświadomił sobie, że miejsce było całkiem opustoszałe. Było to Crickham-on-Thames, jedno z tych nadbrzeżnych miast, które żyją tylko podczas sezonu wioślarskiego, a na resztę roku zapadają w sen zimowy. Ciągnęło się wzdłuż brzegu przez jakąś milę, a składało się jedynie z przystani wioślarskich i parterowych domków, teraz zamkniętych i pustych. Nigdzie nie było śladu życia. Wreszcie natknęli się na grubego, powściągliwego, czerwono-nosowego mężczyznę ze strzępiastym wąsem, który siedział na składanym stołeczku na dróźnie flisackiej przy

dzbanku piwa. Łowił ryby sześciometrową żerdzią na płotki, dwa łabędzie krążyły po gładkiej zielonej wodzie wokół pływaka, próbując skraść mu przynętę, gdy podrywał ją do góry.

- Czy mógłby nam pan powiedzieć, gdzie możemy dostać coś do zjedzenia? - powiedział Gordon.

Grubas oczekiwał chyba takiego pytania, gdyż sprawiło mu wyraźną przyjemność. Odpowiedział nie patrząc na Gordona.

- Nic nie dostaniecie do jedzenia. Nie tutaj - powiedział.

- Do licha! Chce pan powiedzieć, że nie ma tutaj żadnej gospody? Przyszliśmy aż z Farnham Coommon.

Grubas pociągnął nosem i zastanowił się, nie spuszcżając z oka pływaka.

- Myślę, że możecie popróbować w hotelu Ravenscroft - powiedział. - Jakies pół mili stąd. Myślę, że coś wam tam dadzą; oczywiście, jeśli jest otwarty.

- Ale czy na pewno jest otwarty?

- Może tak, a może nie - powiedział grubas z zadowoleniem.

- Czy może nam pan powiedzieć, która godzina? - zapytała Rosemary.

- Minęło dziesięć po pierwszej.

Dwa łabędzie towarzyszyły przez jakiś czas Gordonowi i Rosemary, najwyraźniej oczekując pokarmu. Raczej nie można się było spodziewać, że hotel Ravenscroft będzie otwarty. Miejsowość robiła wrażenie opustoszałej i niechlujnej, jak to miejscowości wypoczynkowe przed sezonem. Drzewo w domkach pękało, biała farba odpadała, przez zakurzone okna widać było puste wnętrza. Nawet automaty, poustawiane licznie wzdłuż brzegu, były zepsute. W drugim końcu miasta najprawdopodobniej znajdował się drugi most. Gordon kłął siarczyście.

- Jacyż z nas durnie, że nie poszliśmy do tej gospody, gdy była okazja!

- Och, Boże! Po prostu *umieram* z głodu. Może zawrócimy, jak myślisz?

- To bez sensu, tam skąd przyszliśmy, nie było gospód. Musimy iść dalej. Sądzę, że hotel Ravenscroft znajduje się po tamtej stronie mostu. Jeśli to główna droga, istnieje pewna szansa, że będzie otwarty. W przeciwnym wypadku jesteśmy załatwieni.

Dowlekli się do mostu. Bardzo ich już bolały nogi. Lecz oto wreszcie znaleźli to, czego szukali, tuż bowiem za mostem, na końcu prywatnej drogi stał ogromniasty, wytworny hotel, za którym trawniki schodziły aż do rzeki. Był najwyraźniej otwarty. Gordon i Rosemary ochoczo ruszyli ku niemu, po czym zatrzymali się onieśmieleni.

- Wygląda na okropnie drogi - powiedziała Rosemary.

Rzeczywiście wyglądał na drogi. Był to pretensjonalny budynek w złym guście, cały w złoceniach i w bieli - jeden z tych hoteli, gdzie każda cegła obwieszcza wysokie ceny i złą obsługę. Obok podjazdu wznosząca się nad drogą snobistyczna tablica głosiła złożonymi literami:

- HOTEL RAVENSCROFT
ZAPRASZA NIE TYLKO GOŚCIHOTELOWYCH
OBIADY - PODWIECZORKI - KOLACJE
SALA TANECZNA I KORTY TENISOWE
OBSŁUGUJE PRZYJĘCIA

Na podjeździe parkowały dwa błyszczące samochody dwuosobowe. Gordona obleciał strach. Pieniądze w kieszeni przestały praktycznie istnieć. Było to dokładne przeciwieństwo przytulnej gospody, jakiej szukali. Był jednak bardzo głodny. Rosemary uszczypnęła go w ramię.

- Wygląda na okropny. Proponuję iść dalej.
- Musimy jednak coś zjeść. To nasza ostatnia szansa. Nie znajdziemy żadnej gospody.
- W takich lokalach jedzenie jest zawsze obrzydliwe. Wstrętna wołowina na zimno o takim smaku, jakby im została z zeszłego roku. A rachunek za to jest nieprawdopodobny.
- No cóż, zamówimy tylko kanapki z serem i piwo. To wszędzie kosztuje mniej więcej tyle samo.
- Ale oni tego bardzo nie lubią. Będą próbowali zmusić nas do zamówienia całego obiadu, zobaczysz. Musimy być stanowczy i zamówić tylko kanapki z serem.
- Dobrze, będziemy stanowczy. Chodźmy.

Weszli do środka, zdecydowani postępować stanowczo. W przewiewnym holu wyczuwało się jednak zbytek - pachniało perkaiem, zwiędłymi kwiatami, wodą z Tamizy i popłuczynami z butelek po winie. Był to charakterystyczny zapach nadrzecznego hotelu. Gordona opuściła odwaga. Znał ten typ lokalu. Był to jeden z tych niegościnnych hoteli przy szosach, odwiedzanych przez maklerów giełdowych, którzy w niedzielne popołudnie zabierają na spacer swoje dziwki. W takich lokalach z zasady obrażają cię i dopisują do rachunku. Rosemary przyłgnęła do niego. Ona także była onieśmielona. Zauważyli drzwi z napisem „salon”, więc otworzyli je sądząc, że to wejście do baru. Nie był to jednak bar, lecz duży, wytorny i chłodny pokój z krzesłami i kanapkami wyściełanymi sztruksem. Można by go wziąć za zwyczajny salon, gdyby nie to, że wszystkie popielniczki reklamowały whisky White Horse. Przy jednym ze stolików siedzieli ludzie z samochodów stojących na zewnątrz - dwóch tęgawych blondynów o spłaszczonych głowach, ubranych nazbyt młodzieżowo, oraz dwie niesympatyczne eleganckie mł-

de kobiety; najwyraźniej właśnie skończyli obiad. Pochylony nad stołem kelner podawał im likiery.

Gordon i Rosemary zatrzymali się w drzwiach. Osoby przy stoliku przyglądały im się pogardliwym wzrokiem osób z towarzystwa. Gordon i Rosemary byli brudni i zmęczeni i wiedzieli o tym. Porzucili myśl zamówienia kanapek z serem i piwa. W takim lokalu nie można powiedzieć: „Kanapki z serem i piwo”; jedyne, co można powiedzieć to: „Obiad”. Można było tylko albo zamówić obiad, albo czmychać. Kelner niemal otwarcie okazywał im pogardę. Jednym rzutem oka ocenił, że nie mają pieniędzy; domyślił się także, że mieli zamiar umknąć, i postanowił zatrzymać ich, zanim zdążą uciec.

- Słucham pana? - zapytał unosząc tacę ze stołu.

Dalej! Powiedz: „kanapki z serem i piwo”, i bierz licho konsekwencje! Niestety, opuściła go odwaga. Trzeba będzie zamówić obiad. Rzekomo niedbałym ruchem wsunął rękę do kieszeni. Dotknął pieniędzy, by się upewnić, że nadal się tam znajdują. Zostało siedem szylingów i jedenaście pensów, to wiedział. Wzrok kelnera podążył za tym ruchem; Gordon miał przykre wrażenie, że tamten naprawdę widzi przez materiał i może policzyć pieniądze w kieszeni. Najbardziej wyniosłym tonem, na jaki mógł się zdobyć, powiedział:

- Czy możemy zjeść obiad?

- Obiad, psze pana? Tak, psze pana. Proszę tędy. Kelner był czarnowłosym młodzieńcem o gładkiej, przystojnej, ziemistej twarzy. Jego frak był świetnie skrojony, lecz wyglądał niechlujnie, jak gdyby rzadko go zdejmował. Wyglądał na rosyjskiego księcia; przypuszczalnie był Anglikiem, lecz przybrał obcy akcent, bo tak wypadało kelnerowi. Rosemary i Gordon, pokonani, podążyli za nim do sali jadalnej, która znajdowała się z tyłu

i miała okna wychodzące na trawnik. Zupełnie przypominała akwarium. Zbudowana całkowicie z zielonkawego szkła, była tak wilgotna i chłodna, że miało się niemal wrażenie przebywania pod wodą. Rzekę było widać i czuć. Pośrodku każdego okrągłego stolika stał flakon z papierowymi kwiatami, a z jednej strony sali, dla dopełnienia wrażenia akwarium, znajdowała się cała wystawa kwiaciar-ska złożona z wiecznie zielonych roślin, takich jak palmy, aspidistry i tym podobne, przypominających ponure rośliny wodne. Taki pokój mógł być przyjemny w lecie; w tej chwili, gdy słońce skryło się za chmury, był przejmująco wilgotny i niemły. Rosemary bała się kelnera niemal tak samo jak Gordon. Gdy usiedli, a on odwrócił się na chwilę, wykrzywiła się do niego.

- Zapłacę za swój obiad - szepnęła do Gordona poprzez stół.

- Nie.

- Co za okropny lokal! Jedzenie na pewno będzie obrzydliwe. Żałuję, że tu przyszliśmy.

- Sz!

Kelner powrócił z drukowanym jadłospisem upstrzonym przez muchy. Wręczył go Gordonowi i stał nad nim z groźną miną kelnera, który wie, że masz niewiele pieniędzy. Serce Gordona biło mocno. Jeśli to obiad typu *tobie d'bóte* za trzy szylingi i sześć pensów, czy choćby tylko pół korony, są załatwieni. Zaciśnął zęby i spojrzał na jadłospis. Dzięki Bogu! Był *a la carte*. Najtańszą pozycją była wołowina na zimno z sałatką za szylinga i sześć pensów. Powiedział, a raczej wymamrotał:

- Poprosimy wołowinę na zimno.

Kelner uniósł delikatne czarne brwi. Udał zdziwienie.

- *Tylko* wołowinę na zimno, psze pana?

- Tak, to nam wystarczy.

- Nie zamówi pan *nic* więcej, psze pana?
 - A tak, oczywiście, proszę nam przynieść chleb; I masło.
 - , - Bez zupy na pierwsze danie, psze pana?
 - Bez zupy.
 - Ani ryby, psze pana? Tylko zimna wołowina?
 - Czy mamy ochotę na rybę, Rosemary? Nie sądzę. Nie.
- Bez ryby.

- I nic na deser, psze pana? *Tylko* zimna wołowina?

Gordon z trudem panował nad wyrazem swej twarzy.

Pomyślał, że nigdy nie czuł do nikogo takiej nienawiści jak do tego kelnera.

- Później powiemy, jeśli zechcemy coś jeszcze - powiedział.

- Czy coś do picia, psze pana?

Gordon zamierzał poprosić o piwo, lecz teraz nie miał na to odwagi. Musi odzyskać prestiż po tej historii z wołowiną na zimno.

- Proszę o kartę win - powiedział stanowczo.

Pojawiła się jeszcze jedna upstrzona przez muchy karta.

Wszystkie wina wydawały się niezmiernie drogie. Jednakże na samej górze znajdowało się jakieś czerwone wino bez nazwy po dwa szylingi i dziewięć pensów za butelkę. Gordon dokonał pospiesznych obliczeń. Jeszcze może wydać dwa szylingi i dziewięć pensów. Wskazał kciukiem na wino.

- Poproszę butelkę tego - powiedział.

Kelner ponownie uniósł brwi. Zdobył się na ironię.

- Pan sobie życzy *całą* butelkę, psze pana? Nie wolałby pan pół butelki?

- Całą butelkę - powiedział zimno Gordon.

Jednym subtelnym ruchem, wyrażając pogardę, kelner skłonił głowę, wzruszył lewym ramieniem i odwrócił się. Gordon nie mógł tego znieść. Poprzez stół napotkał

wzrok Rosemary. Trzeba dać temu kelnerowi jakąś nauczkę! Po chwili kelner powrócił niosąc za szyjkę butelkę taniego wina i na pół ją ukrywając pod połą fraka, jak gdyby była czymś nieco nieprzyzwoitym lub nieczystym. Gordon obmyślił sposób zemsty. Gdy kelner odsłonił butelkę, Gordon pomacał ją ręką i zmarszczył się.

- Tak się nie podaje czerwonego wina - powiedział.

Kelnerowi na chwilę odjęło mowę.

- Słucham pana? - powiedział.

- Jest lodowato zimne. Proszę zabrać butelkę i ją ogrzać.

- Jak pan sobie życzy, psze pana.

Nie było to jednak prawdziwe zwycięstwo. Kelner nie wyglądał na speszonego. Czy warto ogrzewać to wino? - mówiły jego uniesione brwi. Odniósł butelkę z niejaką pogardą, dając wyraźnie poznać Rosemary i Gordonowi, że zamówienie najtańszego wina w karcie było wystarczająco niestosowne, a cóż dopiero ten cały harmider.

Wołowina i sałatka były zimne jak grób i zupełnie nie przypominały jedzenia. Smakowały jak woda. Podobnie bułki, choć czerstwe, były wilgotne. Wydawało się że trzciniasta woda z Tamizy przedostała się do wszystkiego. Nie było niespodzianką, że otwarte wino smakiem przypominało muł. Zawierało jednak alkohol, co było wspaniałe. Zadziwiające, jak podniecająco działało, gdy przez przełyk trafiło już do żołądka. Po wypiciu półtorej szklanki Gordon poczuł się znacznie lepiej. Kelner stał przy drzwiach, ironicznie cierpliwy, z serwetką przewieszoną przez ramię, starając się swą obecnością wprawić Gordona i Rosemary w zakłopotanie. Z początku mu *się* to udało, lecz ponieważ Gordon odwrócony był do niego tyłem, nie zwracał na niego uwagi, a wreszcie o nim zapomniał. Stopniowo odzyskali odwagę. Zaczęli rozmawiać swobodniej i głośniej.

- Spójrz - powiedział Gordon. - Te łabędzie przypląnęły za nami aż tutaj.

Istotnie, dwa łabędzie żeglowały sobie tam i z powrotem po ciemnozielonej wodzie. W tej samej chwili słońce ukazało się znowu i załało ponure akwarium jadalni miłym zielonkawym światłem. Gordonowi i Rosemary zrobiło się ciepło i poczuli się nagle szczęśliwi. Zaczęli paplać o niczym, zupełnie jak gdyby kelnera nie było, Gordon zaś ująwszy butelkę napełnił dwie szklanki winem. Oczy ich spotkały się ponad szklankami. Patrzyła na niego z lekką ironią. - Jestem twoją kochanką - mówił jej wzrok - jak śmiesznie! - Ich kolana stykały się pod stolikiem; na chwilę ścisnęła jego kolano między swymi kolanami. Coś w nim podskoczyło; przez jego ciało przebiegła ciepła fala zmysłowości i czułości. Przypomniał sobie! Była jego dziewczyną, jego kochanką. Wkrótce, gdy będą sami, w jakimś ustronnym miejscu, w ciepłym, bezwietrznym powietrzu, będzie miał jej nagie ciało wreszcie dla siebie. Prawda, wiedział o tym przez całe rano, lecz wydawało się to nierealne. Pojął to dopiero w tej chwili. Bez słów, z jakąś zmysłową pewnością, wiedział, że za godzinę będzie ją miał nagą w ramionach. Siedząc tak w ciepłym świetle, dotykając się kolanami, patrząc na siebie, mieli wrażenie, jak gdyby wszystko się już dokonało. Wytworzyła się pomiędzy nimi głęboka zażyłość. Mogliby tak siedzieć godzinami, po prostu patrząc na siebie i rozmawiając o błahych sprawach, które znaczyły coś tylko dla nich. Siedzieli tak przez dwadzieścia minut lub dłużej. Gordon zapomniał o kelnerze - zapomniał nawet na chwilę o tym, że dał się tak katastrofalnie zrobić w ten nieszczęsny obiad, który ogołocił go z ostatniego pensa. Lecz w końcu słońce się schowało, pokój znowu poszarzał, zaś oni uświadomili sobie, że pora już iść.

- Rachunek - powiedział Gordon, odwracając się.
Kelner po raz ostatni zdobył się na niegrzeczność.
- Rachunek, psze pana? Czy nie życzy pan sobie kawy, psze pana?
- Nie, bez kawy. Rachunek.

Kelner odszedł i powrócił z kartką złożoną na tacy. Gordon ją rozwinął. Sześć szylingów i trzy pensy - on zaś miał wszystkiego dokładnie siedem szylingów i jednaście pensów! Wiedział, oczywiście, ile mniej więcej wyniesie rachunek, jednak teraz, gdy go otrzymał, przeżył wstrząs. Wstał, poszukał w kieszeni i wyciągnął wszystkie pieniądze. Błady młody kelner, z tacą na ramieniu, przyglądał się garstce pieniędzy; domyślił się najwyraźniej, że było to wszystko, co Gordon posiadał. Rosemary wstała także i podeszła okrążając stół. Uszczypnęła Gordona w łokieć; był to znak, że chce zapłacić za siebie. Gordon udał, że tego nie zauważył. Zapłacił sześć szylingów i trzy pensy, po czym odwracając się, rzucił jeszcze szylinga na tacę. Kelner ważył go przez chwilę w dłoni, odwrócił go i wsunął do kieszeni kamizelki z taką miną, jakby ukrywał coś, o czym lepiej nie wspominać.

Gdy szli korytarzem, Gordon odczuwał przerażenie, bezradność - niemal oszołomienie. Za jednym zamachem stracił wszystkie pieniądze! Zdarzyła się potworna rzecz. Co za szkoda, że przyszli w to przekłete miejsce! Cały dzień był teraz zniszczony - i to wszystko dla dwóch talerzy z zimną wołowiną i butelki mulistego wina! Wkrótce trzeba będzie pomyśleć o herbacie, podczas gdy zostało mu tylko sześć papierosów, a będą jeszcze bilety autobusowe do Slough i Bóg wie co jeszcze; on zaś miał na to wszystko tylko osiem pensów! Wyszedł z hotelu z uczuciem, że ich wyrzucono i zatrzaśnięto za nimi drzwi. Zniknęła ciepła zażyłość sprzed chwili. Teraz gdy znaj-

dowali się na zewnątrz, wszystko wydawało się inne. Na powietrzu krew im nagle ochłodziła. Rosemary szła przed nim, dość zdenerwowana, nic nie mówiąc. Bała się teraz tego, co postanowiła zrobić. Przyglądał się jej mocnym, delikatnym nogom w ruchu. Od tak dawna pragnął jej ciała; lecz teraz, gdy ten czas nadszedł, odczuwał tylko zniechęcenie. Pragnął jej, pragnął ją posiadać, lecz chciał, by już było po wszystkim. Stanowiło to wysiłek - coś, do czego musiał zebrać odwagę. Dziwne, że ta okropna sprawa rachunku w hotelu mogła go tak rozdrażnić. Pryszał swobodny, beztroski nastrój poranka; jego miejsce zajęła nienawistna, dokuczliwa i znajoma troska o pieniądze. Za chwilę będzie musiał wyznać, że zostało mu tylko osiem pensów; będzie musiał pożyczyć od niej na powrót do domu; będzie to wstrętne i haniebne. Jedynie wino w żołądku podtrzymywało w nim odwagę. Ciepło wina i nienawistna świadomość, że zostało mu tylko osiem pensów, walczyły ze sobą w jego ciele, przy czym żadne z nich nie osiągnęło przewagi.

Szli dość powoli, lecz wkrótce oddalili się od rzeki i znaleźli się znowu na wyżej położonym terenie. Każde z nich szukało rozpaczliwie w myśli czegoś, co można by powiedzieć, lecz nic im nie przychodziło do głowy. Zrównał się z nią, ujął ją za rękę i splótł jej palce ze swymi. Poczuli się nieco lepiej. Jednak serce mu biło boleśnie, czuł skurcz wnętrzości. Zastanawiał się, czy z nią działa się to samo.

- Wydaje się, że dokoła nie ma żywej duszy - powiedziała wreszcie.

- To niedzielne popołudnie. Wszyscy śpią pod aspidistrami, po pieczeniu wołowej i zapiekance mięsnej.

Znowu zapadła cisza. Przeszli jakieś pięćdziesiąt metrów. Z trudem panując nad głosem, zdołał powiedzieć:

- Jest nadzwyczaj ciepło. Moglibyśmy usiąść na chwilę jeśli znajdziemy odpowiednie miejsce.

- Dobrze. Jak chcesz.

Doszli do niewielkiego zagajnika na lewo od drogi.

Wydawał się martwy i pusty, nic nie rosło pod nagimi drzewami. Jednakże na skraju zagajnika, po drugiej stronie, znajdowała się duża splątana połać krzaków tarniny. Nic nie mówiąc, otoczył ją ramieniem i skierował w tamtą stronę. W żywopłocie znajdowała się luka, przez którą przeciągnięto drut kolczasty. Podniósł i przytrzymał drut, ona zaś zwinnie prześlizgnęła się pod nim. Serce mu znów забиło. Jakże była zwinna i silna! Jednakże gdy podążał za nią, przelaząc przez drut, osiem pensów - sześciopensówka i dwie jednopensówki - zabręczało mu w kieszeni, ponownie napełniając go zniechęceniem.

W krzakach znaleźli naturalną altankę. Z trzech stron znajdowały się zarośla z cierni, pozbawione liści, lecz niedostępne, pozostała zaś strona otwierała się w dół na rozległą przestrzeń nagich zaoranych pól. U stóp wzgórza stała chatka z niskim dachem, maleńka jak dziecinną zabawka, jej kominy nie dymiły. Nigdzie żywego ducha. Trudno o miejsce bardziej odosobnione. Trawa była gęsta i pełna mchu, jak zwykle pod drzewami.

- Powinniśmy byli zabrać płaszcz nieprzemakalny - powiedział. Klęczał już na ziemi.

- Nie szkodzi. Ziemia jest całkiem sucha.

Pociągnął ją na ziemię, całował, ściągnął jej z głowy płaski filcowy kapelusz i leżąc na niej całym ciałem, całował jej twarz. Leżała pod nim, bardziej się poddając niż się mu odwzajemniając. Nie oponowała, gdy sięgnął dłonią do jej piersi. Jednakże w głębi serca wciąż się bała. Zrobi to - o, tak! dotrzyma przyrzeczenia, którego pozwoliła się domyślać, nie cofnie się; mimo to bała się. On

również w głębi serca nie kwapił się do tego. Trapiło go, że w tej chwili właściwie jej nie pragnął. Sprawa pieniędzy nadal wyprowadzała go z równowagi. Jak można się kochać, mając w kieszeni tylko osiem pensów i bez przerwy o tym myśląc? Mimo to pragnął jej. Nie mógł się bez niej obejść. Jego życie ulegnie odmianie, gdy zostaną kochankami. Leżał długo na jej piersi, odwróciwszy głowę, wtuliwszy twarz w jej szyję i włosy, i nie próbował posunąć się dalej.

Wtem znowu słońce zaświeciło. Zniżało się już na niebie. Spłynęło na nich ciepłe światło, jak gdyby na niebie pękła jakaś błona. Gdy słońce znajdowało się za chmurami, na trawie było właściwie trochę zimno; teraz jednakże ponownie było niemal tak ciepło jak w lecie. Oboje usiedli wydając okrzyki radości.

- Och, Gordon, spójrz! Popatrz, jak słońce rozjaśnia wszystko dokoła!

W miarę znikania chmur poszerzający się żółty snop światła przesunął się szybko przez dolinę, złocąc wszystko po drodze. Trawa, przedtem matowozielona, teraz błyszcziała szmaragdem. Pusta chatka w dole ożywiła się ciepłymi barwami, siną barwą dachówek i wiśniową cegiel. Tylko brak śpiewu ptaków przypominał o tym, że jest zima. Gordon otoczył Rosemary ramieniem i przyciągnął ją mocno do siebie. Siedzieli tuż przy sobie, patrząc w dół. Odwrócił ją ku sobie i pocałował.

- Lubisz mnie, prawda?
- Uwielbiam cię, głuptasie.
- I będziesz dla mnie miła, prawda?
- Miła?
- Pozwolisz mi zrobić z sobą, co zechcę?
- Tak, myślę, że tak.
- Co zechcę?

- Dobrze. Co zechcesz.

Położył ją plecami na trawie. Było teraz zupełnie inaczej. Wydawało się, że ciepło słoneczne przeniknęło ich ciała.

- Rozbierz się, kochanie - szepnął. Zrobiła to chętnie. Nie czuła przed nim wstydu. Poza tym było tak ciepło i miejsce było tak odludne, że nie miało żadnego znaczenia, jak dalece się rozbierze. Rozłożyli jej ubranie tworząc dla niej coś w rodzaju posłania. Leżała naga, z rękami pod głową, zamkniętymi oczyma, lekko uśmiechnięta, jak gdyby rozważyła wszystko i była spokojna. Klęczał długo, patrząc na jej ciało. Zaskoczyło go jego piękno. Naga wyglądała znacznie młodziej niż w ubraniu. Jej twarz, odrzucona do tyłu, z zamkniętymi oczyma, wydawała się niemal dziecinna. Przysunął się ku niej. Pieniądze znowu zabrzęczały w kieszeni. Zostało mu tylko osiem pensów! Wkrótce zaczną się kłopoty. Nie chciał o tym myśleć. Dalej, do dzieła, oto, co ważne, do dzieła i do licha z przyszłością. Wsunął pod nią ramię i przylgnął do niej ciałem.

- Czy mogę? Teraz?

- Dobrze.

- Nie boisz się?

- Nie.

- Będę się starał być delikatny.

- To nieważne.

- Za chwilę:

- Och, Gordon, nie! Nie, nie, nie!

- Co? Co się stało?

- Nie, Gordon, nie. Nie możesz! Nie!

Oparłszy na nim ręce, odepchnęła go gwałtownie. Twarz jej wyrażała niechęć, strach, niemal wrogość. To okropne, że odepchnęła go w takiej chwili. Jak gdyby oblano go zimną wodą. Odsunął się od niej, zmieszany, pospiesznie poprawiając ubranie.

- Co się stało? O co chodzi?
- Och, Gordon! Myślałam, że ty... o Boże! Zasłoniła twarz ramieniem i przewróciła się na bok, odsuwając się od niego, nagle zawstydzona.

- Co się stało? - powtórzył.
- Jak mogłeś postąpić tak lekkomyślnie?
- Co to znaczy - lekkomyślnie?
- Och! wiesz, o co mi chodzi!

Ogarnęło go zniechęcenie. Wiedział już, o co jej chodziło; nigdy jednak, aż do tej chwili, nie pomyślał o tym. Oczywiście - o tak! - powinien był o tym pomyśleć. Wstał i odwrócił się do niej tyłem. Pojął nagle, że teraz nic z tego. W niedzielne popołudnie na wilgotnej łące - na dodatek w środku zimy! Niemożliwe! Jeszcze przed chwilą wydawało się to tak właściwe, tak naturalne; teraz okazało się nędzne i wstrętne.

- Nie oczekiwałem czegoś takiego - powiedział z goryczą.

- Nic na to nie poradzę, Gordon! Powinieneś mieć... wiesz co.

- Czy naprawdę sądzisz, że używam takich rzeczy?
- Cóż innego możemy zrobić? Przecież nie mogę mieć dziecka!

- Musisz zaryzykować.

- Och, Gordon, jesteś niemożliwy!

Leżała, patrząc na niego, z nieszczęsną miną, zbyt przygnębiona, by pamiętać, że jest naga. Jego rozczarowanie przerodziło się w gniew. A więc to tak! Znowu pieniądze! Nie możesz od nich uciec nawet w najintymniejszych czynnościach życiowych; ze względów pieniężnych musisz wszystko zepsuć plugawymi, okrutnymi środkami zapobiegawczymi. Pieniądze, pieniądze, zawsze pieniądze! Palec bożka pieniądza wciska się nawet w łożę

nowożeńców! Jest tam w chwilach najwyższych czy też najgłębszych uniesień. Z rękoma w kieszeniach zrobił parę kroków tam i z powrotem.

- Widzisz, znowu pieniądze! - powiedział. - Nawet w takiej chwili ciążą nad nami i dręczą nas. Nawet gdy jesteśmy sami, odlegli o całe mile, gdy nikt nas nie widzi.

- Co pieniądze mają z tym wspólnego?

- Powiadam, że nigdy by ci nie przyszło do głowy zamartwiać się dzieckiem, gdyby nie chodziło o pieniądze. Gdyby nie one, *pragnęłabyś* dziecka. Mówisz, że „nie możesz” mieć dziecka. Co to znaczy, że „nie możesz” mieć dziecka? To znaczy, że nie masz odwagi, bo straciłabyś pracę, a ja nie mam pieniędzy, więc wszyscy zdechlibyśmy z głodu. Ta cała kontrola urodzin! Jeszcze jeden ich sposób znęcania się nad nami. Ty zaś najwyraźniej zgadzasz się na to.

- Ale co mam zrobić, Gordon? Co mam zrobić?

W tej chwili słońce zniknęło za chmurami. Znacznie się ochłodziło. Scena była w końcu groteskowa - naga kobieta leżąca na trawie, ubrany mężczyzna stojący obok ponuro, z rękami w kieszeniach. Jeszcze chwila, a leżąc tak zaziębi się na śmierć. To wszystko było absurdalne i nieprzyzwoite.

- Ale cóż ja mam robić, Gordon? - powtórzyła.

- Myślę, że na początek mogłabyś się zacząć ubierać - powiedział chłodno.

Powiedział to tylko dlatego, by zemścić się za swe rozdrażnienie; jednakże skutkiem tego było jej tak oczywiste i bolesne zawstyżenie, że musiał się odwrócić do niej tyłem. Ubrała się w parę chwil. Gdy klęczała, sznurując buciki, usłyszał, że parę razy pociągnęła nosem. Zbiegało się jej na płacz, a usiłowała się powstrzymać. Uczuł okropny wstyd. Miał ochotę upaść na kolana przy niej,

otoczyć ją ramionami i prosić o przebaczenie. Nie mógł jednak tego zrobić; po tej scenie czuł się niezdarny i niezręczny. Z trudem panował nad głosem, by wypowiedzieć choćby najbanalniejszą uwagę.

- Jesteś gotowa? - zapytał bezbarwnym tonem.

-Tak.

Wrócili na drogę, przeszli przez drut i bez słowa zaczęli schodzić ze wzgórza. Przez słońce znowu przetaczały się chmury. Robiło się coraz chłodniej. Jeszcze godzina, a zapadnie wczesny zmierzch. Zszedłszy ze wzgórza, ujrzeli hotel Ravenscroft, miejsce katastrofy.

- Gdzie idziemy? - powiedziała cicho Rosemary nadąsanym tonem.

- Myślę, że z powrotem do Slough. Musimy przejść przez most i spojrzeć na drogowskazy.

Przeszli parę mil, niemal się do siebie nie odzywając. Rosemary czuła się speszona i nieszczęśliwa. Kilka razy przysuwała się do niego, mając zamiar wziąć go za rękę, lecz on się od niej odsuwał; szli zatem obok, rozdzieleni niemal całą szerokością drogi. Miała poczucie, że śmiertelnie go obraziła. Sądziła, że to z powodu rozczarowania - ponieważ odtrąciła go w krytycznej chwili - jest na nią zły; przeprosiłaby go, gdyby dał jej jakąkolwiek szansę. On zaś w istocie nie myślał już właściwie o tym. Jego myśli odbiegły już od tego tematu. Trapiły go teraz sprawy pieniężne - fakt, że miał w kieszeni tylko osiem pensów. Za chwilę będzie musiał to wyznać. Będą jeszcze bilety autobusowe z Farnham do Slough, podwieczorek w Slough, papierosy i jeszcze inne bilety autobusowe, i może jeszcze posiłek po powrocie do Londynu; a na to wszystko tylko osiem pensów! Będzie jednak musiał pożyczyć od Rosemary. Było to tak piekielnie upokarzające. To okropne, gdy się musi pożyczać pieniądze od kogoś,

z kim się przed chwilą kłóciło. Jak nonsensowne stawały się wtedy jego subtelne pozy! Pouczał ją, zadzierał nosa z wyższością, udawał zgorszonego, ponieważ uważała zapobieganie ciąży za rzecz oczywistą; a za chwilę odwróci się i poprosi ją o pieniądze! Oto, do czego mogą doprowadzić pieniądze. Nie ma pozy, której nie nadwerężyłyby pieniądze, czy też raczej ich brak.

O wpół do piątej było już niemal zupełnie ciemno. Wędrowali zamglonymi drogami, oświetlonymi jedynie przez szpary w oknach domów czy też przez żółty reflektor rzadko przejeżdżającego samochodu. Robiło się potwornie zimno, lecz ponieważ szli już cztery mile, wysiłek fizyczny ich rozgrzewał. Nie można było nadal się na siebie boczyć. Rozmowa stała się łatwiejsza, a oni stopniowo przysuwali się do siebie. Rosemary ujęła go za ramię. Wreszcie zatrzymała go i odwróciła ku sobie.

- Gordon, dlaczego zachowujesz się wobec mnie tak okropnie?

- Jak okropnie się zachowuję?

- Nie odzywasz się ani słowem przez całą drogę!

- Och, o to chodzi!

- Czy ciągle gniewasz się na mnie z powodu tego, co się stało?

- Nie. Nigdy się na ciebie nie gniewałem. To nie *twoja* wina.

Spojrzała na niego, próbując zgłębić wyraz jego twarzy w ciemności. Przyciągnął ją do siebie i, jak zdawała się tego oczekiwać, przechyliwszy jej twarz do tyłu, pocałował ją. Skwapliwie przyłgnęła do niego; jej ciało rozluźniło się, dotykając jego ciała. Wydawało się, że tego właśnie oczekiwała.

- Gordon, kochasz mnie, prawda?

- Oczywiście, że tak.

- Coś nam nie wyszło. Nie mogłam nic na to poradzić.

Nagle się przestraszyłam.

- Nie szkodzi. Następnym razem będzie dobrze.

Tuliła się do niego bezsilnie, z głową opartą na jego piersi. Czuł, jak jej serce bije. Trzepotało gwałtownie, jak gdyby podejmowała jakąś decyzję.

- Nie dbam o to - powiedziała niewyraźnie, wtuliwszy twarz w jego marynarkę.

- O co nie dbasz?

- O dziecko. Zaryzykuję. Możesz zrobić ze mną, co zechcesz.

Te pełne poddania słowa wzbudziły w nim słabe pożądanie, które natychmiast zanikło. Wiedział, dlaczego to powiedziała. Nie dlatego, by właśnie w tej chwili naprawdę pragnęła się z nim kochać. Był to jedynie wspaniałomyślny odruch, by dać mu poznać, że go kocha i że raczej poniesie straszliwe ryzyko, niż sprawi mu rozczarowanie.

- Teraz? - powiedział.

- Tak, jeśli chcesz.

Zastanowił się. Tak bardzo pragnął się upewnić, że należy do niego! Jednakże opływało ich zimne wieczorne powietrze. Poza żywopłotami długa trawa będzie z pewnością wilgotna i chłodna. Ani czas, ani miejsce nie były odpowiednie. Ponadto umysł miał zajęty sprawą ośmiu pensów. Nie był już w odpowiednim nastroju.

- Nie mogę - powiedział wreszcie.

- Nie możesz?! Ależ, Gordon! Myślałam...

- Wiem. Ale wszystko się zmieniło.

- Nadal jesteś zdenerwowany?

- Tak. W pewnym sensie.

- Dlaczego?

Odsunął ją nieco od siebie. Równie dobrze można to wyjaśnić już teraz. Jednakże tak był zmieszany, że raczej wymamrotał, niż powiedział:

- Muszę ci powiedzieć coś potwornego. Cały czas mnie to trapi.

- O co chodzi?

- A więc, czy mogłabyś mi pożyczyć pieniądze? Jestem całkiem splukany. Miałem dosyć, lecz ten potworny rachunek w hotelu pokrzyżował wszystko. Zostało mi tylko osiem pensów.

Zdumiało to Rosemary. W zdumieniu wyzwoiliła się z jego objęć.

- Zostało ci tylko osiem pensów! O czym ty mówisz? Jakie to ma znaczenie, że zostało ci tylko osiem pensów?

- Przecież ci mówię, że za chwilę będę musiał pożyczyć od ciebie pieniędzy. Będziesz musiała zapłacić za swój bilet autobusowy i za mój bilet autobusowy, za swój podwieczorek i za Bóg wie co jeszcze. A to ja zaprosiłem cię na wycieczkę! Miałaś być moim gościem. Cholera.

- Twoim gościem! Och, Gordon! Czy to to cię trapiło przez cały czas?

-Tak.

- Gordon, co za dzieciak z ciebie! Jak możesz się martwić czymś takim? Jak gdybym nie chciała pożyczyć ci pieniędzy! Czyż nie mówię zawsze, że chcę za siebie zapłacić, gdy idziemy gdzieś razem?

- Tak, ale wiesz, jak nie znoszę, gdy płacisz. Powiedzieliśmy to sobie ostatniego wieczoru.

- Och, ale to bezsensowne, ależ to całkiem bezsensowne! Czy sądzisz, że należy się wstydić braku pieniędzy?

- Oczywiście! To jedyna rzecz na tym świecie, której należy się wstydić.

- Co to ma jednak wspólnego z naszym kochaniem się? Zupełnie cię nie rozumiem. Najpierw chcesz, a potem nie chcesz. Co pieniądze mają z tym wspólnego?

- Wszystko.

Ujął ją pod ramię i ruszyli drogą. Nigdy tego nie zrozumie. Musiał to jednak wyjaśnić.

- Czy nie rozumiesz, że człowiek nie jest w pełni istotą ludzką - że się nie *czuje* istotą ludzką - jeśli nie ma pieniędzy w kieszeni?

- Nie. Myślę, że to po prostu głupie.

- Nie chodzi o to, że nie chcę się z tobą kochać. Chcę. Mówię ci jednak, że nie mogę się z tobą kochać, gdy mam tylko osiem pensów w kieszeni. W każdym razie, gdy wiesz, że mam tylko osiem pensów. Po prostu nie mogę. Jest to fizycznie niemożliwe.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Odpowiedź znajdziesz u Lempriere'a - powiedział niejasno.

To rozstrzygnęło sprawę. Nie mówili o tym więcej. Po raz drugi zachował się bardzo źle, a jednak dał jej odczuć, że to ona nie miała racji. Szli naprzód. Nie rozumiała go; jednak przebaczała mu wszystko. Wreszcie dotarli do Farnham Common i poczekawszy na skrzyżowaniu wsiedli do autobusu do Slough. Gdy autobus się zbliżał, Rosemary znalazła w ciemności dłoń Gordona i wsunęła do niej pół korony, by mógł zapłacić za bilety i nie musiał się wstydzić, że kobieta płaci za niego.

Właściwie Gordon wolałby iść piechotą do Slough i zaoszczędzić na biletach autobusowych, wiedział jednak, że Rosemary się na to nie zgodzi. Przyjechawszy do Slough chciał zaraz wracać pociągiem do Londynu, lecz Rosemary powiedziała z oburzeniem, że nie zamierza wyrzekać się herbaty, więc poszli do dużego, ponurego, pełnego przeciągów hotelu w pobliżu stacji. Herbata, ze zwiędłymi kanapeczkami i twardymi ciasteczkami podobnymi do grudek kitu, kosztowała dwa szylingi od osoby. Męką dla

Gordona było to, że zapłaciła za niego. Dąsał się, nic nie jadł, po czym uparł się, po przeprowadzonej szeptem dyskusji, by dołożyć swe osiem pensów na pokrycie kosztów podwieczorku.

Była siódma, gdy wsiedli do pociągu jadącego do Londynu. Pociąg był pełen wycieczkowiczów w spodenkach khaki. Rosemary i Gordon nie rozmawiali wiele. Siedzieli blisko siebie, Rosemary ujęła go pod ramię i bawiła się jego palcami. Gordon wyglądał przez okno. Ludzie w wagonie przyglądali się im, próbując dociec, z jakiego powodu się pokłócili. Gordon patrzył na przesuwaną się za oknami ciemność rozgwieżdżoną lampami. Tak więc zakończył się dzień, którego tak niecierpliwie oczekiwał. Teraz powrót na Willowbed Road, z perspektywą tygodnia bez grosza. O ile nie zdarzy się jakiś cud, przez cały tydzień nie będzie mógł sobie kupić nawet papierosa. Jakież z niego dureń! Rosemary nie była zła na niego. Jego na pół od niej odwrócona, blada i zgorzkniała twarz, zniszczona marynarka i zmierzwiłone, mysiego koloru włosy, którym bardzo by się przydał fryzjer, napełniały ją głębokim współczuciem. Była w niej teraz większa czułość dla niego, niż gdyby wszystko poszło dobrze, bowiem po kobiecemu odgadła, że jest nieszczęśliwy i że ma trudne życie.

- Odprowadź mnie do domu, dobrze? - powiedziała, gdy wysiedli na stacji Paddington.

- Jeśli nie masz nic przeciwko pójściu piechotą. Nie mam na bilety.

- Ależ pozwól *mnie* zapłacić. O Boże! Chyba się nie zgodzisz. Ale jak się dostaniesz do domu?

- Och, pójde pieszo. Znam drogę. To nie tak daleko.

- To straszne, żebyś szedł tak daleko. Wydajesz się taki zmęczony. Bądź miły i pozwól mi zapłacić za twój bilet do domu. *Proszę!*

- Nie. Dość już za mnie zapłaciłaś.

- O Boże! Taki jesteś niemądry!
Zatrzymali się u wejścia do metra. Ujął jej dłoń.
 - Teraz musimy się pożegnać - powiedział.
 - Do widzenia, kochanie. Bardzo ci dziękuję za wycieczkę. Rano było tak wspaniale.
 - Ach, rano! Wtedy było inaczej. - Wrócił myślą do porannych godzin, gdy byli sami na drodze, a on miał jeszcze pieniądze w kieszeni. Zdjęła go skrucha. W sumie źle się zachował. Mocniej uścisnął jej dłoń. - Nie gniewasz się na mnie, prawda?
 - Nie, głuptasie, oczywiście, że nie.
 - Nie miałem zamiaru być wobec ciebie tak okrutny. To pieniądze. Zawsze pieniądze.
 - Nie szkodzi. Następnym razem będzie lepiej. Pojedziemy w jakieś lepsze miejsce. Może pojedziemy na weekend do Brighton.
 - Może, gdy będę miał pieniądze. Napiszesz wkrótce, prawda?
 - Tak.
 - Tylko twoje listy mnie podtrzymują. Powiedz, kiedy napiszesz, żebym mógł oczekiwać twego listu.
 - Napiszę jutro wieczór i wyślę we wtorek. W takim razie dostaniesz go we wtorek wieczór.
 - A więc do widzenia, droga Rosemary.
 - Do widzenia, kochanie.
- Rozstał się z nią przy kasie. Odszedłszy jakieś dwadzieścia metrów, poczuł dotknięcie ręki na ramieniu. Odwrócił się gwałtownie. Była to Rosemary. Wepchnęła mu do kieszeni paczkę dwudziestu papierosów Gold Flake, kupioną w kiosku z papierosami, i zanim zdążył zaprotestować, pobiegła z powrotem w kierunku metra.
- Włókł się do domu przez pustkę Marylebone i Regent's Park. Kończył się dzień. Ulice były ciemne i opustoszałe,

przesycone dziwną apatią niedzielnego wieczoru, gdy ludzie bardziej są zmęczeni po dniu próżnowania niż po dniu pracy. Było potwornie zimno. Z zapadnięciem zmierzchu zerwał się wiatr. *Złowróźnie wicher dmąc ugina*. Gordona bolały nogi po przemaszerowaniu dwunastu czy piętnastu mil, był także głodny. Niewiele jadł w ciągu dnia. Wyruszył rano bez właściwego śniadania, a obiad w hotelu Ravenscroft nie był szczególnie udanym posiłkiem; od tego czasu właściwie nic nie jadł. Nie miał jednak nadziei na zjedzenie czegoś po powrocie do domu. Powiedział Mamie Wisbeach, że nie będzie go przez cały dzień.

Dotarłszy do Hampstead Road musiał poczekać przy krawężniku, by przepuścić potok przejeżdżających samochodów. Nawet tutaj wszystko wydawało się ciemne i ponure, pomimo jaskrawych świateł i zimnego blasku wystaw jubilerskich. Mroźny wiatr przenikał przez cienkie ubranie, przyprawiając go o dreszcze. *Złowróźnie wicher dmąc ugina Giętkie topole, obnażone*. Skończył ten wiersz, z wyjątkiem ostatnich dwóch linijek. Znowu pomyślał o porannych godzinach - pustych, zamglonych drogach, uczuciu wolności i przygody, o perspektywie całego dnia i rozległego obszaru, gdzie można było wędrować do woli. Sprawily to oczywiście pieniądze. Siedem szylingów i jedenaście pensów, które miał rano w kieszeni. Było to przelotne zwycięstwo nad bożkiem pieniądza, poranna apostazja, święto w gajach Astarte. Takie rzeczy nigdy nie trwają długo. Znikają pieniądze, a wraz z nimi wolność. Obrzezajcie swe napletki, powiada Pan. Więc pelzamy z powrotem, pochlipując przykładnie.

Przepełnęła następna ławica samochodów. Wzrok jego przyciągnął zwłaszcza jeden, długi i smukły, elegancki jak jaskółka, połyskujący błękitnie i srebrzyście; pomyślał, że musiał kosztować chyba tysiąc gwinei. Za kierownicą siedział ubrany na niebiesko szofer, wyprostowany, nieru-

chomy, jak pogardliwy posąg. Z tyłu, w oświetlonym różowo wnętrzu, paliło papierosy i śmiało się czworo eleganckich młodych ludzi, dwóch młodzieńców i dwie dziewczyny. Dostrzegł delikatne, królicze twarze, twarze zachwycająco różowe i gładkie, rozświetlone tym szczególnym wewnętrznym blaskiem, którego nie można podrobić, ciepłym i łagodnym promieniowaniem pieniędzy.

Przeszedł przez jezdnię. Nie będzie dziś jedzenia. Jednakże, dzięki Bogu, była jeszcze nafta w piecyku; po powrocie zrobi sobie potajemnie herbatę. W tej chwili widział siebie i swoje życie bez żadnej maski. Co wieczór to samo - powrót do zimnego, pustego pokoju i do brudnych, porzrzucanych kartek wiersza, który się nie posuwał naprzód. To ślepy zaułek. Nigdy nie skończy *Rozrywek londyńskich*, nigdy nie ożeni się z Rosemary, nigdy nie uporządkuje życia. Będzie tylko unosić się z prądem i tonąć, płynąć i tonąć, jak inni w jego rodzinie; nawet jeszcze gorzej - pograży się w jakiś straszliwy podrzędny świat, o którym na razie miał jedynie mgliste wyobrażenie. To właśnie wybrał, wypowiadając wojnę pieniądzu. Służ bożkowi pieniądza lub idź na dno; innej zasady nie ma.

Kamienna ulica zatrzęsała się od czegoś w głębi. Pociąg metra, mknący we wnętrzu ziemi. Ujrzał wizję Londynu, zachodniego świata; ujrzał tysiąc milionów niewolników harujących i czołgających się wokół tronu pieniądza. Orze się ziemię, statki płyną, górnicy pocą się w ociekających wodą podziemnych tunelach, urzędnicy spieszą na pociąg o ósmej piętnaście, zżerani przez strach przed szefem. Nawet leżąc z żoną w łóżku drżą i są posłuszni. Komu posłuszni? Kapłanom pieniądza, różowogębnym władcom świata. Najwyższa warstwa. Kłębowisko gładkich króliczków w samochodach po tysiąc gwinei, grających w golfa maklerów i kosmopolitycznych finansistów, prawników

z Sądu Najwyższego i modnych pedałów, magnatów prasowych, powieściopisarzy czworga płci, amerykańskich pięściarzy, pilotek, gwiazd filmowych, biskupów, utytułowanych poetów i goryli z Chicago.

Po przejściu dalszych pięćdziesięciu metrów znalazł rym do ostatniej zwrotki wiersza. Szedł do domu po wtwarzając sobie wiersz:

*Złowróżbnie wicher dmąc ugina
Giętke topole, obnażone. Kominów
ciemna splywa wstęga; Miotany w tę,
to w tamtą stronę*

*Trzepoce plakat; mroźną nutą Warczą
tramwaje, grzmią podkowy. W drodze
na stację urzędnicy Drząc spoglądają
ku wschodowi.*

*Każdy rozmyśla: - Idzie zima! Daj
Bóg, bym nie utracił pracy] -Gdy
mróz wnętrzości im przesywa
Ostrzem swej lodowatej racy,*

*Myślą o czynszu, o podatkach,
O pensji kuchty - węgiel zdrożał -
Butach, rachunkach oraz ratach
Za dwa małżeńskie miękkie łoża.*

*W gajach Astarte dni beztroskie
Strawiwszy na nierządzie latem,
Przed władcą gniemy dziś kolana,
Gdy wiatr nas zimny ciął jak batem.*

*Władca wszystkiego, bóg pieniądza,
Co włada ciałem, myśl steruje, Daje
nam dach, co nas ochrania, I dach
ten później odejmuje.*

*Zazdrosnym okiem pilnie śledzi
Nasze sny, myśli, pożądania, Dzień
nam planuje, słów dobiera,
Kopiować każe krój ubrania.*

*Złość nam ostudza i nadzieję, Za
życie nasze fraszką płaci, W darze
niesiemy mu przewrotność, Drobnie
uciechy, wzgardę braci.*

*Łańcuchem pęta myśl poety,
Żołnierza dumę, siłę ramion,
I gładką, zimną tarczę kładzie
Między kochanym a kochaną.*

Z wybiciem godziny pierwszej Gordon zatrzasnął drzwi sklepu i pospieszył, niemal pobiegł, do oddziału Banku Westminster, znajdującego się nieopodal na tej samej ulicy.

Z na pół uświadamianą przezornością trzymał klapę marynarki, przyciskając ją mocno do siebie. Tam właśnie, ukryty w prawej wewnętrznej kieszeni, znajdował się przedmiot, w którego istnienie po trosze powątpiewał. Była to okazała niebieska koperta z amerykańskim znaczkiem; w kopercie znajdował się czek na pięćdziesiąt dolarów, ów czek zaś opiewał na nazwisko „Gordona Comstocka”!

Wyczuwał zarys prostokątnej koperty na swym ciele tak wyraźnie, jak gdyby była rozpalona do czerwoności. Wyczuwał ją tam przez cały ranek, obojętnie czy jej dotykał, czy nie; wydawało się, że skóra poniżej jego prawej piersi wykształciła jakiś obszar wrażliwości. Co dziesięć minut wyjmował czek z koperty i przyglądał mu się z niepokojem. W końcu czeki są niepewne. Okropne, gdyby wyłoniła się jakaś trudność w związku z datą lub podpisem. Ponadto mógłby go zgubić - a także czek mógłby zniknąć niczym bajkowe złoto.

Czek nadszedł z „Californian Review”, tego amerykańskiego magazynu, do którego przed wieloma tygodniami czy miesiącami wysłał wiersz w porywie rozpaczy. Niemal zapomniał o tym wierszu, bo trwało to tak długo, aż tego ranka całkiem nieoczekiwanie pojawił się list od nich. *I co za list!* Angielscy redaktorzy nigdy nie piszą takich listów. Wiersz wywarł na nich „bardzo korzystne wrażenie”. Będą „usiłowali” zamieścić go w następnym numerze. Czy zechce? (Cudownie! - jak powiedziała by Flaxman). Czek przyszedł w liście. Wydawało się zupełnie nieprawdopodobnym szaleństwem w owym nieszczęsnym roku 1934, by ktokolwiek zapłacił za wiersz pięćdziesiąt dolarów. Tak jednak było; był też czek, który robił wrażenie całkiem prawdziwego, choć sprawdzał go często.

Nie zazna spokoju, póki nie zrealizuje czeku - istniało bowiem duże prawdopodobieństwo, że bank odmówi realizacji - a jednak już przez myśl przepływał mu potok obrazów. Obrazy twarzy dziewcząt, obrazy omszałych butelek wina i kwarcianych kufli piwa, obrazy nowego ubrania i płaszcza wykupionego z lombardu, obrazy weekendu w Brighton z Rosemary, obrazy kruchego, szeleszczącego banknotu pięciofuntowego, który wręczy Julii. Szczególnie, oczywiście, te pięć funtów dla Julii. Była to niemal pierwsza rzecz, jaka mu przyszła na myśl po otrzymaniu czeku. Cokolwiek uczyni z pieniędzmi, musi dać połowę Julii. Odda jej w ten sposób sprawiedliwość, zważywszy, ile od niej „pożyczył” przez lata. Przez całe rano powracała myśl o Julii i pieniądzach, które jej był winien. Była to jednak cokolwiek niemiła myśl. Zapomniał o tym na pół godziny, rozplanował na tuzin sposobów, jak wyda swych dziesięć funtów co do grosza, po czym nagle przypomniał sobie o Julii. Poczciwa stara Julia! Julia powinna otrzymać swą część. Co najmniej pięć funtów.

Nie stanowiło to nawet jednej dziesiątej tego, co był jej winien. Po raz dwudziesty, z niejaką przykrością, zanotował: pięć funtów dla Julii.

Bank nie robił żadnych trudności w związku z czekiem. Gordon nie miał konta, lecz znano go tam dobrze, gdyż pan McKechnie prowadził tam rachunek. Już uprzednio realizowali Gordonowi чеки z redakcji. Konsultacja trwała tylko chwilę, po czym kasjer powrócił.

- Banknotami, panie Comstock?

- Poproszę jeden pięciofuntowy, a resztę jednofuntowymi.

Kruchy, rozkoszny banknot pięciofuntowy i pięć nowych banknotów jednofuntowych przesunęły się z szelstem pod mosiężną barierką. Za nimi kasjer przepchnął stosik półkoronówek i pensów. Pańskim gestem Gordon wrzucił monety do kieszeni, nawet ich nie licząc. Był to bakszysz. Spodziewał się dostać dziesięć funtów za pięćdziesiąt dolarów. Dolar widocznie stoi wyżej. Banknot pięciofuntowy złożył jednak starannie i schował do amerykańskiej koperty. Był Julii. Był święty. Zaraz go jej wysła.

Nie wrócił do domu na obiad. Czemu miałby żuć twardą wołowinę w aspidistralnej jadalni, gdy posiadał w kieszeni dziesięć funtów - a raczej pięć funtów? (Ciągłe zapominał, że połowę pieniędzy przeznaczył dla Julii). Nie zawracał sobie głowy w tej chwili wysyłaniem Julii pięciu funtów. Wieczorem też będzie na to czas. Poza tym posiadanie ich w kieszeni sprawiało mu przyjemność. To dziwne, jak inaczej się człowiek czuł z takimi pieniędzmi w kieszeni. Nie tylko bogaty, lecz także pewny siebie, przywrócony do życia, nowo narodzony. Czuł, że jest inną osobą niż wczoraj. Naprawdę *był* inną osobą. Nie był sponiewieranym nieszczęśnikiem, który potajemnie spo-

rządzą herbatę na piecyku parafinowym przy Willowbed Road 31. Był Gordonem Comstockiem, poetą, znanym po obu stronach Atlantyku. Publikacje: *Myszy* (1932), *Rozrywki londyńskie* (1935). Był teraz całkiem pewny co do *Rozrywek londyńskich*. Powinny się ukazać za trzy miesiące. Ósemka, biała płócienna oprawa. Czuł, że teraz, gdy odmienił mu się los, może podołać wszystkiemu.

Zaszedł Pod Księcia Walii, by coś zjeść. Kawalek pieczeni, dwie jarzyny, szyling i dwa pensy, duże jasne piwo, dziewięć pensów, dwadzieścia papierosów Gold Flake, szyling. Nawet po takiej ekstrawagancji zostało mu jeszcze dobrze ponad dziesięć funtów - a raczej dobrze ponad pięć funtów. Rozgrzany piwem siedział, rozmyślając o tym, co może mieć za pięć funtów. Nowe ubranie, weekend na wsi, jednodniową wycieczkę do Paryża, pięć szalonych libacji, dziesięć obiadów w restauracjach w Soho. Przyszło mu wówczas na myśl, że musi koniecznie zjeść kolację z Rosemary i Ravelstonem. Po prostu, by uczcić swe szczęście; przecież nie codziennie spada ci z nieba dziesięć - pięć - funtów. Nie mógł się oprzeć myśli, że będą razem we troje, przy winie i dobrym jedzeniu, a pieniądze nie będą stanowiły problemu. Poczuł słabiutkie uczucie rozważli. Oczywiście, nie wolno mu wydać *wszystkich* pieniędzy. Stać go jednak na funta. Kilka minut później zadzwonił do Ravelstona z telefonu w knajpie.

- To ty, Ravelston? Słuchaj, Ravelston! Zapraszam cię dziś na kolację.

Po drugiej stronie przewodu Ravelston słabo zaprotestował. - Nie, do licha! To *ja* cię zapraszam. - Gordon go jednak zignorował. Nonsens! Ravelston musi dziś z *nim* pójść na kolację. Ravelston zgodził się niechętnie. Dobrze, tak, dzięki; będzie zachwycony. Głos jego brzmiał

przepraszająco i smutno. Domyślił się, co się stało. Gordon zdobył skądś pieniądze i natychmiast je roztrwaniał; jak zwykle. Ravelston miał poczucie, że nie ma prawa się wtrącać. Gdzie pójdą? - zapytał Gordon. Ravelston zaczął wychwalać wesołe restauracyjki w Soho, gdzie za pół korony można zjeść świetny obiad. Lecz restauracje w Soho wydawały się potworne, gdy tylko Ravelston o nich wspominał. Gordon nie chciał o nich słyszeć. Nonsens! Muszą pójść do jakiegoś przyzwoitego lokalu. Pomyślał sobie, żeby to zrobić nie bacząc na nic; może z powodzeniem wydać dwa funty - a nawet trzy funty. Gdzie Ravelston zazwyczaj chodzi? Do Modiglianiego, przyznał Ravelston. Ale Modigliani jest bardzo - nie! nawet przez telefon Ravelston nie mógł wymówić nienawistnego słowa „drogi”. Jak można przypominać Gordonowi o jego ubóstwie? Modigliani może się Gordonowi nie podobać, powiedział eufemistycznie. Gordon był jednak zadowolony. Modigliani? W porządku - wpół do dziewiątej. Dobrze! W końcu, jeśli wyda na kolację nawet trzy funty, zostaną mu jeszcze dwa na kupno nowej pary butów, kamizelki i spodni.

W ciągu pięciu minut załatwił sprawę z Rosemary. W Nowym Albionie nie lubili, gdy dzwoniło do pracowników, ale jeden raz nie miał znaczenia. Nie widział jej od owej nieszczęsnej wycieczki niedzielnej pięć dni temu, choć miał wiadomość od niej. Odpowiedziała z zapalem, gdy poznała jego głos. Czy zje z nim dziś wieczór kolację? Oczywiście! Wspaniale! Załatwił więc wszystko w dziesięć minut. Zawsze pragnął, by Rosemary i Ravelston się poznali, lecz jakoś nigdy mu się to nie udało. Takie rzeczy są znacznie łatwiejsze, gdy ma się do wydania nieco pieniędzy.

Taksówka powiozła go mroczniejącymi ulicami w kierunku zachodnim. Trzymilowa jazda - a przecież stać go na to.

Czemu narażać się na straty przez groszową oszczędność? Porzucił już myśl wydania wieczorem jedynie dwóch funtów. Wyda trzy funty, trzy funty dziesięć szylingów - cztery funty, jeśli będzie miał ochotę. Pierwszorzędnie i bez skrupułów - to był pomysł. Och! a propos! Pięć funtów dla Julii. Jeszcze ich nie wysłał. Nie szkodzi. Wyśle je zaraz rano. Pocziwa stara Julia! Otrzyma swe pięć funtów. Siedzenie taksówki pod tyłkiem wydawało się takie rozkoszne! Rozpierał się na nim. Wypił już trochę, oczywiście - strzelił dwa, a może trzy szybkie drinki przed wyjazdem. Taksówkarz był tęгим, filozoficznie nastrojonym mężczyzną o ogorzałej twarzy i bystrym wzroku. Rozumieli się z Gordonem. Zaprzyjaźnili się w barze, gdzie Gordon strzelał swoje kolejki. Gdy zbliżyli się do West Endu, taksówkarz zatrzymał się nieproszony przy dyskretnej knajpie na rogu. Wiedział, o czym myślał Gordon. Gordon miałby ochotę na jednego. Podobnie taksówkarz. Ale rozumie się, że zapłaci Gordon.

- Odgaduje pan moje myśli - powiedział Gordon, gramoląc się z taksówki.

- Tak, proszę pana.

- Miałbym ochotę na jednego.

- Właśnie tak pomyślałem, proszę pana.

- A pan da radę wypić jednego, co?

- Jak się chce, to się zrobi - powiedział taksówkarz.

- No to wejdźmy - powiedział Gordon.

Wsparli się przyjaźnie na obitym mosiądzem barze, ramię przy ramieniu, paląc papierosy taksówkarza. Gordon czuł, że jest wylewny i pełen dowcipu. Miałby ochotę opowiedzieć taksówkarzowi historię swego życia. Pospieszył ku nim barman w białym fartuchu.

- Słucham pana - powiedział barman.

- Gin - powiedział Gordon.

- Niech będzie, dwa - powiedział taksówkarz.
- Stuknęli się szklaneczkami z jeszcze większą zażyłością.
- Wszystkiego najlepszego - powiedział Gordon.
- Ma pan dziś urodziny?
- Tylko w sensie metaforycznym. Drugie narodziny, można powiedzieć.
- Nie kształciłem się wiele - powiedział taksówkarz.
- Wyraziłem się za pomocą przypowieści - powiedział Gordon.
- Mnie wystarcza język angielski - powiedział taksówkarz.
- Był to język Szekspira - powiedział Gordon.
- Nie jest pan przypadkiem literatem, proszę pana?
- Czy wyglądam na tak zniszczonego?
- Nie na zniszczonego, proszę pana. Tylko tak inteligentnie.
- Ma pan rację. Poeta.
- Poeta! Kogóż to nie ma na tym świecie, prawda? - powiedział taksówkarz.
- A świat to cholernie dobry - powiedział Gordon.

Umysł miał tego wieczora nastrojony lirycznie. Wypili jeszcze po jednym ginie i wrócili wreszcie do taksówki; wyszli z baru, trzymając się niemal pod rękę. Gordon wypił w sumie pięć ginów tego wieczora. Miał niezwykłe uczucie w żyłach; płynął w nich gin, zmieszany z krwią. Wparł się wygodnie w siedzenie i przyglądał wielkim jaskrawym reklamom, przepływającym przez niebieskawy mrok. Jadowita czerwień i siność neonów sprawiały mu w tej chwili przyjemność. Jakże gładko mknęła taksówka! Bardziej jak gondola niż jak samochód. Sprawilo to posiadanie pieniędzy. Pieniądze nasmarowały koła. Myślał o czekającym go wieczorze: dobre jedzenie, dobre wino, dobra rozmowa - a przede wszystkim żadnej troski o pie-

niądze. Bez cholernego liczenia sześciopensówek i bez „nie możemy sobie na to pozwolić”. Rosemary i Ravelston będą usiłovali powstrzymać go od rozrzutności. Ale zamknie im gębę. Wyda wszystko co do grosza, jeśli będzie miał na to ochotę. Przepuści całych dziesięć funtów! No, powiedzmy, pięć. Przemknęła mu przez głowę myśl o Julii, lecz znikła.

Był całkiem trzeźwy, gdy dojechali przed restaurację Modighaniego. Ogromny szwajcar, niczym niemal po zbawiona stawów wielka błyszczące figura woskowa, wyszedł sztywno, by otworzyć drzwi taksówki. Spojrzał spode łba ponurym okiem na ubranie Gordona. Nie żeby u Modighaniego wymagano „ubioru”. Modighani był oczywiście niezwykle artystyczny. Są jednak różne sposoby bycia artystycznym, sposób Gordona zaś był niewłaściwy. Gordon się tym nie przejmował. Pożegnał się czule z taksówkarzem i wręczył mu półkoronowy napiwek, wskutek czego ponure oko szwajcara nieco się rozpoznało. W tej właśnie chwili z drzwi wynurzył się Ravelston. Szwajcar znał go oczywiście. Ravelston przeszedł się chodnikiem, wysoki i dystyngowany, ubrany z arystokratyczną niedbałością, wyglądający nieco markotnie. Marzył się o to, ile pieniędzy będzie ta kolacja kosztować Gordona.

- Ach, jesteś już, Gordon!
- Cześć, Ravelston! Gdzie Rosemary?
- Może czeka wewnątrz. Nie znam jej, jak wiesz. Ale posłuchaj, Gordon! Zanim wejdziemy, chciałbym...
- Spójrz, oto ona!

Szła ku nim, zgrabna i radosna. Torowała sobie drogę w tłumie niczym mały zwinny niszczyciel, przemykający się wśród dużych niezgrabnych statków handlowych. Była jak zwykle ładnie ubrana. Kapelusz z szerokim rondem

włożyła wyzywająco na bakier. Serce Gordona zabiło. Oto właściwa dziewczyna! Był dumny, że Ravelston ją zobaczy. Była bardzo wesoła tego wieczora. Jej wygląd świadczył o tym, że nie przypomni o ostatnim nieszczęsnym spotkaniu. Może tylko śmiała się i mówiła ze zbytnim ożywieniem, gdy Gordon ich sobie przedstawił i gdy weszli do środka. Ravelston jednak natychmiast ją polubił. Właściwie każdy, kto poznał Rosemary, lubił ją. Wnętrze restauracji onieśmieliło Gordona na chwilę. Było tak straszliwie, tak artystycznie eleganckie. Ciemne stoły z rozsuwanym blatem, cynowe świeczniki, na ścianach obrazy współczesnych francuskich malarzy. Jeden z nich, scena uliczna, wyglądał na Utrilla. Gordon naprężył plecy. Do licha, czegoż się tu bać? Banknot pięciofuntowy miał schowany w kopercie w kieszeni. To było pięć funtów Julii oczywiście; nie wyda ich. Jednakże ich obecność podtrzymywała go moralnie. Była czymś w rodzaju talizmanu. Szli w kierunku narożnego stolika - ulubionego stolika Ravelstona - w odległym krańcu sali. Ravelston ujął Gordona pod ramię i odciągnął go nieco do tyłu, by Rosemary nie mogła usłyszeć.

- Posłuchaj, Gordon!

- O co chodzi?

- Posłuchaj, dziś *ja* was zapraszam na kolację.

- Brednie! Ja płacę.

- Bardzo bym sobie tego życzył. Ale nie mogę patrzeć, jak wydajesz wszystkie pieniądze.

- Nie będziemy dziś mówić o pieniądzach - powiedział Gordon.

- A więc pół na pół - prosił Ravelston.

- Ja płacę - powiedział Gordon stanowczo.

Ravelston dał za wygraną. Gruby, siwowłosy kelner-

- Włoch kłaniał się uśmiechnięty przy narożnym stoliku.

Uśmiechał się jednak do Ravelstona, nie do Gordona. Gordon usiadł z poczuciem, że musi szybko zapewnić sobie właściwą pozycję. Odsunął menu podane przez kelnera.

- Musimy najpierw zdecydować, czego się napijemy - powiedział.

- Piwo - powiedział Ravelston z pośpynym pośpiechem.

- Mam ochotę tylko na piwo.

- Ja też - zawtórowała Rosemary .

- Bzdura! Musimy napić się wina. Jakie wolicie, czerwone czy białe? Proszę o kartę win - powiedział do kelnera.

- Więc zamówmy zwyczajne Bordeaux, Medoc lub St. Julien lub coś w tym rodzaju - powiedział Ravelston.

- Uwielbiam St. Julien - powiedziała Rosemary, która zdawała się przypominać sobie, że St. Julien było zawsze najtańszym winem w karcie.

Gordon przeklinał ich w duchu. A więc to tak! Już się zmówili przeciw niemu. Próbuje przeszkodzić mu w wydaniu pieniędzy. Nad wszystkim zawiśnie ta nieznośna, nienawistna atmosfera typu „nie stać cię na to”. Tym bardziej pragnął być rozrzutny. Przed chwilą zgodziłby się na burgunda. Teraz postanowił, że muszą zamówić coś naprawdę drogiego - coś musującego, coś podniecającego. Szampan? Nie, nie pozwolą mu zamówić szampana. Ach!

- Czy macie Asti? - powiedział do kelnera.

Kelner rozpromienił się nagle, pomyślawszy o korkowym. Pojął teraz, że Gordon, a nie Ravelston, pełni rolę gospodarza. Odpowiedział, symulując osobliwą mieszaninę francuszczyzny i angielszczyzny.

- Asti, proszę pana? Tak, proszę pana. Bardzo dobre Asti! Asti Spumanti. *Tres fin! Tres vif!*

Zaniepokojony wzrok Ravelstona szukał poprzez stół wzroku Gordona; „nie stać cię na to”, błagał.

- Czy to takie musujące wino? - powiedziała Rosemary.
- Bardzo musujące, proszę pani. Bardzo orzeźwiający
wino. *Tres viv!* Hop! - Jego grube dłonie zrobiły ruch
przedstawiający kaskady piany.

- Asti - powiedział Gordon, nim Rosemary zdołała go
powstrzymać.

Ravelston był przygnębiony. Wiedział, że butelka Asti
pędzie kosztować Gordona dziesięć lub piętnaście szylin-
gów. Gordon udawał, że niczego nie zauważa. Zaczął
mówić o Stendhalu - w związku z księżną de Sanseverina i
jej „*force vin d'Asti*”. Pojawiło się Asti w kuble z lodem

- błąd, jak mógłby to Gordonowi powiedzieć Ravelston.
Wyskoczył korek. Hop! Wzburzone wino zapienilo się w
płaskich szerokich kieliszkach. Nastrój przy stole zmienił
się w zagadkowy sposób. Coś się stało z całą trójką. Wino
sprawiło cud, jeszcze zanim je wypito. Rosemary pozbyła
się zdenerwowania, Ravelston ustawicznej troski o
wydatki, Gordon zaś buntowniczego zamiaru okazania się
rozrzutnym. Jedli sardele z masłem i chlebem, smażoną
solę, pieczonego bażanta w sosie z frytkami, jednak przede
wszystkim pili i rozmawiali. Jakże błyskotliwie rozmawiali
- a przynajmniej tak im się wydawało. Rozmawiali o
koszmarności współczesnego życia i o koszmar-ności
współczesnych książek. O czym innym można dzisiaj
rozmawiać? Jak zwykle (lecz jakże inaczej, teraz gdy miał
pieniądze w kieszeni i nie wierzył naprawdę w to, co mówił)
Gordon rozwodził się nad martwością i okropnością wieku,
w którym żyjemy. Prezerwatywy i karabiny maszynowe!
Kino i „Daily Mail”! Brzmiało to jak głęboka prawda, gdy
chodził ulicami z paroma miedziakami w kieszeni, lecz w
tej chwili tylko jak żart. To wspaniała zabawa
- istotnie zabawa, gdy się dobrze zjadło i wypilo dobre

wino - udowadniać, że żyjemy w martwym i zgniłym świecie. Ostrzył dowcip na współczesnej literaturze; wszyscy byli bardzo dowcipni. Z pogardą niewydawanego autora Gordon obalał sławę po sławie. Shaw, Yeats, Joyce, Huxley, Lewis, Hemingway - każdego z nich wyrzucał do śmieci za pomocą paru niedbałych zdań. Jakaż przyjemność, gdyby mogło to trwać dalej. W tej właśnie chwili Gordon wierzył oczywiście, że istotnie może. Z pierwszej butelki Asti Gordon wypił trzy kieliszki, Ravelston dwa, Rosemary jeden. Gordon spostrzegł, że obserwuje go dziewczyna przy sąsiednim stoliku. Wysoka, elegancka dziewczyna o cerze barwy różowej muszli i wspaniałych oczach w kształcie migdałów. Bogata, oczywiście; z zamożnej inteligencji. Wydawał się jej interesujący - zastanawiała się, kim jest. Gordon przyłapał się na tym, że wymyśla dowcipne powiedzenia specjalnie dla niej. Naprawdę był dowcipny, to nie ulegało wątpliwości. To także sprawiły pieniądze. Pieniądze smarują koła - koła myśli podobnie jak koła taksówek.

Jednakże druga butelka Asti nie okazała się takim sukcesem jak pierwsza. Zaczęło się od niezręczności przy jej zamawianiu. Gordon skinął na kelnera.

- Czy macie jeszcze jedną taką butelkę?

Kelner rozpromienił się pyzato.

- Tak, tak! *Mais certainement, monsieur*

Rosemary trąciła Gordona nogą pod stołem.

- Nie, Gordon, *nie*! Nie można.

- Co nie można?

- Zamawiać następnej butelki. Nie mamy na nią ochoty.

- Och, bzdura! Kelner, jeszcze jedną butelkę.

Ravelston potarł nos. Patrzył w swój kieliszek, gdyż nie ośmielił się spojrzeć na Gordona.

- Posłuchaj, Gordon. Pozwól, że ja zapłacę za tę butelkę. Bardzo bym chciał.

; - Bzdura! - powtórzył Gordon.

- A więc zamów małą butelkę - powiedziała Rosemary.

- Kelner, dużą butelkę - powiedział Gordon. Potem już wszystko było inaczej. Nadal rozmawiali,

śmiali się, spierali, lecz wszystko było inaczej. Dziewczyna przy sąsiednim stoliku przestała przyglądać się Gordonowi. Gordon nie był już tak dowcipny. Zamawianie drugiej butelki niemal zawsze okazuje się błędem. Podobnie jak powtórna kąpiel w letni dzień. Choćby dzień był ciepły i choćby pierwsza kąpiel sprawiła ci wiele przyjemności, powtórne wejście do wody zawsze przynosi rozczarowanie. Magia jakoś ulotniła się z wina. Wydawało się, że mniej się pieni i musuje, było teraz tylko zamulającym kwaskowatym płynem, który się połykało na poły z obrzydzeniem, na poły w nadziei szybkiego upicia się. Gordon był już całkiem wyraźnie, choć niewidocznie pijany. Jedna jego połowa była pijana, a druga połowa trzeźwa. Pojawiło się już u niego owo nieokreślone uczucie, jak gdyby spuchła mu twarz i zgrubiały palce, jak to bywa w drugim stadium pijaństwa. Jednakże trzeźwa połowa nadal kontrolowała zachowanie. Rozmowa stawała się coraz bardziej nużąca. Gordon i Ravelston rozmawiali obojętnie i ze skrępowaniem jak ludzie, którzy się posprzeczali i nie chcą się do tego przyznać. Rozmawiali o Szekspirze. Rozmowa przerodziła się w długą dyskusję o znaczeniu Hamleta. Była bardzo nudna. Rosemary powstrzymywała ziewanie. Podczas gdy trzeźwa połowa Gordona mówiła, pijana połowa stała z boku, przysłuchując się. Pijana połowa była zła. Do licha, zepsuli mu wieczór tym sporem o drugą butelkę! Teraz chciał się już tylko upić na całego i skończyć z tym. Z sześciu kieliszków drugiej butelki wypił cztery - Rosemary bowiem nie chciała pić

więcej wina. Jednak ten słaby trunek nie wystarczył. Pijana połowa domagała się coraz więcej alkoholu. Piwa na kufle i wiadra! Prawdziwa rozgrzewająca popijawa! Na Boga, później to sobie zafunduje. Pomyślał o banknocie pięciofuntowym, schowanym w wewnętrznej kieszeni. Mógł go jeszcze przepuścić.

Zegar z pozytywką ukryty gdzieś we wnętrzu restauracji wybił dziesiątą.

- Wybywamy? - powiedział Gordon.

Ravelston patrzył przez stół błagalnie i z poczuciem winy. Zapłaćmy rachunek po połowie! - mówił jego wzrok. Gordon nie zwracał na niego uwagi.

- Proponuję, żebyśmy poszli do Cafe Imperial - powiedział.

Nawet rachunek nie zdołał go otrzeźwić. Nieco ponad dwa funty za kolację, półtora funta za wino. Rzucił cztery jednofuntowe banknoty na tackę mówiąc niedbale: - Reszty nie trzeba. - W ten sposób zostało mu jeszcze około dziesięciu szylingów, poza pięcioma funtami. Ravelston pomagał Rosemary włożyć płaszcz; gdy zobaczyła, jak Gordon rzuca banknoty kelnerowi, otworzyła usta z przerażenia. Nie miała pojęcia, że kolacja będzie kosztować aż cztery funty. Przestraszyła się, że tak szasta pieniędzmi. Ravelston był ponury i pełen dezaprobaty. Gordon znowu zaklął. Dlaczego się ciągle martwią? Stać go na to, prawda? Miał jeszcze te pięć funtów. Lecz na Boga, nie będzie jego winą, jeśli wróci do domu z jednym pensem przy duszy!

Na zewnątrz był jednak całkiem trzeźwy i znacznie spokojniejszy niż przed półgodziną. Powiedział:

- Weźmy taksówkę do Cafe Imperial.

- Och, przejdźmy się - powiedziała Rosemary. - To tylko dwa kroki.

- Nie, weźmiemy taksówkę.

Wsiadli do taksówki i odjechali. Gordon siedział obok Rosemary. Miał ochotę objąć ją ramieniem mimo obecności Ravelstona. Jednak w tej samej chwili podmuch chłodnego nocnego powietrza napłynął przez okno owiewając czoło Gordona. Zdziałało jak wstrząs. Była to taka chwila, jak gdy czasem w nocy człowiek budzi się nagle z głębokiego snu z jakąś straszliwą świadomością - na przykład, że przeznaczone mu umrzeć lub że zmarnował życie. Przez jakąś minutę był zupełnie trzeźwy. Wiedział wszystko o sobie i o okropnym szaleństwie, jakie popełnił - wiedział, że roztrwoniał pięć funtów na głupstwa i że roztrwoni te drugie pięć, które należały się Julii. Przez myśl przemknął mu krótko, lecz bardzo wyraźnie obraz Julii, o chudej twarzy i siwiejących włosach, w chłodzie ponurego pokoju. Biedna, pocziwa Julia! Julia, która całe życie poświęcała się dla niego, od której pożyczał funta za funtem; teraz zaś nie miał na tyle przywoitości, by nie tknąć jej pięciu funtów! Wzdrygnął się na tę myśl; schronił się szybko na powrót w pijaństwo. Szybko, szybko, trzeźwiejemy! Pić, jeszcze pić! Wprawić się ponownie w to pierwsze wspaniałe i beztroskie upojenie! Za oknem podpływało ku nim różnobarwne okno włoskiego sklepu spożywczego, nadal jeszcze otwartego. Gwałtownie zapukał w szybę. Taksówka zatrzymała się. Gordon zaczął gramolić się z auta poprzez kolana Rosemary.

- Gdzie idziesz, Gordon?

- Wprawić się ponownie w to pierwsze wspaniałe i beztroskie upojenie - powiedział Gordon z chodnika.

- Co?

- Czas, żeby zrobić sobie zapas picia. Knajpy zamkną za pół godziny.

- Nie, Gordon, nie! Nie wolno ci kupować nic więcej do picia. Już dość wypiliśmy.

- Poczekajcie!

Wyszedł ze sklepu piastując litrową butelkę Chianti. Sprzedawca odkorkował ją i włożył korek luźno na powrót. Tych dwoje pojęło teraz, że jest pijany - że z pewnością pił przed spotkaniem z nimi. Wprawilo ich to w zakłopotanie. Weszli do Cafe Imperial, lecz myśleli głównie o tym, by jak najszybciej wyciągnąć stamtąd Gordona i położyć go do łóżka. Rosemary szepnęła za plecami Gordona: - Proszę nie pozwolić mu więcej pić! - Ravelston skinął ponuro głową. Gordon kroczył przed nimi do wolnego stolika, zupełnie się nie przejmując spojrzeciami rzucanymi na butelkę wina, którą niósł w ręce. Usiedli i zamówili kawę, Ravelston zaś z pewnym trudem odwiódł Gordona od zamówienia również koniaku. Wszyscy troje czuli się nieswojo. Strasznie było w tej wielkiej, krzykliwej kawiarni, dusznej i ogłuszająco hałaśliwej, pełnej bełkotu paruset głosów, brzęku talerzy i szklanek i od czasu do czasu zgiełku orkiestry. Wszyscy troje chcieli wyjść stamtąd. Ravelston nadal martwił się o wydatki, Rosemary martwiła się, ponieważ Gordon był pijany, Gordon zaś był niespokojny i spragniony. Chciał tu przyjść, lecz natychmiast po przyjściu zapragnął stąd uciec. Pijana połowa domagała się przyjemności. I już długo nie uda się jej powstrzymać. Piwa, piwa! - wołała pijana połowa. Gordon nienawidził tego dusznego lokalu. Zwidywał mu się bar w knajpie z wielkimi wilgotnymi beczkami i kwarcianymi kuflami zwieńczonymi pianą. Spoglądał na zegar. Dochodziło wpół do jedenastej, knajpy zaś, nawet w dzielnicy Westminster, zamykano o jedenastej. Piwo nie może go ominąć! Butelka wina była na potem, gdy już zamkną knajpy. Rosemary siedziała naprzeciwko rozmawiając z Ravelstonem, skrepowana, lecz nieźle udając, że się dobrze bawi i że wszystko jest

w porządku. Nadal mówili o Szekspirze w dość płytki sposób. Gordon nienawidził Szekspira. Gdy patrzył na rozmawiającą Rosemary, ogarnęło go gwałtowne, wyuzdane pożądanie. Pochyliła się do przodu, z łokciami na stole; poprzez sukienkę mógł wyraźnie dostrzec jej małe piersi. Uświadomił sobie nieoczekiwanie, wstrzymując oddech, co niemal znowu go otrzeźwiło, że oglądał ją nagą. To jego dziewczyna! Może ją mieć, gdy tylko jej zapragnie! Na Boga, będzie ją miał tej nocy! Czemu nie? Właściwe zakończenie wieczoru. Łatwo znajdą jakieś miejsce; wokół Shaftesbury Avenue jest mnóstwo hoteli, gdzie nie zadają ci pytań, jeśli płacisz rachunek. Miał jeszcze te pięć funtów. Poszukał jej stopy pod stołem chcąc ją delikatnie popieścić, lecz tylko nadepnął jej na duży palec. Odsunęła stopę.

- Chodźmy stąd - powiedział nagle i natychmiast wstał.

- Och, chodźmy - powiedziała z ulgą Rosemary.

Znaleźli się znowu na Regent Street. Po lewej okropnym kręgiem świateł jarzył się Piccadilly Circus. Rosemary skierowała wzrok ku przystankowi autobusowemu naprzeciwko.

- Jest wpół do jedenastej - powiedziała z powątpiewaniem. - Muszę być z powrotem przed jedenastą.

- Och, bzdura! Poszukajmy przyzwoitej knajpy. Nie obejdę się bez piwa.

- Och, nie, Gordon! Nie do knajpy. Nie mogłabym już nic wypić. A i ty nie powinienes.

- Nie szkodzi. Chodźmy.

Ujął ją pod ramię i poprowadził ku początkowi Regent Street, trzymając ją mocno, jak gdyby się obawiał, że ucieknie. Zapomniał na chwilę o Ravelstonie. Ravelston podążył za nimi niepewny, czy powinien pozostawić ich

samych, czy też zostać i przypilnować Gordona. Rosemary opierała się, nie podobało się jej, że Gordon ciągnął ją za ramię.

- Gdzie mnie prowadzisz, Gordon?
- Za róg, gdzie jest ciemno. Chcę cię całować.
- Nie sądzę, żebym chciała się całować.
- Oczywiście, że tak.
- Nie!
- Tak!

Pozwoliła się zaprowadzić. Ravelston czekał na rogu przy Regent Pałace niepewny, co robić. Gordon i Rosemary zniknęli za rogiem i znaleźli się zaraz w dzielnicy ciemniejszych i węższych ulic. Przeróżające twarze ulicznic, podobne do czaszek pokrytych różowym pudrem wyglądały znacząco z bram tu i ówdzie. Rosemary wzdygnęła się na ich widok. Gordona to raczej bawiło.

- Myślą, że jesteś jedną z nich - wyjaśnił jej.

Postawił butelkę ostrożnie na chodniku, przy murze, po czym nagle schwycił Rosemary i okręcił do tyłu. Bardzo jej pragnął i nie chciał tracić czasu na żadne wstępy. Zaczął całować ją po twarzy, niezgrabnie, lecz mocno. Przez chwilę pozwoliła mu na to, lecz zaraz przestraszyła się; jego twarz, tak bliska, była blada, dziwna i szalona. Biła od niego silna woń wina. Rosemary szamotała się, odwracając twarz, tak że całował tylko jej włosy i szyję.

- Gordon, nie wolno!
- Dlaczego nie wolno?
- Co robisz?
- Jak myślisz, co robię?

Przycisnął ją do muru i uważnymi, skupionymi ruchami pijanego próbował rozpiąć przód jej sukni. Ta jednak nie miała zapięcia z przodu. Tym razem ona rozzłościła się. Szamotała się gwałtownie, odpychając jego rękę.

- Gordon, przestań natychmiast!
- Dlaczego?
- Jeśli spróbujesz jeszcze raz, uderzę cię w twarz.
- Uderzysz mnie w twarz?! Nie udawaj przede mną harcerki.

- Puść mnie!
- Przypomnij sobie niedzielę - powiedział lubieżnie.
- Gordon, jeśli nie przestaniesz, uderzę cię, naprawdę.
- Nie zrobisz tego.

Wepchnął prawą rękę za gors jej sukni. Ruch ten był zaskakująco brutalny, jak gdyby była kimś obcym. Pojęła to z wyrazu jego twarzy. Nie była już dla niego Rosemary, ale po prostu dziewczyną, dziewczęcym ciałem. To właśnie wyprowadziło ją z równowagi. Szarpnęła się i zdołała uwolnić się od niego. Podążył za nią i pochwycił ją za ramię. Uderzyła go z całej siły w twarz i odskoczyła zwinnie poza zasięg jego ramienia.

- Dlaczego to zrobiłaś? - powiedział, dotykając policzka, który go jednak nie zabolął od uderzenia.

- Nie zniosę czegoś takiego. Idę do domu. Jutro będziesz całkiem inny.

- Bzdura! Chodź ze mną. Pójdiesz ze mną do łóżka.

- Dobranoc! - powiedziała i uciekła w głąb ciemnej ulicy.

Przez chwilę zamierzał podążyć za nią, lecz nogi okazały się zbyt ciężkie. Poza tym, nie było warto. Zawrócił do miejsca, gdzie nadal czekał Ravelston, osamotniony i w złym humorze, częściowo ponieważ martwił się o Gordona, a częściowo ponieważ próbował nie zwracać uwagi na dwie ulicznice, które warowały pełne nadziei tuż za jego plecami. Ravelston pomyślał, że Gordon wygląda na porządnie podpitego. Włosy spadały mu na czoło, jedna strona twarzy była bardzo blada, na drugiej zaś

znajdowała się czerwona pręga, tam gdzie uderzyła go Rosemary. Ravelston pomyślał, że to z pewnością pijackie wypieki.

- Co zrobiłeś z Rosemary? - zapytał.
- Poszła sobie - powiedział Gordon z gestem dłoni, który miał wszystko wyjaśnić. - Ale noc jest jeszcze młoda.
- Posłuchaj, Gordon, czas, żebyś poszedł *do łóżka*.
- Do łóżka, tak. Ale nie sam.

Stał na krawężniku, spoglądając w okropne południe o północy. Przez chwilę poczuł się zupełnie potwornie. Twarz mu płonęła. Całe ciało wydawało się straszliwie spuchnięte i rozpalone. Miał uczucie, że głowa mu pęknie lada chwila. Istniał jak gdyby jakiś związek pomiędzy złowrogim światłem a jego odczuciami. Przyglądał się migającym reklamom, świecącym czerwono i sino, mknącym w górę i w dół - okropnemu, ponuremu blichtrowi cywilizacji skazanej na zagładę, podobnemu do wciąż płonących światel tonącego statku. Pochwycił Ravelstona za ramię i ruchem dłoni ogarnął Piccadilly Circus.

- Światła w piekle będą wyglądać tak samo.
- Nie byłbym zdziwiony.

Ravelston rozglądał się za wolną taksówką. Musi natychmiast zawieźć Gordona do domu i położyć do łóżka. Gordon zastanawiał się, czy odczuwa radość czy cierpienie. Okropne było to uczucie rozpalenia i rozsadzania. Trzeźwa połowa dawała jeszcze oznaki życia. Trzeźwa połowa zdawała sobie jasno sprawę, co zrobił i co robi. Popelniał szaleństwa, które nazajutrz przyprawia go o myśli samobójcze. Z bezsensowną rozrzutnością roztrzwił pięć funtów, obrabował Julię, obraził Rosemary. A jutro

- och, jutro będziemy trzeźwi! Idź do domu, do domu!
- wołała trzeźwa połowa. -Ja cię...! - powiedziała pogardliwie pijana połowa. Pijana połowa nadał domagała się

zabawy. I pijana połowa była silniejsza. Wzrok jego przy-
ciągnął ognisty zegar naprzeciwko. Za dwadzieścia je-
denasta. Szybko, zanim zamkną knajpy! *Harol la gorge*
m'ard ! Myśli jego znów stały się liryczne. Poczul pod
pachą twarde, okrągły kształt, przekonał się, że to butelka
Chianti, więc wykręcił korek. Ravelston machał na tak-
sówkarza, lecz nie zdołał zwrócić jego uwagi. Usłyszał
pełen zgorzienia pisk ulicznic. Odwróciwszy się, ujrzał z
przerażeniem, że Gordon podniósł do góry butelkę i pił z
niej.

- Hej! Gordon!

Skoczył ku niemu i ściągnął mu ramię w dół. Kropla
wina spłynęła na kołnierz Gordona.

- Bądź ostrożny, na miłość boską! Chyba nie chcesz,
żeby cię zabrała policja, co?

- Chcę się napić - poskarżył się Gordon.

- Do licha! Nie możesz pić tutaj.

- Zabierz mnie do knajpy - powiedział Gordon.

Ravelston bezradnie potarł nos.

- O Boże! Lepsze to niż picie na ulicy. Chodź, pój-
dziemy do knajpy. Tam się napijesz.

Gordon ostrożnie zatkał korkiem butelkę. Ravelston
przeprowadził go przez plac, Gordon zaś uczepił się jego
ramienia; jednak nie dla podpory, gdyż krok miał jeszcze
całkiem pewny. Przystanęli na wysepce, potem udało im
się znaleźć *przerwę* w ruchu samochodowym, więc ruszyli
w ulicę Haymarket.

W knajpie powietrze zdawało się ociekać piwem. Mgieł-
ka piwa przesiąknięta mdłym zapachem whisky. Przy-
barze kłębił się tłum mężczyzn, którzy z faustowskim
zapałem wychylali ostatnie kolejki, zanim zadzwięczy
dzwonek o jedenastej. Gordon z łatwością prześliznął się
przez tłum. Nie był w nastroju, by przejmować się paroma

szturchańcami i kuksańcami. Wkrótce dotarł do baru, pomiędzy tęgiego komiwojażera pijącego piwo Guinness oraz wysokiego, szczupłego, zniszczonego mężczyznę w typie majora, z opadającym wąsem, którego cała konwersacja zdawała się składać jedynie z „no, no!” oraz „co, co!”. Gordon rzucił pół korony na ociekający piwem bar.

- Proszę duże gorzkie!

- Nie ma dużych kufli! - zawołała udręczona bufetowa, która odmierzała whisky, jednym okiem zerkając na zegar.

- Duże kufle na górnej półce, Effie! - krzyknął przez ramię właściciel z drugiego końca baru.

Bufetowa pospieszenie pociągnęła trzykrotnie za rączkę. Stał przed nim olbrzymi szklany kufel. Podniósł go. Co za ciężar! Pół litra czystej wody waży funt i ćwierć. Dalej! Cmok - gulgul! Długi, długi łyk piwa spłynął mu przyjemnie do gardła. Przerwał, by zaczerpnąć powietrza, i nieco go zemdliło. No, jeszcze jeden. Cmok - gulgul! Tym razem omal się nie zadławił. Ale wytrzymać, wytrzymać! Poprzez kaskadę piwa, wlewającą mu się do gardła i niemal zatykającą mu uszy, dosłyszał okrzyk właściciela:

- Ostatnia kolejka, panowie! - Teraz ostatni. Cmok

- gulgul! A-a-ach! Gordon odstawił kufel. Opróżnił go trzema łykami - nieźle. Zastukał nim w bar.

- Hej! Jeszcze jeden taki - szybko!

- No, no! - powiedział major.

- Chyba pan trochę przesadza - powiedział komiwojazer.

Ravelston, nieco dalej przy barze, otoczony przez kilku mężczyzn, dostrzegł, co Gordon robi. Zawołał do niego: „Hej, Gordon!”, zasepił się i pokręcił głową, zbyt nieśmiały, by powiedzieć przy wszystkich: „Nie pij więcej”. Gordon stanął mocno na nogach. Nadal utrzymywał równowagę, lecz była to równowaga osiągnięta świadomym

wysiłkiem. Wydawało mu się, że głowa mu spuchła ogromnie, a całe ciało także czuło się okropnie spuchnięte i rozpalone, podobnie jak przedtem. Ociężałe podniósł ponownie napełniony kufel. Nie miał teraz na niego ochoty. Jego zapach przyprawiał go o mdłości. Po prostu wstrętny, bladeżółty płyn o mdłym smaku. Niemal jak mocz! Wepchnąć to wiadro w pękające wnętrzości - okropność! Dalej, nie wymigiwać się! Po cóż tu jesteście? Precz z tym! Kufel tuż przed *nosem* blisko, więc go w górę, a w dół piwsko. Cmok - gulgul!

W tej samej chwili stało się coś strasznego. Albo gardło samo mu się zamknęło, albo też piwo nie trafiło mu do ust. Lała się po nim potężna fala piwa. Topił się w piwie jak braciszek zakonny Piotr w *Legendach z In-goldsby*. Na pomoc! Usiłował krzyżeć, zadławił się i upuścił kufel. Wokół niego powstało zamieszanie. Ludzie odskakowali, by uniknąć strumienia piwa. Kufel rozbił się z brzękiem. Gordon stał, zataczając się. Ludzie, butelki i lustra, wszystko wirowało wokół niego. Padał, tracił przytomność. Dostrzegł jednak mgliście przed sobą czarny pionowy kształt, jedyny stabilny punkt w wirującym świecie - rączkę od piwa. Uchwycił się jej i zawisł na niej, mocno się jej trzymając. Ravel-ston ruszył ku niemu.

Bufetowa z oburzeniem wychyliła się zza baru. Krążący świat zwolnił i stanął. Umysł Gordona był całkiem jasny.

- Hej! Czemu się pan uwiesił rączki?

- Po moich spodniach, do cholery! - zawołał komiwojazer.

- Czemu się uwiesiłem rączki?

- Tak! Czemu się pan uwiesił rączki?

Gordon przekreślił się na bok. Spoglądała na niego wydłużona twarz majora, z opadającym mokrym wąsem.

- Ona powiada: Czemu się pan uwiesił rączki?
- No, no! Co?

Ravelston przepchnął się pomiędzy kilkoma ludźmi i dotarł do niego. Otoczył Gordona silnym ramieniem i dźwignął go na nogi.

- Wstań, na miłość boską! Jesteś pijany.
- Pijany? - powiedział Gordon.

Wszyscy się z nich śmiali. Błada twarz Ravelstona poczerwieniała.

- Te kufle są po dwa szylingi i trzy pensy - powiedziała z goryczą bufetowa.

- A co z moimi spodniami, do cholery? - zapytał komiwojażer.

- Zapłacę za kufel - powiedział Ravelston. Zapłacił. - Teraz chodźmy stąd. Jesteś pijany.

Zaczął prowadzić Gordona w kierunku drzwi, jedną ręką podtrzymując go za ramiona, a w drugiej trzymając butelkę Chianti, którą mu przedtem zabrał. Gordon oswobodził się. Szedł zupełnie równo. Rzekł z godnością:

- Czy powiedziałaś, że jestem pijany?

Ravelston ponownie ujął go za ramię.

- Tak, obawiam się, że to prawda. Z pewnością.

- Nie pieprz Piętrze pieprzem wieprza - powiedział Gordon.

- Gordon, naprawdę jesteś pijany. Im prędzej będziesz w łóżku, tym lepiej.

- Wyrzuć pierwej belkę z oka swego, zanim wyrzucisz źdźbło z oka brata swego - powiedział Gordon.

Ravelston zdołał go już wyciągnąć na ulicę.

- Weźmy lepiej taksówkę - powiedział, rozglądając się po ulicy.

Wyglądało jednak na to, że nigdzie nie ma taksówek. Ludzie wychodzili hałaśliwie z knajpy, którą właśnie

zamykano. Na powietrzu Gordon poczuł się lepiej. Umysł miał jasny jak nigdy. Czerwony, sataniczny blask neonu w oddali nasunął mu nowy i wspaniały pomysł. Pociągnął Ravelstona za ramię.

- Ravelston! Słuchaj, Ravelston!

- Co?

- Poderwiemy sobie jakieś dziwki.

Choć Gordon był pijany, Ravelston zgorszył się.

- Ależ stary! Nie możesz zrobić czegoś takiego.

- Nie bądź taki cholernie arystokratyczny. Dlaczego nie?

- Jak mógłbyś, do licha! Po tym, jak się pożegnałeś z Rosemary - naprawdę taka urocza dziewczyna!

- W nocy wszystkie koty są szare - powiedział Gordon mając wrażenie, że wygłasza głęboką i cyniczną mądrość.

Ravelston postanowił zignorować tę uwagę.

- Chodźmy lepiej do Piccadilly Circus - powiedział.

- Tam będzie mnóstwo taksówek.

Teatry pustoszały. Tłumy ludzi i strumienie samochodów przepływały w upiornym trupim świetle. Umysł Gordona był cudownie jasny. Wiedział, jakie szaleństwo i jakie zło popełnił i miał zamiar popełnić. A jednak wydawało się to bez znaczenia. Jak coś bardzo odległego, jak gdyby oglądane z drugiego końca teleskopu, widział swoje trzydzieści lat, zmarnowane życie, pustą przyszłość, pięć funtów Julii, Rosemary. Powiedział nieco filozoficznie:

- Spójrz na neony! Spójrz na te obrzydliwe niebieskie nad sklepem z gumą. Patrząc na te światła wiem, że jestem potępiony.

- Racja - powiedział Ravelston, który wcale nie słuchał.

- Ach, oto i taksówka! - Zamachał. - Do licha! Nie widział mnie. Poczekaj sekundę.

Zostawił Gordona przy stacji metra i szybko przeciął ulicę. Umysł Gordona na chwilę cofnął się w pustkę. Potem

uświadomił sobie, że do jego twarzy zbliżyły się dwie okrutne, choć młodzieńcze twarze, podobne do twarzy młodych drapieżników. Miały przyciemnione brwi i kapelusze, będące bardziej wulgarnymi wersjami kapelusza Rosemary. Przekomarzał się z nimi. Wydawało mu się, że trwało to kilka minut.

- Cześć, Dora! Cześć, Barbara! (Okazało się, że zna ich imiona). Jak się macie? I jak się ma cała stara Anglia?

- Oo... co za bezczelność!

- Co porabiacie o tak nocnej porze?

- Oo... tak sobie spacerujemy.

- Jak lew szukający, kogo by tu pożreć?

- Oo... jakież pan bezczelny! Czy nie jest bezczelny, Barbara? Pan naprawdę jest bezczelny!

Ravelston złapał taksówkę i sprowadził ją tam, gdzie stał Gordon. Wysiadł, zobaczył Gordona pomiędzy dwoma dziewczynami i zatrzymał się przerażony.

- Pozwól, że ci przedstawię. Dora i Barbara - powiedział Gordon.

- Gordon! O Boże! Co robisz, do diabła?

Przez chwilę wydawało się, że Ravelston jest rozgniewany. W istocie był niezdolny do prawdziwego gniewu. Zdenerwowanie, smutek, zakłopotanie - tak; lecz nie gniew. Postąpił naprzód, nieudolnie usiłując nie zauważać obecności obu dziewczyn. Jeśli tylko je zauważy, wszystko weźmie w łeb. Ujął Gordona za ramię, zamierzając wpakować go do taksówki.

- Chodź, Gordon, na miłość boską! Tu jest taksówka. Pojedziemy prosto do domu i położymy cię do łóżka.

Dora pochwyciła Gordona za drugie ramię i odciągnęła go, jak gdyby to była skradziona torebka.

- Co się pan wtrąca, do cholery? - zawołała groźnie.

- Mam nadzieję, że nie masz zamiaru obrazić tych dwóch dam - powiedział Gordon.

Ravelston zawahał się, cofnął, potarł nos. Należało być zdecydowanym; jednakże Ravelston nigdy nie był zdecydowany. Przenosił wzrok z Dory na Gordona, z Gordona na Barbarę. Okazało się to zgubne. Gdy raz spojrział im prosto w twarz, było po nim. O Boże! Co można zrobić? Były istotami ludzkimi - nie mógł ich obrażać. Ten sam instynkt, który sprawiał, że ręka wędrowała mu do kieszeni na sam widok żebraka, obezwładnił go w tej chwili. Biedne, nieszczęśliwe dziewczęta. Nie miał serca, by je odprawić w mrok. Nagle zdał sobie sprawę, że będzie musiał przebrnąć przez tę obrzydliwą przygodę, w którą wciągnął go Gordon. Po raz pierwszy w życiu dał się nabrać na pójście do domu z ulicznicą.

- A niech to diabli - powiedział słabo.

- *Allons-y* - powiedział Gordon.

Taksówkarz obrał kierunek wskazany przez Dorę ruchem głowy. Gordon opadł w kąt i miał wrażenie, że natychmiast pograżył się w jakąś ogromną przepaść, z której wydobywał się stopniowo, z ograniczoną świadomością tego, co robił. Mknął gładko przez mrok rozgwieżdżony światłami. A może to światła się poruszały, on zaś stał w miejscu? Zupełnie jak gdyby znajdował się na dnie oceanu pośród przemykających świecących ryb. Krajobraz w piekle tak właśnie by wyglądał. Jary zimnego, złowrogo barwnego ognia, nad tym ciemność. Jednakże w piekle byłyby męczarnie. Czy to była męczarnia? Usiłował sklasyfikować wrażenia. Chwilowa utrata przytomności sprawiła, że był słaby i rozdygotany, mdliło go; zdawało się, że czoło mu pęka. Wyciągnął rękę. Napotkał kolano, podwiązkę i drobną, miękką dłoń, która odruchowo poszukała jego dłoni. Uświadomił sobie, że Ravelston, siedzący naprzeciwko, natarczywie i nerwowo trąca go w nogę.

- Gordon! Gordon! Zbudź się!
- Co?
- Gordon! Do licha! *Causons eu francais. Qu'est-ce que tu as fait? Crois-tu que je veux coucher avec une sale... o psiakrew!*

- Oo... parle franse! - zapiszcząły dziewczęta. Gordon nieźle się bawił. Pomyślał, że dobrze to zrobi Ravelstonowi. Salonowy socjalista wracający do domu z ulicznicą! Pierwszy naprawdę proletariacki postęp w jego życiu. Jak gdyby świadom jego myśli, Ravelston opadł w swój kąpielnicę milcząco nieszczęśliwy, siedząc jak tylko mógł najdalej od Barbary. Taksówka zatrzymała się przed hotelem w bocznej ulicy; był okropny, tandetny, ordynarny. Napis „Hotel” nad wejściem wydawał się zezowaty. Okna były prawie ciemne, lecz z wnętrza wydobywał się śpiew, pijacki i ponury. Gordon wytoczył się z taksówki i poszukał ramienia Dory. Podaj mi rękę, Doro. Uważaj na stopień. No!

Niewielki, ciemnawy i śmierdzący hol, wyłożony linoleum, nędzny, zaniedbany, robił wrażenie czegoś nietrwałego. Z pokoju gdzieś po lewej wzmógł się śpiew, żalobny jak organy w kościele. Jak spod ziemi wyrosła pokojówka, zezowata, o złym wyglądzie. Najwyraźniej znały się z Dorą. Co za gęba! Bezkonkurencyjna. W pokoju po lewej pojedynczy głos podjął piosenkę akcentując ją jakby żartobliwie:

*Mężczyźnie, który całuje dziewczynę,
A potem wyznaje mamusi,
Powinno się obciąć wargi,
Powinno się...*

Głos zamilkł, pełen niewysłowionego, nie dającego się ukryć smutku rozpusty. Brzmiał bardzo młodo. Głos jakiegoś biednego chłopca, który tak naprawdę pragnął

być w domu z matką i siostrami i bawić się w chowanego. Grupka młodych durniów, urządzająca jubel z dziewczynkami i whisky. Melodia przypominała coś Gordonowi. Zwrócił się do wchodzącego Ravelstona, za którym podążała Barbara.

- Gdzie jest moje Chianti? - powiedział.

Ravelston podał mu butelkę. Twarz miał bladą, znękaną, niemal zaszczutą. Poruszając się niespokojnie i nerwowo, trzymał się z daleka od Barbary. Nie mógł jej dotknąć ani nawet na nią spojrzeć, a jednak nie był w stanie uciec. Szukał wzroku Gordona. - Na miłość boską, czy nie możemy się jakoś z tego wygrzebać? - sygnalizował jego wzrok. Gordon zrobił gniewną minę. Wytrwaj! Nie wolno wiać. Ponownie ujął ramię Dory. Chodź, Doro! Teraz na schody. Ach! Chwileczkę.

Obejmując go w pasie i podtrzymując, Dora odciągnęła go na bok. Po ciemnowych, śmierdzących schodach schodziła drobnym kroczkiem młoda kobieta, zapinając rękawiczkę; za nią łysy mężczyzna w średnim wieku, w wieczorowym stroju, czarnym płaszczu, białym jedwabnym szaliku i z cylindrem w rękę. Przeszedł obok nich, zacisnąwszy drobne, nikkzemne usta, udając, że ich nie widzi. Ojciec rodziny, sądząc po niespokojnym spojrzeniu. Gordon przyglądał się połyskowi lampy gazowej na jego łysinie z tyłu. Poprzednik. Możliwe, że w tym samym łóżku. Płaszcz Elizeusza. Teraz na górę, Doro! Ach, te schody! *Difficilis ascensus Averni*. W porządku, proszę bardzo! - Uważaj na stopień - powiedziała Dora. Znajdowali się na półpiętrze. Czarno-białe linoleum jak szachownica. Drzwi malowane na biało. Woń pomyj i słabsza nieco woń nieświeżej pościeli.

My tędy, wy tędy. Przy drugich drzwiach Ravelston zatrzymał się z ręką na klamce. Nie może - nie, naprawdę

nie może tego zrobić. Nie może wejść do tego okropnego pokoju. Po raz ostatni zwrócił na Gordona wzrok, podobny do wzroku psa, który czeka na lanie. Czy muszę, czy muszę? - mówiły jego oczy. Gordon spojrział na niego surowo. Wytrzymaj, Regulusie! Marsz ku przeznaczeniu! *Atqui sciebat quae sibi Barbara.* To znacznie bardziej proletariackie niż to, co robisz. Nagle twarz Ravelstona rozjaśniła się nieoczekiwanie. Pojawił się na niej wyraz ulgi, niemal radości. Przyszła mu do głowy wspaniała myśl. W końcu zawsze można zapłacić dziewczynie, uchyliwszy się od wszystkiego! Dzięki Bogu! Wyprostował się, zebrał odwagę, wszedł. Drzwi się zamknęły.

A więc to tu. Nędzny, okropny pokój. Linoleum na podłodze, gazowe ogrzewanie, ogromne podwójne łóże z nieco przybrudzoną pościelą. Nad łóżkiem oprawiony kolorowy obrazek z „La Vie Parisienne”. To błąd. Czasem oryginał jest dużo gorszy. I na Jowisza! na bambusowym stoliku przy oknie z całą pewnością aspidistra! Więc odnalazłeś mnie, mój nieprzyjacielu? Chodź tu, Doro. Niech ci się przypatrzę.

Najprawdopodobniej leżał na łóżku. Niezbyt dobrze widział. Gdy tak leżał rozciągnięty, pochyliła się nad nim jej młodzieńcza, chciwa twarz z przyczernionymi brwiami.

- A co z moim prezentem? - zapytała, na pół pieszczotliwie, na pół groźnie.

To nieważne w tej chwili. Do dzieła! Chodź tu. Niezłe usta. Chodź tu. Bliżej. Ach!

Nie. Nic z tego. Niemożliwe. Chęci są, lecz środków brak. Duch silny, lecz ciało mdłe. Spróbujmy jeszcze raz. Nie. To na pewno alkohol. Jak Makbet. Spróbujmy po raz ostatni. Nie, nic z tego. Obawiam się, że dziś nic z tego.

W porządku, Doro, nie martw się. Dostaniesz swoje dwa funty. Nie płacimy według wyników.

Zrobił niezdarny ruch.

- Daj tę butelkę. Tę butelkę z toaletki.

Dora przyniosła ją. Ach, już lepiej. Przynajmniej to nie zawodzi. Podniósł w górę butelkę Chianti potwornie obrzmiałymi rękami. Wino lało mu się do gardła, gorzkie i dławiące, a trochę dostało się do nosa. Tu go pokonało. Zsunął się, ześliznął, spadł z łóżka. Uderzył głową o podłogę. Nogi miał nadal na łóżku. Przez chwilę leżał w tej pozycji. Czy tak właśnie się żyje? Na dole młodzieńcze głosy wciąż śpiewały żałośnie:

Dziś się weselimy,

Dziś' się weselimy,

Dziś się weselimyyy -

Jutro wytrzeźwiejemy!

Na Jowisza, nazajutrz istotnie wytrzeźwiliśmy!

Gordon ocknął się z długiego, niezdrowego snu ze świadomością, że książki w wypożyczalni stoją niewłaściwie. Wszystkie leżały bokiem. Ponadto z jakiegoś nieznanego bliżej powodu ich grzbiety zbieleły - były białe i połyskliwe, jak porcelana.

Otworzył oczy nieco szerzej i poruszył ramieniem. Igiełki bólu, najprawdopodobniej wywołane poruszeniem, przeszły mu ciało w nieoczekiwanych miejscach - w dole łydek na przykład i z obu stron głowy. Spostrzegł, że leży na boku, z twardą, gładką poduszką pod policzkiem, pod szorstkim kocem, który mu drażnił brodę i włożył włosami do ust. Poza pomniejszych bólami, które go dźgały przy każdym ruchu, czuł rozległy, tępy ból, nigdzie nie zlokalizowany, lecz spowijający całe ciało.

Nagle odrzucił koc i usiadł. Znajdował się w policyjnej celi. W tej samej chwili opanował go odruch wymiotny. Dostrzegłszy niewyraźnie w.c. w kącie, podpełzł tam i zwymiotował gwałtownie trzy lub cztery razy.

Potem przez parę minut odczuwał potworny ból. Nie mógł utrzymać się na nogach, głowa pulsowała mu, jak gdyby miała pęknąć, światło zaś zdawało się palącym

białym płynem, który wlewał się do mózgu przez gałki oczne. Siedział na łóżku, trzymając głowę w dłoniach. Wreszcie, gdy pulsowanie zmniejszyło się nieco, ponownie rozejrzał się dokoła. Cella mierzyła około czterech metrów długości i dwóch szerokości i była bardzo wysoka. Ściany były z białych porcelanowych kafli, straszliwie białych i czystych. Zastanawiał się tępo, w jaki sposób czyścili je tam na górze, tuż pod sufitem. Może wężem, przyszło mu na myśl. W jednym końcu znajdowało się zakratowane okienko, bardzo wysoko, w drugim zaś, nad drzwiami, wpuszczona w ścianki żarówka elektryczna osłonięta mocnym okratowaniem. To, na czym siedział, nie było właściwie łóżkiem, lecz półką z jednym kocem i płócienną poduszką. Drzwi były stalowe, pomalowane na zielono. W drzwiach znajdował się okrągły otworek z klapą na zewnątrz.

Zobaczywszy to, położył się i ponownie naciągnął koc. Jego otoczenie nie interesowało go już. Jeśli chodzi o wydarzenia ubiegłej nocy, pamiętał wszystko - a przynajmniej pamiętał wszystko do chwili, gdy wszedł z Dorą do pokoju z aspidistrą. Bóg wie, co zdarzyło się potem. Musiała być jakaś draka i wylądował w kiciu. Nie miał pojęcia, co zrobił, równie dobrze mogłoby to być morderstwo. W każdym razie nie przejmował się. Odwrócił się twarzą do ściany i naciągnął koc na głowę, by się zasłonić przed światłem.

Po jakimś czasie judasz w drzwiach uchylił się. Gordonowi udało się odwrócić głowę. Mięśnie szyi zdawały się trzeszczeć. Dostrzegł w judaszu niebieskie oko i półkole różowego pulchnego policzka.

- Napije się pan herbaty? - powiedział głos.

Gordon usiadł i natychmiast znowu go zemdlilo. Ujął głowę w dłonie i jęknął. Myśl o filiżance gorącej herbaty

była pociągająca, wiedział jednak, że zemdli go, jeśli będzie osłodzona.

- Proszę - powiedział.

Policjant otworzył przegródkę w górnej połowie drzwi i wsunął gruby biały kubek z herbatą. Była słodzona. Policjant był silnym rumianym młodym mężczyzną około dwudziestu pięciu lat, o miłej twarzy, białych rzęsach i ogromnej piersi. Przypominała Gordonowi pierś konia pociągowego. Mówił dobrym akcentem, lecz używał prostactkich zwrotów. Przez jakąś minutę stał przypatrując się Gordonowi.

- Było z panem bardzo kiepsko wczoraj - powiedział wreszcie.

- Teraz jest ze mną kiepsko.

- A jednak było z panem wczoraj gorzej. Czemu pan uderzył sierżanta?

- Uderzyłem sierżanta?

- A co, może nie? A niech to! Całkiem oszalał. Odwraca się do mnie i powiada - trzymając się za ucho, o tak - powiada: „Gdyby ten człowiek nie był tak pijany, że nie może stać, rozwaliłbym mu łeb”. To wszystko jest wypisane w oskarżeniu. Pijaństwo i zakłócanie spokoju publicznego. Byłoby tylko zamroczenie alkoholem, gdyby pan nie uderzył sierżanta.

- Czy wie pan, ile mogę za to dostać?

- Pięć funtów albo czternaście dni. Stanie pan przed panem Croomem. Ma pan szczęście, że to nie pan Walker. Dałby panu miesiąc bez zamiany, ten pan Walker. Bardzo surowy dla pijaków. Abstynent.

Gordon wypił trochę herbaty. Była mdląco słodka, lecz ciepła, więc poczuł się lepiej. Przelknął ją. W tej samej chwili niemiły, warkliwy głos - z pewnością sierżanta, którego Gordon uderzył - zaskamlał gdzieś za drzwiami:

- Weź tego człowieka i umyj go. Suka odjeżdża o wpół do dziesiątej.

Policjant pospiesznie otworzył drzwi celi. Wyszedłszy z niej, Gordon natychmiast poczuł się znacznie gorzej. Częściowo dlatego, że w korytarzu było o wiele zimniej niż w celi. Zrobił ze dwa kroki, a potem nagle zawróciło mu się w głowie. - Niedobrze mi! - zawołał. Padał - wyciągnął rękę i oparł się o ścianę. Otoczyło go silne ramię policjanta. Gordon zwiślał przez to ramię jak przez poręcz, skulony i bezwładny. Wytrysnął z niego strumień wymiotów. Oczywiście herbata. Wzdłuż kamiennej podłogi biegł ściek. Na końcu korytarza stał z ręką na biodrze, wąsаты sierżant, w kurtce bez pasa, patrząc z niesmakiem.

- Pługawy cham - wymamrotał i odwrócił się.

- Chodź, chłopie - powiedział policjant. - Za chwilę poczujesz się lepiej.

Na poły poprowadził, na poły powłókł Gordona do dużego kamiennego zlewu w końcu korytarza i pomógł mu rozebrać się do pasa. Zadziwiał delikatnością. Obchodził się z Gordonem niemal jak niańka z dzieckiem. Gordon na tyle odzyskał siły, by się ochlapać lodowatą wodą i przepłukać usta. Policjant dał mu podarty ręcznik, by się wytarł, po czym odprowadził go do celi.

- Teraz niech pan posiedzi spokojnie, aż przyjedzie suka. I moja rada - kiedy będzie pan w sądzie, niech się pan przyzna do wszystkiego i powie, że już tego więcej nie zrobi. Pan Croom nie będzie surowy.

- Gdzie jest mój kołnierzyk i krawat? - powiedział Gordon.

- Zabraliśmy wczoraj. Dostanie pan z powrotem, zanim pojedzie pan do sądu. Mieliliśmy tu kiedyś faceta, co się powiesił na krawacie.

Gordon usiadł na łóżku. Przez chwilę zajął się obliczaniem ilości porcelanowych kafli w ścianach, potem siedział z łokciami na kolanach, podparwszy głowę dłońmi. Wszystko go jeszcze bolało; było mu zimno, czuł się słaby, sterany, a zwłaszcza znudzony. Najchętniej uniknąłby tej całej nudy stawania przed sądem. Nudą nie do opisanania napawała go myśl, że wsadzą go do jakiegoś rozklekotanego pojazdu, powiozą przez Londyn, żeby się potem obijał po chłodnych celach i korytarzach, że będzie musiał odpowiadać na pytania, a sędziowie będą go pouczać. Chciał tylko, żeby go zostawiono w spokoju. Wreszcie w korytarzu odezwały się jakieś głosy, potem dobiegł dźwięk nadchodzących kroków. Otworzyła się przegródka w drzwiach.

- Goście do pana - powiedział policjant.

Już sama myśl o gościach napełniła Gordona znudzeniem. Niechętnie podniósł wzrok i ujrzał Flaxmana i Ravelstona zaglądających do celi. Zagadką było, w jaki sposób znaleźli się tu razem, lecz Gordon nie okazywał najmniejszego zainteresowania. Nudzili go. Chciał, żeby sobie poszli.

- *Cześć*, kochasiu - powiedział Flaxman.

- *Ty* tutaj? - powiedział Gordon zaczepnie, choć ze znużeniem.

Ravelston był przygnębiony. Wstał bardzo wcześnie i szukał Gordona. Teraz po raz pierwszy oglądał wnętrze policyjnej celi. Skurczył twarz z niesmakiem, patrząc na chłodne pomieszczenie z białych kafli, z bezwstydnym w.c. w kącie. Jednakże Flaxman bardziej był takich rzeczy zwyczajny. Zrobił porozumiewawczo oko do Gordona.

- Widziałem już gorszych - powiedział wesolutko.

- Dajcie mu stopową ostrygę, a nabierze werwy. Czy wiesz, jakie masz oczka, kochasiu? - dodał, zwracając się

do Gordona. - Wyglądają, jakby ci je wyjęli i zrobili z nich jajka sadzone.

- Upiłem się wczoraj - powiedział Gordon z głową w dłoniach.

- Domyśliłem się tego, kochasiu.

- Posłuchaj, Gordon - powiedział Ravelston - przyszliśmy złożyć za ciebie kaucję, ale zdaje się, że przyszliśmy za późno. Za parę minut zabiorą cię do sądu. To cholerna sprawa. Szkoda, że nie podałeś im fałszywego nazwiska, kiedy cię tutaj wczoraj przyprowadzili.

- Podałem im *swoje* nazwisko?

- Powiedziałeś im wszystko. Żałuję, na Boga, że spuściłem cię z oka. Wymknąłeś się jakoś z tego domu na ulicę.

- Chodziłeś po Shaftesbury Avenue popijając z butelki - powiedział Flaxman z uznaniem. - Ale nie powinienes być uderzyć sierżanta, kochasiu. To była cholerna głupota. I chcę ci powiedzieć, że Mama Wisbeach jest na twoim tropie. Gdy ten oto twój kumpel przyszedł rano i powiedział jej, że pohulałeś sobie w nocy, narobiła rabanu, jakbyś popełnił krwawy mord.

- Posłuchaj, Gordon - powiedział Ravelston.

Jego twarz nosiła znajomy wyraz zakłopotania. Coś dotyczącego pieniędzy, jak zwykle. Gordon uniósł wzrok. Ravelston spoglądał w przestrzeń.

- Słuchaj.

- Co?

- W sprawie grzywny. Zostaw to lepiej mnie. Ja zapłacę.

- Nie.

- Ależ mój drogi! W takim razie posłą cię do więzienia.

- Do diabła! Wszystko mi jedno.

Było mu wszystko jedno. W tej chwili było mu obojętne, czy go posłą na rok do więzienia. Oczywiście on sam

nie mógł zapłacić grzywny. Wiedział nawet bez sprawdzenia, że nie zostało mu nic pieniędzy. Najprawdopodobniej dał je Dorze, albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, sama je zwędziła. Położył się ponownie na łóżku i odwrócił do nich plecami. Nadąsany i niemrawy, pragnął pozbyć się ich jak najszybciej. Jeszcze kilkakrotnie próbowali z nim rozmawiać, lecz nie odpowiadał, więc wreszcie poszli sobie. Głos Flaxmana bębnił wesoło w korytarzu. Dawał Ravelstonowi drobiazgowe wskazówki, w jaki sposób przyrzadzić stepową ostrygę.

Reszta dnia była koszmar. Koszmar była jazda w suce, która wewnątrz najbardziej przypominała ustęp publiczny w miniatrze, maleńkie kabinki z każdej strony, gdzie człowieka zamykano i gdzie ledwo starczało miejsca, by usiąść. Jeszcze koszmarniejsze było długie oczekiwanie w jednej z celi w sąsiedztwie sądu. Cella ta była dokładną kopią celi w komisariacie policji, miała nawet dokładnie taką samą liczbę porcelanowych kafli. Różniła się jednak od celi policyjnej odrażającym brudem. Było zimno, lecz powietrze tak cuchnęło, że wprost trudno było oddychać. Więźniowie cały czas przychodzili i odchodzili. Wpychano ich do celi, zabierano za godzinę lub dwie do sądu, a potem czasem przyprowadzano z powrotem, gdzie czekali, podczas gdy sędzia zastanawiał się nad wyrokiem, lub posyłano po nowych świadków. W *celi* znajdowało się zawsze pięciu lub sześciu mężczyzn, a usiąść można było tylko na pryczy. Najgorsze było to, że niemal wszyscy używali w.c. - publicznie, w maleńkiej celi. Nie mogli nic na to poradzić. Nie można było gdzie indziej. A jeszcze łańcuszek tego koszmarnego urzędnika nie działał właściwie.

Do południa Gordon czuł się osłabiony i mdliło go. Nie mógł się ogolić, więc twarz miał wstrętne szczeciniastą.

Początkowo po prostu siedział w rogu pryczy, jak najbliżej drzwi i jak najdalej od w.c, i nie zwracał uwagi na innych więźniów. Nudzili go i wywoływali obrzydzenie; później, gdy zaczął mu przechodzić ból głowy, zaczął ich obserwować z niejakim zainteresowaniem. Był tam zawodowy włamywacz, chudy, zmartwiony mężczyzna o siwych włosach, który bardzo się gryzł tym, co się stanie z żoną i dziećmi, gdy go posła do więzienia. Aresztowano go za „wałęsanie się w zamiarze dostania się do środka” - nieokreślone przewinienie, za które na ogół dostaje się wyrok, jeśli miało się już przedtem wyroki. Chodził po celi, dziwnie i nerwowo trzaskając palcami prawej dłoni i wykrzykując coś o niesprawiedliwości. Był tam również głuchoniemy, który cuchnął jak łasica, oraz mały Żyd w średnim wieku, w płaszczu z futrzanym kołnierzem, który pracował jako szef działu zakupów w dużej koszernej firmie rzeźniczej. Ulotnił się z dwudziestoma siedmioma funtami, pojechał nie gdzie indziej tylko do Aberdeen i wydał pieniądze na dziwki. On również się uskarżał, gdyż, jak powiadał, jego sprawę powinien rozpatrzeć sąd rabinacki, a nie policja. Był tam również właściciel baru, który sprzeniewierzył fundusz świąteczny klubu. Był to duży, wylewny, na oko zamożny mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, o krzykliwej czerwonej twarzy i w krzykliwym niebieskim płaszczu - człowiek tego rodzaju, że gdyby nie był właścicielem baru, musiałby być bukmacherem. Krewni zwrócili sprzeniewierzone pieniądze, z wyjątkiem dwunastu funtów, lecz członkowie klubu zdecydowali się na postępowanie sądowe. Coś w oczach tego człowieka niepokoiło Gordona. Udawał zawadiakę, lecz oczy jego miały przez cały czas pusty, bezmyślny wyraz; zamyślał się przy każdej przerwie w rozmowie. Było w tym coś okropnego. Nadal

nosił szykowne ubranie, a cała świetność życia właściciela baru była odległa jedynie o miesiąc lub dwa. Teraz zaś był zrujnowany, przypuszczalnie na zawsze. Jak wszyscy londyńscy właściciele barów znajdował się w szponach właściciela browaru, lokal mu sprzedadzą i zajmą meble i urządzenia, gdy zaś wyjdzie z więzienia, już nigdy nie będzie miał ani baru, ani pracy.

Ranek mijał okropnie powoli. Wolno było palić - nie wolno było używać zapalek, lecz dyżurny policjant podawał ogień przez kłapę w drzwiach. Nikt nie miał papierosów oprócz właściciela baru, który miał ich pełne kieszenie i rozdawał je wszystkim wokoło. Więźniowie przychodzili i odchodzili. Na pół godziny wpuszczono do celi obdartego, brudnego człowieka, który twierdził, że jest przekupniem oskarżonym o tamowanie ruchu. Mówił bardzo dużo, lecz pozostali zachowywali się podejrzliwie; gdy go zabrano, wszyscy orzekli, że to kapuś. Mówili, że policja często wpuszcza do celi kapusia przebranego za więźnia, żeby zdobyć informacje. Raz zapanowało wielkie podniecenie, gdy policjant szepnął przez kłapę, że do sąsiedniej celi wprowadzają mordercę lub niedoszęłego mordercę. Był to osiemnastoletni młodzieniec, który pchnął nożem w brzuch swoją ulicznicę i ona przypuszczalnie nie wyżyje. Raz kłapa się otworzyła i zajrzała przez nią umęczona, blada twarz duchownego. Dostrzegł włamywacza, powiedział ze znużeniem: „ty znowu tutaj, Jones?“, po czym odszedł. Około dwunastej podano tak zwany obiad. Składał się z filiżanki herbaty oraz dwóch kromek chleba z margaryną. Można było jednak dostać jedzenie, jeśli się za nie zapłaciło. Właścicielowi baru przysłano porządny obiad w półmiskach pod przykryciem, jednak nie miał nań ochoty i większość jedzenia rozdał. Ravelston nadal pętał się po sądzie, czekając na

sprawę Gordona, lecz nie znał na tyle sytuacji, by przysłać mu coś do jedzenia. Wreszcie zabrano włamywacza i właściciela baru, osądzono i przyprowadzono z powrotem, by poczekali, aż suka zabierze ich do więzienia. Dostali obaj po dziewięć miesięcy. Właściciel baru wypytywał włamywacza o więzienie. Wywiązała się nadzwyczaj sprośna rozmowa na temat braku tam kobiet.

Sprawa Gordona miała miejsce o wpół do trzeciej i zakończyła się tak szybko, że wydawało się niedorzecznością, iż czekał na nią tak długo. Nie zapamiętał niczego z sądu poza herbem nad krzesłem sędziego. Sędzia załatwiał pijaków w tempie dwóch na minutę. Jak tłum kupujący bilety w kasie przesuwali się przed poręczą ławy oskarżonych w takt piosenki: „John-Smith-pijany-i-zamroczoney-alkoholem?-tak-sześć-szylingów-przesuwać--*się-następny!*”. Jednakże sprawa Gordona zajęła dwie minuty zamiast trzydziestu sekund, ponieważ zakłócił porządek publiczny i sierżant musiał oświadczyć, że Gordon uderzył go w ucho i nazwał... łobuzem. Niejaką sensację w sądzie wywołał fakt, że podczas przesłuchania na policji Gordon określił się jako poeta. Musiał być bardzo pijany, by to powiedzieć. Sędzia spojrzał na niego podejrzliwie.

- Jak widzę, nazywa pan siebie *poetą*. Czy istotnie jest pan poetą?

- Piszę poezje - powiedział posepnie Gordon.

- Hm! No, cóż, nie wydaje się, by nauczył się pan przy tym przyzwoitego zachowania, co? Zapłaci pan pięć funtów lub pójdzie na czternaście dni do więzienia. *Następny!*

To było wszystko. Jednakże gdzieś z tyłu sali sądowej znudzony reporter nastawił uszu.

Po drugiej stronie sali sądowej znajdował się pokój, gdzie siedział sierżant z dużym rejestrem, wpisując grzywny pijaków i przyjmując pieniądze. Tych, którzy nie mogli

zapłacić, zabierano z powrotem do cel. Gordon przypuszczał, że i z nim tak będzie. Pogodził się całkowicie z tym, że pójdzie do więzienia. Kiedy wyszedł z sali sądowej, okazało się jednak, że Ravelston już tam czekał i że już zapłacił grzywnę. Gordon nie protestował. Pozwolił Ravelstonowi wsadzić się do taksówki i zabrać do mieszkania w Regent's Park. Gdy tylko tam przyjechali, Gordon wziął gorącą kąpiel; bardzo jej potrzebował po koszmarnej, plugawym brudzie ostatnich dwunastu godzin. Ravelston pożyczył mu brzytwę, pożyczył mu czystą koszulę, piżamę, skarpetki i bieliznę, nawet wyszedł kupić mu szczoteczkę do zębów. Dziwnie się troszczył o Gordona. Nie mógł się pozbyć uczucia, że wszystko, co zdarzyło się poprzedniej nocy, było przede wszystkim jego winą; powinien był wkroczyć zdecydowanie i zabrać Gordona do domu, gdy tylko ten zaczął zdradzać oznaki upicia się. Gordon niemal nie zauważał, co Ravelston dla niego robił. Resztę popołudnia spędził w fotelu przed kominkiem, czytając powieść kryminalną. Wolał nie myśleć o przyszłości. Wcześniej zachciało mu się spać. O ósmej poszedł do łóżka w gościnnym pokoju i spał jak suseł przez dziewięć godzin.

Dopiero następnego ranka zaczął poważnie myśleć o swojej sytuacji. Obudził się w szerokim, rozkosznym łożu, tak miękkim i ciepłym, jak żadne łóżko, w jakim dotąd spał, po czym zaczął szukać zapalek. Potem przypomniał sobie, że w takich mieszkaniach nie potrzeba zapalek do zapalenia światła, więc poszukał elektrycznego przełącznika, który wisiał na sznurze w głowach łożka. Pokój załało łagodne światło. Na stoliku przy łóżku stał syfon z wodą sodową. Gordon stwierdził, że nawet po trzydziestu sześciu godzinach nadal ma w ustach ohydny smak. Napił się, po czym rozejrzał wokół.

Dziwne to uczucie leżeć w cudzej piżamie w cudzym łóżku. Czuł, że nie ma tu nic do roboty - że nie tu jest jego miejsce. Miał poczucie winy, że leży tutaj w luksusie w sytuacji, gdy jest zrujnowany i nie ma grosza przy duszy. Ze był zrujnowany, nie było co do tego wątpliwości. Wiedział z całą pewnością, że stracił pracę. Bóg wie, co jeszcze się zdarzy. Wspomnienie głupiej, ponurej rozpusty powróciło z koszmarną ostrością. Pamiętał wszystko, od pierwszego ginu z tonikiem aż do chwili, gdy rzucił się do brzoskwiniowych podwiązek Dory. Skręcał się na myśl o Dorze. *Dlaczego* robi się takie rzeczy? Znowu pieniądze, zawsze te pieniądze! Bogaci tak się nie zachowują. Bogaci są pełni wdzięku nawet w swoich wadach. Lecz jeśli nie masz pieniędzy, nie wiesz, jak je wydać, kiedy je zdobędziesz. Szastasz nimi gorączkowo, jak marynarz w pierwszej noc na lądzie.

Siedział w kiciu dwanaście godzin. Pomyślał o zimnym, kloacznym smrodzie celi w sądzie. Przedsmak przyszłości. Wszyscy będą wiedzieć, że siedział w kiciu. Przy odrobinie szczęścia można to będzie ukryć przed ciotką Angelą i wujem Walterem, lecz Julia i Rosemary przypuszczalnie już o tym wiedzą. Dla Rosemary to nie miało wielkiego znaczenia, lecz dla Julii będzie to wstyd i nieszczęście. Pomyślał o Julii. Jej długie, chude plecy, gdy pochylała się nad puszką z herbatą; jej dobra, gęsia, przybita twarz. Nigdy nie żyła naprawdę. Od dzieciństwa poświęcano ją dla niego - dla Gordona, dla „chłopca”. Przez te wszystkie lata „pożyczył” od niej chyba ze sto funtów, a teraz nie mógł jej dać nawet pięciu. Odłożył dla niej pięć funtów, a potem wydał je na dziwkę!

Zgasił światło i leżał na plecach, nie śpiąc. Widział teraz siebie z przerażającą jasnością. Zrobił coś w rodzaju inwentarza swojej osoby i dobytku. Gordon Comstock,

ostatni z Comstocków, trzydziestoletni, z dwudziestoma sześcioma zębami; bez pieniędzy i bez pracy; w nie swojej piżamie w nie swoim łóżku; bez przyszłości - poza żebraniną i nędzą, i bez przeszłości - poza plugawymi szaleństwami. Jego cały dobytek stanowi słabowite ciało oraz dwie tekturowe walizki wypełnione znoszonymi ubraniami.

Ravelstona obudziło o siódmej pukanie do drzwi. Przewrócił się na bok i powiedział sennie: - Tak? - "Wszedł Gordon, zaniedbana postać, ginąca niemal w pożyczonej jedwabnej piżamie. Ravelston budził się, ziewając. Teoretycznie wstawał o proletariackiej siódmej godzinie. Naprawdę zaś rzadko się ruszał, zanim pani Beaver, sprzątaczką, nie przyszła o ósmej. Gordon odgarnął włosy z czoła i usiadł w nogach łóżka Ravelstona.

- Słuchaj, Ravelston, to cholerna sprawa. Przemyślałem wszystko. Trzeba będzie diabelnie dużo za to zapłacić.

- Co?

- Stracę pracę. McKechnie nie może mnie trzymać po tym, jak siedziałem w kiciu. Poza tym powinienem być wczoraj być w pracy. Przypuszczalnie przez cały dzień nie otwarto sklepu.

Ravelston ziewnął. - Myślę, że wszystko będzie w porządku. Ten gruby facet... jak mu tam, Flaxman, zadzwonił do McKechniego i powiedział mu, że chorujesz na grypę. Przedstawił to całkiem przekonująco, powiedział, że masz czterdzieści stopni temperatury. Oczywiście, twoja gospodyni o tym wie. Lecz nie sądzę, żeby powiedziała McKechniemu.

- A jeśli się to dostało do gazet?

- O Boże! To całkiem możliwe. Sprzątaczką przynosi gazety o ósmej. Ale czy podają wyroki na pijaków? Chyba nie?

Pani Beaver przyniosła „Telegraph” i „Herald”. Ravelston wysłał ją po „Mail” i „Express”. Pospiesznie przejrzeni rubryki sądowe. Dzięki Bogu! Mimo wszystko „nie dostało się to do gazet”. Właściwie nie było po temu powodu. Co innego, gdyby Gordon był kierowcą wyścigowym lub zawodowym piłkarzem. Poczawszy się lepiej, Gordon zjadł niewielkie śniadanie, a po śniadaniu Ravelston wyszedł. Ustalili, że pojedzie do sklepu, zobaczy się z panem McKechnie, poda mu dalsze szczegóły choroby Gordona i zorientuje się w sytuacji. Ravelstonowi wydawało się całkiem naturalne, że straci kilka dni, by wyciągnąć Gordona z tarapatów. Przez cały ranek Gordon włożył się po mieszkaniu, niespokojny i nie w humorze, paląc jednego papierosa za drugim. Teraz, gdy był sam, nadzieja opuściła go. Dzięki jakiemuś głębokiemu instynktowi wiedział, że pan McKechnie z pewnością słyszał o jego aresztowaniu. Czegoś takiego nie można utrzymać w tajemnicy. Stracił pracę i tyle.

Powlókł się do okna i wyjrzał. Przygnębiający dzień; białoszare niebo wyglądało, jak gdyby już nigdy nie miało być niebieskie; nagie drzewa płakały powoli do rynsztoków. Z sąsiedniej ulicy posępnie rozbrzmiewał okrzyk węglarza. Już tylko dwa tygodnie do Świąt. Wesoło być bez pracy w takim czasie! Jednakże myśl ta, zamiast go przerazić, napelniła go tylko znudzeniem. Wydawało się, że ogarnęło go na dobre swoiste letargiczne uczucie, jakaś przytłaczająca ociężałość w głowie, jaką się miewa po pijaństwie. Perspektywa szukania innej pracy nudziła go jeszcze bardziej niż perspektywa ubóstwa. Poza tym nigdy nie dostanie innej pracy. Teraz nie ma pracy. Pogrążał się, pogrążał się w podziemny świat bezrobotnych - w Bóg wie jakie otchłanie przytułków, brudu, głodu i daremności. Zależało mu głównie na tym, by odbyło się to przy minimum hałasu i wysiłku.

Ravelston wrócił około pierwszej. Ściągnął rękawiczki i rzucił je na krzesło. Robił wrażenie zmęczonego i przygnębionego. Gordon natychmiast zrozumiał, że sztuczka się nie udała.

- Słyszał o tym, oczywiście? - powiedział.
- Obawiam się, że o wszystkim.
- Jak? Pewnie ta krowa Wisbeach mu doniosła?
- Nie. To jednak było w gazetach. W lokalnej gazecie. Stamtąd się dowiedział.
- O do diabła! Zapomniałem o tym.

Ravelston wyciągnął z kieszeni płaszcza złożony egzemplarz dwutygodnika. Zamawiali go do sklepu, gdyż pan McKechnie reklamował się tam - Gordon o tym zapomniał. Otworzył go. Do licha! Co za sensacja! Przez wszystkie szpalty na środkowej stronie.

SUBIEKT KSIĘGARZA UKARANY GRZYWNĄ
SUROWE POUCZENIE SĘDZIEGO
„HANIEBNA BURDA”

Było tego prawie dwie szpalty. Gordon nigdy dotąd nie był tak sławny i nigdy już nie będzie. Z pewnością brakuje im wiadomości. Jednakże takie lokalne gazety mają dziwne poczucie patriotyzmu. Są tak chciwe wiadomości lokalnych, że wypadek rowerowy na Harrow Road zajmuje więcej miejsca niż kryzys europejski, takie zaś wiadomości, jak „Człowiek z Hampstead oskarżony o morderstwo” lub „Poćwiartowane niemowlę w piwnicy w Cam-berwell” zamieszcza z niekłamaną dumą.

Ravelston opisał swą rozmowę z panem McKechnie. Wyglądało na to, że w panu McKechnie wściekłość na Gordona zmagala się z pragnieniem, żeby nie obrazić tak dobrego klienta jak Ravelston. Nie można było, oczywiście, przypuszczać, że po czymś takim przyjmie Gordona

z powrotem. Takie skandale szkodziły interesom, a ponadto słusznie był zły, że Flaxman naopowiadał mu kłamstw przez telefon. Najbardziej jednak złościła go myśl, że to *jego* subiekt upił się i zakłócał porządek. Ravelston powiedział, że najwyraźniej pijaństwo zirytowało go w wyjątkowy sposób. Robił wrażenie, że już by chyba wolał, żeby Gordon zwędził pieniądze z kasy. Oczywiście, sam jest abstynentem. Gordon zastanawiał się czasem, czy nie popijał po cichu, w tradycyjnie szkockim stylu. Nos miał z pewnością bardzo czerwony. Może to jednak od tabaki. W każdym razie to już koniec. Gordon znalazł się w bardzo poważnych opałach.

- Myślę, że Wisbeach zatrzyma moje ubrania i rzeczy
- powiedział. - Nie pójdę po nie. Poza tym winien jej jestem tygodniowy czynsz.

- Och, nie martw się o to. Załatwię czynsz i wszystko.

- Mój drogi, nie mogę pozwolić, żebyś płacił za mnie czynsz!

- Do licha! - twarz Ravelstona poróżowiła lekko. Spojrzał skonsternowany w przestrzeń, a potem jednym tchem wypowiedział wszystko, co miał do powiedzenia:

- Posłuchaj, Gordon. Musimy to załatwić. Musisz tu zostać, póki się to wszystko nie uciszy. Pomogę ci z pieniędzmi i tak dalej. Nie powinienesz myśleć, że sprawiasz mi kłopot, bo nie sprawiasz. A poza tym, to tylko do czasu, kiedy dostaniesz nową pracę.

Gordon odsunął się ponuro, z rękami w kieszeniach. Przewidział to oczywiście. Wiedział, że powinien odmówić, *chciał* odmówić, a jednak nie miał odwagi.

- Nie mam zamiaru naciągać cię w ten sposób - powiedział nadąsany.

- Nie używaj takich wyrażen, na miłość boską! Poza tym, gdzie mógłbyś pójść, gdybyś tu nie został?

- Nie wiem - chyba do rynsztoka. Tam moje miejsce. Im wcześniej się tam dostanę, tym lepiej.

- Bzdura! Zostaniesz tu, póki nie znajdziesz innej pra-

- Ale pracy nigdzie nie ma. Może znajdę pracę dopiero za rok. *Nie chcę* pracy.

- Nie wolno ci tak mówić. Wkrótce znajdziesz pracę. Coś się musi *znaleźć*. I, na miłość boską, nie mów o *naciąganiu* mnie. To tylko umowa między przyjaciółmi. Jeśli naprawdę chcesz, możesz to wszystko zwrócić, kiedy będziesz miał pieniądze.

- Tak, kiedy będę miał!

W końcu dał się jednak przekonać. Wiedział, że da się przekonać. Został w mieszkaniu i przystał na to, by Ravelston udał się na Willowbed Road, zapłacił czynsz i odebrał dwie tekturowe walizki; przystał nawet na to, by Ravelston „pożyczył” mu jeszcze dwa funty na bieżące wydatki. Miał za to do siebie wstręt. Żył na koszt Ravelstona - naciągał Ravelstona. Jak może znów zaistnieć pomiędzy nimi prawdziwa przyjaźń? Ponadto w głębi serca nie chciał, żeby mu pomagano. Chciał tylko spokoju. Podążał do rynsztoka; lepiej szybko osiągnąć rynsztok i mieć to już za sobą. Jednak na razie został, gdyż po prostu brakowało mu odwagi, by postąpić inaczej.

Jeśli chodzi o zdobycie pracy, było to od początku beznadziejne. Nawet Ravelston, choć bogaty, nie mógł stwarzać posad z niczego. Gordon wiedział z góry, że w handlu książkami nie ma zbywających posad. W ciągu trzech następnych dni zdarł buty drepcząc od księgarni do księgarni. Przed każdym sklepem zaciskał zęby, wchodził, żądał rozmowy z właścicielem, trzy minuty później zaś wychodził zadzierając nos do góry. Odpowiedź była zawsze taka sama - nie ma wolnych posad. W kilku

księgarniach przyjmowano dodatkowego sprzedawcę ze względu na ruch przedświąteczny, lecz Gordon nie był z tych, jakich poszukiwano. Nie był ani elegancki, ani usłużny; nosił nędzne ubranie i mówił z „kulturalnym” akcentem. Poza tym kilka pytań zawsze wydobywało na jaw, że wyrzucono go z pracy za pijaństwo. Dał za wygraną już po trzech dniach. Wiedział, że nic z tego. Udawał, że szuka pracy, właściwie po to tylko, żeby zrobić przyjemność Ravelstonowi.

Wieczorem włókł się do mieszkania, na obolałych nogach i z nerwami zszarpanymi przez liczne niepowodzenia. Wszystkie wędrówki odbywał pieszo, by zaoszczędzić dwa funty „pożyczone” od Ravelstona. Gdy wrócił, Ravelston, który właśnie przyszedł z biura, siedział w fotelu przed kominkiem z długimi odbitkami korekty na kolanach. Spojrzał na wchodzącego Gordona.

- Poszczyło się? - spytał jak zwykle.

Gordon nie odpowiedział. Odpowiedzieć mógłby jedynie stekiem przekleństw. Nawet nie spojrzawszy na Ravelstona, poszedł prosto do sypialni, zrzucił buty i zwałił się na łóżko. W tej chwili nienawidził siebie. Dlaczego wrócił? Jakże miał prawo do powrotu i do naciągania Ravelstona, jeśli nawet nie zamierzał dalej szukać pracy? Powinien był zostać na ulicy, spać na Trafalgar Square, żebrać - cokolwiek. Nie miał jeszcze jednak na tyle odwagi, by zdecydować się na ulicę. Odciągnęła go wizja ciepła i schronienia. Leżał z rękami pod głową, w apatii połączonej z nienawiścią do siebie. Po upływie mniej więcej pół godziny usłyszał, że dzwoni dzwonek i że Ravelston wstał, by otworzyć drzwi. To przypuszczalnie była ta flądra, Hermione Slater. Kilka dni temu Ravelston przedstawił jej Gordona, ona zaś potraktowała go z góry. Jednak za chwilę rozległo się pukanie do drzwi sypialni.

- O co chodzi? - odezwał się Gordon.

Ktoś do ciebie - powiedział Ravelston. Do mnie?

- Tak. Chodź do tamtego pokoju.

Gordon zaklął i leniwie sturlał się z łóżka. Gdy przyszedł do tamtego pokoju, stwierdził, że gościem jest Rosemary. Spodziewał się właściwie, że przyjdzie, lecz jej odwiedziny nużyły go. Wiedział, dlaczego przyszła: by mu współczuć, żałować go, robić mu wymówki - wszystko jedno. W ogarniającym go nastroju zniechęcenia i znużenia nie chciał się wysilać na rozmowę z nią. Chciał tylko, żeby go zostawiono w spokoju. Ravelston ucieszył się jednak na jej widok. Polubił ją po ich jedynym, jak dotąd, spotkaniu i sądził, że będzie umiała rozruszać Gordona. Pod bardzo przejrzystym pretekstem zszedł na dół do biura, zostawiając ich samych.

Byli sami, lecz Gordon nie spróbował jej objąć. Stał przed kominkiem, przygarbiony, z rękami w kieszeniach, w pantoflach Ravelstona, które były dla niego za duże. Podeszła z wahaniem, nie zdjęwszy kapelusza ani płaszcza z kołnierzem z jagnięcej skórki. Jego widok sprawiał jej ból. Dziwnie podupadł w ciągu niespełna tygodnia. Zdążył już przybrać ten nieomylny, żebraczy i próżniaczy wygląd człowieka, który stracił pracę. Jego twarz jakby wychudła, oczy miał podkrążone. Ponadto najwyraźniej nie golił się tego dnia.

Położyła mu rękę na ramieniu, nieco niezdarnie, jak kobieta, która musi uścisnąć pierwsza.

- Gordon...

- Słucham?

Powiedział to niemal z nadąsaniem. Za chwilę znalazła się w jego ramionach. Lecz to właśnie ona zrobiła pierwszy ruch. Z głową na jego piersi walczyła ze wszystkich sił

ze łzami, które omal nie wytrysły. Nudziło to Gordona okropnie. Tak często doprowadzał ją do łez! A przecież nie chciał, żeby nad nim płakano; chciał tylko, żeby go zostawiono w spokoju - żeby mógł się dąsać i rozpaczać. Obejmując ją i jedną ręką odruchowo gładząc ją po ramieniu, odczuwał głównie znudzenie. Przez swoje przyjście tutaj sprawiła, że wszystko stało się dla niego trudniejsze. Miał przed sobą brud, chłód, ulicę, przytułek i więzienie. To właśnie przeciwko *temu* musiał się uzbroić. Mógł się uzbroić jedynie wówczas, gdy zostawi go w spokoju i przestanie go prześladować tymi niewczesnymi uczuciami.

Odsunął ją trochę od siebie. Opanowała się szybko, jak zawsze.

- Gordon, kochanie! Och, tak mi przykro!

- Za co ci przykro?

- Ze straciłeś pracę i w ogóle. Wyglądasz tak nieszczęśliwie.

- Nie jestem nieszczęśliwy. Nie lituj się nade mną, na litość boską.

Wyswobodził się z jej objęć. Zdjęła kapelusz i rzuciła na krzesło. Przyszła tu najwyraźniej mając coś do powiedzenia. Coś, co wzdragała się powiedzieć przez lata - coś, czego niemówienie wzięła sobie za punkt honoru. Teraz jednak trzeba było to powiedzieć, więc zaraz to zrobi. Owijanie w bawełnę nie leżało w jej naturze.

- Gordon, czy zrobisz coś, żeby mi sprawić przyjemność?

- Co?

- Czy wrócisz do Nowego Albionu?

A wiec to tak! Przewidział to, oczywiście. Zacznie gderać na niego jak wszyscy. Dołączy do grupy ludzi, którzy go męczyli i dręczyli, żeby zaczęło mu się „powo-

dzić". Czego jednak można było oczekiwać? Każda kobieta tak by powiedziała. To cud, że nie powiedziała tego wcześniej. Wróć do Nowego Albionu! Odejście z Nowego Albionu było jedynym znaczącym czynem w jego życiu. Można by powiedzieć, że jego religią było trzymanie się z daleka od plugawego świata pieniędzy. W tym momencie nie mógł sobie jednak dobrze przypomnieć motywów, dla których odszedł z Nowego Albionu. Wiedział tylko, że nigdy tam nie wróci, nawet gdyby się niebo zawaliło, a perspektywa sprzeczki już z góry nappełniała go znudzeniem.

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. - Nie przyjmą mnie w Nowym Albionie - powiedział krótko.

- Przyjmą. Pamiętasz, co powiedział pan Erskine. To nie tak dawno - tylko dwa lata temu. Oni zawsze szukają dobrych tekściarzy. Wszyscy w biurze tak mówią. Jestem pewna, że daliby ci pracę, gdybyś poszedł i o to poprosił. I zapłaciliby ci co najmniej cztery funty tygodniowo.

- Cztery funty tygodniowo! Wspaniale! Mógłbym sobie wtedy pozwolić na aspidistrę, prawda?

- Nie, Gordon, nie żartuj sobie teraz z tego.

- Ja nie żartuję. Mówię serio.

- To znaczy, że nie wrócisz do nich - nawet wtedy, gdyby ci zaofiarowali pracę?

- Nawet za tysiąc lat. Nawet gdyby mi zapłacili pięćdziesiąt funtów tygodniowo.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Powiedziałem ci dlaczego - powiedział ze znużeniem.

Spojrzała na niego bezradnie. Właściwie nie miało to sensu. Na przeszkodzie stała sprawa pieniędzy - te bezsensowne skrupuły, których nigdy nie rozumiała, lecz które przyjmowała tylko dlatego, że były to *jego* skrupuły. Czuła bezsilność i oburzenie kobiety, która widzi, jak

abstrakcyjna idea bierze górę nad zdrowym rozsądkiem. Można było oszaleć, patrząc, jak Gordon daje się spychać do rynsztoka przez coś takiego! Powiedziała niemal gniewnie:

- Nie rozumiem cię, Gordon, naprawdę nie rozumiem. Jesteś bez pracy, przypuszczalnie niedługo będziesz przymierać głodem. A mimo to, kiedy jest praca, którą możesz mieć na zawołanie, nie chcesz jej.

- Masz zupełną rację. Nie chcę.

- Musisz jednak mieć jakąś pracę, prawda?

- Pracę, ale nie *dobrą* pracę. Tłumaczyłem to Bóg wie ile razy. Myślę, że prędzej czy później dostanę jakąś pracę. Podobną pracę jak ta poprzednia.

- Nie wierzę, żebyś chociaż *próbował* znaleźć jakąś pracę.

- Próbuję. Przez cały dzień dzisiaj chodziłem po księgarniach.

- I nawet się rano nie ogoliłeś? - powiedziała zmieniając front z kobiecą zrećznością.

Pomacał podbródek.

- Istotnie, chyba nie.

- I przypuszczasz, że dadzą ci pracę! Och, Gordon!

- Co to ma za znaczenie? To zbyt duży wysiłek golić się codziennie.

- Załamujesz się - powiedziała z goryczą. - Zdaje się, że *nie chcesz* zrobić żadnego wysiłku. Chcesz się pograć - po prostu się *pograć*.

- Nie wiem. Może. Wolę się pograć, niż iść w górę.

Spierali się dalej. Po raz pierwszy mówiła do niego w ten sposób. Jeszcze raz *łyzy* nabiegły jej do oczu i jeszcze raz je powstrzymała. Przyszła tu, poprzysiągłszy sobie, że nie będzie płakać. Okropne było to, że jej *łyzy*, zamiast go martwić, wywoływały tylko znudzenie. Wyglądało na to, że *nie mógł* się przejmować, a mimo to w samym środku

swej jaźni miał serce, które się przejmowało, ponieważ on się nie przejmował. Zęby go tylko zostawiła w spokoju! W spokoju, w spokoju! Wolnego od natrętej świadomości upadku; wolnego, żeby się mógł pogrążyć, jak powiedziała, na dno, w spokojne rejony, gdzie nie istnieją pieniądze, wysiłek ani moralny obowiązek. Wreszcie wyrwał się jej i powrócił do gościnnego pokoju. To z pewnością była kłótnia - pierwsza ich naprawdę poważna kłótnia. Nie wiedział, czy była ostateczna. W tej chwili o to nie dbał. Zamknął za sobą drzwi i położył się na łóżku z papierosem. Musi się stąd zabierać, i to szybko! Wyniesie się jutro rano. Żadnego naciągania Ravelstona! Żadnego szantażowania bogów przyzwoitości! W dół, w dół, w błoto - na ulicę, do przytułku i do więzienia. Tylko tam będzie mógł odzyskać spokój.

Powróciwszy na górę Ravelston zastał Rosemary samą i zbierającą się do odejścia. Pożegnała się, po czym nagle odwróciła się do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Czują, że zna go na tyle dobrze, by mu się zwierzyć.

- Bardzo pana proszę - czy spróbuje pan przekonać Gordona, żeby znalazł pracę?

- Zrobię, co będę mógł. To trudne, oczywiście. Myślę jednak, że niedługo znajdziemy mu jakąś pracę.

- Sprawia takie okropne wrażenie! Zupełnie się załamał. A poza tym, widzi pan, jest praca, którą mógłby łatwo dostać, gdyby zechciał - naprawdę dobra praca. Nie żeby nie mógł, on po prostu nie chce.

Wyjaśniła sprawę Nowego Albionu. Ravelston potarł nos.

- Tak. Prawdę powiedziawszy, wiem o tym. Rozmawialiśmy o tym, gdy odszedł z Nowego Albionu.

- Nie sądzi pan chyba, że postąpił słusznie, odchodząc? - powiedziała, domyśliwszy się natychmiast, że Ravelston sądził, iż Gordon postąpił słusznie.

- No cóż - przyznaję, że było to niezbyt mądre. W tym, co mówi, jest jednak spora doza prawdy. Kapitalizm jest zgniły, więc powinniśmy się trzymać z daleka - taka jest jego myśl. Nie jest to praktyczne, lecz w pewnej mierze logiczne.

- Och, zapewne jest to słuszne jako teoria! Kiedy jednak jest bez pracy i kiedy mógłby tę pracę dostać, gdyby tylko zechciał o nią poprosić - z *pewnością* nie uważa pan, że ma rację, odmawiając?

- Ze zdroworozsądkowego punktu widzenia - nie. Jednak w zasadzie - tak.

- Och, w zasadzie! Ludzie tacy jak my nie mogą sobie pozwolić na zasady. A tego właśnie Gordon zdaje się nie rozumieć.

Gordon nie opuścił mieszkania następnego ranka. Postanawia się takie rzeczy, chce się je wykonać; jednak kiedy czas nadchodzi, w zimnym świetle poranka, jakoś się ich nie wykonuje. Powiedział sobie, że zostanie jeszcze tylko jeden dzień; potem znowu był „jeszcze tylko jeden dzień”, aż upłynęło pięć dni od wizyty Rosemary, a on nadal krył się tu, żyjąc z łaski Ravelstona, nie mając nawet słabiutkiej nadziei na pracę. Nadal udawał, że szuka pracy, lecz robił to tylko dlatego, żeby zachować twarz.

Wychodził i pałętał się godzinami po bibliotekach publicznych, potem zaś wracał do domu, by, zdjawszy buty, położyć się w ubraniu na łóżku w pokoju gościnnym i palić papierosa za papierosem. Choć zatrzymywały go tam apatia i strach przed pójściem na ulicę, to jednak te pięć dni było czymś okropnym, piekielnym, ohydny. Nie ma nic straszliwszego pod słońcem niż mieszkanie w czyimś domu i jedzenie czyjegoś chleba bez zrobienia czegoś w zamian. Może najgorsze jest to wtedy, gdy dobroczyńca ani przez chwilę nie przyzna, że jest twoim

dobroczyńcą. Delikatność Ravelstona nie znalazła granic. Raczej by zginął, niż przyznał, że Gordon go naciąga. Zapłacił za Gordona grzywnę, zapłacił zaległy czynsz, utrzymywał go przez tydzień, a ponadto „pożyczył” mu jeszcze dwa funty; było to jednak głupstwo, po prostu umowa między przyjaciółmi, innym razem Gordon robi to samo dla niego. Od czasu do czasu Gordon czynił nikłe wysiłki, by się wyrwać, kończyły się one jednak zawsze tak samo.

- Słuchaj, Ravelston, nie mogę tu już dłużej zostać. Już zbyt długo mnie utrzymujesz. Wyprowadzam się jutro rano.

- Ależ stary! Bądźże rozsądny. Nie masz... - Lecz nie! Nawet teraz, gdy Gordon był w oczywisty sposób splukany, Ravelston nie był w stanie powiedzieć: „nie masz pieniędzy”. Takich rzeczy się nie mówi. Poszedł na kompromis: - A gdzie będziesz mieszkać?

- Bóg wie... nie zależy mi. Są takie domy noclegowe. Zostało mi parę szylingów.

- Nie bądź głupi. Lepiej zostań tutaj, dopóki nie znajdziesz pracy.

- Ale to może potrwać miesiące. Nie mogę być na twoim utrzymaniu.

- Bzdura, mój drogi! Miło mi, że ze mną mieszkasz.

Jednak w głębi serca wcale mu nie było miło, że Gordon z nim mieszkał. Dlaczego miało mu być miło? Sytuacja była niemożliwa. Cały czas istniało pomiędzy nimi napięcie. Tak zwykle bywa, gdy ktoś jest na utrzymaniu drugiej osoby. Jałmużna jest zawsze okropna, choćby nie wiadomo jak pieczołowicie ją zamaskowywać; pomiędzy dawcą i biorcą zawiązuje się nieprzyjemne uczucie, niemal ukryta nienawiść. Gordon wiedział, że jego przyjaźń z Ravelstonem nigdy już nie będzie taka jak

przedtem. Cokolwiek się stanie, pomiędzy nimi pozostanie pamięć tego złego czasu. Ciągłe miał poczucie swojego uzależnienia, tego, że przeszkadza, że jest nie chciany, że się naprzykrza. Prawie nie jadł podczas posiłków, nie chciał palić papierosów Ravelstona, lecz kupował sobie papierosy za parę pozostałych mu szylingów. Nie chciał nawet zapalać gazu w kominku w swojej sypialni. Gdyby mógł, stałby się niewidzialny. Codziennie różni ludzie przechodzili do mieszkania i do biura. Wszyscy spotykali Gordona i domyślali się jego pozycji. Mówili, że to jeszcze jeden z tych ulubionych przez Ravelstona naciągaczy. U paru osób wiszących u klamki „Antychrysta” zauważył nawet iskierkę zawodowej zawiści. Hermione Slater przyszła trzykrotnie w owym tygodniu. Po pierwszym z nią spotkaniu uciekał z mieszkania, gdy tylko się pojawiła; raz, gdy przyszła wieczorem, musiał czekać na ulicy, aż minęła północ. Również pani Beaver, sprzątaczką, „przejrzała” Gordona. Znała ten typ ludzi. Jeszcze jeden z tych młodych „piszących” nicponi, którzy naciągali biednego pana Ravelstona. Zatem w niezbyt wybredny sposób utrudniała życie Gordonowi. Jej ulubionym chwytym było przepędzanie go za pomocą miotły i śmietniczki z pokoju, w którym właśnie usiadł: - Panie Comstock, muszę posprzątać ten pokój, jeśli pan łaskawie pozwoli.

Wreszcie, całkiem nieoczekiwanie i bez żadnego wysiłku ze swej strony, Gordon dostał pracę. Pewnego ranka Ravelston otrzymał list od pana McKechniego. Pan McKechnie zmiękł - nie do tego stopnia wprawdzie, by przyjąć Gordona z powrotem, lecz do *tego stopnia*, że pomógł mu znaleźć inną pracę. Pisał, że niejaki pan Cheeseman, księgarz z Lambeth, poszukuje pomocnika. Z tego, co pisał, wynikało, że Gordon może dostać tę pracę, jeśli się tam zgłosi; wynikało z tego również, że był

w tym jakiś haczyk. Gordon słyszał coś o panu Cheesemanie - w handlu książkami wszyscy się znają. W gruncie rzeczy wiadomość wywołała w nim tylko zdudzenie. Tak naprawdę to nie chciał tej pracy. Nie chciał już więcej pracować; chciał tylko się pograżać, bezwolnie pograżać się w błoto. Nie mógł jednakże rozczarować Ravelstona po tym wszystkim, co ten dla niego zrobił. Zatem tego samego ranka poszedł do Lambeth, by dowiedzieć się o pracę.

Sklep znajdował się na podupadłej ulicy na południe od mostu Waterloo. Był ciasny i nędzny, a nazwisko na szyldzie, wypisane wypłowiałymi złoconymi literami, brzmiało nie Cheeseman, lecz Eldridge. Jednakże na wystawie znajdowało się parę cennych, oprawnych w cielęcą skórę ksiąg i parę szesnasto wiecznych eh map, które, jak sądził Gordon, musiały być warte bardzo wiele. Najwyraźniej pan Cheeseman specjalizował się w „rzadkich” książkach. Gordon zdobył się na odwagę i wszedł.

Na brzęk dzwonka z kantorka za sklepem wynurzył się drobny, nieprzyjazny stwór, o ostrym nosie i gęstych czarnych brwiach. Spojrzał na Gordona ze wścibską złośliwością. Gdy się odezwał, zabrzmiało to dziwnie przykrótco, jak gdyby przegryzał każde słowo na pół, zanim mu się wymknęło. „Co mge dla pna zbić”, tak to brzmiało mniej więcej. Gordon wyjaśnił, w jakim celu przyszedł. Pan Cheeseman obrzucił go znaczącym spojrzeniem i odpowiedział w ten sam okrojony sposób.

- Co? Comstock, co? Tędy. Kantorek mam z tyłu. Czekałem na pna.

Gordon podążył za nim. Pan Cheeseman był złowrogim człowieczkiem, niemal tak niskim, że można by go nazwać karłem; miał bardzo czarne włosy i był nieco ułomny. Zazwyczaj karzeł ma normalny tułów i bardzo krótkie

nogi. Z panem Cheesemanem było odwrotnie. Nogi miał normalnej długości, natomiast górna połowa jego ciała była tak krótka, że pośladki zdawały się wyrastać tuż pod ramionami. Gdy szedł, przypominał sobą nożyczki. Posiadał potężne kościste ramiona karła, duże brzydkie dłonie, a głową wykonywał wścibskie ruchy. Jego odzież miała ów osobliwie zahartowany i połyskliwy wygląd starych i bardzo brudnych ubrań. Właśnie wchodzili do kantorka, gdy dzwonek zabrzączał znowu; wszedł klient trzymając w ręku pół korony i książkę z pudełka sześciopensowych książek przed sklepem. Pan Cheeseman nie wyjął reszty z kasy - najwyraźniej nie było tam kasy - lecz wydobyl z jakiegoś zakamarka pod kamizelką bardzo zabrudzoną zamszową portmonetkę. Dzierzył tę portmonetkę (która niemal ginęła w jego dużych dłoniach) dziwnie tajemniczo, jak gdyby próbując ją ukryć.

- Lubię trzymać pieniądze w kieszeni - wyjaśnił, zerkając w górę, gdy wchodzili do kantorka.

Pan Cheeseman skracał słowa najwidoczniej w przekonaniu, że słowa kosztują, więc nie powinno się ich marnować. W kantorku odbyli rozmowę, pan Cheeseman zaś wydobyl z Gordona wyznanie, że zwolniono go z pracy za pijaństwo. W istocie wiedział już o tym. Słyszał o Gordonie od pana McKechniego, którego spotkał na aukcji kilka dni wcześniej. Usłyszawszy o tej historii nastawił uszu, bowiem poszukiwał pomocnika, pomocnik zaś, którego zwolniono za pijaństwo, otrzyma oczywiście mniejszą płacę. Gordon zorientował się, że jego pijaństwo będzie użyte jako broń przeciwko niemu. Jednakże pan Cheeseman nie wydawał się wrogo usposobiony. Wyglądał na osobę, która cię oszuka, jeśli będzie mogła, będzie się nad tobą znęcać, jeśli na to pozwolisz, ale która będzie cię także traktować z dobroduszną pogardą. Zaczął

się Gordonowi zwierzać, mówił o warunkach w handlu i chichocząc przechwalał się własną przebiegłością. Chichotał osobiwie, usta wyginały mu się w kącikach do góry, a duży nos zdawał się niemal w nich ginać.

Jak powiedział Gordonowi, przyszedł mu ostatnio pomysł zyskowej działalności ubocznej. Miał zamiar otworzyć wypożyczalnię za dwa pensy; będzie jednak musiała być całkowicie oddzielona od sklepu, gdyż coś tak pospolitego odstraszałoby bibliofilów, przychodzących do sklepu w poszukiwaniu „rzadkich” książek. Miał w pobliżu wynajęty lokal, do którego w przerwie obiadowej zaprowadził Gordona. Lokal ów znajdował się na tej samej ponurej ulicy, pomiędzy upstrzoną przez muchy wędliniarnią a dość szykownym zakładem pogrzebowym. Wzrok Gordona przyciągnęły reklamy na wystawie zakładu pogrzebowego. Okazuje się, że można być pochowanym za jedyne dwa i pół funta. Mogą cię nawet pochować na raty. Była tam również reklama kremacji: „Godne, higieniczne i niedrogie”.

Lokal składał się z jednego wąskiego pomieszczenia - a właściwie kiszki z oknem na całą szerokość ściany, umeblowanie zaś stanowiły: tanie biurko, jedno krzesło oraz kartoteka. Puste, świeżo malowane półki stały w pogotowiu. Gordon zorientował się natychmiast, że nie będzie to tego rodzaju wypożyczalnia, jaką kierował u McKechniego. Wypożyczalnia McKechniego była na stosunkowo wysokim poziomie. Nie schodziła poniżej Dell, a miała nawet książki Lawrence'a i Huxleya. Ta zaś była jedną z tych tanich i okropnych małych wypożyczalni (nazywano je „pączkującymi wypożyczalniami”), które powstają w całym Londynie, przeznaczonych specjalnie dla niewykształconych mas. W takich wypożyczalniach nie ma ani jednej książki wzmiankowanej w recenzjach lub

znanej ludziom kulturalnym. Książki tego rodzaju publikują specjalne podrzędne firmy, a produkują je nieszczęsne pismaki z szybkością czterech książek na rok, automatycznie jak kiełbaski i znacznie mniej fachowo. W rezultacie są to jedynie opowiadania za cztery pensy, udające powieści; właściciela wypożyczalni zaś kosztują jedynie szylinga i osiem pensów. Pan Cheeseman wyjaśnił, że jeszcze nie zamówił książek. Mówił o „zamawianiu książek” tak, jak się mówi o zamawianiu tony węgla. Powiedział, że zamierza zacząć od pięciuset wybranych tytułów. Półki podzielono już na sektory: „Seks”, „Zbrodnia”, „Dziki Zachód” i tak dalej.

Zaofiarował pracę Gordonowi. Była bardzo prosta. Trzeba było tylko siedzieć tam przez dziesięć godzin dziennie, podawać książki, brać pieniądze i pozbywać się co bardziej rzucających się w oczy złodziei książek. Płaca, dodał z badawczym, rzuconym z ukosa spojrzeniem, wynosi trzydzieści szylingów tygodniowo.

Gordon zgodził się natychmiast. Pan Cheeseman był może nieco rozczarowany. Oczekiwał dyskusji i chętnie by zmiażdżył Gordona przypominając mu, że żebracy nie mogą przebierać. Jednakże Gordon był zadowolony. Praca może być. Taka praca nie sprawiała najmniejszego kłopotu: nie było tu miejsca na ambicję, nie było wysiłku, nie było nadziei. Mniej o dziesięć szylingów - o dziesięć szylingów bliżej błota. Tego właśnie pragnął.

„Pożyczył” od Ravelstona jeszcze dwa funty i wynajął umeblowany pokój, osiem szylingów tygodniowo, w brudnym zaułku równoległym do Lambeth Cut. Pan Cheeseman zamówił pięćset wybranych tytułów, Gordon zaś rozpoczął pracę dwudziestego grudnia. Tak się złożyło, że były to jego trzydzieste urodziny.

Pod powierzchnię, pod powierzchnię! W bezpieczne, miękkie łono ziemi, gdzie nie ma zdobywania ani tracenia pracy, nie ma nękających cię krewnych ani przyjaciół, nie ma nadziei, strachu, ambicji, honoru, obowiązku - nie ma żadnych wierzyieli. Właśnie tam pragnął się znajdować.

Nie pragnął jednak śmierci, śmierci fizycznej. Było to dziwne uczucie. Miał je od tego ranka, gdy obudził się w policyjnej celi. Zły, buntowniczy nastrój, który następuje po pijaństwie, najwyraźniej wszedł mu w zwyczaj. Owa pijana noc stanowiła przełom w jego życiu. W dziwnie nagły sposób pociągnęła go w dół. Przedtem walczył z kodeksem pieniądza, lecz mimo to trwał przy nieszczęsnych resztkach przyzwoitości. Teraz zaś chciał uciec właśnie od przyzwoitości. Chciał iść na dno, głęboko, w jakiś świat, gdzie przyzwoitość nie miała już znaczenia; przeciąć więzy poczucia godności własnej, pójść pod wodę - *pograćzyć się*, jak powiedziała Rosemary. W jego umyśle łączyło się to z przekonaniem, że znajduje się *pod powierzchnię*. Lubił myśleć o ludziach straconych, o ludziach spod powierzchni, włóczęgach, żebrakach, przestępcach, prostytutkach. Ich świat jest dobry, mieszkają w nim gdzieś tam na dnie, w dusznych norach i melinach. Lubił

myśleć, że pod światem pieniędzy znajduje się ten wielki, niechlujny świat podziemny, gdzie klęska i sukces nic nie znaczą; coś w rodzaju królestwa upiorów, gdzie wszyscy są równi. Tam właśnie chciał być, na dnie, w upiornym królestwie, *poniżej* wszelkich ambicji. Pewną ulgę sprawiała mu myśl o zadymionych slumsach południowego Londynu, ciągnących się bez końca, o ogromnej, nędznej pustyni, gdzie można się zgubić na dobre.

W pewnym sensie takiej właśnie pracy chciał; w każdym razie, chciał czegoś podobnego. Tu w Lambeth, w zimie, w mrocznych ulicach, gdzie przesuwwały się we mgle żółtawe twarze amatorów herbaty, miało się to uczucie *bycia pod wodą*. Tutaj nie miało się kontaktu z pieniędzmi ani z kulturą. Nie było tu inteligentnych klientów, przy których trzeba było udawać intelektualistę; nikt tutaj nie zapytałby w ten wścibski sposób właściwy ludziom zamożnym: - Co pan robi w tej pracy, z pana umysłem i wykształceniem? - Byłeś częścią dzielnicy nędzy i jak wszyscy jej mieszkańcy, czymś oczywistym. Przychodzący do wypożyczalni młodzieńcy i dziewczęta oraz ubłocone kobiety w średnim wieku rzadko zauważali to, że Gordon był człowiekiem wykształconym. Był po prostu „facetem z wypożyczalni”, praktycznie jednym z nich.

Sama praca była oczywiście całkowicie bezużyteczna. Po prostu siedziało się tam dziesięć godzin dziennie, sześć godzin w czwartki, wydając książki, odnotowując je i przyjmując dwupensówki. Pomiedzy tymi czynnościami nie było co robić, poza czytaniem. Nie było nic do oglądania na opustoszałej ulicy za oknem. Najważniejszym wydarzeniem dnia bywał przyjazd karawanu do zakładu pogrzebowego obok. Interesowało to nieco Gordona, bowiem z jednego konia ścierała się farba, tak że stopniowo przybierał dziwny sinawobrazowy odcień. Gdy

nie było klientów, spędzał czas głównie na czytaniu szmiry w żółtych okładkach, jaka znajdowała się w wypożyczalni. Książki tego rodzaju można czytać z szybkością jednej na godzinę. Takie książki mu teraz odpowiadały. Te rzeczy w wypożyczalniach za dwa pensy to prawdziwa „literatura ucieczki”. Nie wymyślono nigdy niczego, co by wymagało mniej wysiłku od inteligencji; w porównaniu z tym nawet film wymaga pewnego wysiłku. Zatem gdy klient zażądał książki z takiej czy innej kategorii, czy to chodziło o „Seks” lub „Zbrodnię”, czy też o „Dziki Zachód” lub „Romans”, Gordon mógł udzielić fachowej porady.

Pan Cheeseman nie był złym pracodawcą, jeśli się przyjęło do wiadomości, że nawet gdyby harować do dnia Sądu Ostatecznego, nie dostanie się podwyżki. Nie trzeba dodawać, że podejrzewał Gordona o podkradanie pieniędzy z kasy. Po tygodniu czy dwóch wymyślił nowy system księgowania, dzięki któremu było wiadomo, ile książek wypożyczono, co można było porównać z dochodem dziennym. Jednakże Gordon nadal był w stanie (tak przynajmniej sądził) wydawać książki bez zapisywania ich; zatem dalej trapiła go myśl, jak groch pod materacem księżniczki, że Gordon może go oszukiwać na sześć pensów czy nawet na szylinga dziennie. Mimo to, choć tak ponury i o wyglądzie karła, dawał się trochę lubić. Wieczorami, po zamknięciu sklepu, gdy przychodził do wypożyczalni po odbiór dziennego utargu, rozmawiał zwykle jakiś czas z Gordonem i opowiadał chichocząc znacząco o szczególnie przebiegłych szwindlach, które mu się ostatnio powiodły. Gordon odtworzył na podstawie tych rozmów historię pana Cheesemana. Dorobił się na handlu zużytą odzieżą, co było, można by powiedzieć, jego powołaniem duchowym, księgarnię zaś

odziedziczył po wuju trzy lata temu. Była to wówczas jedna z owych okropnych księgarni, gdzie nie ma nawet półek i gdzie książki leżą w olbrzymich zakurzonych stertach bez żadnego porządku. Odwiedzali ją również kolekcjonerzy, gdyż w stertach śmiecia zdarzała się czasem cenna książka, lecz prosperowała głównie dzięki sprzedaży używanych dreszczowców w wydaniu broszurowym po dwa pensy. Pan Cheeseman obejmował w posiadanie ową kupę śmiecia z uczuciem głębokiej odrazy. Nienawidził książek i jeszcze wówczas nie rozumiał, że można na nich zrobić pieniądze. Nadal prowadził sklep z używaną odzieżą przy pomocy zastępcy, zamierzając tam powrócić, gdy tylko dostanie korzystną propozycję w sprawie księgarni. Jednakże wkrótce uświadomił sobie, że książki warte są pieniądze, jeśli się nimi właściwie handluje. Dokonawszy tego odkrycia, wykształcił w sobie zadziwiający dryg do handlu książkami. W ciągu dwóch lat rozwinął sklep, aż stał się on jednym z najlepszych w Londynie sklepów tej wielkości, specjalizujących się w „rzadkich” książkach. Książka była dla niego towarem w takim samym stopniu, jak para używanych spodni. Sam nigdy nie przeczytał *ani jednej* książki, więc nie mógł też pojąć, dlaczego inni to robią. Do kolekcjonerów, którzy zagłębiali się czule w jego rzadkie wydania, miał stosunek taki, jak oziębła seksualnie prostytutka do swoich klientów. Jednakże zdawał się poznawać samym tylko dotykiem, czy książka jest cenna, czy nie. Jego głowa była prawdziwą kopalnią danych z aukcji oraz dat pierwszych wydań, a ponadto miał wspaniałego nosa do interesów. Jego ulubionym sposobem nabywania towaru było zakupywanie bibliotek niedawno zmarłych ludzi, a zwłaszcza duchownych. Gdy tylko umierał duchowny, pan Cheeseman znajdował się na miejscu z szybkością sępa. Jak

wyjaśnił Gordonowi, duchowni często miewają dobre biblioteki i nie znające się na niczym żony. Mieszkał nad sklepem, był oczywiście nieżonaty, nie miał żadnych rozrywek i najwyraźniej żadnych przyjaciół. Gordon zastanawiał się czasem nad tym, co pan Cheeseman robi wieczorami, gdy nie węszy za interese. Wyobrażał sobie pana Cheesemana, jak siedzi w pokoju zamkniętym na dwa zamki i z opuszczonymi okiennicami i liczy sterty półkoronówek oraz kupki banknotów funtowych, które następnie chowa starannie do pudeł po papierosach.

Pan Cheeseman terroryzował Gordona i tylko szukał pretekstu, by mu obciąć płacę; nie żywił jednak do niego żadnej urazy. Czasem gdy przychodził wieczorem do wypożyczalni, wyjmował z kieszeni zatłuszczone paczkę chrupek ziemniaczanych Smitha i wysuwając ją ku niemu powiadał swym skrótowym stylem:

- Może chipsa?

Jego duża dłoń zwykle dzierżyła paczkę tak mocno, że nie można było wyjąć więcej niż dwa lub trzy chipsy. Miał to być jednak gest przyjaźni.

Dom, gdzie Gordon mieszkał, w Brewer's Yard, biegnącym równoległe do Lambeth Cut od strony południowej, był brudną norą. Jego pokój kosztował osiem szylingów tygodniowo i znajdował się tuż pod dachem. Pochyły sufit - pokój miał kształt okrawka sera - i świetlik zamiast okna przywodziły na myśl przysłowiowe poddasze poety. Znajdowało się tam duże, niskie, sfatygowane łóżko z obszarpaną, zszytą z kawałków kołdrą i pościelą zmienianą co dwa tygodnie; ponadto sosnowy stół poznaczony przez całe pokolenia czajników; kulawe kuchenne krzesło; blaszana miednica do mycia; palnik gazowy za kratą kominka. Gołych desek podłogi nigdy nie malowano, były natomiast pociemniałe od brudu. W szparach różowej

tapety mieszkały rzesze pluskiew, była jednakże zima, więc spały, o ile nie ogrzewało się zanadto pokoju. Tutaj każdy sam ściecił łóżko. Pani Meakin, gospodyni, sprzątała pokoje teoretycznie codziennie, lecz przez cztery dni na pięć schody sprawiały jej zbyt dużo kłopotu. Niemal wszyscy lokatorzy gotowali w pokojach swe nędzne posiłki. Nie było oczywiście kuchenek gazowych; po prostu palnik gazowy za kratą kominka, oraz, dwie kondygnacje schodów niżej, śmierdzący zlew, wspólny dla całego domu. Również na poddaszu, obok pokoju Gordona, mieszkała wysoka, przystojna staruszka, niezbyt zdrowa na umyśle, której twarz bywała często czarna od brudu jak twarz Murzyna. Gordon nie mógł się zorientować, skąd się brał ten brud. Wyglądał jak pył węglowy. Dzieci z sąsiedztwa wołały za nią „czarnucha!”, gdy kroczyła chodnikiem niczym królowa z tragedii, mówiąc do siebie. Piętro niżej mieszkała kobieta z dzieckiem, które wiecznie płakało; ponadto młoda para, która często urządzała okropne kłótnie, a także okropne przeprosiny; słyhać je było w całym domu. Na parterze malarz pokojowy z żoną i pięciorgiem dzieci egzystował z zasiłku i sporadycznych prac dorywczych. Pani Meakin, gospodyni, zamieszkiwała jakąś norę w suterenie. Gordon lubił ten dom. Był bardzo odmienny od domu pani Wisbeach. Nie było tu skąpej drobnomieszczańskiej przyzwoitości, nie było uczucia, że ktoś szpieguje i jest niezadowolony. Jeśli płaciło się czynsz, można było robić niemal wszystko, co się chciało: wracać do domu pijanym i wpełzać na górę po schodach, przyprowadzać kobiety o każdej porze, leżeć cały dzień w łóżku, gdy się miało ochotę. Mama Meakin nie była z tych, co to się wtrącają. Była rozczochraną, galaretowatą staruszką o figurze bochenka chleba. Ludzie mówili, że w młodości nie była lepsza niż należało, i chyba była to

prawda. Traktowała czule wszystko, co nosiło spodnie. Wyglądało na to, że w piersi jej ostały się ślady poczucia przyzwoitości. Tego dnia, kiedy Gordon się wprowadził, usłyszał, jak sapie i wspina się z wysiłkiem po schodach, najwyraźniej taszcząc jakiś ciężar. Zapukała lekko w drzwi kolanem, czy też miejscem, gdzie powinno się znajdować kolano, więc ją wpuścił.

- Masz pan - wysapała uprzejmie, wchodząc z pełnymi ramionami. - Wiedziałam, że się panu spodoba. Lubię jak się moi lokatorzy dobrze czują. Postawie to panu na stole. No! Tera pokój wygląda przyjemniej, no nie?

Była to aspidistra. Widok ten sprawił mu niejaki ból. Nawet tutaj, w tej ostatniej przystani! Odnalazłeś mnie, o mój nieprzyjacielu? Był to jednakże nędzny, cherlawy okaz - i najwyraźniej obumierał.

Byłby tutaj szczęśliwy, gdyby tylko ludzie zostawili go w spokoju. Było to miejsce, gdzie naprawdę można być szczęśliwym, żyjąc w niechlujstwie. Spędzać dni w bezsensownej mechanicznej pracy, w pracy, którą można odwalać jakby w śpiączce; wracać do domu i zapalać ogień, jeśli się ma węgiel (w sklepie były worki po sześć pensów), i ogrzewać duszne, małe poddasze; zasiadać do nędznego posiłku, składającego się z boczku, chleba z margaryną i herbaty zagotowanej na palniku gazowym; leżeć na niechlujnym łóżku, czytając dreszczowiec lub rozwiązując szarady w „Tit Bits” do późnych godzin nocnych; takiego właśnie życia pragnął. Jego zwyczaje szybko uległy degradacji. Nie golił się teraz częściej niż trzy razy w tygodniu i mył tylko te części ciała, które było widać. W pobliżu znajdowała się dobra łaźnia, lecz na ogół nie chodził tam częściej niż raz na miesiąc. Nigdy nie ścielił porządnie łóżka, lecz tylko podwijał prześcieradła, nigdy też nie mył swych paru naczyń, póki nie użył wszystkich

dwukrotnie. Wszystko pokrywała warstwa kurzu. Za kratą kominka znajdowała się zawsze tłusta patelnia i parę talerzy pokrytych resztkami sadzonych jajek. Pewnego wieczoru z jednej ze szpar wyszły pluskwy i maszerowały przez sufit dwójkami. Leżał na łóżku z rękami pod głową, przyglądając się im z zainteresowaniem. Bez żalu, niemal rozmyślnie, przystawał na taki upadek. U źródła jego odczuć tkwiło nadąsanie, postawa *je m'enfotts* w stosunku do świata. Życie go pokonało; lecz można jeszcze pokonać życie, odwracając się od niego. Lepiej się pograżać, niż wznosić. W dół, w dół do upiornego królestwa, do mrocznego świata, gdzie nie istnieje wstyd, wysiłek, przyzwoitość!

Pograć się! Jakież to powinno być łatwe, skoro tak niewielu jest współzawodników! A jednak dziwne, że często trudniej się pograżać, niż wznosić. Zawsze coś ciągnie człowieka w górę. W końcu nigdy człowiek nie jest całkiem samotny; są przecież przyjaciele, kochanki, krewni. Wyglądało na to, że każdy, kto znał Gordona, pisał do niego, współczując mu lub go strasząc. Ciotka Angela napisała, wuj Walter napisał, Rosemary napisała kilkakrotnie, Ravelston napisał, Julia napisała. Nawet Flaxman przysłał parę słów, życząc mu szczęścia. Zona przebaczyła mu, więc mieszkał znowu w Peckham, w aspidistralnym błogostanie. Gordon nienawidził teraz listów. Były łącznikiem z tamtym innym światem, od którego próbował uciec.

Nawet Ravelston zwrócił się przeciwko niemu. Stało się to po jego odwiedzinach w nowym mieszkaniu Gordona. Do tej wizyty nie zdawał sobie sprawy, w jakim otoczeniu Gordon zamieszkuje. Gdy taksówka zatrzymała się na rogu, przy Waterloo Road, jak spod ziemi zleciała wataha obdartych, kudłatych chłopców, by walczyć przy drzwiach taksówki niczym ryby wokół przynęty. Trzech uchwyciło się klamki i równocześnie otworzyło drzwi. Ich

służalce, brudne twarzyczki, pełne nadziei, przyprawiły go o mdłości. Cisnął pomiędzy nich trochę pensów i pomknął w zaułek, nie oglądając się. Wąskie chodniki były utyłane psim łajnem, co budziło zdziwienie, gdyż nigdzie nie było widać psów. Mama Meakin gotowała w suterenie łupacza, a zapach czuć było do połowy schodów. Na poddaszu Ravelston usiadł na kulawym krześle, mając pochyły sufit tuż nad głową. Ogień wygaś, a w pokoju nie było żadnego światła poza czterema świecami dopalającymi się na spodku obok aspidistry. Gordon leżał na rozbabranym łóżku, w ubraniu, choć bez butów. Nawet się nie poruszył, gdy Ravelston wszedł. Po prostu leżał na wznak, uśmiechając się czasem, jak gdyby wymieniał żarty z sufitem. Pokój miał już ów zatechły, słodkawy odór pokoi od dawna zamieszkiwanych, lecz nigdy nie sprzątanym. Za kratą kominka leżały w nieładzie brudne naczynia.

- Może herbaty? - powiedział Gordon nie poruszając się.

- Nie, dziękuję bardzo... nie - powiedział Ravelston ze zbytnim nieco pośpiechem.

Zdażył już dostrzec przy kominku filiżanki z brązowymi plamami oraz odrażający wspólny zlew na dole. Gordon dobrze wiedział, dlaczego Ravelston nie chciał herbaty. Atmosfera tego domu zaszokowała Ravelstona. Ten okropny odór pomyj i ta woń ryb na schodach! Spojrzał na Gordona, leżącego na wznak na rozbabranym łóżku. Do licha, przecież Gordon jest człowiekiem kulturalnym! W innej sytuacji byłby odtrącił taką myśl; jednakże w tej atmosferze zbożne oszustwo było niemożliwe. Wszystkie jego instynkty klasowe, których, jak wierzył, nie posiadał, zbuntowały się. Okropna była myśl, że ktoś rozumny i subtelny może żyć w takim miejscu. Chciał powiedzieć Gordonowi, żeby się stąd wyrwał, wziął w garść, zaczął zarabiać przyzwoicie i żyć jak

człowiek kulturalny. A jednak nie powiedział tego. Nie można mówić takich rzeczy. Gordon zdawał sobie sprawę, jakie myśli przebiegały Ravelstonowi przez głowę. Właściwie bawiło go to. Nie odczuwał wdzięczności dla Ravelstona, że przyszedł go odwiedzić; przeciwnie: nie wstydził się swego otoczenia, jak wstydziłby się tego dawniej. W jego głosie zabrzmiało lekkie, złośliwe rozbawienie.

- Myślisz, oczywiście, że jestem durniem - rzucił uwagę w kierunku sufitu.

- Nie, nie myślę. Dlaczego miałbym tak myśleć?

- Ależ tak, tak myślisz. Myślisz, że jestem durniem, bo siedzę w tym plugawym miejscu, zamiast postarać się o przyzwoitą pracę. Myślisz, że powinienem starać się o tę pracę w Nowym Albionie.

- Nie, do licha! Nigdy tak nie myślałem. Dobrze rozumiem, o co ci chodzi. Już ci to powiedziałem. Myślę, że w zasadzie masz zupełną słuszność.

- Myślisz także, że zasady są w porządku, dopóki nie próbuje się ich zastosować w praktyce.

- Nie. Lecz zawsze pozostaje pytanie, kiedy się właściwie stosuje je w praktyce?

- To całkiem proste. Wydałem wojnę pieniądзом. Doprowadziła mnie właśnie tutaj.

Ravelston potarł nos, a potem poruszył się z zakłopotaniem na krześle.

- Czyż nie rozumiesz, że popełniasz błąd, myśląc, że można żyć w zepsutym świecie, samemu nie ulegając zepsuciu? Co właściwie osiągasz, odmawiając zarabiania pieniędzy? Próbujesz postępować tak, jak gdyby można było postawić się poza naszym systemem ekonomicznym. To jednak niemożliwe. Trzeba albo zmienić system, albo się nie zmienić niczego. Nie można naprawiać świata w pokątny sposób, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Gordon pomachał nogą w kierunku zapluskwionego sufitu.

- Przyznaję, że to jest właśnie ten ką.
- Nie to miałem na myśli - powiedział Ravelston urażony.
- Spójrzmy prawdzie w oczy. Uważasz, że powinienem szukać *dobrej* pracy, prawda?

- To zależy od pracy. Uważam, że masz całkowitą słuszość, nie chcąc się sprzedać tej agencji reklamowej. Jednak szkoda, byś pozostał w tej nieszczęsnej pracy co teraz. Przecież naprawdę masz zdolności. Powinieneś jakoś ich używać.

- Pozostają moje wiersze - powiedział Gordon, uśmiechając się ze swego żartu.

Ravelston zmieszał się. Ta uwaga zmusiła go do milczenia. Oczywiście, pozostawały wiersze Gordona. Na przykład *Rozrywki londyńskie*. Ravelston wiedział i Gordon wiedział, i każdy z nich wiedział, że ten drugi wie, że *Rozrywki londyńskie* nigdy nie doczekają się końca. Gordon przypuszczalnie już nigdy nie napisze ani jednej linijki poezji - przynajmniej dopóki pozostanie w tym ohydnym miejscu, w tej pracy bez widoków na przyszłość, i dopóki będzie w tym przybitym nastroju. Skończył już z takimi sprawami. Ale tego jednak nie można było jeszcze powiedzieć. Nadal podtrzymywali pozory, że Gordon jest przebijającym się poetą - stereotypowym poetą z poddasza.

Wkrótce Ravelston zaczął zbierać się do odejścia. Śmierdzący pokój wprawiał go w przygnębienie, a ponadto Gordon najwyraźniej nie życzył go tu sobie. Skierował się z wahaniem ku drzwiom, wkładając rękawiczki, potem zawrócił, ściągnąwszy lewą rękawiczkę i uderzając się nią po nodze.

- Posłuchaj, Gordon, chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, co powiem - to plugawe miejsce, wiesz o tym dobrze. Ten dom, ta ulica - wszystko.

- Wiem. To chlew. To mi odpowiada.

- Lecz czy naprawdę *musisz* mieszkać w takim miejscu?
- Mój drogi, wiesz, ile zarabiam. Trzydzieści szylingów tygodniowo.

- Tak, ale... Są chyba jakieś lepsze miejsca? Jaki czynsz płacisz?

- Osiem szylingów.

- Osiem szylingów? Możesz za to wynająć całkiem przyzwoity pokój nieumeblowany. W każdym razie coś nieco lepszego. Posłuchaj, wynajmiesz nieumeblowany pokój, a ja ci pożyczę dziesięć funtów na meble, zgoda?

- „Pożyczysz” mi dziesięć funtów! Po tym, co mi już „pożyczyłeś”? Chcesz powiedzieć, że *dasz* mi dziesięć funtów.

Ravelston spoglądał zmieszany na ścianę. Do licha, jak trudno to powiedzieć! Powiedział głucho:

- Dobrze, jeśli chcesz to tak ująć. *Dam* ci dziesięć funtów.

- Tak się jednak składa, widzisz, że ja ich nie chcę.

- Do licha! Mógłbyś przecież mieszkać w jakimś przyzwoitym miejscu.

- Ale ja nie chcę przyzwoitego miejsca. Chcę nieprzyzwoitego miejsca. Na przykład tego.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Pasuje do mojej pozycji - powiedział Gordon, odwracając się twarzą do ściany.

Parę dni później Ravelston napisał do niego długi, nieśmiały list. Powtarzał w nim wielokrotnie to, co powiedział w rozmowie. Ogólna wymowa była taka, że Ravelston rozumie doskonale, o co Gordonowi chodzi, że w tym, co Gordon mówił, było wiele prawdy, że Gordon miał w zasadzie całkowitą słuszność, ale... Oczywiście, nieuniknione „ale”. Gordon nie odpowiedział. Upłynęło kilka miesięcy, zanim znowu się spotkał z Ravelstonem.

Ravelston wielokrotnie próbował nawiązać z nim kontakt. To dziwne - a raczej wstydliwe z socjalistycznego punktu widzenia - że myśl, iż Gordon, który posiadał intelekt i pochodził z dobrej rodziny, przyczaił się w tym ohydny miejscu i w tej niemal służalczej pracy, trafiła go bardziej niż myśl o dziesięciu tysiącach bezrobotnych w Middlesbrough. Chcąc podnieść na duchu Gordona napisał kilkakrotnie, prosząc, żeby coś przysłał do „Antychrysta”. Gordon nie odpowiedział. Wydawało mu się, że ich przyjaźń się skończyła. Zepsuł wszystko ten zły czas, gdy był na utrzymaniu Ravelstona. Dobroczynność zabija przyjaźń.

Były jeszcze Julia i Rosemary. Tym się różniły od Ravelstona, że nie wstydziły się mówić, co myślą. Nie mówiły eufemistycznie, że Gordon „ma w zasadzie słuszną”; wiedziały, że odmowa przyjęcia „dobrej” pracy nigdy nie jest słuszna. Ciągłe go błagały, by powrócił do Nowego Albionu. Najgorsze było to, że prześladowały go obie naraz. Nie znały się przed tą całą historią, lecz teraz Rosemary jakoś zdołała nawiązać kontakt z Julią. Były w kobiecej zмовie przeciw niemu. Spotykały się i rozmawiały o tym, jak „irytująco” Gordon się zachowuje. To jedno miały wspólne, tę kobiecą wściekłość wobec jego „irytującego” zachowania. Dręczyły go razem i z osobna, listownie i słownie. Było to nie do zniesienia.

Dzięki Bogu, żadna jeszcze nie widziała jego pokoju u Mamy Meakin. Rosemary może by to wytrzymała, lecz widok tego brudnego poddasza przyprawiłby chyba Julię o śmierć. Odwiedziły go w wypożyczalni, Rosemary wielokrotnie, Julia raz, gdy zdołała wymyślić jakiś pretekst, żeby się wyrwać z cukierni. Już to im wystarczyło. Przeraziły się ujrawszy małą, nędzną i ponurą wypożyczalnię. Praca u McKechniego, choć źle płatna, nie była pracą, której należało się wstydzić. Gordon stykał się w niej

z kulturalnymi ludźmi; ponieważ sam był „pisarzem”, mogła go „do czegoś doprowadzić”. Lecz tutaj, w ulicy ruder, to wydawanie szmiry w żółtych okładkach za trzydzieści szylingów tygodniowo - jakąż mogła być nadzieja w takiej pracy? Była to praca dla wyrzutka, praca bez perspektyw. Spacerując wieczorami ponurą zamgloną ulicą po zamknięciu wypożyczalni, Gordon i Rosemary ciągle się o to kłócili. Nie dawała mu spokoju. Czy wróci do Nowego Albionu? *Dlaczego* nie wróci do Nowego Albionu? Mówił jej zawsze, że Nowy Albion nie przyjmie go z powrotem. Przecież nie poprosił o tę pracę i nie było wiadomo, czy ją dostanie; wołał pozostawić to w niepewności. Było w nim teraz coś, co ją martwiło i przerażało. Tak wyraźnie zmienił się nagle na gorsze. Domyśliła się, choć nie mówił jej tego, że pragnie uciec od wysiłku i przyzwoitości, pograć się, pograć się ostatecznie w błoto. Odwrócił się nie tylko od pieniędzy, lecz także od życia. Nie spierali się teraz tak, jak się spierali za dawnych czasów, zanim Gordon stracił pracę. Wówczas raczej nie zwracała uwagi na jego nedorzeczne teorie. Jak żart traktowała jego tyrady przeciwko moralności pieniądza. Nie wydawało się mieć wielkiego znaczenia to, że czas upływał, a szansa, by Gordon przyzwoicie zarabiał na życie, była niezmiernie mało prawdopodobna. Nadal uważała się wówczas za młodą dziewczynę, *przyszłość zaś* wydawała się nie mieć granic. Patrzyła, jak zmarnował dwa lata swego życia - a właściwie dwa lata *jej* życia; jednak protestowanie uważałaby za samolubne.

Teraz jednak zaczęła się bać. Skrzydlaty rydwan czasu się przybliżał. Gdy Gordon utracił pracę, zdała sobie nagle sprawę, z poczuciem, że dokonała wstrząsającego odkrycia, iż nie jest już taka młoda. Trzydzieste urodziny Gordona minęły; jej własne nie były zbyt odległe. Cóż

znajdowało się za nimi? Gordon pogrążył się bezwolnie w szare, śmiertelne bankructwo. Wydawało się, że pragnął tego. Jakąż mogli mieć teraz nadzieję na małżeństwo? Gordon wiedział, że to ona ma rację. Sytuacja była niemożliwa. Zatem w obojgu narastała myśl, jeszcze nie wypowiedziana, że będą się musieli rozstać na zawsze.

Mieli się spotkać pewnego wieczoru pod wiaduktem. Był okropny styczniowy wieczór; wyjątkowo nie było mgły, tylko wstrętny wiatr, który popiskiwał na rogach ulic i ciskał w twarz kurzem i strzępami papieru. Czekał na nią: niewielka skulona postać, niemalże w łachmanach; jego włosy szarpał wiatr. Była punktualna, jak zwykle. Podbiegła do niego, przyciągnęła jego twarz i ucałowała w zimny policzek.

- Gordon, kochanie, jaki jesteś zimny! Dlaczego wyszedłeś bez płaszcza?

- Płaszcz mam zastawiony.

- Myślałem, że wiesz.

- O Boże! Tak.

Spojrzała na niego, a pomiędzy jej czarnymi brwiami pojawiła się niewielka zmarszczka. W słabo oświetlonym przejściu wyglądał tak mizernie, taki przybity, z takimi cieniami na twarzy. Ujęła go pod ramię i pociągnęła do światła.

- Pospacerujemy. Za zimno, żeby stać. Chcę ci powiedzieć coś ważnego.

- Co?

- Myślę, że będziesz na mnie zły.

- O co chodzi?

- Dziś po południu widziałam się z panem Erskine'em. Poprosiłam go o parę minut rozmowy.

Wiedział, co teraz nastąpi. Próbował uwolnić ramię, lecz je przytrzymała.

- A więc? - powiedział nadąsany.

- Rozmawiałam z nim o tobie. Zapytałam go, czy przyjmie cię z powrotem. Odpowiedział oczywiście, że interesy idą źle i że nie mogą sobie pozwolić na przyjmowanie nowego personelu i tak dalej. Lecz przypomniałam mu, co ci powiedział, a on odparł, iż zawsze sądził, że się dobrze zapowiadasz. W końcu powiedział, że jest gotów znaleźć ci pracę, jeśli wrócisz. A więc jak widzisz, to jednak ja miałam rację. *Dadzą ci pracę.*

Nie odpowiedział. Ścisnęła go za ramię.

- A więc, co o tym myślisz? - spytała.

- Wiesz, co myślę - powiedział oziębło.

W istocie był zaniepokojony i zły. Tego właśnie się obawiał. Cały czas wiedział, że ona zrobi to prędzej czy później. W ten sposób sprawa stała się bardziej oczywista, jego wina zaś wyraźniejsza. Człapał dalej, z rękami w kieszeniach, pozwalając, by trzymała się jego ramienia, lecz nie patrząc na nią.

- Jesteś na mnie zły - powiedziała.

- Nie, nie jestem. Ale nie rozumiem, dlaczego musiałaś to zrobić za moimi plecami.

To ją uraziło. Musiała długo zabiegać, zanim udało jej się wydobyć tę obietnicę od pana Erskine'a. Musiała zebrać całą odwagę, by wyzwać dyrektora w jego jaskini. Strasznie się bała, że mogą ją za to wylać. Nie miała jednak zamiaru mówić o tym Gordonowi.

- Nie powinieneś tego nazywać: „za moimi plecami”. Przecież starałam ci się tylko pomóc.

- W jaki sposób może mi pomóc uzyskanie oferty pracy, której nie tknąłbym nawet końcem kija?

- To znaczy, że tam nie wrócisz? Nawet teraz?

- Nigdy.

-Dlaczego?

- Czy naprawdę musimy znowu o tym mówić? - powiedział ze znużeniem.

Ścisnęła go z całej siły za ramię i obróciła twarzą do siebie. Lgnęła do niego z rozpaczą. Uczyniła ostatni wysiłek i nie udało się. Czowała, że się jej wymyka, odpływa od niej jak duch.

- Złamiesz mi serce, jeśli będziesz postępował tak dalej - powiedziała.

- Wolałbym, żebyś się o mnie nie martwiła. Wszystko byłoby wtedy znacznie prostsze.

- Ale dlaczego masz marnować swoje życie?

- Mówiłem ci, że nic na to nie poradzę. Muszę trwać przy swoim.

- Czy wiesz, co to oznacza?

Czując chłód w sercu, lecz jednak z uczuciem rezygnacji, a nawet ulgi, powiedział:

- Oznacza rozstanie na zawsze.

Tak idąc wydostali się na Westminster Bridge Road. Wiatr powitał ich piaskiem, miotając w nich chmurę pyłu, co zmusiło ich do pochylenia głów. Znow się zatrzymali. Jej drobną twarz pokrywały zmarszczki, a zimny wiatr i zimne światło lamp nie dodawały jej urody.

- Chcesz się mnie pozbyć - powiedział.

- Nie. Nie. To nie tak.

- Ale czujesz, że powinniśmy się rozstać.

- Jakże możemy ciągnąć to w ten sposób? - powiedziała rozżalona.

- To trudne, przyznaję.

- To wszystko takie rozpaczliwe, takie beznadziejne! Do czego to prowadzi?

- A więc jednak mnie nie kochasz? - powiedział.

- Kocham, kocham! Wiesz, że tak.

- Możliwe, że w pewnym sensie. Lecz nie na tyle, żebyś mnie kochała, gdy wiadomo, że nigdy nie będę mieć

pieniędzy, by cię utrzymać. Chcesz mnie za męża, lecz nie za kochanka. Widzisz, to ciągle kwestia pieniędzy.

- To nie pieniądze, Gordon! To nie to.

- A właśnie że pieniądze. Pieniądze były między nami od początku. Pieniądze, zawsze pieniądze!

Scena trwała jakiś czas, lecz niezbyt długo. Oboje drżeli z zimna. Żadne uczucie nie znaczy wiele, gdy się stoi na rogu ulicy w przenikliwym wietrze. Rozstali się wreszcie bez ostatecznego pożegnania. Powiedziała po prostu: „muszę wracać”, pocałowała go i przebiegła przez ulicę do przystanku tramwajowego. Patrząc na jej odejście czuł przede wszystkim ulgę. Nie mógł tam stać i zadawać sobie pytania, czy ją kocha. Chciał po prostu odejść - odejść z wietrznej ulicy, odejść od scen i żądań emocjonalnych w duszną samotność swego poddasza. Jeśli miał w oczach łzy, to tylko od zimnego wiatru.

Z Julią było chyba jeszcze gorzej. Poprosiła go, by przyszedł do niej któregoś wieczoru. Było to po tym, gdy usłyszała od Rosemary o pracy zaproponowanej przez pana Erskine'a. Straszne było to, że Julia z jego motywów nie rozumiała nic, absolutnie nic. Rozumiała tylko, że zaofiarowano mu „dobrą” posadę, a on ją odrzucił. Błagała go niemal na kolanach, by nie rezygnował z tej szansy. Gdy jej powiedział, że już zdecydował, płakała, naprawdę płakała. To było okropne. Biedna gęsiowata dziewczyna, z pasemkami siwych włosów, płakała bez poczucia przyzwoitości i godności w pokoiku z meblami od Drage'a! Oznaczało to koniec jej nadziei. Patrzyła, jak bezdzietna i bezmajątna rodzina pogrąża się w szarą nicość. Jeden tylko Gordon mógł osiągnąć sukces; lecz on, z obłąkaną przewrotnością, nie chciał. Wiedział, o czym myślała; musiał wzbudzić w sobie pewną brutalność, by się nie załamać. Zależało mu tylko na Rosemary i Julii. Ravelston

się nie liczył, gdyż Ravelston rozumiał. Oczywiście, ciotka Angela i wuj Walter chlিপali co tydzień w długich, głupkowatych listach. Ale na nich nie zwracał uwagi.

Julia zapytała go w rozpaczy, czym zamierza zająć się teraz, gdy rzucił ostatnią szansę na sukces w życiu. Odpowiedział po prostu: „moimi wierszami”. To samo powiedział przedtem Rosemary i Ravelstonowi. Ravelstonowi ta odpowiedź wystarczyła. Rosemary nie wierzyła już w jego wiersze, lecz nie powiedziała tego. Dla Julii jego wiersze nigdy nie miały żadnego znaczenia. „Nie widzę wielkiego sensu w pisaniu, jeśli nie możesz na tym zarobić”, mówiła zawsze. On sam nie wierzył już w swoje wiersze. Lecz nadal usiłował „pisać”, przynajmniej czasami. Wkrótce po zmianie mieszkania przepisał na czyste arkusze ukończone ustępy *Rozrywek londyńskich* - niecałe czterysta linijek, jak się okazało. Sama praca przepisywania ich była straszliwie nudna. Jednakże czasami nadal nad nimi pracował; tu wyrzucił wiersz, tam zmienił, lecz nie posuwał się w pracy, a nawet nie oczekiwał tego. Wkrótce stronicie stały się jak przedtem pogryzmołonym, brudnym labiryntem słów. Zwykle nosił w kieszeni zwitek brudnego rękopisu. Dotykanie tego zwitka podnosiło go nieco na duchu; było to jednak jakieś osiągnięcie, widoczne dla niego, choć nie dla innych. Oto jedyny owoc dwuletniej pracy - może tysiąca godzin. Nie traktował już tego jako poematu. Samo pojęcie poezji było teraz dla niego bez znaczenia. Gdyby jednak kiedykolwiek skończył *Rozrywki londyńskie*, byłoby to coś uszczkniętego losowi, coś stworzonego poza światem pieniądza. Lecz wiedział, i to teraz znacznie lepiej niż dawniej, że nigdy ich nie ukończy. Czy to możliwe, by życie, jakie teraz prowadził, pozostawiło w nim jakikolwiek impuls twórczy? Z upływem czasu

zanikła w nim nawet chęć ukończenia *Rozrywek londyńskich*. Nadal nosił rękopis w kieszeni, był to jednak już tylko gest, symbol jego prywatnej wojny. Zerwał na zawsze z daremną mrzonką bycia „pisarzem”. Czyż nie było to również swego rodzaju ambicją? Chciał uciec od tego wszystkiego, *pod* to wszystko. W dół, w dół! Do królestwa upiorów, poza zasięg nadziei, poza zasięg strachu! Pod ziemię, pod ziemię! Tam pragnął się znaleźć.

A jednak nie było to takie łatwe. Pewnego wieczoru około dziewiątej leżał na łóżku, z nogami przykrytymi podartą kołdrą, z rękami pod głową, żeby było ciepłej. Ogień wygasł. Kurz pokrywał wszystko. Aspidistra zwiędła przed tygodniem i teraz usychała w doniczce. Wysunął spod kołdry stopę bez buta, podniósł ją i przyjrzał się jej. Skarpetka była cała w dziurach - więcej dziur niż skarpetki. Oto on, Gordon Comstock, leży na nędznym poddaszu w obszarpanym łóżku, z nogami wylazącymi ze skarpetek, z szylingiem i czterema pensami przy duszy, z trzema dziesiątkami lat na karku i bez żadnych, żadnych osiągnięć! Chyba nic go już nie uratuje? Chyba nie wykurzą go z takiej dziury, choćby bardzo chcieli? Pragnął osiągnąć błoto - no więc to jest chyba błoto, prawda?

Wiedział jednak, że nie. Ten inny świat, świat pieniędzy i sukcesu, jest tak dziwnie blisko. Nie ucieknie się przed nim jedynie przez pogrążenie się w brudzie i nędzy. Przestraszył się i rozzłościł zarazem, gdy Rosemary powiedziała mu o propozycji pana Erskine'a. Przybliżyła do niego niebezpieczeństwo. Jeden list czy telefon, a prosto z tej biedy mógł wkroczyć na powrót w świat pieniądza - z powrotem do czterech funtów tygodniowo, z powrotem do wysiłku, przyzwoitości i niewolnictwa. Pójście do diabła jest trudniejsze, niż się to wydaje. Czasem zbawienie dopada cię jak sfera niebieska.

Przez chwilę leżał bezmyślnie, gapił się w sufit. Czczą próżność leżenia tu, w brudzie i zimnie, przyniosła mu pewną ulgę. Wyrwało go wreszcie z tego stanu lekkie pukanie do drzwi. Nie poruszył się. Była to przypuszczalnie Mama Meakin, choć nie przypominało to jej pukania.

- Wejść - powiedział.

Drzwi otworzyły się. Była to Rosemary.

Weszła i zaraz się zatrzymała, uderzona słodkawym, pylistym zaduchem pokoju. Nawet w słabym świetle lampy mogła dostrzec, jaki brud panował w pokoju - stół zaśmiecony jedzeniem i papierami, kominek wypełniony wystygłym popiołem, brudne naczynia przy kominku, usychająca aspidistra. Zbliżając się powoli do łóżka, ściągnęła kapelusz i rzuciła go na krzesło.

- Ależ wybrałaś sobie mieszkanie! - powiedziała.

- A więc wróciłaś? - powiedział.

- Tak.

Odrzucił się nieco od niej, zakrywając twarz ramieniem.

- Wróciłaś, by mnie jeszcze pouczać?

Nie.

- A więc dlaczego?

- Bo...

Uklękła przy łóżku. Odsunęła jego ramię, pochyliła twarz, by go pocałować, po czym cofnęła się zdziwiona i zaczęła mu gładzić koniuszkami palców włosy na skroniach.

- Och, Gordon!

- Co?

- Masz siwe włosy!

- Tak? Gdzie?

- Tutaj. Na skroni. Całkiem spore pasemko. To musiało się stać nagle.

- „Złote me loki czas w srebro przemienił” - powiedział obojętnie.

- A więc oboje siwiejemy - powiedziała.

Pochyliła głowę, by mu pokazać trzy siwe włosy na czubku głowy. Potem wśliznęła się na łóżko obok niego, otoczyła go ramieniem, przyciągnęła do siebie, pokryła twarz pocałunkami. Pozwolił jej na to. Nie chciał tego - to była ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Ona jednak wśliznęła się pod niego; leżeli pierś w pierś. Jej ciało zdawało się stapiać z jego ciałem. Poznał po wyrazie jej twarzy, co ją tu sprowadziło. Była przecież dziewicą. Nie wiedziała, co robi. Powodowała nią wielkoduszność, czysta wielkoduszność. Przyciągnęła ją jego niedola. Musiała mu ulec, gdyż był bez grosza i nie powiodło mu się, choćby to miało być tylko jeden jedyny raz.

- Musiałam wrócić - powiedziała.

- Dlaczego?

- Nie mogłam znieść myśli o tym, że jesteś tu sam. To byłoby straszne, tak cię zostawić.

- Postąpiłaś całkiem słusznie, zostawiając mnie. Lepiej by było, żebyś nie wracała. Wiesz, że nigdy nie będziemy mogli się pobrać.

- Nie dbam o to. Tak się nie postępuje z ludźmi, których się kocha. Nie dbam o to, czy się ze mną ożenisz, czy nie. Kocham cię.

- To niemądre - powiedział.

- Nie dbam o to. Powinnaś być zrobić to dawno temu.

- Lepiej nie.

-**Tak.**

- Nie.

- Tak!

Nie mógł się jej jednak oprzeć. Pragnął jej od tak dawna, więc nie mógł się zastanawiać nad konsekwencjami. Tak więc stało się to w końcu, bez wielkiej przyje-

mności, na obskurnym łóżku Mamy Meakin. Wreszcie Rosemary wstała i poprawiła ubranie. Pokój, choć duszny, był straszliwie zimny. Oboje drżeli nieco. Naciągnęła koldrę na Gordona. Leżał, nie poruszając się, obrócony do niej plecami, z twarzą zakrytą ramieniem. Ukłękła przy łóżku, ujęła jego drugą dłoń i przyłożyła na chwilę do swego policzka. Zdawał się jej nie dostrzegać. Zamknęła cicho drzwi za sobą i zeszła na palcach po gołych, śmierdzących schodach. Odczuwała przerażenie, rozczarowanie i przenikliwe zimno.

11

Wiosna, wiosna! Pomiędzy marcem i kwietniem, gdy pąki wytryskają! Gdy gaje nadobne i łąki ozdobne, a liście bujne i długie! Gdy ogary wiosny tropią zimę, w czas wiosny, czas radosny, gdy ptaszki kwilą, hej tilu-tilu, kuku, ćwir-ćwir, pi-tiu, tiu-tiutiu! I tak dalej i tak dalej i tak dalej. Patrz niemal każdy poeta pomiędzy epoką brązu a rokiem 1850.

To jednak niedorzeczne, że nawet teraz, w erze Centralnego ogrzewania i brzoskwiń w puszkach, tysiące tak zwanych poetów nadal piszą w tym samym stylu! Co za różnicę oznacza dziś wiosna czy zima, czy inna pora roku, dla przeciętnego cywilizowanego człowieka? W mieście takim jak Londyn najbardziej uderzającą sezonową zmianą, poza zmianą temperatury, stanowią rzeczy walające się na chodnikach. Późną zimą są to głównie liście kapusty. W lipcu chodzi się po pestkach czereśni, w listopadzie po wypalonych ogniach sztucznych. Przed Bożym Narodzeniem zwiększa się ilość skórek od pomarańczy. W średniowieczu to było coś zupełnie innego. Pisanie wierszy o wiośnie miało sens, gdy wiosna oznaczała świeże mięso i zieleninę po miesiącach duszenia się w chacie bez okien i żywienia się solonymi rybami i spleśniałym chlebem.

Jeśli nawet była wiosna, Gordon jej nie zauważył. Marzec w Lambeth nie przywodzi na myśl Persefony. Dni stały się dłuższe, wiały wstrętne, niosące pył wiatry, a na niebie pojawiały się czasem skrawki surowego błękitu. Przepuszczalnie, jeśliby się poszukiwało, znalazłoby się na drzewach trochę osmolonych pąków. Okazało się, że aspidistra jednak nie uschła; zwiędłe liście odpadły, lecz u podstawy wypuszczała parę matowozielonych pędów.

Gordon pracował w wypożyczalni już od trzech miesięcy. Nie drażniła go głupia, toporna rutyna. Wypożyczalnia rozrosła się do tysiąca „wybranych tytułów” i przynosiła panu Cheesemanowi funt czystego zysku tygodniowo, więc pan Cheeseman był na swój sposób zadowolony. Potajemnie jednak żywił urazę do Gordona. Sprzedano mu go jako pijaka. Spodziewał się, że Gordon się upije i choć raz opuści dzień pracy, dając mu w ten sposób ostateczny pretekst dla obcięcia płacy; jednakże Gordon nie upił się. Dziwne, ale nie ciągnęło go teraz do picia. Obchodziłby się bez piwa, nawet gdyby było go na nie stać. Herbata wydawała mu się lepszą trucizną. Wszystkie jego pragnienia i rozzalenia skarłały. Lepiej mu się żyło przy trzydziestu szylingach tygodniowo niż przedtem przy dwóch funtach. Trzydzieści szylingów wystarczało, bez zbytecznego wysiłku, na czynsz, papierosy, pranie, kosztujące około szylinga tygodniowo, nieco opału oraz na posiłki, które składały się niemal wyłącznie z boczku, chleba z margaryną i herbaty, a kosztowały około dwóch szylingów dziennie, wliczając w to gaz. Czasem zostawało mu nawet sześć pensów na bilet w tanim, lecz parszywym kinie w pobliżu Westminster Bridge Road. Nadal nosił ze sobą w kieszeni wyplamiony rękopis *Rozrywek londyńskich*, jednakże tylko siłą przyzwyczajenia, porzucił bowiem nawet pozory pracy. Wszystkie wieczory spędzał

jednakowo. Na pustym, zatęchłym poddaszu, przy ogniu, jeśli starczało węgla, w łóżku, jeśli nie starczało, z imbrykiem herbaty i papierosami pod ręką, czytał, ciągle czytał. Nie czytywał już niczego poza tygodnikami za dwa pency. „Delicje”, „Odpowiedzi”, „Gazeta Peg”, „Klejnot”, „Magnes”, „Notatki Domowe”, „Tygodnik Dziewcząt” - wszystkie jednakowe. Przynosił je ze sklepu tuzinami. Pan Cheeseman miał ich ogromne, zakurzone sterty, pozostałość z czasów jego wuja; przeznaczano je do pakowania. Niektóre z nich miały aż dwadzieścia lat.

Nie widział się z Rosemary od tygodni. Pisała do niego wielokrotnie, a potem z jakiegoś powodu nagle przestała pisać. Ravelston napisał raz, prosząc go, by przysłał do „Antychrysta” artykuł o dwupensowych wypożyczalniach. Julia przysłała pełen zatroskania liścik z wiadomościami rodzinnymi. Ciotka Angela przez całą zimę była bardzo przeziębiona, wuj Walter zaś uskarżał się na kłopoty z pęcherzem. Gordon nie odpowiedział na żaden z listów. Gdyby mógł, zapomniałby o istnieniu wszystkich tych ludzi. Oni i te ich uczucia to tylko przeszkoda. Nie będzie wolny, wolny, by się pogрузić ostatecznie w błoto, jeśli nie przetnie więzi z nimi wszystkimi, nawet z Rosemary.

Pewnego popołudnia wybierał książkę dla jasnowłosej dziewczyny z fabryki, gdy ktoś, kogo dostrzegł tylko kątem oka, wszedł do wypożyczalni i tuż za drzwiami zawahał się.

- Jaką książkę pani chciała? - zapytał dziewczynę z fabryki.

- Oo... może jakiś romans.

Gordon wybrał romans. Gdy się odwrócił, serce uderzyło mu gwałtownie. Osobą, która właśnie weszła, była Rosemary. Nie uczyniła żadnego gestu, lecz stała, czekając, błada i zaszępiiona, a w jej wyglądzie było coś złowieszczonego.

Usiadł, by wpisać książkę do karty dziewczyny, lecz ręce trzęsły mu się tak, że z trudem to zrobił. Przybił pieczętkę w złym miejscu. Dziewczyna wyszła opieszale, zaglądając po drodze do książki. Rosemary obserwowała twarz Gordona. Już dawno nie widziała go w świetle dziennym, więc zmiana, jaka w nim zaszła, wstrząsnęła nią. Był zaniedbany, nieomal obdarty, twarz mu wychudła i nabrała brudnej szarej bladości ludzi odżywiających się chlebem z margaryną. Wyglądał znacznie starszej - przynajmniej na trzydzieści pięć lat. Także Rosemary trochę się zmieniła. Zatraciła pogodny, schludny wygląd, a jej ubranie robiło wrażenie narzuconego w pośpiechu. Było oczywiste, że coś jest nie w porządku.

Zamknął drzwi za dziewczyną z fabryki.

- Nie spodziewałem się ciebie - zaczął.
- Musiałam przyjść. Wyszłam z pracowni w przerwie obiadowej. Powiedziałam, że jestem chora.
- Nie wyglądasz dobrze. Chodź, lepiej usiądź.

W wypożyczalni było tylko jedno krzesło. Wyciągnął je zza biurka i siedł ku niej, dość niezdecydowanie, z zamiarem jakiejś pieszczoty. Rosemary nie usiadła, lecz położyła drobną dłoń, z której zdjęła rękawiczkę, na szczycie oparcia krzesła. Widać było po jej zaciśniętych palcach, jak bardzo jest podniecona.

- Gordon, mam ci coś okropnego do powiedzenia. A jednak to się stało.

- Co się stało?
- Będę miała dziecko.
- Dziecko? O Boże!

Zatrzymał się. Czuł się przez chwilę, jak gdyby dostał potężny cios w zębra. Zadał zwykłe głupkowate pytanie:

- Czy jesteś pewna?

- Najzupełniej. To już parę tygodni. Gdybyś wiedział, co przesłałam! Ciągle miałam nadzieję... brałam pastylki... och, to było potworne!

- Dziecko! O Boże, jacyż z nas głupcy! Jak gdybyśmy nie mogli byli tego przewidzieć!

- Wiem. Myślę, że to moja wina. Ja...

- Do licha! Ktoś tu idzie.

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Kolebiącym się krokiem weszła gruba, piegowata kobieta z brzydką dolną wargą i zażądała „coś z morderstwem”. Rosemary usiadła i okręcała rękawiczkę wokół palców. Gruba kobieta była wymagająca. Odrzucała każdą książkę, którą Gordon jej proponował, gdyż albo „już to miała”, albo „wyglądała na nudną”. Zabójcza wiadomość, jaką przyniosła Rosemary, odebrała mu odwagę. Z bijącym sercem, ze skurczem wnętrzości musiał wyciągać książkę po książce i zapewniać grubą kobietę, że chce właśnie takiej książki. Wreszcie, po blisko dziesięciu minutach, zdołał jej wcisnąć coś, czego, jak niechętnie przyznała, „chyba przedtem nie miała”.

Odwrócił się do Rosemary:

- Cóż my z tym zrobimy, do diabła? - powiedział, skoro tylko drzwi się zamknęły.

- Nie wiem, co mogę zrobić. Jeśli będę miała to dziecko, to oczywiście stracę pracę. Ale nie tylko o to się martwię. Co będzie, gdy się rodzina dowie. Moja matka... o Boże! Po prostu nie mogę o tym myśleć!

- Ach, twoja rodzina! Nie pomyślałem o nich. Rodzina! Co za przekłeta zmora!

- Moja rodzina jest w porządku. Zawsze byli dla mnie dobrzy. Ale z czymś takim jest inaczej.

Zrobił parę kroków tam i z powrotem. Choć wiadomość go przeraziła, nie pojął jej jeszcze w pełni. Myśl o dziecku, jego dziecku, które rośnie w jej łonie, wzbudziła w nim

tylko przerażenie. Nie myślał o dziecku jako o żywym stworzeniu; cała ta sprawa to po prostu zupełna katastrofa. Zaczynał również rozumieć, dokąd to wszystko prowadzi.

- Myślę, że będziemy musieli się pobrać - powiedział głucho.

- Naprawdę? Właśnie o to przyszedłam cię zapytać,

- Chyba chcesz, żebym się z tobą ożenił, prawda?

- Tylko jeśli *ty* zechcesz. Nie mam zamiaru cię krępować. Wiem, że małżeństwo jest sprzeczne z twoimi poglądami. Musisz sam zdecydować.

- Ale nie mamy żadnej alternatywy - jeśli naprawdę będziesz miała dziecko.

- Niekoniecznie. O tym ty musisz zdecydować. Bo przecież jest jeszcze inne wyjście...

- Jakie wyjście?

- Och, przecież wiesz. Dziewczyna z pracowni dała mi pewien adres. Jej przyjaciółka załatwiła to za jedyne pięć funtów.

To go otrzeźwiło. Po raz pierwszy pojął, tym jedynie znaczącym rodzajem zrozumienia, o czym właściwie rozmawiali. Słowo „dziecko” nabrało nowego znaczenia. Nie oznaczało już jedynie abstrakcyjnej katastrofy, oznaczało zawiązek ciała, częśćkę jego samego, żyjącą i *rosnącą* w jej brzuchu. Spotkali się wzrokiem. Doświadczyli, jak nigdy przedtem, dziwnej chwili wzajemnego zrozumienia. Przez chwilę naprawdę czuł, że w jakiś tajemniczy sposób stowią jedno ciało. Choć znajdowali się z daleka od siebie, miał wrażenie, jak gdyby byli połączeni - jak gdyby jakiś niewidziany sznur łączył jej wnętrze i jego. Zrozumiał, że rozważali rzecz straszliwą - świętokradztwo, jeśli to słowo coś znaczy. A jednak gdyby to powiedziała inaczej, może by się tak przed tym nie wzdrażył. Uświadomiła mu to obrzydliwa wzmianka o pięciu funtach.

- Nigdy w życiu - powiedział. - Cokolwiek się stanie, tego nie zrobimy. To wstrętne.

- Wiem o tym. Ale nie mogę mieć dziecka bez wyjścia za mąż.

- Nie! Jeśli jest taka alternatywa, ożenię się z tobą. Prędejm obciąłbym sobie prawą dłoń, niż zrobił coś takiego.

Ding! zadzwieczęła dzwonek. Weszło dwóch szpetnych cwaniaków w tandetnych, jaskrawoniebieskich ubraniach oraz chichocząca bez przerwy dziewczyna. Jeden z młodzieńców poprosił z zakłopotaniem, lecz wyzywająco o „coś rajcownego - coś nieprzyzwoitego”. Gordon wskazał w milczeniu na półki, gdzie trzymano książki o „seksie”. W wypożyczalni były ich setki. Miały takie tytuły jak *Tajemnice Paryża czy Mężczyzna, któremu zaufała*; na ich obdartych żółtych okładkach znajdowały się podobizny półnagich dziewcząt leżących na kanapach oraz stojących obok mężczyzn w smokingach. Jednakże historyjki w środku były najzupełniej niewinne. Dwaj młodzieńcy i dziewczyna przebiegali pośród nich, chichocząc na widok obrazków na okładkach, dziewczyna zaś wydawała z siebie ciche piski i udawała zgorzowaną. Budzili w Gordonie takie obrzydzenie, że odwrócił się do nich plecami, póki nie wybrali sobie książek.

Gdy wyszli, powrócił do krzesła Rosemary. Stał po nią, objął jej drobne, mocne ramiona, a następnie wsunął rękę pod płaszcz i dotknął ciepłej piersi. Sprawiał mu przyjemność dotyk jej prężnego jędrnego ciała; przyjemność sprawiała myśl, że gdzieś w nim rośnie jego dziecko, chronione nasienie. Podniosła rękę i pogłaskała dłoń na swej piersi, lecz nic nie powiedziała. Czekwała, by zdecydował.

- Jeśli ożenię się z tobą, będę musiał zostać szanującym się człowiekiem - powiedział w zadumie.

- Czy mógłbyś? - powiedziała, przybierając swój dawny ton.

- To znaczy, będę musiał wystarać się o właściwą pracę - wrócić do Nowego Albionu. Myślę, że mnie przyjmą z powrotem.

Poczuł, że znieruchomiała; wiedział, że na to czekała. A jednak była zdecydowana grać uczciwie. Nie miała zamiaru go zmuszać ani się przymilać.

- Nie powiedziałam, że chcę, żebyś to zrobił. Chcę, żebyś się ze mną ożenił - tak, ze względu na dziecko. Ale to nie oznacza, że musisz mnie utrzymywać.

- Nie ma sensu się pobierać, jeśli nie będę mógł cię utrzymać. Przypuśćmy, że ożeniłbym się z tobą, gdybym był tak jak teraz - bez pieniędzy i bez odpowiedniej pracy? Co byś wtedy zrobiła?

- Nie wiem. Pracowałabym, jak długo tylko by się dało. A potem, gdy dziecko stałoby się już zbyt widoczne... cóż, myślę, że musiałabym pojechać do domu, do ojca i matki.

- To byłoby wspaniale, co? Ale przedtem tak koniecznie chciałaś, żebym wrócił do Nowego Albionu. Nie zmieniłaś zdania?

- Przemyślałam wszystko. Wiem, że nie zniósłbyś przykucia do systematycznej pracy. Nie mam ci tego za złe. Masz swoje własne życie.

Pomyślał nad tym przez chwilę.

- A więc: albo ożenię się z tobą i wrócę do Nowego Albionu, albo pójdziesz do jednego z tych plugawych lekarzy i dasz się poharatać za pięć funtów.

Wówczas wyzwoliła się z jego objęcia i wstała, zwracając się ku niemu. Wzburzyły ją te wypowiedziane bez ogródek słowa. Przedstawiły sprawę jaśniej i obrzydliwej.

- Dlaczego to powiedziałeś?

- Cóż, taka jest alternatywa.

- Nigdy tak o tym nie myślałam. Przyszłam tu z zamiarem uczciwej gry. A teraz to brzmi tak, jak gdybym próbowała zmusić cię do tego, jak gdybym próbowała grać na twoich uczuciach, grożąc ci pozbyciem się dziecka. Coś w rodzaju potwornego szantażu.

- Nie miałem tego na myśli. Po prostu stwierdziłem fakty.

Twarz miała całą w zmarszczkach, czarne brwi ściągnięte. Jednak przysięgła sobie, że nie zrobi sceny. Domyślał się, co to dla niej znaczyło. Nie znał jej rodziny, lecz mógł sobie ją wyobrazić. Miał pewne pojęcie o tym, co oznaczał powrót do prowincjonalnego miasteczka z nieślubnym dzieckiem; lub, co niewiele lepsze, z mężem, który jej nie mógł utrzymać. Jednak będzie grać uczciwie. Bez szantażu! Wzięła gwałtowny oddech, podejmując decyzję.

- A więc dobrze, nie będę trzymać ci *tego* nad głową. To zbyt nikczemne. Ożeń się ze mną lub nie, jak sobie zyczysz. Ale ja jednak będę miała dziecko.

- Zrobisz to? Naprawdę?

- Tak sądzę.

Wziął ją w ramiona. Płaszcz jej się rozpiął, jej ciało przylgnęło ciepło do niego. Pomyślał, że byłby skończonym durniem, gdyby pozwolił jej odejść. Jednakże alternatywa była niemożliwa do przyjęcia i nie wydawała się mniej ostra dzięki temu, że trzymał ją w ramionach.

- Chciałabyś, oczywiście, żeby wrócił do Nowego Albionu - powiedział.

- Nie, nie chciałabym. Nie chciałabym, jeśli ty nie chcesz.

- A jednak chciałabyś. Przecież to naturalne. Chcesz, żeby znowu przyzwoicie zarabiał. Na *dobrej* posiadzie, za cztery funty tygodniowo i z aspidistrą w oknie. Nie chciałabyś, co? Przyznaj się.

- Więc dobrze - tak, chciałabym. Ale tylko *chciałabym*, żeby tak było, nie mam zamiaru *zmusić* cię do tego. Nie zniosłabym, żebyś to zrobił, jeśli naprawdę tego nie chcesz. Chcę, żebyś czuł się wolny.

- Naprawdę wolny?

- **Tak.**

- Wiesz, co to oznacza? Przypuśćmy, że zdecyduje zostawić ciebie i dziecko waszemu własnemu losowi?

- Cóż... jeśli naprawdę zechcesz. Jesteś wolny. Całkiem wolny.

Po chwili odeszła. Powiadomi ją później, wieczorem lub jutro, co postanowił. Oczywiście nie było całkiem pewne, że w Nowym Albionie dadzą mu pracę, nawet jeśli ich o to poprosi; choć przypuszczalnie dadzą, zważywszy, co powiedział pan Erskine. Gordon próbował myśleć, lecz nie mógł. Wydawało się, że tego popołudnia było więcej klientów niż zwykle. Doprowadzało go do wściekłości, że ledwie usiadł, musi zrywać się z krzesła i obsługiwać nowy napływ durniów, domagających się książek kryminalnych i erotycznych oraz romansów. Nagle, około szóstej, zgasił światła, zamknął wypożyczalnię i wyszedł. Musiał być sam. Wypożyczalnia miała być jeszcze otwarta przez dwie godziny. Bóg wie, co powie na to pan Cheeseman, gdy się dowie. Może nawet go zwolni. Nie zależało mu na tym.

Skierował się na zachód przez Lambeth Cut. Wieczór był pochmurny, lecz nie zimny. Błoto pod nogami, białe światła, wrzeszczący przekupnie. Musiał to wszystko przemyśleć, a lepiej myślał, idąc. Wszystko to było takie trudne, takie trudne! Wrócić do Nowego Albionu albo zostawić Rosemary na łasce losu; innej alternatywy nie było. Nie warto było myśleć, na przykład, że mogłby znaleźć jakąś „dobrą” posadę, która nieco mniej obrażałaby jego poczucie przyzwoitości. Nie ma zbyt wiele

„dobrych” posad, które czekają na zniszczonych trzydziestolatków. Nowy Albion to jedyna szansa, jaką miał lub będzie mieć kiedykolwiek.

Zatrzymał się przez chwilę na rogu, przy Westminster Bridge Road. Naprzeciwko znajdowały się plakaty, sine w świetle lamp. Olbrzymi, wysoki przynajmniej na trzy metry, reklamował boveks. Ludzie od boveksu porzucili narożny stolik i przyjęli nowy kurs. Puścili w ruch serię czterowerszowych poemacików - nazwali je boveksowymi balladami. Plakat przedstawiał siedzącą przy śniadaniu rodzinę, odznaczającą się straszliwie dobrym trawieniem, o wyszczerzonych w uśmiechu twarzach różowych jak szynka; poniżej, krzykliwymi literami:

Czemuś blady tak i suchy,

Taki nie do rzeczy?

Pijaj boveks do poduchy -

Krzepi cię - uleczy!

Gordon gapił się na to. Wchłaniał tę żalną głupotę. Boże, co za kicz! „Krzepi cię - uleczy!”. Co za nieudolność! Nie jest nawet tak agresywnie zły jak te slogany, które się naprawdę pamięta. Po prostu cikliwa, niezdarna bzdura. Może by nawet wzruszała swą martwość, gdyby nie świadomość faktu, że ten plakat rozlepiono po całym Londynie i po wszystkich miastach w Anglii, gdzie psuje umysły ludzi. Rozejrzał się po niemiłej ulicy. Tak, wojna nadchodzi. Nie można w to wątpić, gdy się widzi reklamy boveksu. Elektryczne świdry na ulicach przepowiadają szcęk karabinów maszynowych. Już niedługo nadlecą samoloty. Bum - bach! Parę ton trotylu pośle naszą cywilizację do diabła, gdzie jej miejsce.

Przeciął ulicę i szedł dalej na południe. Przyszła mu do głowy dziwna myśl. Nie pragnął już teraz wojny. Po raz

pierwszy od miesiący - może nawet od lat - pomyślał o niej, lecz jej nie chciał.

Jeśli wróci do Nowego Albionu, za miesiąc może sam będzie pisać boveksowe ballady. Wrócić do czegoś takiego! Każda „dobra” posada była dostatecznie zła, lecz być zamieszonym w coś takiego! Boże! Oczywiście nie powinien wracać. To po prostu kwestia odwagi, żeby się nie załamać. Ale co z Rosemary? Pomyślał o życiu, jakie by prowadzili w domu, u rodziców, z dzieckiem i bez pieniędzy; pomyślał o obiegających tę olbrzymią rodzinę wieściach, że Rosemary wyszła za mąż za straszliwego fujarę, który jej nawet nie potrafi utrzymać. Wszyscy by jej naraz dokuczali. Poza tym trzeba pomyśleć o dziecku. Bożek pieniądza jest tak przebiegły. Gdyby zastawiał pułapki jedynie przy pomocy jachtów i koni wyścigowych, dziewczynek i szampana, jakże łatwo byłoby mu się wymknąć. Jesteś jednak bezsilny, gdy dobierze się do ciebie, wykorzystując twoje poczucie przyzwoitości.

Boveksowe ballady rozbrzmiewały Gordonowi w głowie. Powinien być stanowczy. Wypowiedział wojnę pieniądзом - powinien przy tym obstawać. Przecież jak dotąd w jakiś sposób przy tym obstawał. Przyjrzał się swemu życiu. Nie było sensu się oszukiwać. Cóż za okropne życie - samotne, nędzne, bezpłodne. Przeżył trzydzieści lat i nie osiągnął niczego poza nędzą. Ale to właśnie wybrał. Tego właśnie *pragnął*, nawet teraz. Pragnął pogрузić się, pogрузić się w błoto, gdzie pieniądz nie ma władzy. Ale ta sprawa z dzieckiem wszystko wywróciła. Sytuacja była przecież zupełnie banalna. Skrywane wady, cnoty na pokaz - dylemat stary jak świat.

Podniósł wzrok i zauważył, że właśnie przechodził obok biblioteki publicznej. Przyszła mu do głowy pewna

myśl. To dziecko. Co to właściwie znaczy, mieć dziecko? Co się właściwie dzieje teraz z Rosemary? Miał tylko mgliste i ogólne pojęcie o ciąży. Z pewnością będą tam mieli książki, które mu o tym powiedzą. Wszedł do środka. Wypożyczalnia znajdowała się na lewo. Tam należało spytać o wydawnictwa informacyjne.

Kobieta za biurkiem, najwyraźniej absolwentka uniwersytetu, była młoda, bezbarwna, w okularach i nadzwyczaj nieprzyjemna. Żywiła uparte podejrzenie, że nikt - a przy najmniej żaden mężczyzna - nie posługuje się wydawnictwami informacyjnymi w innym celu jak tylko pornograficznym. Gdy się zbliżałeś, przesywała cię błyskiem swego cwikiera i dawała do zrozumienia, że twoja nieprzyzwoita tajemnica dla niej tajemnicą nie jest. W końcu wszystkie wydawnictwa informacyjne są pornograficzne, może z wyjątkiem *Almanachu* Whitakera. Nawet *Słownika Oksfordzkiego* można używać do zdrotnych celów, wyszukując takie słowa jak.....oraz.....

Gordon rozpoznał ten typ na pierwszy rzut oka, lecz zbyt był zaaferowany, by się tym przejmować.

- Czy można prosić jakieś książki o ginekologii? - powiedział.

- *O czym?* - zapytała młoda kobieta, błyskając cwikiem z nieklamany triumfem. Jak zwykle! Jeszcze jeden mężczyzna szuka świństw!

- No, jakieś książki o położnictwie? O rodzeniu się dzieci i tym podobne.

- Nie wydajemy zwykłym czytelnikom książek tego rodzaju - powiedziała młoda kobieta lodowato.

- Przepraszam - jest pewne zagadnienie, które bardzo chciałbym sprawdzić.

- Czy jest pan studentem medycyny?

- Nie.

- Zatem nie rozumiem, po co panu potrzebne książki o położnictwie.

Przeklęta kobieta! pomyślał Gordon. W innych okolicznościach przestraszyłby się jej, lecz teraz wywoływała w nim tylko zniechęcenie.

- Jeśli pani chce wiedzieć, moja żona spodziewa się dziecka. Oboje niewiele o tym wiemy. CnciaYpym zoba czyć, czy znajdę coś użytecznego.

Młoda kobieta nie uwierzyła mu. Uznała, że jak na nowożeńca wygląd miał zbyt nędzny i wymizerowany. Jednakże praca jej polegała na wypożyczaniu książek i właściwie rzadko tego odmawiała, wyjąwszy dzieci. Zawsze dostałeś w końcu swoją książkę, choć najpierw musiała dać ci odczuć, że jesteś sprośnym świntuchem. Z aseptyczną miną zaprowadziła Gordona do stolika na środku biblioteki i podała mu dwie grube księgi w brązowych okładkach. Potem zostawiła go samego, lecz miała go stale na oku z tej części sali, w której właśnie przebywała. Wyczuwał, że jej cwikier bada jego kark z odległości, próbując określić po jego zachowaniu, czy rzeczywiście szuka informacji, czy też po prostu wyszukuje sprośne kawałki.

Otworzył jedną z książek i zaczął ją niewprawnie przeglądać. Całe hektary tekstu drobnym drukiem pełne łańcuchów, słów. To bez sensu. Chciał czegoś prostego na przykład, obrazków. Jak długo to już trwało? Sześć tygodni - może dziewięć tygodni. Ach! To pewnie to.

Znalazł rycinę przedstawiającą dziewięcioletniowy płód. Doznał szoku, gdyż nie spodziewał się zupełnie, że tak właśnie wygląda. Była to zniekształcona, chochlikowata istota, coś w rodzaju niezdarnej karykatury istoty ludzkiej, z ogromną zaokrągloną głową tak dużą jak reszta ciała. Pośrodku wielkiej pustej powierzchni głowy tkwił maleńki guziczek ucha. Istota przedstawiona

była z profilu; bezkostne ramię ugięte, a jedna dłoń, niedorozwinięta jak płetwa fokii, zakrywała twarz - być może na szczęście. W dole znajdowały się chude nóżki, wykręcone jak u małpy, z palcami wykrzywionymi do wewnątrz. Była to istota potworna, a jednak zadziwiająco ludzka. Zdziwiło go, że już tak wcześnie zaczynają wyglądać jak ludzie. Wyobrażał sobie coś bardziej elementarnego: zaledwie kropelkę z zarodkiem, jak banieczka żabiego skrzeku. Oczywiście musi to być maleńkie. Spojrzał na podane niżej wymiary. Długość 30 milimetrów. Mniej więcej wielkości dużego agrestu.

Może jednak nie trwało to jeszcze tak długo. Odwrócił parę stron do tyłu i znalazł rycinę sześciotygodniowego płodu. Tym razem coś naprawdę okropnego - coś, na co właściwie nie mógł patrzeć. Dziwne, że nasz początek i koniec jest taki brzydki - nie narodzony tak samo brzydki jak umarły. Wyglądało to, jak gdyby już było martwe. Olbrzymia głowa, najwyraźniej zbyt ciężka, by ją trzymać prosto, zginała się pod kątem prostym w miejscu, gdzie powinna znajdować się szyja. Nie było tam niczego, co można by nazwać twarzą, jedynie zmarszczka stanowiąca oko - a może usta? Tym razem zupełnie nie przypominało człowieka; już prędzej martwego szczeniaka. Krótkie, grube ramiona wyglądały jak kończyny psa, a dłonie jak szczątkowe łapy. 15,5 milimetra długości - nie większe niż orzech laskowy.

Długo ślęczał nad tymi dwoma obrazkami. Brzydota czyniła je bardziej wiarygodnymi i wzruszającymi. Jego dziecko stało się dla niego rzeczywiste w chwili, gdy Rosemary wspomniała o skrobance; była to jednak rzeczywistość bez wizualnego kształtu - coś, co działo się w ciemności i stawało się ważne dopiero potem. Lecz tu miał przedstawiony właściwy proces. Oto biedna brzydka istota, nie większa niż agrest, którą stworzył swym nie-

rozważnym czynem. Jej przyszłość, może jej dalsze istnienie, zależy od niego. Poza tym była to częśćka jego samego - to był on sam. Czy ktoś się ośmieli uniknąć takiej odpowiedzialności?

A co z alternatywą? Wstał, oddał książki niesympatycznej młodej kobiecie i wyszedł; potem, wiedziony nagłym odruchem, zawrócił i skierował się do innej części biblioteki, gdzie trzymano czasopisma. Nad gazetami drzemał jak zwykle tłum nędznie wyglądających ludzi. Jeden stół był przeznaczony na czasopisma kobiece. Wybrał jedno z nich na chybił trafił i zaniósł do innego stołu.

Było to amerykańskie pismo z rodzaju tych bardziej domowych, głównie reklamy z przyczajonymi potulnie pomiędzy nimi paroma historyjkami. I to jakie reklamy! Szybko przerzucał błyszczące strony. Bielizna, biżuteria, kosmetyki, futra, jedwabne pończochy migwały tu i tam jak postaci w dziecinnym fotoplastykonie. Strona po stronie, reklama po reklamie. Szminki, bielizna, jedzenie w puszkach, lekarstwa, środki odchudzające, kremy do twarzy. Swego rodzaju przekrój świata pieniędzy. Panorama ciemnoty, chciwości, wulgarności, snobizmu, kurewstwa i choroby.

A więc taki był ten świat, do którego miał powrócić zgodnie z ich życzeniem. Taki był ten interes, w którym miał szansę powodzenia. Wolniej przewracał strony. Klik, klik. Czarująca - dopóki się nie uśmiechnie. Jedzenie wystrzelone z pistoletu. Czy zmęczenie nóg wpływa na twą osobowość? Odzyskasz urodę na Materacu Powab i Wygoda. Tylko dobrze wsiąkający krem do twarzy usunie podskórne zanieczyszczenia. Różowa szczoteczka do zębów to *jej* kłopot. Jak prawie natychmiast zalkalizować żołądek. Ciężkostrawne pokarmy dla silnych dzieciaków. Czy jesteś jednym z czterech z pięciu? Słynne na cały świat vademecum kulturalne. Tylko dobosz, a cytował Dantego.

Boże, co za szmira!

Choć oczywiście było to pismo amerykańskie. Amerykanie zawsze są nieco lepsi we wszystkich rodzajach potworności, czy to będzie woda sodowa z lodami, gangsterstwo czy teozofia. Podszedł do stołu kobiecego i wybrał inne pismo. Tym razem angielskie. Może reklamy w piśmie angielskim nie będą takie złe - nieco mniej brutalnie odrażające?

Otworzył pismo. Klik, klik. Brytyjczycy nigdy nie będą niewolnikami!

Klik, klik. Odzyskaj linię! Powiedziała: „Strasznie dziękuję za podwiezienie”, lecz *pomyślała*: „Biedny chłopiec, dlaczego nikt mu nie powie?”. Jak trzydziestodwuletnia kobieta odbiła ukochanego dwudziestoletniej dziewczynie. Szybko przynosi ulgę chorowitym nerkom. Jedwabisty - gładziuteński papier toaletowy. Dusila ją astma! Czy wstydzisz się swej bielizny? Dzieciaki domagają się płatków śniadaniowych. Mam teraz dziewczęcą cerę. Wędruj cały dzień o tabliczce vitamaltu!

Być zamieszanym w *cośtakiegot* Tkwić w tym, należeć do tego - duszą i ciałem! Boże, Boże, Boże!

Wreszcie wyszedł. Okropne było to, że już wiedział, co zrobi. Już postanowił - postanowił już dawno temu. Problem znalazł rozwiązanie już w chwili, gdy się pojawił; całe jego wahanie było jedynie pozorne. Czuł, jak gdyby popychała go jakaś siła zewnętrzna. W pobliżu znajdowała się budka telefoniczna. Pensjonat Rosemary miał telefon - powinna już być w domu. Wszedł do budki, szperając w kieszeni. Tak, dokładnie dwa pensy. Wrzucił je w otwór, pokręcił tarczą.

Odpowiedział mu przesadnie dystyngowany, gardłowy głos kobiecy:

- Słucham, kto mówi?

Nacisnął przycisk A. Kości zostały rzucone

- Czy panna Waterlow jest w domu?

- Słucham, kto mówi?

- Proszę powiedzieć, że pan Comstock. Będzie wiedziała. Czy jest w domu?

- Zobaczę. Proszę poczekać.

Chwila ciszy.

- Halo! Czy to ty, Gordon?

- Halo! Halo! Czy to ty Rosemary? Chciałem ci tylko powiedzieć. Przemyślałem to. Podjąłem decyzję.

- Och! - Znowu chwila ciszy. Z trudem opanowując głos dodała: - No i co postanowiłeś?

- W porządku. Wezmę tę pracę - to znaczy, jeśli mi ją dadzą.

- Och, Gordon, taka jestem szczęśliwa! Nie gniewasz się na mnie? Nie masz uczucia, że w pewien sposób zmusiłam cię do tego?

- Nie, w porządku. To jedyna rzecz, jaką mogę zrobić. Wszystko przemyślałem. Jutro pójdę do biura porozmawiać.

- Naprawdę jestem taka szczęśliwa!

- Oczywiście, zakładam, że dadzą mi tę pracę. Myślę jednak, że dadzą; po tym, co powiedział stary Erskine.

- Z pewnością dadzą. Ale, Gordon, jeszcze jedno. Pójdiesz tam porządnie ubrany, dobrze? To może mieć duże znaczenie.

- Wiem. Będę musiał odebrać najlepsze ubranie z lombardu. Ravelston pożycz mi pieniędzy.

- Nie trzeba Ravelstona. Ja ci pożyczę pieniędzy. Mam odłożone cztery funty. Wybiegnę i przekażę ci je telegraficznie przed zamknięciem poczty. Przypuszczam, że potrzebne ci są także nowe buty i nowy krawat. I jeszcze, Gordon!

- **Co?**

- Włóż kapelusz, idąc do biura, dobrze? Lepiej się wygląda w kapeluszu.

- Kapelusz! O Boże! Nie noszę kapelusza od dwóch lat. Czy muszę?

- No, wygląda się poważniej, prawda?

- Och, dobrze. Może nawet melonik, jeśli uważasz, że powinienem.

- Myślę, że miękki kapelusz wystarczy. Ale ostrzyż się, dobrze, kochanie?

- Tak, nic się nie martw. Będę eleganckim poważnym młodzieńcem. Starannie ubrany i tak dalej.

- Ogromnie ci dziękuję, kochanie. Muszę biec nadać te pieniądze. Dobranoc i powodzenia.

- Dobranoc.

Wyszedł z budki. Więc stało się. Wszystko skończone, niewątpliwie.

Odszedł pospiesznie. Co zrobił? Poddał się! Złamał wszystkie przysięgi! Długa i samotna wojna skończyła się sromotną klęską. Odrzeźwicie swe napletki, powiada Pan. Powracał do owczarni, skruszony. Wydawało się, że szedł teraz szybciej niż zwykle. Dziwne doznanie, fizyczne doznanie, odczuwał w sercu, w rękach i nogach, w całym ciele. Co to było? Wstyd, cierpienie, rozpacz? Wściekłość, że z powrotem znalazł się w szponach pieniądza? Znudzenie na myśl o niezdolnej przyszłości? Wywłócił to doznanie z siebie, przyjrzał mu się, zbadał je. Była to ulga.

Tak, taka była prawda. Teraz, gdy klamka zapadła, odczuwał jedynie ulgę; ulgę, że nareszcie skończył z brudem, zimnem, głodem i samotnością i że mógł powrócić do przyzwoitego, w pełni ludzkiego życia. Postanowienia, które właśnie złamał, wydawały się teraz jedynie straszliwym ciężarem, który zrzucił z siebie. Ponadto zdawał sobie sprawę, że w ten sposób tylko wypełniał swe prze-

znaczenie. W jakimś zakątku umysłu zawsze tkwiła myśl, że tak się stanie. Pomyślał o dniu, kiedy złożył wypowiedzenie w Nowym Albionie; o życzliwej, czerwonej, byczej twarzy pana Erskine'a, który łagodnie doradzał mu, by nierozważnie nie porzucił „dobrej” posady. Jak zawzięcie sobie wówczas przysięgał, że na zawsze skończył z „dobrymi” posadami! Było jednak z góry przesądzone, że wróci, i wiedział o tym nawet wówczas. Nie zrobił tego tylko ze względu na Rosemary i dziecko. Był to oczywisty powód, przyspieszający sprawę powód, lecz nawet bez niego koniec byłby taki sam; gdyby nie sprawa dziecka, coś innego by go do tego zmusiło. Takiego końca pragnął w głębi serca.

Nie brak mu było przecież żywotności, ta wegetacja zaś bez grosza, na jaką się skazał, wytrąciła go bezlitośnie z głównego biegu życia. Spojrzał wstecz na dwa ostatnie okropne lata. Błądził przeciwko pieniądзом, buntował się przeciwko pieniądзом, próbował żyć jak pustelnik z dala od świata pieniędzy; a jednak przyniosło mu to nie tylko nędzę, lecz również straszliwą pustkę, nieuchronne poczucie jałowości. Wyrzec się pieniędzy to wyrzec się życia. Nie bądź przesadnie sprawiedliwy; dlaczego miałbyś przed czasem swym umrzeć? Teraz powrócił do świata pieniędzy, a raczej wkrótce powróci. Jutro pójdzie do Nowego Albionu, w najlepszym ubraniu i w płaszczu (musi pamiętać, żeby odebrać płaszcz z lombardu razem z ubraniem), w filcowym kapeluszu reprezentującym sobą styl brukowy, będzie gładko wygolony i ostrzyżony. Stanie się jak nowo narodzony. Z trudem będzie można rozpoznać dzisiejszego niechlujnego poetę w jutrzejszym wymuskany młodym człowieku interesu. Z pewnością przyjmą go z powrotem; posiada talent, jakiego potrzebują. Zabierze się do pracy, zaprzeda duszę, ale zachowa pracę.

A co z przyszłością? Może się okazać, że te ostatnie dwa lata nie odcisnęły na nim zbyt wyraźnego piętna. Stanowiły jedynie przerwę, małe niepowodzenie w karierze. Zrobiwszy pierwszy krok, szybko wykształci teraz w sobie cyniczną, zaślepioną mentalność człowieka interesu. Zapomni o swoich wyszukanych uprzedzeniach, przestanie wściekać się na tyranie pieniądza - przestanie jej być świadom, a nawet przestanie się skręcać na widok reklam boveksu i płatków śniadaniowych. Zaprzeda duszę tak całkowicie, że zapomni, iż kiedykolwiek ją posiadał. Ożeni się, ustatkuje, będzie mu się powodziło umiarkowanie, będzie popychał wózek, będzie miał willę, radio i aspidistrę. Będzie przestrzegającym prawa niepozornym obywatelem jak każdy inny przestrzegający prawa niepozorny obywatel - szeregowiec w armii ludzi uczepionych pętli w wagonach. Tak chyba będzie lepiej.

Zwolnił nieco kroku. Miał trzydzieści lat i włosy mu siewiały, a jednak miał dziwne uczucie, że dopiero teraz stał się dorosły. Przyszło mu na myśl, że po prostu powtarza los każdego człowieka. Każdy buntuje się przeciwko prawu pieniądza i każdy kapituluje wcześniej czy później. Trwał przy swym buncie nieco dłużej niż większość, to wszystko. I tak mu się to straszliwie nie udało! Zastanawiał się, czy każdy pustelnik w ponurej celi tęskni potajemnie za powrotem do świata. Być może niektórzy nie tęsknili. Ktoś tam powiedział, że we współczesnym świecie mogą żyć jedynie święci i dranie. On, Gordon, nie był świętym. Zatem lepiej być skromnym draniem w tłumie innych. Tego zawsze potajemnie pragnął; teraz gdy przyznał się do swego pragnienia i poddał mu się, osiągnął pokój ducha.

Podążał mniej więcej w kierunku domu. Spojrzał na mijane budynki. Nie znał tej ulicy. Dość stare domy, nędzne i ciemnawe, na ogół wynajmowane na mieszkania

i pojedyncze pokoje. Ogrodzona ciasna przestrzeń przed domem, usmolone cegły, białe schodki, brudne firanki. W co drugim oknie kartki z napisem „wolne mieszkania”, w niemal każdym oknie aspidistra. Typowa drobnomieszczkańska ulica. Mimo wszystko jednak nie chciałby oglądać takiej ulicy rozwalonej bombami.

Zastanawiał się nad ludźmi, mieszkającymi w takich domach. Byli to przypuszczalnie urzędnicy niższego szczebla, sprzedawcy, komiwojażerowie, naganiacze ubezpieczeniowi, konduktorzy tramwajowi. Czy wiedzieli o tym, że są tylko marionetkami, które tańczą, gdy pieniądz pociąga za sznurki? Można się założyć, że nie. A gdyby nawet, to co z tego? Zbyt byli zajęci narodzinami, ożenkiem, płodzeniem, pracą, umieraniem. Nieźle byłoby poczuć się, gdyby to było możliwe, jednym z nich, kimś z szarego tłumu. Nasza cywilizacja opiera się na chciwości i strachu, lecz w życiu prostych ludzi chciwość i strach ulegają tajemniczej przemianie w coś szlachetniejszego. Tacy drobnomieszczanie - za firankami, ze swymi dziećmi, zbieraniną mebli i z aspidistrami - z pewnością żyli według prawa pieniądza, a jednak udawało im się zachować przyzwoitość. W ich pojęciu prawo pieniądza nie było jedynie cyniczne i żarłoczne. Mieli swoje wartości, niewzruszone punkty honoru. „Szanowali się” - pielęgnowali aspidistrę. Ponadto naprawdę żyli. Tkwili pośrodku życia. Płodzili dzieci, czego nigdy nie robią święci ani zbawcy dusz.

Aspidistra jest drzewem życia, pomyślał nagle. Uświadomił sobie obecność bryłowatego ciężaru w wewnętrznej kieszeni. Był to rękopis *Rozrywek londyńskich*. Wyjął go i przyjrzał mu się pod lampą uliczną. Wielki plik papierów, powalanych i potarganych, które miały ten szczególnie, wstrętny wygląd wybrudzonych na brzegach papierów

długo noszonych w kieszeni. Wszystkiego około czterystu wierszy. Jedyny owoc wygnania, dwuletni plód, który nigdy się nie narodzi. Cóż, skończył z tym. Poezja! Zaiste, poezja! W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym.

Co zrobić z rękopisem? Najlepiej spuścić w w.c. Znajdować się jednak cfa/eko od domu i nie miał nieodzownego pensa. Zatrzymał się przy żelaznej kratce kanału. W oknie pobliskiego domu przegowana aspidistra wyglądała spoza żółtych firanek.

Rozprostował jedną ze stron *Rozrywek londyńskich*. Wzrok jego przyciągnął wiersz, pośrodku labiryntu bazgrołów. Doznał przez chwilę ukłucia żalu. Przecież niektóre fragmenty były całkiem niezłe! Gdybyż mógł to kiedyś skończyć! Szkoda wyrzucać po włożeniu w to takiej pracy. A może zachować? Zatrzymać przy sobie i kończyć potajemnie w wolnym czasie? Nawet jeszcze teraz mogłoby z tego coś być.

Nie, nie! Dotrzymaj słowa. Albo się poddajesz, albo się nie poddajesz.

Złożył rękopis we dwoje i wcisnął pomiędzy kraty kanału. Spadł z pluskiem do wody.

*Vicisti, o aspidistra**.

Ravelston chciał się pożegnać przed urzędem stanu cywilnego, lecz nie chcieli o tym słyszeć i upierali się, by go zabrać ze sobą na obiad. Jednakże: nie do Modiglianigo. Poszli do jednej z tych restauracyjek w Soho, gdzie za pół korony można zjeść świetny obiad z czterech dań. Zamówili kielbasę czosnkową, chleb, masło, smażoną flądę, *entrecôte aux pommes frites* oraz dość wodnisty budyń karmelowy; ponadto butelkę Medoc Superieur, w cenie trzy szylingi sześć pensów.

Na ślubie był obecny tylko Ravelston. Drugim świadkiem było biedne, potulne, bezzębne stworzenie, zawodowy świadek, którego zaczepili przed urzędem stanu cywilnego i któremu zapłacili pół korony. Julia nie mogła wyrwać się z cukierni, a Gordon i Rosemary mieli tylko jednodniowy urlop na podstawie pretekstów starannie przygotowywanych na długo przedtem. Nikt nie wiedział o ich ślubie, poza Julią i Ravelstonem. Rosemary miała zamiar pracować jeszcze przez miesiąc lub dwa. Wolą zachować ślub w tajemnicy, póki nie będzie po wszystkim, głównie ze względu na swe niezliczone rodzeństwo, z którego nikogo nie stać było na prezenty ślubne. Gdyby to zależało od Gordona, wszystko odbyłoby się bardziej

tradycyjnie. Chciał nawet ślubu kościelnego. Jednakże Rosemary stanowczo sprzeciwiła się temu.

Gordon pracował w biurze już od dwóch miesięcy. Zarabiał cztery i pół funta tygodniowo. Będzie im bardzo ciężko, gdy Rosemary przestanie pracować, lecz istniała nadzieja na podwyżkę w przyszłym roku. Przed przyjściem na świat dziecka będą musieli zdobyć trochę pieniędzy od rodziców Rosemary. Pan Clew odszedł z Nowego Albionu przed rokiem, jego miejsce zajął niejaki pan Warner, Kanadyjczyk, który przez pięć lat pracował w nowojorskiej agencji reklamowej. Pan Warner był szalenie energiczny, lecz całkiem sympatyczny. Wraz z Gordonem pracowali właśnie nad dużym zamówieniem. Wytwórnia przyborów toaletowych Królowa Saba prowadziła w całym kraju kampanię reklamową dla swego dezodorantu Kwietniowa Rosa. Postanowili tam, że niemiłe zapachy i cuchnący oddech to pomysły, które już się właściwie zużyły, więc od dłuższego czasu łamali sobie głowę nad wymyśleniem jakiegoś nowego sposobu przestraszenia ludzi. Wreszcie jakiś genialny galant podsunął pomysł: A śmierdzące nogi? Tego terenu jeszcze nie eksploatowano, więc krył w sobie niezmiernie możliwości. Królowa Saba przekazała pomysł Nowemu Albionowi. Chodziło im o naprawdę skuteczny slogan; coś typu „nocnego głodu” - *coś, co* jątrzyłoby świadomość społeczną jak zatruta strzała. Pan Warner myślał nad tym przez trzy dni, po czym wystąpił z niezapomnianym zwrotem „P.P.” „P.P.” oznaczało Perspirację Pedyczną. Był to prawdziwy przebłysk geniuszu. Tak proste, a zarazem tak frapujące. Gdy się wiedziało, co to oznacza, nie można było spojrzeć na litery „P.P.” bez dreszczu niepokoju. Gordon szukał słowa „pedyczny” w *Słowniku Oksfordzkim*, lecz przekonał się, że takie słowo nie istnieje. Jednakże pan Warner powiedział: Do diabła, co to ma za znaczenie? I tak będą

mieli pietra. Oczywiście Królowa Saba rzuciła się na ten pomysł.

Wkładali każdy zbywający grosz w tę kampanię. Na każdym płocie na Wyspach Brytyjskich ogromne oskarżające plakaty wbijały ludziom do głowy „P.P.” Wszystkie plakaty były dokładnie takie same. Nie tracąc słów, zapytywały ze złowieszczą prostotą:

„P.P.”
A TY?

To wszystko - żadnych obrazków, żadnych objaśnień. Nie było już potrzeby wyjaśniać, co oznacza „P.P.”; wszyscy w Anglii już to wiedzieli. Pan Warner, przy pomocy Gordona, projektował mniejsze reklamy dla gazet i magazynów. Pan Warner dostarczał śmiałych ogólnych pomysłów, nakreślał ogólny plan reklam i decydował, jakiego rodzaju ilustracji potrzeba. Jednakże to Gordon pisał większość tekstów - pisał przerażające historyjki, z których każda stanowiła powieść realistyczną w stu słowach: o zrozpaczonych trzydziestoletnich dziewczynach, o samotnych starych kawalerach, których dziewczęta rzucały z niewyjaśnionych powodów, o zapracowanych żonach, które nie mogły sobie pozwolić na zmianę pończoch raz w tygodniu i które widziały, jak ich mężowie pogrążają się w szpony „innej kobiety”. Robił to bardzo dobrze; robił to znacznie lepiej niż cokolwiek innego w życiu. Pan Warner składał o nim wspaniałe sprawozdania. Gordon miał bez wątpienia zdolności literackie. Potrafił oszczędnie używać słów, co osiąga się zwykle dopiero po latach wysiłków. Tak więc może jego długa, uporczywa walka, by zostać „pisarzem”, nie poszła jednak na marne.

Pożegnali się z Ravelstonem przed restauracją. Odjechali taksówką. Ravelston upierał się przy zapłaceniu za

taksówkę z urzędu stanu cywilnego, więc uznali, że stać ich na jeszcze jedną. Rozgrzani winem, rozparli się na siedzeniu, w zapyłonym majowym słońcu przenikającym przez okno taksówki. Głowa Rosemary na ramieniu Gordona, ich ręce złączone na jej kolanach. Bawił się cieniutką obrączką na palcu serdecznym Rosemary. Walcowane złoto, pięć i pół szylinga. Wyglądało jednak dobrze.

- Muszę pamiętać, żeby ją zdjąć przed pójściem jutro do pracowni - powiedziała Rosemary w zamyśleniu.

- Pomyśleć, że naprawdę pobraliśmy się! Póki nas śmierć nie rozłączy. Więc jednak zrobiliśmy to.

- Przerazające, prawda?

- Sądzę, że nieźle się ustabilizujemy. Własny dom, wózek dziecienny i aspidistra.

Uniósł jej twarz, by ją pocałować. Umalowała się dzisiaj lekko, po raz pierwszy odkąd ją znał, i nie zrobiła tego wprawnie. Ich twarze niezbyt dobrze się prezentowały w wiosennym słońcu. Na twarzy Rosemary widać było delikatne zmarszczki, na twarzy Gordona głębokie bruzdy. Rosemary wyglądała może na dwadzieścia osiem lat; Gordon co najmniej na trzydzieści pięć. Lecz Rosemary wyrwała sobie wczoraj swoje trzy siwe włosy.

- Kochasz mnie? - zapytał.

- Uwielbiam cię, głuptasie.

- Wierzę ci. To dziwne. Mam trzydziestkę i jestem zniszczony.

- Nie szkodzi.

Zaczęli się całować, ale odsunęli się pospiesznie od siebie, zauważywszy, że dwie kościste arystokratki w jadącym równolegle aucie przyglądają się im ze złośliwym zainteresowaniem.

Mieszkanie w pobliżu Edgware Road nie było złe. Była to nieciekawa dzielnica i ulica dość nędzna, lecz

położona dogodnie względem centrum Londynu; ponadto spokojna, gdyż ulica była ślepa. Z okna od tyłu (mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze) widać było dach stacji Paddington. Dwadzieścia jeden i pół szylinga tygodniowo, nieumeblowane. Sypialnia, bawialnią, kuchenka, łazienka (z piecykiem gazowym) i ubikacja. Mieli już meble, większość na raty. Ravelston dał im w prezencie ślubnym komplet naczyń stołowych - bardzo ładnie z jego strony. Julia podarowała im dość okropny stolik „okolicznościowy”, fornirowany orzech z ozdobnie powycinanym brzegiem. Gordon błagał ją i zaklinał, żeby im nic nie dawała. Biedna Julia! Po Bożym Narodzeniu, jak zwykle, została bez grosza, a urodziny ciotki Angeli były w marcu. Jednakże Julii wydawało się zbrodnią przeciwko naturze nie dać prezentu z okazji ślubu. Bóg wie, jakich musiała dokonać poświęceń, by uskładać trzydzieści szylingów na ten stolik „okolicznościowy”. Nadal im bardzo brakowało bielizny pościelowej i sztućców. Trzeba będzie rzeczy kupować stopniowo, gdy zaoszczędzą parę szylingów.

Przebiegli ostatni odcinek schodów w podnieceniu, pragnąc jak najszybciej dostać się do mieszkania. Można było od razu się wprowadzić. Przez ostatnie tygodnie spędzali wieczory na znoszeniu tu rzeczy. Posiadanie tego własnego mieszkania wydawało im się wspaniałą przygodą. Żadne z nich nigdy nie miało własnych mebli; od czasów dzieciństwa zawsze wynajmowali umeblowane pokoje. Wszedłszy do mieszkania, obeszlą je starannie, sprawdzając, oglądając i podziwiając wszystko, jak gdyby nie znali na pamięć każdego znajdującego się tam przedmiotu. Wpadali w niemądre zachwyty nad każdym pojedynczym meblem. Dwuosobowe łóżko z czystym prześcieradłem wywiniętym na różową kołdrę! Bielizna pościelowa i ręczniki schowane w komodzie! Rozkładany

stół, cztery niewyściełane krzesła, dwa fotele, otomana, półka na książki, czerwony indyjski dywanik, miedziane wiadro na węgiel, które kupili tanio na szkockim targu! To wszystko było ich, każdy przedmiot był ich - to znaczy, o ile nie będą zalegać ze spłatą rat! Przeszli do kuchenki. Wszystko było przygotowane, po najdrobniejsze szczegóły. Kuchenka gazowa, schowek na mięso, lakierowany stół, suszarka do naczyń, garnki, imbryk, koszyk w zlewie, miotły, ścierki - nawet puszka pasty do czyszczenia, paczka płatków mydlanych i funt sody do prania w słoiku po dżemie. Wszystko było przygotowane do użytku, do życia. Można było od razu ugotować posiłek. Stali trzymając się za ręce przy lakierowanym stole, podziwiając widok stacji Paddington.

- Och, Gordon! Jakie to wspaniałe! Mamy nasze własne mieszkanie i żadna gospodyni się nie wtrąca!

- Najbardziej podoba mi się myśl, że będziemy jadali razem śniadania. Siedzisz naprzeciwko przy stole nalewając kawę. Jakie to dziwne! Znamy się od lat i nigdy nie jedliśmy razem śniadania.

- Ugotujmy coś. Umieram z pragnienia, by użyć tych garnków.

Zrobiła kawę i przyniosła ją do frontowego pokoju na czerwonej lakierowanej tacy, którą kupili na wyprzedazy u Selfridge'a. Gordon podszedł do stojącego przy oknie „okolicznościowego” stolika. Daleko w dole nędzna uliczka tonęła w słońcu, jak gdyby zalała ją na parę sążni mętne żółte morze. Postawił filiżankę z kawą na „okolicznościowym” stoliku.

- Tutaj postawimy aspidistrę - powiedział.

- Co postawimy?

- Aspidistrę.

Roześmiała się. Zauważył, iż myśli, że on żartuje, więc dodał:

- Musimy pamiętać, żeby wyjść i ją kupić, zanim zamkną wszystkie kwaciarnie.

- Gordon! Chyba nie mówisz poważnie? Chyba nie myślisz *naprawdę* o posiadaniu aspidistry?

- Ależ tak. Będziemy ją także odkurzać. Powiadają, że najlepiej ją czyścić starą szczoteczką do zębów.

Podeszła do niego i uszczypnęła go w ramię.

- Nie żartujesz przypadkiem, co?

- Dlaczego miałbym żartować?

- Aspidistra! Pomyśleć, że mielibyśmy tutaj coś tak okropnego i przygnębiającego! Poza tym, gdzie byśmy ją postawili? Nie chcę jej w tym pokoju, a w sypialni byłoby jeszcze gorzej. Wyobraź sobie aspidistrę w sypialni!

- Nie w sypialni. Tu jest właściwe miejsce dla aspidistry. We frontowym oknie, gdzie mogą ją zobaczyć ludzie z naprzeciwka.

- Gordon, żartujesz - z pewnością żartujesz!

- Nie, nie żartuję. Mówię ci, że musimy mieć aspidistrę.

- Ale dlaczego?

- Bo taką rzecz trzeba mieć. To pierwsza rzecz, jaką się kupuje po ślubie. Właściwie należy to do ceremonii ślubnej.

- Nie bądź niedorzeczny! Po prostu nie zniosłabym tutaj czegoś takiego. Jeśli koniecznie chcesz, możesz mieć pelargonie. Ale nie aspidistrę.

- Pelargonie się nie nadaje. Potrzebujemy aspidistry.

- Nie będziemy jej mieli i już.

- Będziemy. Czy niedawno nie przyrzekałaś być mi posłuszną?

- Nie. Nie braliśmy ślubu w kościele.

- Och, to się rozumie samo przez się w obrzędzie ślubnym. „Miłość, szacunek i posłuszeństwo”, i tak dalej.

- Nieprawda. W każdym razie nie będziemy mieć tej aspidistry.

- Będziemy.

- Nie będziemy!

-Tak!

- Nie!

- Tak!

- *Nie!*

Nie rozumiała go. Myślała, że tylko się przekomarza. Zaperzyli się i, zgodnie ze swym zwyczajem, pokłócili gwałtownie. Była to ich pierwsza małżeńska kłótnia. Pół godziny później wyszli do kwaciarni kupić aspidistrę.

Lecz gdy znajdowali się w połowie pierwszego odcinka schodów, Rosemary zatrzymała się nagle i uchwyciła kurczowo poręcz. Rozchyliła usta; przez chwilę wyglądała bardzo dziwnie. Przycisnęła rękę do talii.

- Och, Gordon!

- Co?

- Poczułam, że się rusza!

- Co się rusza?

- Dziecko. Poczułam, że się we mnie rusza.

- Naprawdę?

W jego wnętrznościach zbudziło się dziwne, niemal przerażające uczucie, coś w rodzaju ciepłego skurczu. Przez chwilę odczuwał seksualną więź z Rosemary, więź dziwnie subtelną, jakiej nigdy nawet nie przeczuwał. Zatrzymał się parę stopni poniżej. Ukląkł, przycisnął ucho do jej brzucha i nadśluchiwał.

- Niczego nie słyszę - powiedział wreszcie.

- Oczywiście, że nie, głuptasie! Na to jeszcze o wiele za wcześnie.

- Ale później będę mógł usłyszeć, prawda?

- Myślę, że tak. *Ty* usłyszysz to w siódmym miesiącu, *ja* czuję to w czwartym. Chyba tak to jest.

- Ale naprawdę się ruszało? Jesteś pewna? Naprawdę czułaś, jak się rusza?

- O tak. Ruszało się.

Długo pozostał tam, klęcząc, z głową wtuloną w jej miękki brzuch. Objęła go rękami za głowę i przyciągnęła do siebie. Nic nie słyszał, poza krwią tętniącą mu w uszach. Lecz ona nie mogła się mylić. Gdzieś w głębi niej, w bezpiecznej, cieplej, wyściełanej ciemności, żyło i poruszało się.

A więc coś znowu zaczynało się dzieć w rodzinie Comstocków.